

LISA GARDNER

Mistrzynie
thrillerów
psychologicznych




AMBER

TRZECIA OFIARA

LISA GARDNER

TRZECIA OFIARA

(The Third Victim)

Przełożył Jerzy Kozłowski

TMN

Wydanie polskie: 2001

Wydanie oryginalne: 1998

1

Wtorek, 15 maja, 13.25

Gdy nadeszło wezwanie, policjantka Lorraine Conner siedziała samotnie przy czerwonym plastikowym stoliku w barze u Marthy, dłubiąc widelcem w sałatce z tuńczyka i słuchając paplaniny Franka i Douga. Była skazana na sałatkę, bo jak zdążyła zauważyć, u kobiety trzydziestojednoletniej kilogramy nie znikają już w magiczny sposób jak dziesięć, czy nawet, do diabła, pięć lat wcześniej. Nadal potrafiła przebiec kilometr w mniej niż trzy minut i wcisnąć się w rozmiar numer osiem, ale różnica była zasadnicza. Teraz Rainie musiała spędzać więcej czasu na układaniu długich kasztanowych włosów, jeśli chciała, żeby ktoś się za nią obejrzał. A cheeseburgery zastąpiła sałatka z tuńczyka. Pięć razy w tygodniu.

Tego dnia partnerem Rainie był dwudziestodwuletni ochotnik, Charles Cunningham *vel* Chuckie, znany też w małej komendzie policji w Bakersville w stanie Oregon jako „żółtodziób”. Chuckie nie ukończył jeszcze dziewięciomiesięcznego kursu w ośrodku szkoleniowym, a to znaczyło, że mógł tylko patrzeć, a nie dotykać. Policjantem z prawdziwego zdarzenia miał zostać dopiero, gdy zaliczy niezbędne egzaminy i dostanie dyplom. Tymczasem zdobywał doświadczenie – wyjeżdżał na patrole i spisywał raporty. Wolno mu było zakładać

standardowy beżowy mundur i nosić przy sobie broń. Chuckie był całkiem zadowolony z życia.

Zanim nadeszło wezwanie, sterczał przy kontuarze, próbując oczarować długonogą, jasnowłosą kelnerkę o imieniu Cindy. Prężył pierś, przybrawszy nonszalancką pozę z nogą lekko ugiętą w kolanie i dłonią od niechcienia wspartą na kaburze. Cindy, nieczuła na jego wdzięki, serwowała domowe ciasto z jagodami sześciu farmerom na raz. Ktoś burknął coś o żółtodziobie płaczącym się pod nogami. Chuckie uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Przy stoliku za plecami Rainie dwaj emerytowani hodowcy krów, Doug Atkens i Frank Winslow, zaczęli robić zakłady.

– Dziesięć dolców, że mu ulegnie – powiedział Doug, uderzając zmiętym banknotem o plastikowy blat.

– Dwadzieścia, że wyleje donzuanowi na łeb szklanekę wody z lodem – przebił Frank, sięgając po portfel. – Wiem z pewnego źródła, że Cindy wolałaby dobry napiwek niż serce Clarka Gable’a.

Rainie zostawiła rozgrzebaną sałatkę i odwróciła się do staruszków. Popołudnie było spokojne, nie miała nic lepszego do roboty. Przyłączam się – powiedziała.

– Cześć, Rainie. – Frank i Doug, przyjaciele od niemal pięćdziesięciu lat, uśmiechnęli się jednocześnie jak syjamskie bliźnięta. Frank miał bardziej niebieskie oczy i ogorzałą twarz, za to Dougowi pozostało więcej włosów. Obaj nosili lniane koszule w czerwoną kratę – oficjalny strój na popołudniowy wypad do miasta. Zimą dodawali doń brązowe zamszowe kurtki i beżowe kowbojskie kapelusze. Rainie zażartowała kiedyś, że próbują podszyć się pod faceta z reklamy Marlboro. W swoim wieku przyjęli to za komplement.

– Spokojny dzień? – zagadnął Doug.

– Spokojny miesiąc. Jest maj. Wyszło słońce. Wszyscy są, cholera, zbyt szczęśliwi, żeby urządzać rozróby.

– Żadnych pikantnych afer?

– Nawet zero skarg na psy, które zostawiają pamiątki na podwórkach sąsiadów. Jeśli ta pogoda utrzyma się dłużej, stracę robotę.

– Taka ślicznotka jak ty nie potrzebuje roboty – stwierdził Frank. – Potrzebujesz faceta.

– Taaak? I co bym z nim robiła po trzydziestu sekundach?

Frank i Doug zachichotali; Rainie mrugnęła łobuzersko. Lubiła ich. Odkąd pamiętała, w każdy wtorek o pierwszej siedzieli przy tym samym stoliku w tym samym barze. Słońce wschodziło, słońce zachodziło, a Frank i Doug co wtorek zamawiali pulpety u Marthy. Tak już było.

Dorzuciła do puli dziesięć dolarów. Stawiała rzecz jasna na Chuckiego. Nieraz widziała tego flirciarza w akcji. Dziewczyny z Bakersville po prostu nie mogły się oprzeć jego uśmiechowi i dołączkom w policzkach.

– Co myślisz o nowym ochotniku? – zapytał Doug, zerkając w stronę kontuaru.

– A co tu jest do myślenia? Wypisywanie mandatów to żadna filozofia.

– Słyszałem, że w zeszłym tygodniu mieliście drobne starcie z owczarkiem niemieckim. – Frank nie pozwolił jej się wykręcić od rozmowy.

Rainie skrzywiła się.

– Wścieklizna. Szkoda, to był piękny pies.

– Naprawdę rzucił się na Romea?

– Całymi swoimi czterdziestoma kilogramami.

– Słyszeliśmy, że Chuckie mało się nie posikał.

– Chuckie chyba nie przepada za psami. – Walt mówił, że załatwiłaś bydlaka. Czystym strzałem w łeb.

– Dlatego tyle mi płacą: żebym mogła udzielać porad pijakom i likwidować zwierzęta domowe.

– Daj spokój, Rainie. Walt mówił, że to nie była zabawa. Takie wielkie bestie śmigają naprawdę szybko. Chuckie jest teraz twoim dłużnikiem, co?

Rainie spojrzała na żółtodzioba, który wciąż nadymał się niczym indyk, żeby zwrócić uwagę Cindy.

– Myślę, że Chuckie boi się mnie teraz jak cholera. Staruszkowie znowu się roześmiali. Po chwili Frank pochylił się nad stolikiem z błyskiem w niebieskich oczach. Zamierzał wyciągnąć z niej coś więcej.

– Shep pewnie się cieszy, że ma dodatkową pomoc. – Spojrzał na Rainie znacząco.

Nie dała się jednak złapać na tę przynętę.

– Każdy szeryf jest zadowolony, kiedy ktoś chce pracować za darmo – stwierdziła obiektywnie. Nie kłamała. Skromny budżet Bakersville pozwalał na utrzymanie jednego szeryfa i dwóch funkcjonariuszy na pełnym etacie – Rainie i Luke’a Hayesa. Pozostała szóstka pracowała ochotniczo. Poświęcali nie tylko swój czas. Płacili też za szkolenie, mundury, kamizelki i broń. Wiele małych miasteczek korzystało z tego systemu. W końcu większość wezwań dotyczyła domowych awantur i przestępstw, związanych z naruszeniem mienia. Nic, z czym nie mogłoby sobie poradzić kilka trzeźwo myślących osób.

– Podobno Shep coraz mniej pracuje – nie poddawał się Doug.

– Nie liczę mu godzin.

– Daj spokój, Rainie. Wszyscy wiedzą, że między Shepem i Sandy nie układa się najlepiej. Próbuje się z nią dogadać? Nie przeszkadza mu już, że znalazła sobie posadę?

– Ja tylko pilnuję porządku w mieście, Frank. Nie muszę szpiegować na rzecz podatników.

– Nie bądź taka, uchyl rąbka tajemnicy. Zaraz idziemy do fryzjera, no wiesz. Walt strzyże za darmo, jak usłyszysz coś nowego.

Rainie przewróciła oczami.

– Walt wie więcej ode mnie. A myślisz, że kto jest naszym informatorem?

– Walt rzeczywiście wie wszystko – burknął Frank. – Może my powinniśmy otworzyć zakład fryzjerski. Do diabła, każdy tępak chyba potrafi obciąć włosy.

Rainie zerknęła na dłonie staruszków, po latach ciężkiej pracy powykręcane i spuchnięte od artretyzmu.

– Ja bym do was przychodziła – zaofiarowała się odważnie.

– Widzisz, Doug. Mielibyśmy też rwanie u dziewczyn.

Doug był pod wrażeniem. Gdy zaczął rozważać szczegóły nowej kariery, Rainie doszła do wniosku, że pora zostawić ich samych. Odwróciła się z pożegnaniem uśmiechem i spojrzała na zegarek: trzynasta trzydzieści. Żadnych wezwań, żadnych raportów do spisania. Nadzwyczaj spokojny dzień w i tak zawsze spokojnej mieścinie. Zerknęła na Chuckiego, któremu od ciągłego uśmiechania się musiały już zdrętwieć mięśnie policzkowe.

– Do roboty, mały – mruknęła pod nosem i zabębniła niecierpliwie palcami.

W przeciwieństwie do Charlesa Cunninghama, Rainie nigdy nie zamierzała zostać gliną. Po skończeniu liceum w Bakersville chciała tylko jak najszybciej uciec z tej krainy mleka. Od osiemnastu lat narastało w niej uczucie klaustrofobii, a poza tym nie miała żadnej rodziny, nikogo ani niczego, co trzymałoby ją w miasteczku. Wolność – tego potrzebowała. Koniec z duchami przeszłości, a przynajmniej tak jej się wydawało.

Rainie wsiadła do pierwszego autobusu do Portland, gdzie zapisała się na uniwersytet stanowy i zaczęła studiować psychologię. Lubiła swoje zajęcia. Podobało jej się młode miasto pełne szkół kucharskich, centrów sztuki i różnych życiowych dziwolągów.

Wdała się w ognisty romans z trzydziestoczteroletnim zastępcą prokuratora okręgowego, który jeździł porsche. Całe noce spędzała za kółkiem nowoczesnego auta. Otwierała wszystkie okna, wciskała gaz do dechy i pokonywała ostre zakręty na Skyline Boulevard, a wiatr rozwiewał jej włosy. Wspinała się coraz wyżej i wyżej, napierała coraz mocniej i mocniej. Szukała... czegoś.

Gdy w końcu zatrzymywali się na szczycie, miasto ścieliło się w dole jak rozgwieżdżone niebo. Zrzucali ubrania i pieprzyli się gorączkowo wśród przekładni i foteli lotniczych.

Potem Howie odwoził ją do domu, gdzie samotnie otwierała zgrzewkę sześciu piw, choć akurat ona powinna wiedzieć, czym to grozi.

Rainie znowu zerknęła na zegarek.

– Pośpiesz się, Chuckie. Cindy chyba nie ma na dzisiaj żadnych planów, związanych z twoją osobą.

Krótkofalówka przy jej pasku, trzeszcząc, przypomniała o swoim istnieniu. Nareszcie, pomyślała ze szczerą ulgą Rainie, coś się dzieje.

– Jeden pięć, jeden pięć. Wzywam jeden pięć. Sięgnęła po aparat, jednocześnie wstając od stolika.

– Tu jeden pięć, słucham.

– Coś się dzieje w szkole podstawowej K-8. Chwileczkę... zaczekaj.

Rainie zmarszczyła brwi. Słyszała w tle jakieś dziwne dźwięki, jakby dyspozytorka miała włączone radio albo trzymała blisko mikrofonu słuchawkę telefoniczną. Rozległy się trzaski i krzyki. Potem cztery wyraźne puknięcia. Strzały z broni palnej.

Co się tam, u diabła, wyprawia?

Podeszła do Chucka i postukała go w ramię właśnie w chwili, gdy dyspozytorka odezwała się ponownie. Po raz pierwszy od ośmiu lat Linda Ames sprawiała wrażenie przejętej.

– Do wszystkich jednostek, do wszystkich jednostek. W szkole K-8 w Bakersville ktoś strzelał. Podobno... są ranni... widziano krew. Wzywam sześć zero... sześć zero... Walt, sprowadź natychmiast tę cholerną karetkę! Zajmuję kanał trzeci. W szkole chyba doszło do strzelaniny. O mój Boże, strzelanina w szkole!

Rainie wyciągnęła Chucka z baru. Pobladł i wyglądał na wstrząśniętego. Ona sama czuła tylko pustkę. Dzwoniło jej lekko w uszach, kiedy wskakiwała do starego policyjnego sedana. Zapięła pasy i automatycznie włączyła syrenę.

– Nie rozumiem – mamrotał Chuckie. – Strzelanina w szkole? U nas nie zdarzają się takie rzeczy.

– Zostaw radio na kanale trzecim. Będą podawać wszystkie meldunki. – Wrzuciła bieg i zjechała na jezdnię. Byli na Main Street, dobre piętnaście minut jazdy od K-8. A Rainie wiedziała, że w ciągu kwadransa może się dużo wydarzyć.

– To niemożliwe – nie przestawał bełkotać Chuckie. – Do diabła, nie

mamy tu nawet gangów, narkotyków. A co dopiero mówić o morderstwach. Dyspozytorce musiało się coś pomylić.

– Taaak – odparła cicho Rainie, choć dzwonienie w uszach nasilało się. Całe lata nie słyszała tego dźwięku. Całe lata, od czasu, gdy jako mała dziewczynka wracała ze szkoły, wiedząc od pierwszego kroku na schodach, że matka już piła i będą kłopoty.

Jesteś teraz glina, Rainie. Wszystko w twoich rękach. Nagle strasznie zatęskniła za butelką piwa.

Radio znowu zatrzeszczało. Gdy Rainie przejeżdżała przez pierwsze światła na Main Street, odezwał się głos szeryfa Shepa O’Grady.

– Jeden pięć, jeden pięć, gdzie jesteś?

– Dwanaście minut od celu – odpowiedziała Rainie, wymijając źle zaparkowany samochód i z trudem przeciskając się obok następnego.

– Jeden pięć, przełącz się na kanał czwarty.

Rainie zerknęła na Chuckiego. Żółtodziób wykonał rozkaz. Znow usłyszeli Shepa, ale już nie tak spokojnego.

– Rainie, musisz się tu dostać błyskawicznie.

– Byliśmy w barze u Marthy. Przyjadę jak najszybciej. A ty?

– Sześć minut od celu. Cholera, za daleko. Linda zawiadomiła pozostałych, ale większość musi pobiec do domu po broń i kamizelki. Posiłki z okręgu dotrą najwcześniej za jakieś dwadzieścia minut, a ze stanu dopiero za trzydzieści czy czterdzieści. Jeśli to naprawdę coś poważnego... – Głos załamał mu się. Rainie, musisz objąć dowództwo.

Nie mogę. Nie mam doświadczenia. – Rainie zerknęła na Chucka, który najwyraźniej był tak samo zaskoczony jak i ona. To szeryf zawsze kierował akcją. Taka była procedura.

– Masz więcej doświadczenia niż inni – upierał się Shep.

– Moja matka się nie liczy...

Rainie, nie wiem, co się dzieje w szkole, ale jeśli doszło do strzelaniny... Tam są moje dzieci, Rainie. Nie możesz ode mnie wymagać, żebym o nich nie myślał.

Rainie zamilkła. Po ośmiu latach pracy z Shepem znała jego dzieci jakby należała do rodziny. Ośmioletnia Becky miała bzika na punkcie

koni. Trzynastoletni Danny uwielbiał spędzać wolne popołudnia w komendzie. Kiedyś Rainie podarowała mu plastikową odznakę szeryfa. Nosił ją przez sześć miesięcy. Kiedy Rainie przychodziła do nich na kolację, zawsze chciał siedzieć przy niej. Wspaniałe dzieciaki. Dwoje wspaniałych dzieci, a razem z nimi dwieście pięćdziesięcioro innych równie wspaniałych. I żadne nie ma więcej niż czternaście lat...

Nie, nie w Bakersville. Chuckie miał rację: takie rzeczy nie zdarzają się w Bakersville.

– Obejmę dowództwo – zgodziła się cicho.

– Dzięki, Rainie. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

Wyłączył się. Rainie dotarła do kolejnych czerwonych świateł i musiała przycisnąć hamulec. Na szczęście samochody zauważyły sygnał i w porę się zatrzymały. Niejasno zdawała sobie sprawę ze zdumionych min kierowców. Syreny policyjne na Main Street? Na Main Street nigdy nie słyszy się policyjnych syren. Jeszcze dobre dziesięć minut jazdy. Rainie naprawdę zaczęła się bać, czy zdążą... czy nie będzie za późno.

Dwieście pięćdziesięcioro dzieci...

– Przełącz na kanał trzeci – rozkazała Chuckiemu. – Każ sanitariuszom poczekać.

– Ale przecież są ranni...

– Służby medyczne powinny czekać, aż zabezpieczymy miejsce przestępstwa. Takie przepisy.

Chuck wykonał polecenie.

– Połącz się z dyspozytorką. Niech sprowadzi tyle posiłków, ile się da. Na pewno chłopcy z okręgu i stanu już wiedzą. Musimy jakoś opanować ten bałagan... bierzemy każdą możliwą pomoc. – Umilkła, próbując przedrzeć się przez pokłady pamięci do zajęć sprzed ośmiu lat w obskurnej klasie w Salem, gdzie była jedyną kobietą wśród trzydziestu uczestników szkolenia. Pełna mobilizacja. Procedura w przypadku dużej liczby poszkodowanych. Wtedy traktowała to jak zupełną abstrakcję.

– Postaw szpitale w stan pogotowia – wymamrotała. – Niech

skontaktują się z miejscowym bankiem krwi. Może trzeba będzie zwiększyć zapasy. Linda musi ściągnąć jednostkę antyterrorystyczną. Aha, i niech stanowią technicy policyjni czekają gotowi do wyjazdu. Na wszelki wypadek.

Dyspozytorka odezwała się, zanim Chuckie zdążył podnieść mikrofon do ust. Mówiła podniesionym głosem.

– Dostajemy telefony o kolejnych strzałach. Brak informacji o sprawcy. Brak informacji o ofiarach. Podobno na miejscu zdarzenia widziano mężczyznę w czerni. Sprawca może wciąż przebywać w okolicy. Uważajcie na siebie. Błagam was, uważajcie na siebie.

– Mężczyzna? – powtórzył chrapliwie Chuck. – Myślałem, że to uczeń. Sprawcą zawsze jest uczeń.

Rainie wydostała się wreszcie na podmiejską szosę i przyspieszyła do stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Byli już blisko. Najwyżej siedem minut jazdy. Chuck wykrzykiwał w mikrofon polecenia dla dyspozytorki.

Rainie usiłowała przypomnieć sobie wszystko o innych strzelaninach w szkołach. Nic nie rozumiała. Nawet tragedia Springfield w Oregonie nie stanowiła żadnej analogii. To było spore miasto, a wszyscy wiedzą, że miasta mają swoje problemy. Dlatego właśnie ludzie przeprowadzają się do Bakersville. Tutaj nic złego nie może się zdarzyć.

Ale ty wiedziałaś swoje, prawda, Rainie? Akurat ty powinnaś wiedzieć.

Chuckie skończył przekazywać rozkazy. Teraz jego usta poruszały się w cichej modlitwie. Rainie musiała odwrócić wzrok.

– Już jadę – szepnęła do dzieci, które widziała wyraźnie w myślach.
– Będę jak najszybciej.

We wtorek po południu Sandy próbowała przygotować raporty, ale praca zupełnie jej nie szła. Siedząc w małym narożnym gabinecie, ongiś sypialni imponującej wiktoriańskiej rezydencji, pani O'Grady więcej

czasu poświęcała wyglądaniu przez okno niż na studiowaniu dokumentów piętrzących się na porysowanym dębowym biurku.

Dzień był piękny; jak okiem sięgnąć ani jednej chmurki. Prawdziwa rzadkość w stanie, w którym pada tak często, że miejscowi pieszczotliwie nazywają deszcz płynnym słońcem. Temperatura umiarkowana. Nie tak niska, jak zdarzało się to wiosną, ale też nie tak wysoka, by zwabić zakłócających spokój turystów.

Pogoda wręcz idealna, istny luksus dla mieszkańców Bakersville, którzy znosili też jesienne szarugi, zimowe mrozy, lawiny błota na górskich szlakach i wiosenne powodzie zagrażające żyznym polom. Jeden ładny dzień na sto, zauważyłby ironicznie ojciec Sandry. Ale zaraz by dodał, że tyle wystarczy.

Sandra spędziła w Bakersville całe życie i nie chciała wychowywać dzieci nigdzie indziej. Wciśnięta między przybrzeżne łańcuchy górskie Oregonu na wschodzie i Pacyfik na zachodzie, otoczona wysokimi szczytami dolina słyęła z czarnobiałej rasy Holstein. Na jednego mieszkańca przypadały tu dwie mleczne krowy, a rodzinna farma oparła się nowocześniejszym formom gospodarowania. Ludzie znali się nawzajem i uczestniczyli wżyciu sąsiadów. Latem mieli do dyspozycji plaże, jesienią szlaki spacerowe. Na kolację można było zjeść świeżo złowionego kraba i miskę świeżo zebranych truskawek ze świeżo ubitą śmietaną. Całkiem niezłe życie.

Wszyscy skarżyli się tylko na jedno – na pogodę. Niekończące się szare zimy i gęste jak zupa mgły działały na niektórych przygnębiająco. Ale Sandy lubiła szare, mgliste poranki, kiedy góry ledwo wyłaniały się z flanelowego całunu, a świat spowijała cisza.

Jako młode małżeństwo często o świcie wyprawiali się z Shepemna spacerować. Zakładali kurtki i czarne kalosze, a potem brodzili po zroszonych polach, czując na policzkach jedwabisty dotyk mgły. Pewnego razu, kiedy Sandy była w czwartym miesiącu ciąży i szalały w niej hormony, kochali się pod starym dębem i przemokli do suchej nitki. Z jakim szacunkiem i podziwem patrzył na nią Shep. A ona zaciskała mocno ręce wokół jego szczyptych bioder, słuchała, jak szybko bije mu

serce i wyobrażała sobie rosnące w niej dziecko. Czy to będzie chłopiec, czy dziewczynka? Czy będzie miało po niej kręcone jasne włosy, czy gęste brązowe loki Shepa? Jak będzie się czuła, karmiąc piersią tę małą istotkę?

To była magiczna chwila. Niestety, później rzadko zaznawali podobnych uniesień.

Pukanie. Ogarnięta nagłym poczuciem winy, Sandy oderwała wzrok od okna i ujrzała swego szefa, Mitchella Adamsa, opartego o ozdobne odrzwia. Stał ze skrzyżowanymi nogami, wciskając ręce głęboko w kieszenie czarnego garnituru za trzy tysiące dolarów. Ciemne włosy sięgały mu z tyłu prawie do kołnierzyka. Szczupłe policzki były świeżo ogolone. Mitchell Adams należał do tych mężczyzn, którzy zawsze wyglądali dobrze bez względu na to, czy mieli na sobie model od Armaniego, czy sportowe ciuchy. Shep z miejsca go znienawidził.

– Jak tam raporty? – Pomimo obaw Shepa, Mitchell nigdy nie próbował wykraczać poza stosunki służbowe. Nie zatrudnił Sandy dlatego, że po czterdziestce nadal była szczupła i pociągająca. Zatrudnił ją ponieważ dawna szkolna piękność miała głowę na karku i chciała do czegoś dojść. Kiedy Sandy próbowała wyjaśnić to Shepowi, znienawidził Adamsa jeszcze bardziej.

– Jutro spotkanie z Wal-Mart – przypomniał Mitch. – Jeśli mamy ich przekonać, żeby zainwestowali w naszym mieście, musimy mieć gotowe wszystkie dane.

– Właśnie nad tym pracuję.

– Ile ci jeszcze zostało?

Zawahała się.

– Już kończę. – Tak naprawdę dzisiaj niczego nie tknęła. Tak naprawdę wczoraj w nocy miała kolejną wielką kłótnię z Shepem. Tak naprawdę zamierzała pracować nad raportami do późna, co pewnie doprowadzi do następnych awantur. Nie starczało jej już siły, żeby walczyć. Ale była katoliczką i nie mogła nic zmienić. Tak samo Shep.

Więc nie przestawali się zreć. Becky całe dni spędzała zamknięta w pokoju z armią pluszowych zwierzątek, którym zwierzała swoje

tajemnice, a Danny coraz dłużej przesiadywał w szkolnej sali komputerowej, surfując po cyberprzestrzeni. Powiedział matce, że to na życzenie pani Avalon. Ale Sandy i Shep podejrzewali, iż ich syn po prostu nie chce wracać do domu. A do tego w zeszłym miesiącu jeszcze ten incydent z szafkami...

Sandy w zamyśleniu pocierała skronie. Mitchell zrobił krok do przodu, ale szybko się zreflektował.

– Na jutro rano – powtórzył z naciskiem.

– Oczywiście. Wszystko będzie gotowe. Wiem, jak ważne jest to spotkanie.

Mitch w końcu skinął głową. Sandy wyczuwała, że nie jest zadowolony.

Nie wiedziała, co jeszcze może powiedzieć. Takie ostatnio było jej życie. Nikt nie był z niej w pełni zadowolony – ani szef, ani mąż, ani dzieci. Tłumaczyła sobie, że jeśli wytrzyma trochę dłużej, wszystko się unormuje. Do spotkania z Wal-Mart przygotowywali się od dziewięciu miesięcy. Zostawali po godzinach, tyrali po nocach. Ale jeśli się uda, zarobią mnóstwo pieniędzy. Firma będzie mogła zatrudnić więcej pracowników. A Sandy przyniesie do domu pokazną premię. Shep mógłby w końcu zauważyć, że jego żona też coś potrafi i ma swoje ambicje.

O trzynastej czterdzieści pięć Sandy wstała i opuściła żaluzje w oknie, mając nadzieję, że w ten sposób łatwiej jej będzie się skoncentrować. Nalała sobie szklanek wody, wzięła do ręki długopis i postanowiła zabrać się poważnie do roboty.

Właśnie zaczęła przeglądać dane rynkowe, kiedy przy jej łokciu rozdzwonił się telefon. Z roztargnieniem podniosła słuchawkę, nadal analizując w myślach cyfry. Nie była przygotowana na to, co usłyszała.

Lucy Talbot krzyczała rozhisteryzowanym głosem.

– Sandy, Sandy! Och, dzięki Bogu, że cię złapałam! W szkole coś się stało. Podobno strzelanina. Jakiś mężczyzna, chyba uciekł. Mówili w radiu. Są ranni. Uczniowie, nauczyciele, nie wiem, kto. Wszyscy tam jadą. Przyjeżdżaj szybko!

Sandy nie pamiętała, czy odłożyła słuchawkę. Nie pamiętała, kiedy chwyciła torebkę i krzyknęła do Mitchella, że musi wyjść.

Pamiętała tylko, że biegła. Musiała dostać się do szkoły. Do Danny'ego i Becky.

I pamiętała, że po raz pierwszy od bardzo dawna cieszyła się, że Shep O'Grady jest jej mężem. Ich dzieci potrzebowały go teraz.

Wtorek, 15 maja, 13.52

W szkole podstawowej K-8 w Bakersville działy się dantejskie sceny. Gdy Rainie z piskiem opon zahamowała niecałą przecnicę od rozległego parterowego budynku, ujrzała grupę rodziców biegnących z obłędem w oczach przez parking. Zapłakane dzieci miotaly się w szoku po ogrodzonym szkolnym boisku. Wyły syreny alarmowe. Stara karetka Walta z 1965 roku też miała włączony sygnał. Okolicznymi ulicami nadjeżdżały z niebezpieczną prędkością kolejne samochody – prawdopodobnie rodzice wezwani z pracy.

– Cholera – wymamrotała Rainie. – Cholera, cholera, cholera.

Widziała, jak nauczyciele próbują zbierać swych podopiecznych w jednym miejscu. Mężczyzna w garniturze – być może dyrektor Vander Zanden, Rainie spotkała go tylko raz – zajął stanowisko przy maszcie flagowym i bez powodzenia próbował zapanować nad chaosem. Zbyt wielu rodziców biegało tam i z powrotem, nawołując swoje dzieci. Zbyt wielu uczniów miotalo się bezładnie w poszukiwaniu rodziców. Jakiś chłopiec ze śladami krwi na spodniach chwiejnym krokiem przedarł się przez skłębiony tłum i upadł na chodniku. Najwyraźniej nikt tego nie zauważył.

Rainie wyskoczyła z samochodu i pognała w stronę budynku.

Cunningham ruszył za nią. Kiedy przepychali się do szklanych drzwi wejściowych, zauważyła wóz patrolowy Shepa blokujący zachodni wjazd na parking. Samego szeryfa jednak nigdzie nie było widać.

Drzwi szkoły stały otworem. Na końcu szerokiego korytarza dwaj sanitariusze z Bakersville, Walt i Emery, pochylali się nad kimś, kto leżał na podłodze.

– Cholera – zakłęła Rainie raz jeszcze. Nie powinni znaleźć się w budynku przed zabezpieczeniem go przez policję.

Jakiś mężczyzna skierował się prosto do otwartych drzwi. Policjantka chwyciła go za rękę, gdy próbował wdrzeć się do środka, i odepchnęła z całej siły.

– Moje dziecko... – zaczął protestować.

– Na parking! – ryknęła. – Tutaj wstęp wzbroniony! Hej, panie! Chwileczkę!

Zatrzymała młodego człowieka w dobrze skrojonym oliwkowym garniturze i czarnych wyglansowanych butach. Miał w sobie coś z nauczyciela. Patrzył na Rainie, gniewnie marszcząc brwi. Najwyraźniej był zdenerwowany i spieszyło mu się.

– Pracuje pan w szkole? Jak się pan nazywa?

– Richard. Richard Mann. Jestem szkolnym psychologiem i muszę dostać się do moich uczniów. Są ranni...

– Co się tutaj stało?

– Usłyszałem strzały. Potem włączono syrenę i wszyscy rzucili się do ucieczki. Siedziałem u siebie w gabinecie, kiedy rozpętało się to piekło.

– Wie pan, kto strzelał?

– Nie, ale słyszałem, że jakiś mężczyzna uciekł wyjściem od zachodniej strony. Nie wiem.

– A co z uczniami? Wszyscy są na zewnątrz?

– Zastosowaliśmy podstawową procedurę ewakuacyjną wyrecytował automatycznie Richard Mann. Po czym zniżył głos, żeby usłyszała go tylko Rainie: – Dwie nauczycielki mówiły, że ktoś leżał na korytarzu. Ale musiały zająć się swoimi klasami i nie mogły się

zatrzymać... Poza tym bały się, że dzieci coś zauważą. Sam widziałem tutaj kilkoro rannych uczniów. Chciałem wezwać pogotowie, ale sanitariusze są już w budynku.

– Przeszedł pan jakieś szkolenie medyczne?

– Mam pojęcie o reanimacji, jeszcze z YMCA, – Dobrze. A teraz niech pan słucha: zorganizuje pan na boisku punkt pierwszej pomocy. Zbierze pan wszystkie ranne dzieci. Widziałam, jak jakiś chłopiec upadł na chodniku. Trzeba kogoś po niego posłać. Proszę popytać wśród rodziców. Niektórzy musieli kiedyś przejść jakieś przeszkolenie – reanimacja, podstawy weterynarii, pierwsza pomoc, wszystko jedno. Niech zajmą się dziećmi. Walt ma pełne ręce roboty w szkole, a karetka z okręgu Cabot nie przyjedzie wcześniej, niż za jakieś dziesięć, piętnaście minut.

– Postaram się. Tylko jak przekrzyczeć ten hałas?

Rainie wskazała wóz patrolowy Shepa.

– Na tylnym siedzeniu leży przenośny głośnik. Do roboty. Kiedy ruszy już punkt pierwszej pomocy, będę miała dla pana następne zadanie. Słucha mnie pan?

Młody psycholog gorliwie pokiwał głową. Był blady, górna warga błyszczała mu od potu, ale najwyraźniej potrafił wziąć się w garść.

– Widzi pan ten kotłujący się tłum na parkingu? Wszyscy muszą się cofnąć na drugą stronę ulicy. Niech pan powie nauczycielom, żeby zebrali i przeliczyli swoje klasy. Łatwiej będzie rodzicom odnaleźć dzieci. Ale wszyscy oprócz rannych, mają opuścić parking. Ze względów bezpieczeństwa. Rozumiemy się? I nikt nie wraca do domu bez zgody policji.

– Spróbuję.

– Widział pan szeryfa O'Grady'ego?

– Wpadł jak burza do szkoły. Chyba szukał Becky i Danny'ego. Richard Mann biegiem ruszył w stronę wozu Shepa. Rainie uważnym wzrokiem objęła rozległy budynek. Nadal nie był odpowiednio zabezpieczony. Zerknęła na swego partnera, który nerwowo pocierał broń, i wzięła głęboki wdech. Jej kontakt ze zbrodnią ograniczał się jak

dotąd do teoretycznego szkolenia, i to całe lata temu. Teraz nie miała jednak wyboru. Walt i Emery byli już w budynku. Shep też. Nic więc nie stało na przeszkodzie, żeby razem z Chuckiem do nich dołączyła.

– Trzymaj się blisko mnie, Chuckie. Miej oczy otwarte, ręce zdejmij z broni. Walt działa wprawdzie bez upoważnienia, ale nie zasługuje na kulę w łeb.

Chuckie posłusznie pokiwał głową.

– Na miejscu przestępstwa trzeba pamiętać o trzech rzeczach: niczego nie dotykać. Niczego, cholera, nie dotykać. I niczego, kurwa, nie dotykać. Zrozumiano?

Chuckie znowu przytaknął. Rainie zerknęła na zegarek. Za trzy druga. Na parkingu wciąż wrzało. Trudno było zebrać myśli przy zgiełku syren, krzykach i płaczu. Teraz dopiero zauważyła czerwone plamy na chodniku – krwawy szlak ze szkoły na podwórze, ślady uciekających przed zabójcą rannych dzieci. A co z resztą? Co z tymi, których według Richarda Manna widziały na korytarzu nauczycielki?

O tym Rainie wolała jeszcze nie myśleć.

W prawym ręku ścisnęła glocka, dyskretnie ukrywając kaburę z dwudziestką dwójką. Miała nadzieję, że to jej wystarczy. Skinęła na Cunninghama i z krótkofalówką w ręku wkroczyła do budynku.

W środku hałas był jeszcze większy. Niemiłosierne wycie syren niosło się przez długie korytarze i boleśnie atakowało bębny.

– Centrala – Rainie ryknęła do mikrofonu. – Jeden pięć wzywa centralę. Linda, odezwij się.

– Centrala do jeden pięć.

– Daj mi Hanka. Chcę wiedzieć, jak wyłączyć te cholerne syreny.

– Mhm, dobra. Chwileczkę.

Rainie i Chuckie zatrzymali się tuż przy wejściu.

W hallu panował zaskakujący porządek. Nigdzie porzucanych plecaków ani książek na jasnej podłodze. Po prawej stronie mieścił się sekretariat, którego szklane okna zdobiły papierowe wycinanki w kwiatuszki i kolorowy napis „Zapraszamy!” Żadnych śladów przemocy.

Zatrzeszczała krótkofalówka. Rainie podniosła ją do ucha, żeby wysłuchać instrukcji Lindy. W sekretariacie. Główna tablica rozdzielcza. Rainie przyjrzała się zamkniętym drzwiom. Nie wiadomo, co kryje się po drugiej stronie. I nic nie słyhać. W tym cały problem.

Ruchem ręki kazała się Chuckiemu odsunąć. Nie ma na co czekać.

Pochyliła nisko głowę, wyciągnęła broń i kopniakiem otworzyła drzwi. Skoczyła do środka... Nic. Nic. Nic. Pusto.

Chwilę zajęło jej, zanim znalazła tablicę rozdzielczą. Syrena raptownie zamilkła.

Chuckie nerwowo zamrugął. Po takim zgiełku cisza była oszałamiająca. Oszałamiająca i niepokojąca.

– Teraz... teraz lepiej – wydusił wreszcie, usiłując zapanować nad głosem, choć twarz miał nadal koloru pergaminu.

– Nauczka po masakrze w liceum Columbine – rzuciła Rainie. – Syreny wszystko zagłuszyły. Jednostka antyterrorystyczna nie mogła ustalić, gdzie ukryli się bandyci.

– Uczyli cię o szkolnych strzelaninach? – zapytał z nadzieją w głosie Chuckie.

– Nie. Czytałam w gazecie. – Rainie potrząsnęła głową. – Dobra. Odwagi. Nadstawiaj uszu. Damy sobie radę.

Wrócili do głównego hallu. Z bronią w rękę ostrożnie posuwali się przed siebie. Za sekretariatem ciągnęły się rzędy niebieskich szafek. Wszystkie pozamykane. Strzelanina musiała się zacząć, kiedy uczniowie wrócili do klas po przerwie obiadowej. Rainie zastanawiała się, czy to ważne. Wzdrygnęła się na myśl, co zastanie w klasach.

Na podłodze dostrzegła kilka odkształconych łusek. Pewnie od zabłąkanych pocisków. A może kopnął je tu ktoś z uciekających. Ostrożnie omijała wszelkie przedmioty, ale nie miała złudzeń. Wiedziała, co ją czeka.

Policjant, wezwany na miejsce przestępstwa, przede wszystkim ma chronić ludzkie życie. Po drugie zatrzymać sprawcę, jeśli ten wciąż znajduje się w pobliżu. Po trzecie, przesłuchać świadków i zabezpieczyć ślady zbrodni. W najbliższych dniach mieszkańcy Bakersville zaczną

domagać się odpowiedzi. Będą czekać na rekonstrukcję tragicznych wydarzeń. Co się naprawdę stało? Kto i czego zaniedbał? Kto jest winny?

Rainie już wiedziała, że na te pytania nie będzie prostych odpowiedzi. Zbyt wiele osób dostało się do gmachu szkoły przed przybyciem władz. Nauczyciele, rodzice, sanitariusze i uczniowie wspólnie zadeptywali ślady. A teraz dołączyli do nich niedoświadczeni funkcjonariusze policji. Rainie znalazła się w tarapatkach, zanim w ogóle cokolwiek zrobiła, ale nie miała innego wyjścia. Musiała brnąć dalej.

Za plecami słyszała ciężki oddech Cunninghama, a z korytarza odległego o jakieś pięćdziesiąt metrów dobiegały ją przekleństwa Walta.

– Cholera jasna, Bradley – przemawiał sanitariusz. – Tylko mi tu nie odleć. Do diabła, człowieku, jesteście w piątek umówieni na pokera.

Lorraine i Chuck cicho podeszli i jednym rzutem oka ocenili sytuację. Woźny Bradley Brown leżał w miejscu przecięcia dwóch szerokich korytarzy. Po lewej stronie znajdowały się drzwi do kilkunastu klas. Wszystkie były zamknięte. Rainie przeszedł dreszcz.

Zerknęła na Chuckiego, ale jej partner patrzył w prawo, gdzie korytarz prowadził do bocznego oszklonego wejścia. Potłuczone szyby poplamiała ciemna substancja, prawdopodobnie krew. Tuż obok wgniecione szafki, dużo więcej szkód. Główne miejsce zdarzenia.

Niedaleko drzwi ktoś leżał. Długie, ciemne włosy, powłóczysta letnia sukienka. Pewnie nauczycielka. Dalej jeszcze dwa. ciała. Mniejsze, nieruchome. Dzieci.

Cunningham wydał z siebie zdławiony dźwięk.

Rainie odwróciła się.

– Już sprawdzałem – odparł na jej nieme pytanie Walt.

– Nie powinno was tutaj być.

– To dzieci, moja droga. Tylko dzieci. Musieliśmy.

Rainie nie miała ochoty na dalsze pouczenia. Walt służył kiedyś w wojsku jako sanitariusz. Znał się na swoim fachu, a co się stało, to się nie odstanie. Przeniosła wzrok na rannego.

Był to starszy mężczyzna o krótkich, ostrzyżonych najeża siwych

włosach. Miał na sobie znoszone brązowe spodnie i niebieską flanelową koszulę, a na ręku skromny złoty zegarek, jaki można dostać w nagrodę za dwadzieścia lat służby. Postrzelony w górną część klatki piersiowej krwawił niemiłosiernie. Czerwona plama przesiąkała przez gazowe bandażę.

– A reszta? – zdołał wyszeptać.

– Nikomu nic nie jest, Bradley – odparł stanowczo Walt. – Martw się lepiej o swój pechowy tyłek. Że też dałeś się tak podejść. – Podłączył kroplówkę, bo ranny tracił coraz więcej krwi.

– Świetnie się trzymasz – zapewniła Rainie woźnego. Przyklęknęła i uśmiechnęła się do niego. – No więc, co się tutaj stało, Bradley?

– Ranili... mnie.

– Nie żartuj, naprawdę? – Zmuszała się do beztroskiego tonu, jak gdyby ucinali sobie pogawędkę przy obiedzie. – Widziałeś, kto to zrobił?

– Wyszedł... zza... rogu.

Skóra Bradleya przybierała błękitnawy odcień. Sinica. Potem nastąpi wstrząs oligemiczny na skutek upływu krwi i w końcu utrata przytomności. Jeśli krwawienie nie zostanie powstrzymane, Bradley umrze. Walt i Emery uwijali się jak w ukropie, ale kolejne bandażę nasiąkały czerwienią.

– Usłyszałem strzały... wydyszał ranny. – Chciałem... pomóc.

– Jesteś dzielny, Bradley.

Skrzywił się.

– Wyszedł zza rogu... bum. Nie... widziałem.

– Kto strzelał?

– Tak. – Oddech ze świstem wydobywał się z piersi Bradleya. – Walczyłem w Wietnamie. Dziwne... myślałem, że to raczej tam...

Oczy poleciały mu nagie do góry. Walt przeklął ostro.

– Kurwa, potrzebuję więcej gazy. Emery.

Emery trzymał pustą apteczkę.

– Skończyła się.

– Zabieramy go – rozkazał Walt, sięgając po łóżko na kółkach.

Policjantka odsunęła się.

– To nic nie da – zaproponował Emery. – Szpital jest za daleko.

– Śmigłowiec? – rzuciła Rainie z nadzieją w głosie.

– Wezwaliśmy siedem minut temu. Pewnie trzeba by jeszcze czekać z pięć minut.

– Cholera – Cunningham był bliski hysterii. – Powstrzymajcie krwawienie. Zróbcie coś dla niego. On umiera, nie widzicie? – Błyskawicznie zdarł z siebie beżową koszulę, którą z taką dumą kupił przed dwoma miesiącami. – Macie, może się przyda.

– Nie wystarczy – jęknął Walt. – Ranę trzeba mocno zabandażować.

– Schowek woźnego – zawołała Rainie. – Tutaj. Może coś znajdziemy.

– Chusteczki higieniczne – podchwycił Walt. – Mogą zdziałać cuda! Chuck był najbliżej. Złapał za metalową gałkę i pociągnął mocno. Drzwi ani ruszyły. Uderzył w nieotwartą dłoń. Bez rezultatu. Wtedy sięgnął po broń.

– Jezus Maria! – Rainie dopadła Chucka i zanim zdążył strzelić, wytrąciła mu pistolet z ręki. Czuła jak narasta w niej wściekłość. – Cholera jasna. Nigdy mi tego nie rób! Nie na miejscu przestępstwa, gdzie możesz zniszczyć dowody i nie w budynku, gdzie wszyscy umierają ze strachu. Połowa rodziców przybiegłaby tu zaraz ze strzelbami i podziurawiła cię jak sito.

– Musimy otworzyć te drzwi! – upierał się Chuckie.

– No to je wyważ. Nie jesteś ze szkła.

Chuckiemu rozbłysły oczy. Rzucił się z rozbiegu na drewnianą płaszczyznę, a Rainie stanęła tak, żeby go osłaniać. Wszystkie klasy były pozamykane. Kto myśli o zamykaniu drzwi, kiedy zagrożone jest jego życie? Kto więc to zrobił? Kto miał na to wystarczająco dużo czasu? Nie uczniowie. Nie nauczyciele. Pozostawała tylko jedna możliwość.

Zamek puścił. Cunningham wydał okrzyk triumfu i zanim Rainie zdążyła go powstrzymać, zniknął w ciemnym pomieszczeniu. A po chwili przeraźliwy krzyk zmroził jej krew w żyłach.

– O Jezu! Tu jest jakiś dzieciak!

Walt i Emery zareagowali błyskawicznie, ale Rainie zagroziła im drogę.

– Sama sprawdzę – oznajmiła. – Boże, Walt, ty już zrobiłeś swoje. Wsunęła się do schowka i zamrugła gwałtownie, żeby oczy przyzwyczyły się do mroku. W kącie Cunningham pochyłał się nad dziewczynką która leżała zwinięta w kłębek. Widać było tylko złociste włosy. Dziecko podniosło głowę. Rainie natychmiast je poznała.

– Becky O’Grady! Kochanie, dobrze się czujesz?

Dała Waltowi i Emery’emu znak ręką, żeby weszli, schowała broń do kabury i padła na kolana przed córeczką Shepa. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że Becky jest cała i zdrowa. Rainie delikatnie przesuwiała dłonią po ramionach i plecach dziewczynki, szukając jakichś obrażeń. Bogu dzięki, żadnych ran, złamań, śladów prochu, potłuczeń. Nagle zauważyła szkliste spojrzenie błękitnych oczu Becky. Ostrożnie przyciągnęła ją do siebie. Mała osunęła się jej bezwładnie w ramiona.

Rainie wyniosła Becky ze schowka i położyła na chłodnej podłodze. Teraz Emery wziął sprawę w swoje ręce.

– Rozszerzone źrenice – stwierdził. – Brak reakcji. Jak się nazywasz? Becky nie odpowiedziała.

– Słyszysz mnie?

Nadal milczała, ale kiedy pstryknął palcami, odwróciła głowę w stronę dźwięku.

– Wstrząs – zawyrokował sanitariusz. – Prawdopodobnie wywołany urazem. Potrzeba czasu.

Rainie kucnęła przy dziecku. Czuła coraz większy niepokój. Becky miała na nosie smugę brudu i pajęczyny we włosach. Była ubrana w zieloną koszulkę, na której Kubuś Puchatek i Prosiaczek tańczyli, trzymając się za łapki, a napis przekonywał, że dobrze jest mieć przyjaciela.

Rainie delikatnie potarła jedną z ciemnych smug na policzku Becky. Przytknęła dłoń do bladej twarzyczki.

– Słoneczko – odezwała się cicho. – Jak znalazłaś się w schowku?

Becky patrzyła na nią bez słowa.

– Ukryłaś się?

Dziewczynka powoli skinęła głową.

– Becky, wiesz, przed kim się schowałaś?

Dolna warga małej zaczęła drżeć.

– To był ktoś, kogo znasz?

Becky spuściła wzrok.

– Wszystko w porządku, kochanie. Już będzie dobrze. Jesteś bezpieczna. – Rainie zerknęła na pozamykane klasy. – Nikt cię nie skrzywdzi. Muszę tylko wiedzieć, kto to zrobił. Pomożesz mi, Becky?

Becky O'Grady pokręciła głową.

– Zastanów się, słoneczko. Zastanów się.

Mijały kolejne minuty. Dziewczynka wciąż milczała. W końcu odwróciła się i zwinęła w kłębek. Rainie ogarnęła całkowita bezradność. Tymczasem Walt i Emery przenieśli Bradleya na łóżko. Koszula Chucka przytrzymała grubą warstwą chusteczek na piersi rannego. Twarz woźnego wciąż była sino-błada, ale wydawało się, że rannemu łatwiej oddychać. Jeden punkt dla chłopców z pogotowia.

Rainie rozejrzała się. Walt w poszukiwaniu chusteczek wyrzucił połowę zawartości schowka na korytarz. Na podłodze pełno było rozniesionych butami śladów krwi. Drzwi do klas pozostawały złowrogo zamknięte. U stóp Rainie leżała zwinięta w pozycji embrionalnej Becky O'Grady.

A dalej martwa nauczycielka. I dwa mniejsze kształty.

Jezus Maria, co się stało w K-8 w Bakersville?

Rainie wzięła Chuckiego na stronę.

– Musimy zabrać stąd Becky. Wynieś ją i spróbuj znaleźć Sandy. Powinny już nadejść posiłki. Niech okrążą teren szkoły. Przekaż im ode mnie, żeby nikogo nie przepuszczali. Dotyczy to prasy, burmistrza i najbogatszych rodziców w mieście. I powiedz Luke'owi, żeby zrobił dokumentację miejsca przestępstwa.

– Pismaki szybko się zlecą na żer. – Twarz Chuckiego wykrzywił grymas obrzydzenia.

– Niech Shep się nimi zajmie.

– Dobra. – Żółtodziób rozglądał się uważnie po korytarzu, podejrzanie spokojnym i cichym. – Rainie? Dlaczego klasy są pozamykane? Ten psycholog mówił chyba, że ewakuowali się jak podczas alarmu pożarowego. W takiej sytuacji dzieciaki chyba nie zamykają drzwi i nie gaszą światła? Więc kto to zrobił?

– Pewnie ani uczniowie, ani nauczyciele.

– Facet w czerni?

– Zawracałbyś sobie głowę zamykaniem drzwi, gdybyś uciekał z miejsca zbrodni?

Czoło Chuckiego przecięła głęboka zmarszczka.

– Raczej nie, no ale kto nam zostaje?

Rainie uśmiechnęła się kwaśno.

– Nie wiem, Cunningham, chociaż pewnie zaraz się dowiem.

Wtorek, 15 maja, 14.05

Żona Shepa O'Grady pokonywała łuki krętej ulicy z prędkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Opony wysłużonego oldsmobile'a piszczwały na znak protestu, ale Sandy nawet tego nie zauważyła. Jej dłonie mocno ścisnęły kierownicę, a błękitne oczy wypatrywały z napięciem budynku szkoły.

Ulica była pełna ludzi. Wybiegali z domów, pędzili z pobielającymi ze strachu twarzami, niosąc apteczki i koce, ręczniki i butelki z wodą, wszystko, co ich zdaniem mogło się przydać.

Sandy z wizgiem opon wzięła następny zakręt. Wcisnęła mocniej pedał gazu, ale zaraz musiała zahamować. Dwie przecznice od szkoły jezdnię tarasowały pośpiesznie zaparkowane samochody, pomiędzy którymi kłębili się szalejący z niepokoju rodzice. Sandy wjechała na chodnik, zaciągnęła ręczny hamulec i wmieszała się w tłum.

Co za piekielny hałas! Wycie starej karetki Walta. Krzyki dzieci: „mamo”, „tato”, podniesione głosy dorosłych. Słyszała syreny policyjne i ryk silników. Nagle dobiegł ją rozdzierający, głośny lament, jakby którejś matce pękało z bólu serce. Sandy miała wrażenie, że krew krzepnie jej w żyłach.

To nie mogło się dzieć naprawdę. Nie w Bakersville. Nie w szkole

Danny'ego i Becky. Boże, czy ktoś nie może tego przerwać?

Brnęła przez morze ludzi i samochodów. Nie wiedziała, dokąd iść. Przepychała się w stronę białego budynku. Musi podejść jak najbliżej. Gdzie są jej dzieci? Gdzie mąż? Czy ktoś jej w końcu powie, co ma robić?

Zobaczyła przed sobą policjanta w mundurze z okręgu Cabot. Wyglądało na to, że jednocześnie próbuje usunąć ludzi z terenu szkoły i dowiedzieć się, kto tu dowodzi. Nikt nie potrafił mu odpowiedzieć. Rodzice chcieli tylko znaleźć swoje dzieci.

W końcu Sandy przedarła się aż pod ogrodzenie boiska. Przyłgnęła do siatki i spojrzała w stronę parkingu. Na asfalcie leżały dzieci. Niektóre przykładały sobie do głów kompresy, inne podsuwały pokaleczone łokcie i kolana do opatrunku pięciorgu ochotnikom krzątającym się w zorganizowanym naprędce punkcie sanitarnym. Sandy rozpoznała Susan Miller, mamę Johnny'ego, pielęgniarkę ze szpitala w Cabot. Dostrzegła też Rachel Green, przewodniczącą Komitetu Rodzicielskiego, która bandażowała właśnie nadgarstek jakiemuś ośmiolatkowi. Dan Jensen, miejscowy weterynarz, pochylał się nad chłopcem w zakrwawionych dżinsach. Czerwona plama otaczała dziurę wyrwaną w mocnym materiale nogawki. Chłopiec został postrzelony.

Boże, rana od kuli. A więc naprawdę strzelano. Wszystko to działo się naprawdę. Ktoś otworzył ogień w szkole w Bakersville.

Sandy zrobiło się niedobrze.

Nagle ujrzała wicedyrektorke, Mary Johnson. Chwyła ją za rękę.

– Mary, Mary, co się stało? Co z dziećmi? Widziałaś Becky i Danny'ego?

Mary wyglądała na wstrząśniętą. Jej zazwyczaj starannie ułożone włosy były teraz potargane, a twarz lśniła od potu. Popatrzyła nieprzytomnie, ale po chwili poznała Sandy i objęła ją pocieszającym gestem.

– Och, tak mi przykro. Robimy, co możemy.

– Czy coś się stało moim dzieciom? Gdzie są Danny i Becky? Gdzie

są moje dzieci!?

– Ciii, wszystko w porządku. Na pewno. Muszę cię prosić, żebyś odeszła spod szkoły. Wszyscy uczniowie zostali przeprowadzeni na drugą stronę ulicy. Nauczyciele ustawili ich klasami. Tam musisz szukać Dana i Becky.

– Ale widziałaś ich? Nic im nie jest?

Moment wahania. Dziwny błysk w oczach. Sandy poczuła, jak oddech znowu więźnie jej w gardle.

– Nie wiem – odparła wreszcie Mary Johnson. – Mamy tyle dzieci...

– Nie widziałaś ich?!

– Ewakuowaliśmy większość uczniów. Trochę potrwa, zanim zapanujemy nad sytuacją.

– O Boże, nie widziałaś moich dzieci!

– Proszę cię, Sandy...

– Ktoś zginął? Powiedz mi tylko, czy ktoś zginął?

Uścisk Mary Johnson stał się mocniejszy i Sandy wyczytała wszystko w jej pośępnym spojrzeniu – to czego wicedyrektorka nie chciała powiedzieć na głos, to, z czym będą się borykali w Bakersville przez następne dni, miesiące, lata: wśród dzieci były ofiary śmiertelne.

Wszystko działo się naprawdę.

Sandy nie mogła oddychać, nie mogła myśleć. Chciała cofnąć czas choćby o sześć godzin, kiedy była jeszcze w domu, przygotowywała dzieciom śniadanie i całowała każde z nich w rozwichrzoną czuprynę. Chciała cofnąć czas jeszcze o dziesięć godzin, kiedy układała je w łóżkach i czytała bajkę na dobranoc. Tak powinno wyglądać ich życie. Byli tylko dziećmi, na litość boską. Tylko dziećmi.

Ktoś w tłumie krzyknął. Sandy i Mary odwróciły się właśnie w chwili, gdy w drzwiach szkoły ukazali się Walt i Emery z noszami.

– Z drogi! Z drogi! – ryczał Walt.

Policjant z Cabot wrzeszczał na ludzi, żeby zrobili przejście. Wjazd blokował jakiś samochód. Nikt nie wiedział, kto go w tym miejscu zostawił. Policjant nawet nie próbował szukać właściciela. Wsiadł do wozu i wrzucił bieg na luz. Dwaj młodzi mężczyźni pomogli

przepchnąć samochód na bok. Tłum nagrodził to małe zwycięstwo oklaskami. Tymczasem Walt już zapuszczał silnik w karetce.

I wtedy Sandy zobaczyła Chuckiego Cunninghama. Biegł przez parking z jasnowłosą dziewczynką na rękach.

Becky.

Sandy rzuciła się w jego stronę, zanim Mary Johnson zdążyła ją powstrzymać. Pędziła przez parking jak szalona.

– Mamo! – krzyknęła Becky.

Po chwili dziewczynka była już w jej ramionach. Sandy tuliła ją, wdychając słodki zapach szamponu jabłkowego. Przyciskała z całych sił do serca, a Becky obejmowała ją za szyję tak mocno, że aż bolało.

– Moje kochanie, moje kochanie, moje kochanie.

– Mamo, mamo.

– Moje kochanie.

Sandy podniosła pełne łez oczy na Chuckiego, który – z czego dopiero teraz zdała sobie sprawę – był półnagi i umazany krwią.

– Danny? – spytała chrapliwym głosem.

– Nie wiem, proszą pani.

– Shep?

– Przykro mi, nie wiem.

Sandy osunęła się na kolana. Miała przy sobie jedno dziecko. Jedno było bezpieczne. Ale to nie wystarczało. Znowu opanowały ją złe przecucia. Nagle zrobiło jej się przeraźliwie zimno. Podniosła błagalnie oczy do nieba.

– Gdzie jest mój syn? O Boże, gdzie jest Danny?

Sama w szkole. W wilgotnych dłoniach Rainie kurczowo ścisnęła glocka 40. Z trudem łapała oddech. Serce nienaturalnie szybko tłukło się w piersi. Starając się opanować, przeszła na drugi koniec korytarza. Byle dalej od zwłok. Musiała się wziąć w garść i zacząć systematyczne przeszukiwanie klas. A któraś z nich na pewno nie była pusta.

Rainie wróciła pamięcią do zajęć na policyjnym kursie, który

ukończyła wiele lat temu. Zaraz, jak to szło? Jakaś gra słów. Od A do Z? Trzy razy Z? Wreszcie przypomniała sobie: pięć razy Z.

Po pierwsze: zatrzymać sprawcę, jeśli wciąż przebywa w pobliżu. (Czy sprawca nie uciekł z miejsca przestępstwa? Ach, te pozamykane drzwi.)

Po drugie: zgromadzić i wylegitymować świadków oraz podejrzanych. (Tłum uczniów, którzy wybiegli już z budynku. Walczący o życie Bradley Brown. Zapewne byli świadkami, ale teraz nie mogła się nimi zająć.)

Po trzecie: zbadać miejsce przestępstwa.

(Czyste korytarze i nietknięty sekretariat. A dalej? Uszkodzone szafki, łuski. Nie przeoczyć tego, co wydaje się oczywiste, powtarzali im podczas kursu. Co było oczywiste po szkolnej strzelaninie? Trupy na podłodze?)

Po czwarte: zabezpieczyć miejsce przestępstwa.

(Rainie skrzywiła się. Ślady butów sanitariuszy, rozwalony schowek, łuski, po których deptał Cunningham. Rodzice okupujący parking. Gdy zobaczą to technicy z policji stanowej, koniec z jej karierą.)

Po piąte: zrobić notatki.

(Rainie z niesmakiem popatrzyła na swoją broń. Pomyślała o notesie w kieszonce bluzy. Ciekawe, jak można jednocześnie trzymać pistolet i robić notatki.)

Do diabła z tym wszystkim. Musiała skoncentrować się na pierwszym punkcie, na zatrzymaniu sprawcy. Oczywiście, popełniała

błędy. Bóg wie, czym to się mogło skończyć, ale przynajmniej coś robiła, starała się, jak mogła.

Co dalej? Miejsce przestępstwa było rozległe i trudne do spenetrowania. Rainie jak przez mgłę przypominała sobie wykład, podczas którego instruktor omawiał specyfikę obchodu w takich warunkach. Powoli i systematycznie badać teren, zataczając coraz szersze kręgi. Oprócz tych kilku wskazówek nie pamiętała niczego więcej. Postanowiła więc, że będzie po kolei przeszukiwać klasy. Od lewej wprawo. Cicho, spokojnie, z zachowaniem największej ostrożności.

Oparła się plecami o ścianę, wcisnęła głowę w ramiona, jakby to czyniło ją trudniejszym celem, i z wyciągniętą bronią ruszyła przed siebie.

Spokojnie. Jesteś profesjonalistką. Musisz wykonać zadanie.

Najtrudniej było zacząć. Szybę, przez którą próbowała zajrzeć do pierwszej z brzegu sali, oklejono tyłoma króliczkami i tulipanami, że wewnątrz było zupełnie niewidoczne. A w dodatku, tak jak i we wszystkich pozostałych klasach, ktoś zgasił światło.

Lewą ręką powoli nacisnęła klamkę. Przykucnąwszy, pchnęła drzwi. Długie, szare cienie w najdalszych kątach. Oślepiające słońce prosto w oczy. Przetoczyła się przez próg i uniosła glocka do strzału. Jedna strona, druga. Obrót w tył, do przodu. Ani żywego ducha.

Klasa była pusta. Rainie włączyła światło i zostawiła drzwi otwarte na oścież. Trzeba iść dalej.

Powoli sprawdzała pomieszczenie za pomieszczeniem, aż znalazła się w miejscu przecięcia dwóch korytarzy, gdzie na podłodze leżały kawałki zakrwawionej gazy, a niebieskie drzwiczki szafek nosiły ślady pocisków. Coraz więcej krwawych plam. Rozległe wgłębienie w dolnej szafce, o którą musiało uderzyć czyjeś ciało. Na jasnej podłodze łuski, zupełnie jakby ktoś celowo rozrzucił całą ich garść.

Wyobraźnia Rainie zaczęła pracować. Głuchy stukot strzałów, przerażone krzyki dzieci. Dziewczynki i chłopcy wysypują się z klas przy wyciu syreny; nauczyciele drżącymi głosami nawołują o spokój.

Chaotyczny bieg do wyjścia. Dzieci przepychają się, potracają, potykają, padają. Krew na podłodze.

Rainie wzięła głęboki wdech i poczekała, aż uspokoi jej się tętno.

Jesteś profesjonalistką. Musisz wykonać zadanie.

Sprawdziła pracownię piątej klasy, potem szóstej. Następnie bibliotekę – przestronną, z niekończącymi się rzędami książek. Nic.

Wreszcie dotarła do końca korytarza, gdzie wśród kawałków szkła ze zbitej szyby w drzwiach leżały trzy nieruchome ciała.

Nie chciała przyglądać się ofiarom, zwłaszcza dzieciom. Ten widok mógł ją osłabić, zostawić ślad gdzieś głęboko, gdzie nawet ona, taki twardej, czuła się bezbronna. Wiedziała, że powrócą obrazy z przeszłości, choć tak bardzo pracowała nad wymazaniem ich z pamięci.

Ale nie czas myśleć o sobie. Jej przeżycia nie miały tu nic do rzeczy. Teraz chodziło o sprawiedliwość należną ofiarom i ich najbliższym, choć nic nie zrekompensuje straty osieroconym rodzicom.

Wzięła się więc w garść i pochyliła nad pierwszymi zwłokami. Dziewczynką leżała na boku. Cały przód koszulki był nasiąknięty krwią. Pomimo słów Walta, Rainie sprawdziła tętno. Z trudem przełknęła ślinę i ruszyła dalej, starając się niczego nie dotykać.

Druga dziewczynka nie miała więcej niż osiem lat. I ona również została wielokrotnie postrzelona w klatkę piersiową. Wyglądało, jakby wyciągała rękę do martwej koleżanki, palcami niemal dotykała jej dłoni. Czy małe biegły razem korytarzem? Najlepsze przyjaciółki wspólnie chichoczące podczas przerw? Rainie miała ochotę odgarnąć dziewczynce włosy z twarzy. Szepnąć jej do ucha, że wszystko będzie w porządku.

Mącił jej się wzrok, czuła w oczach gorące łzy. Nie mogła sobie na to pozwolić.

Jesteś profesjonalistką. Ruszaj dalej.

Odnutowała położenie ciał dzieci i zbliżyła się do trzecich zwłok. Trzy ofiary śmiertelne płci żeńskiej – zbieg okoliczności?

Kobieta, prawdopodobnie nauczycielka, leżała tuż przed wejściem do pracowni komputerowej. Długie ciemne włosy, egzotyczne rysy,

nieskazitelna cera. Była młoda. Wydawało się, że tylko śpi, ale Rainie zauważyła na jej czole niewielki krwawy ślad.

Mały kaliber, pomyślała. Pewnie dwudziestka dwójka. Chryste, nauczycielka nie wyglądała na starszą od niej. Mogła mieć około trzydziestu lat. Nie nosiła obrączki, ale przy takiej urodzie chyba nie żyła samotnie. Z pewnością dziś wieczorem jakiś facet, ściskając w drżących dłoniach jej zdjęcie, będzie próbował zalać alkoholem marzenia o przyszłości, której już nie mieli. Chryste.

Rainie znowu wzięła głęboki wdech. Jeszcze tylko trzy sale. Wszystkie blisko samego centrum tragedii. Ciemne i tajemnicze. Czas się za nie wziąć.

Oparła się o ścianę i przykucnęła, czekając, aż ręce przestaną jej drżeć. Coś tu nie grało.

Tylko nauczycielka została trafiona w głowę. Pojedynczy strzał w czoło oddany z ogromną precyzją. Obydwie dziewczynki miały liczne rany, nisko, wysoko, z prawej i lewej strony, jakby znalazły się pod obstrzałem. Ale nauczycielka... tutaj sprawy przedstawiały się inaczej. Może to właśnie o nią chodziło zabójcy? Najpierw zamordował młodą kobietę, a potem natknął się w korytarzu na dziewczynki?

A może zaczął od dzieci, a nauczycielka, słysząc hałas, otworzyła drzwi pracowni. Czy wtedy już pokonał strach? Stwierdził, że działa niczym bohater gier komputerowych? Po co marnować naboje, jeśli można załatwić sprawę jednym strzałem?

Oba scenariusze wydawały się prawdopodobne. Fakt, że dziewczynki odniosły tyle ran, a kobieta tylko jedną nie dawał Rainie spokoju. Ale teraz nie było czasu na rozmyślanie.

Nagle usłyszała jakiś dźwięk. Ciche szuranie ciągniętego po podłodze metalowego krzesła.

Przemknęła przez korytarz i przywarła do ściany, tuż przy wejściu, w chwili, gdy klamka opadła i drzwi uchyliły się.

– Nie rób tego – rozległ się męski głos. – Możemy jeszcze wszystko naprawić. Przysięgam, synu, nie stało się nic, z czym nie moglibyśmy sobie poradzić.

Z klasy wyłonił się Shep O'Grady w beżowym mundurze opinającym potężną sylwetkę. Ostrzyżone na krótko włosy lśniły od potu, a twarz buldoga była nienaturalnie blada. Ze swojego miejsca Rainie zauważyła, że udało mu się rozpiąć kaburę, ale nie zdążył wyciągnąć broni. Trzymał ręce w górze i gorączkowo wyrzucał z siebie słowa.

– To na pewno pomyłka. Jedna wielka pomyłka. Nieporozumienie. Takie rzeczy się zdarzają. Teraz musimy współpracować, wyjaśnić sprawę. Wiesz, że zrobię dla ciebie wszystko.

Shep postąpił krok do tyłu z podniesionymi rękami i spojrzeniem wbitym przed siebie. Ktoś go zmuszał, żeby się cofał? Parę metrów dalej leżały trzy ciała. Rainie zdała sobie sprawę, że O'Grady jest prowadzony na miejsce rzezi. A kiedy już tam dotrze...

Dziwiła się, jak pewnie trzyma broń, jak jest opanowana. Wprawdzie strzelanie było dla niej chlebem powszednim, ale Shep to nie tylko jej szef, to przyjaciel. Znali się od dawna, przepracowali razem całe lata i łączyła ich więź, której niewielu mogło doświadczyć.

Rusz się. Wahanie zabiło najwięcej glin.

Rainie oderwała się błyskawicznie od ściany i odepchnęła Shepa na bok. Podniosła broń. W tym samym momencie usłyszała przeraźliwy krzyk:

– Nie! Nie!

Stała twarzą w twarz z trzynastoletnim Dannym O'Grady, bladym jak płótno i uzbrojonym w dwa pistolety.

Wtorek, 15 maja, 14.43

Abe Sanders, detektyw ze stanowego wydziału do spraw zabójstw w Oregonie, zasiadł właśnie do późnego lunchu – ogromnej kanapki z kielbasą i podwójną porcją sera. Cieszył się, że żona nie może go teraz zobaczyć. Zaraz zaczęłyby jęczeć i lamentować, wczuwając się już w rolę wdowy po ofierze cholesterolu. Abe zazwyczaj przestrzegał zaleceń zdrowej diety, wobec czego w wieku czterdziestu dwóch lat wciąż mógł szczycić się szczupłą sylwetką. Ale dzisiaj miał parszywy dzień.

Margaret Collins, atrakcyjna blondynka, która obsługiwała wydziałowe telefony, gwałtownie zatrzymała się przy jego biurku.

– Rany boskie, Abe. Jeszcze trochę, a zaczniesz pić piwo.

– Zabrakło indyka – wybąkał Sanders i odruchowo przysunął kanapkę do siebie, jakby się bał, że ktoś mu ją zabierze.

– Sprawa Hathawaya nie wypaliła, co? – odgadła bezbłędnie Margaret. Jeśli chodzi o morderstwa, była prawdziwym geniuszem i często miewała lepsze pomysły niż wszyscy detektywi razem wzięci.

– Cholerny sędzia. – Abe ugryzł potężny kęs kanapki.

– Najtrudniej dogadać się na własnym podwórku.

Przeżuwał pracowicie, zbyt dobrze wychowany, żeby odpowiedzieć z pełnymi ustami. Przełknął, niemal się dławiąc.

– Zwłaszcza jeśli ktoś ci tam wlezie.

– Inny glina z wydziału zabójstw.

– Cholerny glina – warknął Abe, wściekle wbijając zęby w ser. Margaret roześmiała się, puściła oko i, posiawszy zamęt w myślach Sandersa, oddaliła się, zostawiając go sam na sam z jego ucztą. Abe przeżuł kolejny kęs, ale już bez entuzjazmu. Na biurko kapnęła musztarda. Pokręcił z niesmakiem głową i odłożył kanapkę na serwetkę.

Prawda była taka, że za każdym razem, gdy sprawy szły nie po jego myśli, detektyw Sanders zamawiał tuczące smakołyki, ale rzadko je dojadał. Na myśl o tym, co sobie kupi, leciała mu ślinka. Nabywał największą porcję z możliwych. A potem dopadły go wyrzuty sumienia. Myślał o ilości kalorii, zawartości tłuszczu, poziomie cholesterolu i rezygnował. Po prostu nie był typem człowieka, który potrafi sobie dogadzać. Odruchowo kontrolował się, nawet wtedy, gdy chodziło o smakowitą kanapkę lub talerz ciasteczek z czekoladą. W wydziale krążyła anegdota o tym, jak kiedyś bohatercko porzucił lody Ben & Jerry z czekoladowymi wiórkami, skosztowawszy zaledwie jedną łyżeczkę.

Przed laty Abe Sanders zdobywał wszystkie możliwe sprawności harcerskie, przynosił tylko wzorowe cenzurki, a na szkolnej bieżni osiągał najlepszy czas. Czytywał klasyków dla własnej przyjemności. Zdobył dziewczynę, o której każdy marzył. I kupił dom z czterema sypialniami i idealnie przyszyronym trawnikiem w starej, eleganckiej dzielnicy Portland.

Ale pewnego dnia jego rodzina doznała szoku. Abe postanowił zostać gliną.

Rodzice żartowali, że ich pedantyczny syn chce uporządkować cały świat. Dwaj bracia, młodszy i starszy, podśmiewali się, że cierpi na kompleks bohatera. Starzy kumple, z którymi umawiał się na partyjkę szachów, oznajmili ponuro, że świat księgowych opłakał jego odejście do akademii policyjnej gorzkimi łzami. Bez Sandersa arkusze kalkulacyjne nigdy już nie będą takie jak dawniej.

Abe nikomu nie tłumaczył swojej decyzji. Może po prostu rozumiał

lepiej niż inni, że życie jest pogmatwane, nawet dla fanatyków ładu i sprawnego działania. Ożenił się z kobietą, którą kochał i podziwiał, lecz po pięciu latach prób musiał pogodzić się z faktem, że nie mogą mieć dzieci. Mieszkał w schludnym domu, który wybrali sobie z żoną na początku lat osiemdziesiątych, tyle że później na ich ulicę sprowadzili się amatorzy seksu zbiorowego i kokainy. A sam Abe, drobiazgowy, skrupulatny, niewolnik przyzwyczajęń, z czasem uświadomił sobie, że kariera głównego księgowego już mu nie wystarcza.

Chciał poczuć, że coś osiągnął, coś zmienił. Do diabła, może rzeczywiście chciałby cały świat zostać tak uporządkowany jak papiery na blacie jego biurka.

A zresztą, jakie to miało znaczenie? Detektyw Sanders był po prostu cholernie dobrym gliną.

Koledzy podśmiewali się z niego. Wywracali oczami na widok wypięłgnowanych dłoni, nabijali się z wypolerowanych do połysku butów. Kiedyś dla żartu w miejsce drogiego eleganckiego zszywacza, który sam sobie kupił, podłożyli mu zacinający się przydziałowy bubel. Innym razem podmienili koła w samochodzie, żeby sprawdzić, czy Abe zauważy. Zauważył.

Ale współpracowali z nim.

Podczas śledztwa Sanders zachowywał się jak człowiek opętany. Był pełen pasji, żaru i gniewu. Furi i na niesprawiedliwości tego świata i na zaszarych łobuzów o ptasich mózdkach, którzy odbierają życie dobrym, uczciwym, ciężko pracującym ludziom.

Może inni detektywi nie doceniali wartości porządnego zszywacza, ale każdy z nich wiedział, co to gniew. Był to wspólny mianownik, który ich łączył.

Abe starannie zapakował kanapkę: przesunął ją na sam środek trójkątnej serwetki, złożył rogi i mocno zawinał. Zwilżoną chusteczką wytarł kroplę musztardy z blatu biurka. Na koniec wszystko wyrzucił.

Sprawa Hathawaya bolała go. Nie żeby wina leżała po stronie sędziego. Nakaz rewizji wypisany był zbyt ogólnikowo, więc policjanci próbowali improwizować. A to już się w obecnych czasach nie

sprawdzało. Światem zawładnęli prawnicy i gliny musiały za każdym razem liczyć się z ich interwencją. Tak już było.

Co prawda, Abe na palcach jednej ręki mógł policzyć, z iloma nakazami rewizji lub aresztowania miał problemy. Pedanteria bywa czasami przydatna.

Właśnie szedł umyć ręce, kiedy szef wystawił głowę ze swojego gabinetu.

– Sanders? Musimy pogadać.

Ciekawe, o co chodzi? Abe przycupnął na skraju twardego plastikowego krzesła. Chwilę potem dowiedział się o istnieniu Bakersville, oddalonego o dwie godziny jazdy na południowy wschód od Portland, małego miasteczka, które nie miało nawet swojej sekcji zabójstw. Siedział milczący i oszołomiony, gdy szef pokrótce nakreślił mu sytuację. Wyglądało na to, że w przeciągu zaledwie kilku lat w stanie Oregon doszło do drugiej szkolnej masakry. Technicy policyjni byli już w drodze, tak samo funkcjonariusze powiatowi i stanowi. Sprawca nie został ujęty, a w dodatku nikt nie wiedział, gdzie się podział szeryf.

– Dzwonił do nas gubernator – ciągnął ponuro szef. – Sprawa jest prestiżowa, a zdaje się, że już wymknęła się spod kontroli. Góra chce mieć tam człowieka z doświadczeniem, zdolnościami organizacyjnymi, kogoś kto skoordynuje działania sił lokalnych, stanowych i, co całkiem prawdopodobne, federalnych.

– Naturalnie.

Szef obrzucił spojrzeniem doskonale skrojony szary garnitur i silną, wysportowaną sylwetkę detektywa.

– Kogoś, kto dobrze wypadnie w mediach.

Abe uśmiechnął się chytrze. Lubił dziennikarzy. Wiedział, czym ich karmić, a potem pożerał żywcem. Sprawiało mu to przyjemność.

– Naturalnie! – powtórzył z jeszcze większym entuzjazmem.

– Będziesz musiał pojechać do Bakersville. Na początek pewnie dwa, trzy tygodnie na miejscu, a potem z doskoku.

– Nie ma problemu. – I rzeczywiście. Ostatnio Sara prawie nie

zauważała męża. Jakiś czas temu spełnił wreszcie jej marzenie i kupił dziesięcioletniego szczeniaka. Teraz była zajęta rozpieszczaniem, karmieniem i zabawami z psiakiem. Któregoś dnia Abe pewnie zastanie go w niemowlęcym kaftaniku i czepeczku. Cholerny zwierzak niewątpliwie wszystko zniesie; jak dotąd wydawał się wyjątkowo spokojny.

Sierść malca była mięciutka i miła w dotyku. Czasem Sanders łapał się na tym, że odruchowo go głaszcze. Nie żeby chciał się przywiązywać do stworzenia, które nie panuje nad swoim pęcherzem. Na litość boską, oczywiście, że nie.

– No to sprawa jest twoja – oznajmił szef. – Bierz się za nią od razu. I jeszcze jedno, Sanders...

Abe zatrzymał się w drzwiach.

– Sanitariusze zgłosili, że zginęło co najmniej dwoje dzieci. Będzie ciężko. Wszystkim.

– Sprawcą jest uczeń?

– Nie wiemy.

– Zwykle to uczniowie.

– Zakładamy, że tak było i w tym przypadku. Działaj zdecydowanie. I szybko. Tak będzie najlepiej dla wszystkich.

Abe rozumiał, co szef ma na myśli. Kiedy krzywda dzieje się dzieciom, ludziom po prostu odbija. Policjantom czasem też.

Zamówił samochód, zarezerwował pokój w hotelu, zebrał wszelkie informacje na temat tragedii w Bakersville i ruszył w drogę.

– Jeden beznadziejny szeryf i dwoje niedouczonej funkcjonariuszy – mamrotał pod nosem, jadąc do domu po bagaż. – Dzieci zabijają dzieci, a oni nie mają nawet sekcji zabójstw, żeby zapanować nad tym bałaganem. Dobrze, że tam jadę, bo te prowincjonalne dupki pewnie robią pod siebie ze strachu.

Palec zsunął się ze spustu.

– Danny – szepnęła.

Chłopak stał przed nią z oszołomionym wyrazem twarzy. W wyciągniętej prawej dłoni pewnie trzymał dwudziestkę dwójkę. Celował gdzieś w okolice kolan Rainie. Lewą ręką, opuszczoną bezwładnie, ścisnął trzydziestkę ósemkę. Przez chwilę Rainie nie wiedziała, gdzie ma patrzeć.

Nadal mierzyła do Danny'ego. Shep zrobił krok w jej stronę.

– Stać! – krzyknęła, sama nie bardzo wiedząc, do którego z nich dwóch. Shep był wciąż uzbrojony i choć ufała mu jako przyjacielowi, nie mogła zapominać, że jest przede wszystkim ojcem. Gdyby uznał, że synowi coś grozi, albo gdyby Danny wpadł w popłoch...

Rainie czuła, że sytuacja wymyka się jej spod kontroli. Nie wolno dać się ponieść nerwom.

– Shep – zwróciła się do szeryfa, nie spuszczać oczu z chłopca. – Nic ci nie jest?

– To jakaś pomyłka – przekonywał rozpaczliwie Shep. – Jedna wielka pomyłka.

– Dobrze, ale na razie trzymaj ręce tak, żebym mogła je widzieć.

– Rainie...

Danny, posłuchaj mnie. Musisz odłożyć broń. Dobrze? Masz poruszać się bardzo powoli i położyć broń na podłodze.

Danny nawet nie drgnął. Rzucił nerwowe spojrzenie to w jedną, to w drugą stronę. Niemal dawało się od niego wyczuć zapach panicznego strachu. Rainie uważnie przyjrzała się swemu jeńcowi. Miał na sobie czarne dżinsy, czarną koszulkę i białe sportowe buty. Chyba nie był uzbrojony w nic innego oprócz dwóch pistoletów, ale nie mogła mieć całkowitej pewności. Dzieciak pochodził z domu pełnego różnych okazów broni palnej i Rainie wiedziała, że Shep zaczął zabierać go na polowania, gdy tylko syn nauczył się chodzić.

– Danny – powtórzyła już bardziej rozkazującym tonem. – Policzę do trzech, a potem położysz broń na podłodze.

– Rainie...

– Zamknij się, Shep. Danny, słyszysz mnie?

– On niczego nie zrobił!

– Zamknij się, do cholery jasnej, albo też będziesz zaraz wąchać podłogę!

Shep zamilkł, ale było już za późno. Twarz Danny'ego przybrała dziki wyraz, zaczęła mu drzeć ręka. Położyła palec na spuście. Na wszelki wypadek.

– Danny – powiedziała głośniej. – Danny, słyszysz mnie?

Chłopiec nieznacznie zwrócił twarz w jej stronę.

– Pewnie jesteś trochę zdenerwowany, co, Danny?

Kiwnął głową. Teraz już trzęsły mu się obie ręce.

– Chyba chciałbyś, żeby to się już skończyło, Danny. Ja na pewno bym chciała. Powiem ci, co zrobimy. Policzę do trzech. Powoli położysz broń na podłodze i na mój znak kopniesz spluwy do mnie. Potem po prostu kładź się na brzuchu i rozłóż ręce i nogi. Tylko tyle Danny. Wszystko będzie w porządku.

Danny milczał. Jego wzrok spoczął na martwych dziewczynkach leżących z wyciągniętymi ku sobie rękami, potem przesunął się na zwłoki nauczycielki. Wątlym ciałem chłopca wstrząsnął silny dreszcz.

Chryste, chyba spróbuje się wymknąć. Popęlić samobójstwo lub sprowokować ją, żeby go zastrzeliła. Rainie nie wiedziała, co dzieciak wybierze, ale rezultat tak czy owak byłby przerażający. Kolejny trup. Kolejne martwe dziecko. Jezu, nie.

– Danny! – W jej tonie brzmiało błaganie.

Ale było już za późno. Chłopiec podniósł prawą rękę.

– Nie! – Shep wydawał się bliski obłędu.

– Nie rób tego, Danny! – Nie będzie miała wyboru. Danny przyłożył sobie lufę do głowy.

– Cholera! – Shep rzucił się na syna. Broń Rainie wypaliła w sufit w chwili, gdy szeryf powalił chłopca na ziemię. Spomiędzy kotłujących się ciał wyślizgnął się pistolet. Rainie kopnęła go dalej. Zauważyła, że Shep przytrzymał dwudziestkę dwójką Danny'ego. Pociągnął mocno. Chłopiec krzyknął. Ojciec wyrwał mu broń i odrzucił na bok.

Chwilę potem było już po wszystkim. Danny leżał na podłodze, nie zamierzając stawiać oporu, a szeryf O'Grady siedział obok niego.

Dyszał ciężko, po policzkach spływały mu łzy.

– Do diabła – wydusił w końcu. – Do diabła. Ech, Danny... Próbował przytulić syna, ale ten odepchnął go.

Shep spuścił głowę. Jego potężne ramiona nie przestawały się trząść.

Teraz Rainie przejęła inicjatywę. Przetoczyła Danny'ego na brzuch dwa i pół metra od miejsca, gdzie leżały trzy trupy, i dokładnie go obszukała. Nie znalazłszy żadnej dodatkowej broni, ściągnęła mu rękę do tyłu i zatrzasnęła kajdanki.

– Danielu O'Grady – wyrecytowała, pomagając chłopcu się podnieść – jesteś aresztowany. Masz prawo nie odpowiadać na pytania. Cokolwiek powiesz, może zostać wykorzystane przeciwko tobie.

– Nic nie mów – rozkazał ostro szeryf. – Słyszysz mnie, synu? Nic nie mów!

– Zamknij się, Shep. Nie możesz zmusić dzieciaka do milczenia i dobrze o tym wiesz. Rozumiesz swoje prawa, Danny? Rozumiesz, że zostałeś aresztowany za to, co zrobiłeś w szkole?

– Nie odpowiadaj, Danny! Nie odpowiadaj!

– Shep – warknęła Rainie ostrzegawczo.

Danny O'Grady nawet nie spojrzał na ojca. W końcu odezwał się:

– Tak, proszę pani.

– Zrobiłeś to, Danny? – zapytała łagodniej. Usłyszała w swoim głosie zmieszanie, potrzebę potwierdzenia. Znała tego chłopca prawie od urodzenia. Dobry dzieciak. Kiedyś nosił jej odznakę policyjną. Dobry dzieciak. Wzięła się w garść i powtórzyła bardziej stanowczo:

– Zastrześliłeś tych ludzi, Danielu? Zrobiłeś krzywdę tym dziewczynkom?

Odpowiedział nieobecny głosem.

– Tak, proszę pani. Chyba tak.

Wtorek, 15 maja, 15.13

Rainie i Shep milczeli. Słowa, które przed chwilą padły, powoli docierały do ich świadomości. Shep nie protestował przeciw oświadczeniu Danny'ego, nie próbował tłumaczyć, że to nieporozumienie albo że Danny jest jeszcze dzieckiem. Wydawał się zbyt oszołomiony.

A Rainie nie wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć. Była policjantką; aresztowany przyznał się do winy. Znała swoje obowiązki.

Kiedy podprowadziła chłopca do frontowego wejścia, natychmiast rozbrzły kilkanaście fleszów. Już czyhali dziennikarze. Cholera.

Wycofała się szybko, osłaniając Danny'ego przed oślepiającymi lampami i zgiełkiem pytań. Popatrzył na nią nieprzytomnie, posłusznie poddając się jej woli. Trudno jej było znieść to zaszczute spojrzenie.

– Nie mogą zobaczyć, że z nami wychodzisz – zwróciła się po chwili do Shepa. Całą trójką przywarli do ściany korytarza niczym tropiona zwierzyna.

– Nie zostawię cię z nim samej.

– Nie masz tu nic do powiedzenia. Mogę go przesłuchać bez twojej obecności, a już na pewno mogę go aresztować bez twego pozwolenia. Dobrze o tym wiesz.

Shep przyjął te słowa z grobową miną. Prawo w stanie Oregon nie cackało się z młodocianymi zabójcami i Danny miał ponad dwanaście lat, więc mógł być pociągnięty do odpowiedzialności karnej za swoje czyny. Przysługiwały mu takie same prawa jak każdemu, na kogo nałożono areszt, a jego rodzice nie mieli tu nic do powiedzenia. Najlepsze, co Shep i Sandy mogli w tej sytuacji zrobić, to wynająć dobrego adwokata. I powinni się cieszyć, że Danny nie ukończył jeszcze piętnastu lat, bo wtedy na mocy artykułu jedenastego automatycznie podlegałby sądownictwu dla dorosłych. A jeszcze bardziej powinni się cieszyć, że w Oregonie nie obowiązuje prawo, które obarcza rodziców odpowiedzialnością za umożliwienie dziecku dostępu do broni palnej.

– Co chcesz zrobić? – zapytał Shep.

– Zdejmij koszulę.

O'Grady zerknął na syna. Domyślił się, o co chodzi, i rozpiął bluzę szeryfa. Pod spodem miał zwykły biały podkoszulek, sprany i znoszony. W tym stroju wyglądał aż nazbyt zwyczajnie, co jeszcze bardziej wytrąciło Rainie z równowagi. Miała to sobie za złe.

Shep starannie owinął koszulę wokół głowy chłopca, jakby ten był ze szkła i mógł się potłuc.

– Wszystko będzie w porządku – szepnął. Znowu spojrzął z rezygnacją na Rainie i czekał na jej następny rozkaz.

– Znajdź Luke'a – powiedziała drżącym głosem. Ruchem głowy wskazała wschodnie wyjście. – Niech podjedzie tu wozem patrolowym.

– Chcę zostać z Dannym.

– Nie. Luke ma znaleźć gościa z policji stanowej. Nie wiem, kto to. On cię przesłucha. Nie patrz tak na mnie, Shep. Wiesz, że to konieczne. Byłeś tu z Dannym. On jest twoim synem... Musimy wiedzieć, co ci mówił. I dlaczego przyjechałeś na miejsce przestępstwa sam, i... – uśmiechnęła się słabo – ... dlaczego przekazałeś dowództwo swemu zastępcy od razu po otrzymaniu wezwania.

Przechwyciła spojrzenie Shepa. Pierwszy raz, odkąd się znali, ujrzała, jak jej szef się czerwieni.

– Myślałeś, że tego nie zauważę, co? A może miałeś nadzieję, że nie

zwrócić uwagi?

Nie odzywał się.

– Od razu wiedziałeś, Shep? Usłyszałeś wezwanie i wiedziałeś?

– To nie było tak.

– Jestem twoją przyjaciółką, ale nawet ja ci nie wierzę. Cholera. – Nagle Rainie poczuła, że ma dość. Prowadziła tę sprawę. Czekano ją wiele godzin pracy. Musi przesłuchać zatrzymanego, sprawdzić, czy ma na rękach ślady prochu, spróbować się dowiedzieć, dlaczego zaczął strzelać w szkole. Potem wróci na miejsce przestępstwa. Wiele razy trzeba będzie brnąć przez to wszystko, żeby zrozumieć motywację masowego mordercy. A poza tym jutro rano, a w najlepszym razie wieczorem, czekała ją najgorsze. Sekcja zwłok dwóch dziewczynek, które zginęły, trzymając się za ręce. Będzie musiała wysłuchać litanii urazów, jakich doznały. Będzie znowu musiała wyobrazić sobie, jak wyglądały ich ostatnie chwile. A potem – co równie straszne – zmierzyć się z faktem, że inne dziecko, tak bardzo jej bliskie, było sprawcą tej tragedii.

– Zabieraj się stąd – rozkazała Shepowi. – Znajdź Luke’a i odjeżdżamy.

– Muszę najpierw zobaczyć się z Sandy – upierał się Shep. – Mamy przyjaciela... adwokata. Niech do niego zadzwoni.

– Zabieraj się!

O’Grady dał w końcu za wygraną. Rzucił synowi ostatnie spojrzenie. Wyglądał, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nie mógł znaleźć odpowiednich słów.

Odwrócił się i wyszedł przez frontowe drzwi. Rozbłysły flesze. W tłumie zawrzało. Nagle Rainie wychwyciła nowy dźwięk – odległy warkot lądujących helikopterów. Wreszcie przyleciały śmigłowce po rannych.

I Rainie nie mogła opędzić się od myśli, że w dalszej kolejności władze przyślą transport po ciała.

Policjant Luke Hayes miał trzydzieści sześć lat, łyślał i był niższy od większości kobiet. Lecz jego wysportowane ciało, muskularne siedemdziesiąt kilogramów, przykuwało uwagę niejednej z nich i nigdy nie zawodziło w walce wręcz. Zdaniem Rainie największym atutem Luke'a były chłodne błękitne oczy. Widziała, jak stalowym wzrokiem zmuszał do posłuszeństwa dwa razy większych od siebie pijaków. Widziała, jak hipnotyzował rozwścieczone gospodynie domowe. Raz nawet była świadkiem sceny, gdy jednym srogim spojrzeniem zmienił warczącego dobermana w łagodnego baranka.

Shep był apodyktyczny i pełen energii. Ona sama miewała zmienne nastroje. Luke równoważył skład ich małego zespołu stoickim spokojem i leniwym, ujmującym uśmiechem.

Rainie nigdy nie widziała go wzburzonego. Aż do dzisiaj.

Prowadząc Danny'ego do wschodniego wyjścia, wpadła na Luke'a tuż za drzwiami. Pot zalewał mu twarz i ciemniał plamami na mundurze. Przez ostatnie pięćdziesiąt minut Hayes próbował powstrzymać rozhisteryzowane matki przed szturmem na budynek szkoły, notując jednocześnie nazwiska i oświadczenia świadków. Teraz wyglądał na śmiertelnie zmęczonego.

– W porządku? – zapytał znużonym głosem.

– Mogło być gorzej.

Przeniósł wzrok na Danny'ego i jego silne ramiona padły, jakby przytłoczył je straszliwy ciężar. Rainie wiedziała, o czym Luke myśli. Sama miała ciągle ten obraz przed oczami. Pięcioletni Danny w maleńkim biurze szeryfa. Shep jest czymś zajęty, więc chłopczykiem zajmują się oni dwoje. Pobawmy się w gliniarzy i złodziei. Tra-ta-ta-ta. A może w kowbojów i Indian. Pif-paf.

Wiesz, dlaczego w dużych miastach jest tyle problemów, Rainie? Bo nie mogą tam robić tego, co my. Nie mogą przyprawiać dzieci do pracy. Nic dziwnego, że gliny w Bakersville mają tak małe pole do popisu. Im bardziej troszczymy się o swoich, tym mniej zostaje nam czasu na zaplątanie się w kłopoty.

– Musimy lecieć – powiedziała cicho Rainie.

Luke westchnął, skinął powoli głową i wyprostował się. Był gotów.

Zajął miejsce przy prawym boku Danny'ego. Wziął chłopca pod rękę. Rainie zrobiła to samo z lewej strony. Po odliczeniu do trzech, trzymając kulącego się więźnia między sobą, rzucili się biegiem w stronę wozu patrolowego.

Po ciszy panującej w budynku, hałas na szkolnym boisku ogłuszył Rainie jak niespodziewany cios. Wrzaski reporterów na widok policjantów wyprowadzających zamaskowaną osobę. Krzyki sanitariuszy. Płacz dzieci w ramionach rodziców. Rozpaczliwy lament jakiejś klęczącej na ziemi kobiety.

Rainie i Luke całą uwagę skoncentrowali na drodze do wozu patrolowego. Inni funkcjonariusze już biegli im na pomoc.

– Ruszać się! – ktoś krzyczał.

Rainie pomyślała, że to niedorzeczne. Przecież wszyscy ruszali się tak szybko, jak tylko mogli.

– Przejdźcie, zrobić przejście. Ludzie, cofnąć się!

Otoczyli ich dziennikarze, fotoreporterzy walczyli gorączkowo o zdjęcie na pierwszą stronę.

Nagle ponad gwar głosów wybił się przeraźliwy krzyk. Rainie odwróciła głowę. To był błąd. Shep odnalazł żonę. Przyciskając mocno do piersi Becky, wrywała się w stronę biegnących policjantów.

– Nie! – Sandy znowu szarpnęła się do przodu, ale mąż przytrzymał ją silnym ramieniem. – Nie, nie, nieeee!

Spod koszuli wydobył się stłumiony dźwięk. Danny usłyszał matkę i rozpłakał się.

W końcu dopadli wozu patrolowego. Rainie szybko wepchnęła chłopca na tylne siedzenie. Wciąż miał głowę osłoniętą koszulą. Reporterzy próbowali bezczelnie wcisnąć się za więźniem, a sprowadzeni na pomoc funkcjonariusze dzielnie odpierali ich ataki.

Rainie przedostała się na miejsce kierowcy. Luke wsunął się tuż obok niej. Dwoma trzaśnięciami drzwiczek odgradzili się od chaosu. Znowu byli sami z aresztowanym. Koszula zsunęła mu się z twarzy, ale Danny najwyraźniej nie zwrócił na to uwagi. Zresztą było już za późno,

żeby ją poprawiać.

Luke włączył syrenę. Rainie zjechała z chodnika.

Chwilę później trafili na mur ludzi blokujących ulicę. Rainie nacisnęła klakson. Rozstąpili się niechętnie, wyciągając szyje, żeby dostrzec, kto siedzi z tyłu wozu. Niektórzy wyglądali na oszołomionych i przerażonych.

Inni już teraz byli wyraźnie żądni krwi.

– Cholera – mruknął Luke.

Rainie zerknęła w lusterko i stwierdziła, że podejrzany o potrójne morderstwo Danny O'Grady właśnie zasnął.

Wtorek, 15 maja, noc

Rainie pracowała jeszcze przez sześć godzin. Zastosowali z Lukiem wobec Daniela O'Grady formalną procedurę, jaka obowiązuje przy podejrzeniu o morderstwo. Zdjęli odciski palców, zrobili zdjęcia. Przeprowadzili test na obecność śladów prochu na dłoniach podejrzanego. Potem kazali mu się przebrać w pomarańczowy kombinezon, dwa razy dla niego za duży. Ubrania chłopca miały zostać sprawdzone w stanowym laboratorium kryminalistycznym na obecność prochu, włosów, włókien i płynów organicznych. Wszystko, żeby uzupełnić materiał obciążający.

W obecności prokuratora okręgowego z Cabot przeprowadzili dziesięciominutowe przesłuchanie, które przerwało pojawienie się adwokata. Avery Johnson stanowczo położył kres dalszym pytaniom.

Zbeształ ich za przesłuchiwanie dziecka, poinformował Rainie, że jego klient jest w szoku, i zażądał, żeby natychmiast przeniesiono Danny'ego do okręgowego zakładu poprawczego, gdzie zostanie zbadany przez lekarza i poddany terapii.

Podczas ostrej wymiany zdań Danny siedział apatycznie i sprawiał wrażenie, jakby myślami był gdzieś daleko poza biurem, w którym nigdyś bawił się tak dobrze.

W końcu Luke i prokurator okręgowy, Charles Rodriguez, zgodzili się odwiedzić zatrzymanego do odległego o czterdzieści pięć minut jazdy poprawczaka. Rainie musiała wrócić na teren szkoły, gdzie w międzyczasie pojawili się technicy policyjni, a detektyw ze stanowego wydziału zabójstw, niejaki Abe Sanders, jak jej doniesiono, rozstawiał wszystkich po kątach.

Wymieniła ostatnie wrogie spojrzenia z Averym Johnsonem. Jeszcze z nią nie skończył? Cóż, ona wprost nie może się doczekać na ciąg dalszy. Dopuszcza się pogwałcenia prawa? Jej wzrok stał się jeszcze surowszy. Wiedziała, co powinna odpowiedzieć, ale nie miała siły na dalszy słowny pojedynek.

Pożegnała prawnika i, zostawiwszy Danny'ego pod opieką Luke'a, udała się z powrotem na miejsce przestępstwa.

Przez następne pięć godzin Rainie przeczesywała teren w towarzystwie techników policyjnych. Przekazała im informacje o działaniach sanitariuszy i o własnych posunięciach, na skutek których w kluczowym rejonie korytarza pozostały ślady prochu i odpryski gipsu z sufitu. Technikom nie było do śmiechu. Oddała im swojego glocka kaliber 40, żeby porównali drobiny prochu. A w końcu pomogła zebrać pięćdziesiąt pięć łusek – pamiątkę po strzelaninie, przez którą trzy osoby straciły życie, sześć odniosło rany, a całe miasteczko pograżyło się w rozpacz.

Funkcjonariusze znaleźli cztery puste magazynki do dwudziestki dwójki i trzy szybkie ładowarki, do rewolweru kaliber 38. Dziwnie poczuli się na widok ładowarek, które miały zmniejszyć ryzyko pracy policjantów, a tymczasem ułatwiły zbrodnię, dokonaną prawie pod ich nosem.

O dwudziestej Rainie zorganizowała na boisku improwizowaną odprawę. Przedstawiła się jako dowódca operacji i zrelacjonowała popołudniową akcję ujęcia Daniela O'Grady. Podziękowała kolegom z policji stanowej i okręgowej, którzy odpowiedzieli na wezwanie i pozostali długo po zakończeniu czasu służby, żeby pomóc przy sprawie.

Potem zabrał głos detektyw Sanders z policji stanowej i nakreślił obraz przestępstwa, jaki wyłaniał się w miarę zdobywania dowodów.

Prawdopodobnie atak miał charakter błyskawiczny. Rozpoczął się niedługo po trzynastej, kiedy dzieci wróciły do sal. Według nauczycielki trzeciej klasy dwie uczennice, Alice i Sally, poprosiły o pozwolenie na wyjście do toalety. Wkrótce potem rozległy się strzały.

Nie wiadomo, czy dziewczynki jako pierwsze padły ofiarą, czy może najpierw zginęła nauczycielka informatyki, Melissa Avalon. Była sama w pracowni komputerowej, więc nikt nie wiedział, kiedy wyszła na korytarz. Wątpliwe, by patolog zdołał wyjaśnić kolejność zgonów, bo nie sposób ustalić czasu śmierci aż tak precyzyjnie. Trzeba raczej próbować dokładnie określić, którędy szedł zabójca i jakim torem leciały pociski, i w ten sposób odtworzyć logiczny ciąg wydarzeń.

Rainie zapytała o bezpośrednich świadków tragedii.

Nikogo takiego nie znaleziono. Większość dzieci na dźwięk strzałów rzuciła się w popłochu do ucieczki w stronę wyjścia. Sześcioro z nich podobno widziało mężczyznę w czerni, ale byli to uczniowie młodszych klas, na tyle mali, że nie potrafili powiedzieć nic konkretnego. Skąd ten człowiek przyszedł? Którędy uciekł? Czy był wysoki, czy niski? Gruby czy chudy? Proszone o dokładniejsze informacje, dzieci peszyły się i plątały w zeznaniach.

Dwóch policjantów odwiedziło domy w bezpośrednim sąsiedztwie szkoły. Mieszkańcy nie zauważyli żadnych obcych osób kręcących się po okolicy.

– A zatem – podsumował Sanders – historia z facetem w czerni prowadzi donikąd. Pewnie dzieciaki zmyśliły go sobie pod wpływem wstrząsu. Zdarza się.

– Chwileczkę – wtrąciła Rainie. Sanders posłał jej pełne zniecierpliwienia spojrzenie. Zauważyła, że próbuje przejąć kontrolę nad śledztwem. Oczywiście, policja stanowa, elegancki garnitur, rzucająca się w oczy odznaka. Najwyraźniej nie miał dobrej opinii o małomiasteczkowych glinach i małomiasteczkowych teoriach. Jak wszyscy faceci z dużych miast.

– W dalszym ciągu pozostaje kwestia sześciorga dzieci, które twierdzą, że widziały nieznaną mężczyznę – nie ustępowała. – To chyba ważne.

– Histeria jest zaraźliwa. – Irytacja Sandersa rosła z minuty na minutę.

– A może jednak widziały kogoś lub coś szczególnego. Weźmy pod uwagę samą strzelaninę. Mówi pan, że był to atak błyskawiczny. Rzeczywiście dwie ofiary zostały podziurawione jak sito, a w całej szkole mamy mnóstwo śladów po pociskach. Ale co z Melissą Avalon? Pojedynczy strzał w czoło. Zbyt precyzyjny jak na przypadkową kulę.

– Może mu się naraziła. Wiemy coś o stosunkach między Dannym a tą nauczycielką?

Policjanci przekartkowali notesy. Nikt jeszcze nie zebrał informacji o samych ofiarach.

– Faktycznie – przyznał łaskawie Sanders, najwyraźniej dochodząc do wniosku, że Rainie nie jest kompletną idiotką – wątek Avalon wydaje się interesujący. Wezmę go pod uwagę. Jutro, kiedy zaczniemy kompletować grupę dochodzeniową, każę komuś to sprawdzić. Ale do diabła, wciąż mamy przed sobą mnóstwo roboty. I są sprawy, które trzeba załatwić z marszu.

– Więc z marszu proponuję, żeby na razie niczego nie ignorować.

Abe przewrócił oczami.

– Ależ oczywiście. – Po chwili mruknął: – W końcu to pani aresztowała dzieciaka.

Rainie zeszytniała. Miała za sobą ciężki dzień; nie musiała tego znosić. Gniew, który w niej wzbierał, był niebezpieczny. I przesadny. Tak naprawdę wściekła się nie dlatego, że Abe Sanders był beznadziejnym bubkiem, ale dlatego, że aresztowała dziecko, które znała i, do diabła, lubiła.

Ty głupi, mały egoisto, jak mogłeś być tak okrutny?!

Sanders wciąż na nią patrzył, sprawdzając, czy Rainie złapie przynętę. Gdyby straciła panowanie nad sobą, poczułby się lepiej. Ale Rainie nie zamierzała dawać mu tej satysfakcji.

- Przełożmy tę rozmowę do jutra.
- Dobrze.
- Z samego rana.
- Oczywiście.
- Siódma trzydzieści?
- Siódma.
- Doskonale.

Wrócili do ekipy, która wciąż przeszukiwała teren szkoły. Budynek był teraz zalany światłem, ogrodzony żółtą policyjną taśmą i zaśmiecony plastikowymi odpadkami z polaroidów. Korytarz został podzielony na sektory. Najbardziej interesujące rejony badali eksperci w białych kosmicznych skafandrach, uzbrojeni w specjalne odkurzacze wsysające każdy najdrobniejszy pyłek. Inni zeskrobywali zakrzepłą krew do małych fiolek lub spryskiwali ściany luminolem w nadziei wykrycia nowych śladów rzezi. Wyznaczeni funkcjonariusze starannie zapisywali dane. Do rana dokumentacja z miejsca przestępstwa mogła rozrosnąć się do objętości trzech segregatorów.

Rainie weszła do jednej z klas i ze szkłem powiększającym w ręku przystąpiła do szczegółowych oględzin ścian.

Dopiero po dwóch godzinach opuściła gmach szkoły. Jej policzki chłodził przenikliwy dotyk pachnącego sosną powietrza, a gwiazdy wydawały się niemal zbyt jasne na bezchmurnym nocnym niebie.

Musiała jeszcze odwalić górę papierkowej roboty. Prokurator okręgowy chciał uporać się z aktem oskarżenia do południa, więc potrzebował pierwszej partii policyjnych raportów. Rodriguez nie będzie się cackał. Morderstwo popełnione na trzech osobach. Zbrodnia tak potworna, że Daniel O'Grady natychmiast zostanie przekazany pod jurysdykcję sądu dla dorosłych. Trzynastolatek stanowił zagrożenie dla społeczeństwa. Zamordował małe dzieci. Zdradził swoje środowisko. Przypomniawszy mieszkańcom Bakersville, że zło może czaić się za rogiem. Zamknijmy go na resztę życia.

Nigdy nie umówi się na randkę, nie skończy studiów, nie zakocha się, nie weźmie ślubu, nie będzie miał dzieci. Być może dożyje

osiemdziesiątki lub dziewięćdziesiątki, ale co to za życie?

Rainie nie wróciła już na komendę. Pojechała do domu, gdzie mogła siedzieć na werandzie pod rozgwieżdżonym niebem i słuchać pohukiwania sów. Wróciła do domu, gdzie mogła zrzucić przesiąknięty śmiercią mundur i wyjąć z lodówki piwo.

Wróciła do domu, gdzie z dala od wścibskich oczu, oparłszy czoło o chłodne szkło butelki, rozmyślała o dwóch biednych dziewczynkach, o nauczycielce, o Dannym, o sobie sprzed czternastu lat.

Policjantka Lorraine Conner wróciła do domu, gdzie była wreszcie sama, i rozpłakała się.

Przyczaił się całkiem niedaleko.

Ubrany na czarno, obserwował ją przez lornetkę, którą kupił niedawno, kiedy potrzeba śledzenia wyrazu twarzy i czystych szarych oczu tej kobiety, stała się nie do zniesienia. To, co zobaczył, sprawiło, że aż zakręciło mu się w głowie. Miał jak na dłoni całą werandę i każdy skrawek szczupłego ciała, oświetlonego blaskiem księżyca i ogrodowej lampy. Rainie płakała. Płakała.

Jeszcze nigdy nie widział jej w takim stanie.

Poczuł, jak ogarnia go podniecenie.

Sam z trudem teraz w to wierzył, ale kiedy parę lat temu po raz pierwszy zwrócił uwagę na Bakersville, policjantka Lorraine Conner nie miała z tym nic wspólnego. Natrafił w Internecie na artykuł pod tytułem „Zalane miasteczko wraca do życia. „ Dziennikarz zaczął melodramatycznie od wyliczenia litanii nieszczęść: podnoszący się poziom wód w rzekach, ulewne deszcze, błotne lawiny. Wszystkie te klęski dotknęły pewną małą miejscowość w Oregonie w ciągu jednego tygodnia lutego. Sąsiad pomagał sąsiadowi zapędzić krowy na bezpieczne tereny, a tymczasem woda zalewała położone niżej farmy, znosząc z fundamentów całe domy, i podchodziła coraz wyżej.

Krowy ryczały porywane lodowatym nurtem. Z dróg zmywało ciężarówkę próbującą dotrzeć do bydła. Z metalowych dachów stodół

ratowano w ostatniej chwili przerażone kobiety i dzieci. Hodowcy zaś wybijali całe stada, żeby oszczędzić wrażliwym stworzeniom cierpień.

Dziennikarz zapewniał czytelników, że dla Bakersville był to sądny dzień.

A potem zaczęła się odbudowa. Imprezy charytatywne, loterie, pomysłowe programy, na przykład akcja „Zaadoptuj krowę”, w ramach której zachęcano dzieci z dużych miast i wielkie firmy, żeby wpłacały pieniądze na żywność i schronienie dla poszczególnych zwierząt. Kilka położonych wyżej ocalałych gospodarstw otworzyło swoje stodoły, spiżarnie i obory dla sąsiadów na tak długo, jak było trzeba. Miasteczko wracało do życia.

Artykuł kończył się wypowiedzią burmistrza. „Oczywiście, że sobie pomagamy. Jesteśmy silni. Zależy nam na Bakersville. I wiemy, co jest naszą powinnością”.

Już wtedy uznał, że Bakersville będzie następne. Idealne małe miasteczko z idealnymi małymi ludźmi wychwalającymi swoje idealne małe wartości. Wszyscy wszystkich kochają i wszyscy są dla wszystkich przyjaciółmi. Życzył im śmierci.

Był cierpliwy. Lepiej niż większość ludzi rozumiał znaczenie planowania. Prawidłowo przeprowadzony zwiad, powtarzał jego ojciec, to podstawowy obowiązek dobrego żołnierza.

Wypełnił więc obowiązek, choć uważał ojca za skończonego głupca. Przeprowadził zwiad. Poznawał. Polityków, pracowników szkoły, dziennikarzy, główne organizacje. Biuro szeryfa. Planował. Miał mnóstwo czasu. Najważniejsze, żeby wszystko zrobić jak należy.

Już on im pokaże sądny dzień.

A potem doszła jeszcze sprawa policjantki Lorraine Conner. Kiedy po raz pierwszy ją zobaczył, gdy minęła go podczas jednej z jego rozpoznawczych wizyt w Bakersville, aż go zamurowało. Wydatne kości policzkowe, bezkompromisowa linia szczęki. Śmiałe szare oczy o surowym, bezpośrednim spojrzeniu. Nie piękna, ale frapująca. Poważająca, jeśli ktoś chce się bawić w gry słowne.

Oto kobieta na poziomie. Ani śladu głupoty, której zwykł się

spodziewać u małomiasteczkowych glin. Nie miała nawet szerokich bioder lub tłustego brzucha. Była wysportowana, szczupła i podobno piekielnie dobrze strzelała.

Potem usłyszał plotki.

O matce. O brutalnym morderstwie sprzed czternastu lat, którego zagadki nigdy nie rozwiązano.

No wiesz, baba lała w siebie alkohol litrami i traktowała córkę jak worek treningowy. Bezwstydnica, syczeli starzy pijaczkowie, a oczy błyszczały im, gdy wyobrażali sobie własne ręce na prężnym, młodym ciele. Wszyscy wiedzieli, że Molly Conner źle skończy.

Podobno ktoś odstrzelił jej cały cholerny łeb. Wyobraź sobie, bezgłowy tors w tanich pantoflach na wysokim obcasie, a w rękach butelka. Zawsze mówiłem, że zabierze ze sobą gorzałę do grobu. He, he, he.

Rainie wróciła ze szkoły i zastała taki właśnie obrazek. Tak przynajmniej powiedziała glinom. Weszła do domu i znalazła trupa. Właśnie podjeżdżał wóz policyjny, kiedy wypadła jak oparzona. Młody zastępca szeryfa – no wiesz, Shep, zanim został szeryfem – dotarł tam pierwszy. Zameldował, że do włosów dziewczynki przykleiły się szczątki mózgu. Od razu ją zaobrączkował i zamknął w ciupie.

Ale potem oddalili zarzuty. Eksperci twierdzili, że strzępy mózgu spadły z sufitu, a mała weszła do domu w parę minut po zabójstwie. Gdyby to ona pociągnęła za spust, cała ta breja zbryzgałaby ją od stóp do głów. Czy jakieś inne bzdury w tym stylu.

Powiem ci jedno, w tym cholernym stanie nikogo nie można skazać. Znajdują dziewczynę upapraną w świeżych flakach i jakoś to nie wystarcza? Ech, ci prawnicy. To oni są wszystkim winni. Prawnicy.

W końcu Rainie wyszła na prostą, jasne. I bez gadania lepsza z niej kobita od matki. A i policjantka całkiem do rzeczy.

Przyznawał im rację. Wystarczyło trochę pociągnąć to tego, to owego za język, żeby dowiedzieć się wszystkiego o Rainie Conner. Na stanowym uniwersytecie w Portland zrobiła magisterium z psychologii. Po powrocie do Bakersville zaczęła pracować w biurze szeryfa. Za

pierwszym podejściem zaliczyła wszystkie egzaminy w akademii policyjnej. Miała teczkę pełną doskonałych opinii. Dbała o formę, biegła trzy lub cztery razy w tygodniu i zawsze kupowała nowy numer „Biuletynu FBI”. Była oddana swojej pracy, skrupulatna i zdaniem różnych pijanych łobuzów – szybka jak na babę.

Dowiedział się też paru szczegółów z jej prywatnego życia. Spotykała się z mężczyznami, co w miasteczku wywoływało różne komentarze, ale nigdy z miejscowymi. Nie zdarzało się to zbyt często ani żaden romans nie trwał zbyt długo. Nigdy nie pozwalała facetowi przyjeżdżać po siebie ani odwozić się do domu. Umawiała się w wybranej restauracji, ewentualnie jechali do niego, a kiedy rano się budził, już jej nie było.

Najwyraźniej Rainie potrzebowała seksu, ale nie w stałym związku. To go fascynowało.

Miała jeszcze jedno dziwactwo. Codziennie po powrocie z pracy otwierała butelkę piwa. I co wieczór, przed pójściem spać wylewała całą jej zawartość z werandy. Oda do nieżyjącej matki pijaczki, domyślał się. Czy wyobrażała sobie wtedy trupa Molly Conner? Myślała o ciele bez głowy, o szarej substancji na suficie?

Między innymi z tego powodu kupił lornetkę. Czasem, kiedy wylewała piwo, jej usta poruszały się. Strasznie, ale to strasznie chciał wiedzieć, co ona w takiej chwili mówi.

Mam cię w dupie, mam?

Pierdol się?

Rainie Conner oczarowała go. Stała się jego osobistą bohaterką. Dodała uroku całemu przedsięwzięciu. Postanowił, że to właśnie ona go zdemaskuje. Tylko ona mogła poznać się na jego geniuszu, na jego kunszcie. W końcu, po dziesięciu latach, znalazł przeciwnika godnego swego talentu.

Początkowo jego plany co do Bakersville były skromne. Ale kiedy ujrzał Rainie, wszystko się zmieniło.

Ostrożnie wycofał się i skrył wśród niskich krzewów. Odsunął od oczu lornetkę. Rzucił ostatnie zachwycone spojrzenie na swoją broń i

pozwoił sobie na chwilę wspomnień: jak było cudownie...

Po chwili ruszył w drogę. Miał jeszcze tyle do zrobienia przed długą podróżą do hotelu.

Środa, 16 maja, 8.00

*PRZESŁUCHANIE DANIELA JEFFERSONA O'GRADY
15 maja 2000 r.*

Mówi detektyw Lorraine Conner. Przesłuchuję Daniela Jeffersona O'Grady, podejrzanego o zamordowanie we wtorek piętnastego maja dwutysięcznego roku trzech osób w szkole podstawowej K-8 w Bakersville. Asystuje mi detektyw Luke Hayes. Obecny jest również prokurator okręgowy Charles Rodriguez. O'Grady'ego pouczone o jego prawach. Zrezygnował z obecności adwokata. Jest godzina szesnasta czterdzieści siedem.

CONNER: Danny, możesz nam powiedzieć, co się dzisiaj stało w szkole?

Cisza.

CONNER: *Danny, słyszysz mnie? Zrozumiałeś pytanie?*

Cisza

CONNER: *Jaki mamy dzisiaj dzień, Danny?*

Chwila przerwy.

O'GRADY: *Wtorek*

CONNER: *Bardzo dobrze. We wtorki chodzi się do szkoły?*

O'GRADY: *Tak.*

CONNER: *Byłeś dzisiaj w szkole?*

O'GRADY: *Tak.*

CONNER: *Kiedy pojechałeś do szkoły, Danny?*

O'GRADY: *Rano.*

CONNER: *Z siostrą? Z Becky?*

O'GRADY: *Tak. Mama nas odwozi. Becky nie znosi szkolnego autobusu. Kiedyś przejechał kota.*

CONNER: *To smutne. Becky lubi zwierzęta, prawda?*

O'GRADY: *Tak. Dziwna jest.*

CONNER: *Dzisiaj w szkole byłeś w tym ubraniu? W czarnych dżinsach i czarnej koszulce?*

O'GRADY: *Tak.*

CONNER: *Częstonosisz czarne ubrania?*

O'GRADY: *Nie wiem.*

CONNER: *Czy dzisiaj ubrałeś się na czarno z jakiegoś szczególnego powodu?*

Cisza.

CONNER: *Poszedłeś dzisiaj na lekcje, Danny?*

O'GRADY: *Tak.*

CONNER: *Jesteś w siódmej klasie, prawda? Kto jest twoim wychowawcą?*

O'GRADY: *Pan Watson.*

CONNER: *To dobry nauczyciel? Lubisz go?*

O'GRADY: *Jest w porządku.*

CONNER: *Jakie mieliście dzisiaj lekcje?*

O'GRADY: *Najpierw angielski, potem matmę. Po południu miała być gra na geografii. Zabawa z mapą, stolice...*

CONNER: *Ale dziś po południu nie było gry, prawda, Danny?*

Cisza.

CONNER: *Nosisz do szkoły plecak?*

O'GRADY: *Tak, plecak.*

CONNER: *Co w nim dziś miałeś?*

Cisza.

CONNER: *Danny, czy dzisiaj miałeś w plecaku broń? Przyniosteś do szkoły broń?*

Chwila przerwy.

O'GRADY: *Chyba tak.*

CONNER: *Skąd ją wzięłeś? Jest twoja?*

O'GRADY: *Nie. (przerwa) Ojca.*

CONNER: *Zabrałeś ją z szuflady?*

O'GRADY: *Z sejfu.*

CONNER: *Z sejfu? Nie był zamknięty?*

O'GRADY: *Był. Ojciec zawsze go zamyka..*

CONNER: *Więc jak się dostałeś do środka?*

O'GRADY: *Jestem bystry, no nie? Jestem bardzo bystry.*

Chwila przerwy.

CONNER: *Dobrze, Danny. Byłeś na tyle bystry, żeby otworzyć sejf, wyciągnąć dwie sztuki broni i przynieść je do szkoły. A potem byłeś na tyle bystry, żeby co zrobić, Danny?*

Cisza.

CONNER: *Użyłeś broni w szkole? Zacząłeś strzelać na korytarzu?*

Cisza.

CONNER: *Danny, próbuję ci pomóc. Ale żeby to zrobić, muszę wiedzieć, co się stało dziś po południu. Te dziewczynki i nauczycielka nie żyją, Danny. Rozumiesz,, czym jest śmierć?*

Przerwa.

O'GRADY: *Moja babcia nie żyje. Byliśmy na pogrzebie. To jest śmierć.*

CONNER: *Rodzice płakali? Byli bardzo smutni? Tak jak dzisiaj? Widziałeś, jak ojciec płakał, Danny. Rozumiesz, dlaczego płakał?*

O'GRADY: *Tak. (ledwo słyszalnym szeptem! Tak.*

CONNER: *Co się stało dziś po południu, Danny? Co zrobiłeś? Byłeś po prostu aż tak wściekły? Dlatego?*

Cisza.

O'GRADY: Jestem bystry.

CONNER: Danny, zabiłeś te dziewczynki? Strzelałeś do dzieci?

O'GRADY: Jestem, bystry. Jestem bystry, jestem bystry, jestem bystry!

CONNER: Zabiłeś te dziewczynki, Danny?!

O'GRADY: Tak! Tak! W porządku? Jestem bystry!

CONNER: Dlaczego, Danny? Dlaczego zrobiłeś coś takiego?

Dźwięk otwieranych drzwi.

JOHNSON: Nazywam się Avery Johnson i reprezentuję Daniela O'Grady'ego. Koniec przesłuchania.

CONNER: Dlaczego, Danny, dlaczego?

JOHNSON: Nie odpowiadaj!

CONNOR: Powiedz mi, dlaczego! Dlaczego zabiłeś te dziewczynki, Danny?!

O'GRADY: Boję się.

Na pokładzie boeinga 747 agent specjalny Pierce Quincy zdjął słuchawki i odłożył na bok magnetofon. Od chwili startu samolotu w Seattle trzy razy przesłuchał nagranie rozmowy z młodocianym masowym mordercą, najnowszą sensacją Ameryki. Teraz potrzebował kilku spokojnych minut na spisanie uwag w notesie zakupionym w pośpiechu na lotnisku Sea-Tac. Na czerwonej okładce zeszytiku wykaligrafował: STUDIUM PRZYPADKU NR 12, DANIEL JEFFERSON O'GRADY. BAKERSVILLE, OREGON.

Podeszła stewardesa, zabrała pusty kubeczek i uśmiechnęła się czarująco. Quincy automatycznie odwzajemnił uśmiech, ale szybko odwrócił wzrok. Nie miał ochoty na zdawkowe rozmowy. Cały czas absorbowwały go myśli o niepojętej sile, która skłania dzieci do zabijania.

W wieku czterdziestu pięciu lat Pierce Quincy nadal dobrze się trzymał. Miał ciemne, siwiejące na skroniach włosy, był wysoki, szczupły i elegancko ubrany. Przeżył już swoje, wiedział, czego chce.

Zawsze starał się być uprzejmy, ale nie miał ani krzty cierpliwości dla głupców. Zarabiał na życie, podróżując z miasta do miasta i polując na najgorsze potwory, jakie wydała rasa ludzka. Przenikliwe spojrzenie Quincy'ego niektórym wydawało się zniewalające, a innych całkowicie onieśmielało.

Podczas podróży służbowych aktówka agenta specjalnego pękała od zdjęć z miejsc najbardziej brutalnych morderstw. Po piętnastu latach w branży mógł tasować te fotografie jak talie kart, co sprawiało, że był dumny ze swoich zwycięstw. Zasmucało go jednak, że odczuwał coraz większe zubożenie.

Zbiegiem okoliczności Quincy akurat przebywał na Zachodnim Wybrzeżu, gdy z Quantico nadeszła wiadomość w sprawie strzelaniny w Bakersville. Teoretycznie był na urlopie i odpoczywał od badań naukowych z dziedziny kryminalistyki i zajęć na Akademii FBI w Wirginii. W zeszłym tygodniu jednak dowiedział się, że przy autostradzie międzystanowej numer 5 w Seattle znaleziono ciało uduszonej prostytutki. Miejskowa policja podejrzewała, że zbrodnia ta może mieć związek z serią morderstw popełnionych w latach osiemdziesiątych przez nigdy nieschwytanego „wampira znad Zielonej Rzeki”. Quincy badał tę sprawę przed rokiem w ramach programu zamykania dochodzeń, które utknęły w martwym punkcie. Niestety, nie znalazł wtedy żadnych dodatkowych poszlak. Teraz nowe morderstwo mogło naprowadzić na ślad zbrodniarza.

Zastępca dyrektora FBI osobiście przekazał Quincy'emu wiadomość, ale polecił mu zostać w domu.

– Są chwile, kiedy trzeba pomieszkać z rodziną – oświadczył wielkodusznie. – To zabójstwo pewnie nie ma związku z twoim wampirem. Nie sądzę, żebyś musiał zawracać sobie tym głowę.

Quincy podziękował szefowi za troskę. Potem pojechał na lotnisko Dulles, kupił bilet do Seattle i wszedł na pokład samolotu. Jego młodsza córka wracała następnego dnia do college'u, była żona nie życzyła sobie z nim rozmawiać, a co do drugiej córki, Amandy... Nie mógł jej w żaden sposób pomóc. Co się stało, to się stało i, szczerze mówiąc, Quincy

właśnie teraz potrzebował swojej pracy.

Zanim przed pięcioma laty agent specjalny Quincy został przeniesiony do Sekcji Badań Behawioralnych, zyskał sobie w FBI sławę jednego z najznakomitszych tropicieli. Każdego roku zajmował się około stu dwudziestoma przypadkami przestępstw, popełnionych przez seryjnych gwałcicieli, morderców i porywaczy. Ściągał zbrodniarzy o najwyższym ilorazie inteligencji i doprowadzał do tego, że sami wpadli we własne sidła. Badał zbryzgane krwią miejsca zbrodni, wykrywał tropy prowadzące do mordercy. Ratował ludziom życie i popełniał błędy, które czasem ktoś życiem musiał przepłacić.

Wiedział, jak radzić sobie z tego typu stresem. Jego była żona, Bethie, ciągle powtarzała, że Quincy nie potrafi już normalnie funkcjonować. Jego światem stały się brutalne morderstwa i bez zagadki do rozwiązania po prostu nie wiedział, co ze sobą zrobić.

Nigdy nie kreował takiego wizerunku swojej osoby, ale też nie próbował z nim walczyć. Rodzaj pracy, którą wykonywał, pociągał za sobą pewne konsekwencje. Spędzając tyle czasu na studiowaniu ekstremalnych przypadków okrucieństwa, łatwo jest stracić perspektywę. Wtedy we wszystkich wesołych miasteczkach zaczyna się widzieć pedofilii wypatrujących nowych ofiar. Wszystkie piwnice kryją ludzkie szczątki. Wszyscy czarujący, przystojni studenci wydają się utajonymi psychopatami.

Szczerze mówiąc, Quincy nigdy by nie wsiadł do volkswagena „żuka”, ulubionego samochodu wielu seryjnych morderców. Po prostu nie zdobyłby się na to.

Okazało się też, że nie może znieść widoku umierającej córki.

W Seattle morderstwo prostytutki przypisano w końcu przejeżdżającemu przez miasto kierowcy ciężarówki. Quincy posunął się do tego, że przestudiował akta dawno zamkniętych spraw. Oficjalnie po to, żeby spojrzeć na nie z nowej perspektywy, ale w rzeczywistości chciał tylko odwlec powrót do domu, gdzie nie był już agentem specjalnym, tylko bezradnym ojcem, skazanym na wyczekiwanie przy szpitalnym łóżku, człowiekiem jak wszyscy inni, który nie może uciec

przed tym, co nieuniknione.

I wtedy właśnie chłopiec w stanie Oregon przyniósł do szkoły broń i zaczął strzelać. Tym samym uratował Quincy'ego.

Jak większość Amerykanów Quincy nie zwrócił specjalnej uwagi na tragiczny incydent, który wydarzył się w listopadzie 1995 roku w szkole Richland w Lynnville w stanie Tennessee. Zginęły wtedy dwie osoby, a jedna została ranna. Mała miejscina, licząca zaledwie trzystu pięćdziesięciu trzech mieszkańców, leżała zbyt daleko, żeby mieć jakiś związek z życiem Quincy'ego, a samo wydarzenie zdawało się być odosobnionym przypadkiem. Ale już trzy miesiące później doszło do kolejnej strzelaniny: szkoła w Moses Lake w stanie Waszyngton. Trzech zabitych, jedna osoba ranna, sprawca: czternastoletni uczeń. Niemal dokładnie rok później Ameryką wstrząsnęła wiadomość o kolejnej zbrodni – w Bethel na Alasce. Dwa trupy, dwoje rannych, a szesnastoletni sprawca zachęcał grupę przyjaciół, żeby obserwowali jego wyczyny. Osiem miesięcy później inny szesnastolatek, Luke Woodham, zamordował trzy osoby i ranił siedem w Pearl w stanie Missisipi. Po trzech miesiącach w szkole w West Paducah w Kentucky zginęło następnych trzech uczniów. Zarysował się pewien wzór nowego typu zbrodni. Jonesboro, Arkansas; Springfield, Oregon; Littleton, Kolorado; Fort Gibson, Oklahoma. Kolejne szkoły, kolejne tragedie.

Gazety ostrzegały przed epidemią przemocy, która ogarnęła amerykańską młodzież. Niektóre obwiniały gry komputerowe, łatwy dostęp do broni, zapracowanie rodziców. A może to Hollywood, senat albo Jerry Springer? Coś trzeba było jednak zrobić, żeby powstrzymać tę klęskę. Zabronić posiadania broni, objąć cenzurą kreskówki, zainstalować w szkołach wykrywacze metalu, wprowadzić dla uczniów obowiązkowe mundurki. Cokolwiek.

Agenci z Sekcji Badań Behawioralnych FBI, równie doświadczeni jak Quincy, nie wierzyli w proste rozwiązania. Czy masakry w szkołach stają się zjawiskiem o szerszym zasięgu, czy stanowią odosobnione przypadki? Czy te „normalne” dzieci, które dopuściły się zbrodni, zostały zmotywowane czynnikami zewnętrznymi, takimi jak media, czy

może chodzi o jakiś głębszy problem, na przykład rozwojowy?

Co naprawdę pchnęło tak młode istoty do zabijania i jak można było temu zapobiec?

Nawet w Quantico czołowi eksperci od spraw kryminalnych nie znaleźli przekonujących odpowiedzi.

I to ich przerażało, bo i oni mieli dzieci.

Sześć miesięcy temu Quincy rozpoczął prace badawcze. Próbował poddać szczegółowej analizie umysłowość młodocianych masowych morderców i dowiedzieć się, jak można zapobiec dalszym zbrodniom. Dążył do opracowania systemu, który pomagałby pracownikom szkół i organom ścigania zawczasu zidentyfikować symptomy zagrożenia. Miał też nadzieję, że sformułuje porady dla rodziców i nauczycieli, aby mogli skuteczniej radzić sobie z kumulującą się agresją nastolatków.

Wyłowienie potencjalnych sprawców nie było jednak takie proste.

W przeciwieństwie do seryjnych zabójców, masowi mordercy nie stanowili jednolitej grupy. Zaczynali strzelać, bo mieli zły dzień, bo byli niezrównoważeni emocjonalnie, bo ktoś ich namówił, bo się upili lub naćpali, zakochali lub odkochali, bo szukali sławy, zemsty lub śmierci. Masowi mordercy mogli być młodzi lub starzy, bogaci lub biedni, wykształceni lub ciemni, przystosowani społecznie lub nie. Improwizowali albo też starannie planowali zbrodnię.

Poza tym wielu przestępców tego typu kończyło swoje wyczyny samobójstwem, co uniemożliwiło gromadzenie informacji na temat ich psychiki. Jakie były przyczyny załamania? O czym myśleli, kiedy wpadali w szal? Czy chcieliby powtórzyć zbrodnię, czy był to tylko jednorazowy krwawy wyskok? Nikt tego nie wiedział.

Ekspertsi mogli najwyżej dokonać „oceny ryzyka”, mając do dyspozycji listę zachowań, które cechowały masowych morderców. Zgodnie z danymi statystycznymi przestępcy ci:

1) już wcześniej dopuszczali się aktów przemocy, na przykład, bili żonę, molestowali dziecko, urządzali bijatyki;

2) wzbudzali w ludziach niewytłumaczalne obawy. Zawsze znajdowało się parę osób, które miały „złe przeczucia”, związane ze

sprawcą. Unikały go w pracy, nie pozwalały dzieciom bawić się z nim, robiły wszystko, żeby nie przebywać z nim sam na sam;

3) dawali dowody antyspołecznego nastawienia: byli samotnikami lub celowo łamali przyjęte reguły zachowania;

4) byli słabo przystosowani społecznie;

5) lubili rzucać groźby, prawdziwe lub fałszywe;

6) brakowało im wsparcia, na przykład, pochodzili z rozbitej rodziny, mieli niewielu przyjaciół;

7) czuli się pokrzywdzeni przez życie, firmę, rodziców, kolegów, partnera;

8) żyli w silnym stresie sytuacyjnym wywołanym chociażby niedawną utratą pracy, groźbą rozwodu, śmiercią kogoś bliskiego;

Quincy nie podważał użyteczności tej listy. Działy kadr wielu dużych firm rutynowo korzystały z niej, żeby zidentyfikować potencjalne zagrożenia. Powtarzające się krwawe incydenty w szkołach sprawiły, że sięgnęli po nią również szkolni pedagodzy.

Sęk w tym, że lista okazywała się zwykle zbyt ogólnikowa w przypadku osób młodszych. Bo czym jest „stres sytuacyjny” dla jedenastolatka? Założeniem aparatu ortodontycznego, pryszczem na twarzy, zerwaniem z sympatią? Czym są „akty przemocy” dla ucznia szkoły podstawowej? Rzucaniem kamieniami, wyrywaniem muchom skrzydełek, uprawianiem brutalnych sportów?

Jeśli dodać do tego, że spora grupa dzieci pochodzi z rozbitych rodzin, a każdy nastolatek czuje się głęboko pokrzywdzony przez życie, okazywało się, że statystycznie nieprawdopodobnie duża liczba młodych ludzi miała zadatki na bezwzględnych morderców. Niezbyt pocieszająca myśl.

Zachowanie dzieci w najbardziej nawet sprzyjających okolicznościach jest dla dorosłych często niezrozumiałe i nieprzewidywalne. Młode istoty mają ograniczone zdolności radzenia sobie z problemami, są kotłowaną hormonów i przeważnie uważają, że wszystko musi się stać teraz i natychmiast, niezależnie od konsekwencji.

Łatwo też ulegają presji środowiska, co rzadko zdarza się dorosłym mordercom, są podatne na oddziaływanie mediów i wpływy zewnętrzne, propagandę sekt czy subkultur.

Słowem, im bardziej Quincy zgłębiał to zagadnienie, tym wyraźniej zdawał sobie sprawę ze swojej niewiedzy. Zaczynał rozumieć, że czekają go całe lata obcowania z dziećmi, które zabijają inne dzieci.

Praca taka intrygowała go i równocześnie odpychała. W jego przypadku nie było to nic nowego.

Zapalił się napis „zapiąć pasy”. Samolot przygotowywał się do lądowania. Quincy starannie schował kasetę z nagraniem przesłuchania i notatki. Zmarszczył brwi.

Nie miał jeszcze zbyt wielu informacji o sprawie, ale odkrył już kilka elementów, które nie dawały mu spokoju. Na przykład, strzał wymierzony precyzyjnie w czoło nauczycielki. Trzeba dowiedzieć się czegoś więcej o stosunkach między nią i Dannym. A czas strzelaniny? Dlaczego do tragedii doszło w chwili, gdy wszyscy uczniowie wrócili do klas? Taka strategia miała chyba na celu ograniczenie szkód, jakby sprawca nie chciał skrzywdzić zbyt wielu osób.

No i na koniec samo przesłuchanie. Sądząc z tonu, dzieciak był w stanie szoku – niezbyt szczęśliwa okoliczność przy składaniu zeznań. Poza tym choć policjantka starała się chłopca otworzyć, zbaczając na bezpieczne tematy, zadała zbyt wiele pytań naprowadzających. To błąd w przypadku dzieci, gdyż zamiast mówić prawdę, skłonne są podawać odpowiedzi, których ich zdaniem dorośli oczekują. Quincy'emu nie dawało też spokoju powtarzane przez Danny'ego zdanie, że jest bystry. Coś tu nie grało.

Zastanawiał się, jakie ma szanse, by uzyskać od prawnika chłopca zgodę na przesłuchanie. I jakie ma szanse na miłe przyjęcie przez miejscowe władze.

Pierce Quincy uśmiechnął się.

Policja z Bakersville powita agenta federalnego z otwartymi ramionami? Wątpliwe. Zaczął zabawiać się w zgadywanie, jakimi to epitetami obrzuci go funkcjonariuszka Lorraine Conner.

Środa, 16 maja, 11.08

Ty zasrańcu. Jeszcze raz za moimi plecami pójdziesz do prokuratora okręgowego, a zwięzę cię, zawlokę na pole i osobiście zapoznam z krowimi plackami miejscowej roboty. Jasne?

– Potrzebowałem tylko kilku informacji...

– Próbowałaś odebrać mi śledztwo!

– Dopiero, gdy wyszło na jaw, że nie masz do prowadzenia go odpowiednich kwalifikacji.

Rainie o mało piana nie wystąpiła na usta. Dzień zaczął się paskudnie. Już o siódmej odbyła pierwszą nieprzyjemną rozmowę z Sandersem. Najwyraźniej jednak nie potrafili się porozumieć, bo parę minut po jedenastej miała ochotę wziąć nożyczki i przekłuć ten nadęty balon. Jak on śmiał prosić prokuratora, żeby odsunął ją od sprawy! Jak śmiał próbować podciągnąć wydarzenia w Bakersville pod jurysdykcję stanową!

Powinien chyba wiedzieć, że nie zadziera się z kobietą, która spała tylko cztery godziny.

Rainie poderwała się z za naprędce skonstruowanego z kawałka dykty i dwóch kozłów biurka, które królowało w nowo powstałym „centrum operacyjnym” zespołu dochodzeniowego. Stanowisko

dowodzenia mieściło się na strychu ratusza. Jednak od momentu, kiedy udało się zdobyć maszynkę do kawy i pojemnik chłodzonej wody, nowa kwatery wydawała się Rainie luksusowa w porównaniu z mikroskopijnym biurem szeryfa.

Od samego rana policjantka Conner funkcjonowała na pełnych obrotach. Wstała o czwartej i żeby rozruszać mięśnie, długo, forsownie biegała. Potem przepisała na maszynie raporty z poprzedniego dnia, odbyła rozmowę z burmistrzem w sprawie kwatery głównej dla ich zespołu i przygotowała się do pierwszego spotkania z Abe'em. Wydawało jej się, że podstawowe zasady działania są jasne. Dochodzenie wymagało współpracy sił lokalnych i stanowych. Abe miał zająć się badaniem zebranych przez techników dowodów i wspierać pracę śledczą swoim sporym doświadczeniem. Rainie natomiast wraz z Lukiem i trzema ochotnikami powinna prowadzić przesłuchania i sporządzić dokumentację. Miejscowi funkcjonariusze lepiej znali mieszkańców miasteczka, a poza tym nauczyciele i rodzice zapewne woleliby współpracować z nimi, niż z policją stanową.

Rainie nie miała nic przeciwko temu, żeby Abe zbadał miejsce przestępstwa. Wiedziała, że potrzebuje pomocy. Ale nie mogła i nie powinna była rezygnować z kierowania śledztwem. I w ogóle nie ma o czym mówić.

A przynajmniej tak jej się wydawało jeszcze o siódmej rano.

– Zawaliłaś sprawę – oznajmił Sanders, najwyraźniej zniecierpliwiony, że nie dotarło to do niej za pierwszym razem. – Jesteś niedoświadczona, nie radzisz sobie.

– Zabezpieczyłam miejsce zbrodni i aresztowałam mordercę. Rzeczywiście powinnam się wstydić.

– Stratowałaś miejsce zbrodni – poprawił ją kąśliwie. – Mój Boże, wpuściłaś sanitariuszy. Nigdy nie widziałaś ich w akcji? Trzeba było jeszcze zaprosić straż pożarną i wyprawić przyjęcie.

– Kazałam Waltowi zaczekać. A on się nie zastosował do mego rozkazu, za co Bradley Brown jest mu zapewne bardzo wdzięczny.

– Brown mógł i tak przeżyć.

– Mógł przeżyć? Dostajecie prowizję od każdego zabitego, czy co?
Sanders pozostał niewzruszony.

– Sanitariusze zdeptują miejsce przestępstwa. To chyba oczywiste. Podobnie zrozpaczeni rodzice szukający swoich pociech i szkolni biurokraci, którzy próbują się doliczyć...

– Przyjechaliśmy najszybciej, jak było można. Geografia jest też dość oczywista, a geograficznie dzieliło nas od szkoły piętnaście minut drogi. Nie miałam wpływu na to, co działo się przed waszym przybyciem.

– No, dobrze. A kiedy już tam dotarliście? Kto strzelił z własnej broni? Dokładnie na miejscu przestępstwa? – Uniósł brwi.

– Podejrzany celował we mnie! – krzyknęła z oburzeniem Rainie. – Szanuję przepisy, ale nie zamierzam dla nich umierać.

– Aha, rozumiem. Bałaś się o swoje życie, więc strzeliłaś w sufit. Rzeczywiście, mój błąd. Wszystko jest bardzo logiczne.

– Ty, draniu...

Zacisnęła pięści. Policzyła powoli do dziesięciu i właśnie kończyła, kiedy w drzwiach ukazał się nieznajomy mężczyzna. On też, podobnie jak Sanders, miał na sobie starannie wyprasowany garnitur. Niech Bóg się nade mną zlituje, jęknęła w duchu Rainie, goście z policji stanowej rozmnażają się.

Zmusiła się, żeby rozewrzeć dłonie i przybrała spokojniejszy ton.

– Napisałam o tym w raporcie, który z pewnością przeczytałeś i poprawiłeś, czepiając się rozmiaru czcionki. W ostatniej chwili ojciec podejrzanego rzucił się do przodu i wpakował prosto na linię strzału.

– A więc łatwo ci przychodzi pociąganie za spust? Chcesz, żeby w ten sposób opisano cię w aktach?

– Hej, czy ty kiedyś musiałeś sięgnąć po broń? Czy ktoś cię kiedyś usiłował podziurawić? Co ty, do diabła, możesz wiedzieć o strzelaniu?

Sanders spojrział na nią ze złością. Czyżby ten chodzący ideał nigdy nie znalazł się w opałach? No i kto tu jest niedoświadczony? Ale triumf Rainie nie trwał długo.

– Pozostają jeszcze problemy związane z aresztowaniem. – Abe znowu ruszył do ataku.

– Niby jakie?

– Przede wszystkim, przesłuchanie. Rozmawiałaś wcześniej z prokuratorem okręgowym?

– Wezwałam Rodrigueza, żeby wziął udział w przesłuchaniu. Wszystko zgodnie z przepisami.

– Chyba jednak nie wszystko. Prawnik O’Grady’ego już próbuje unieważnić...

– A myślałaś, że poprosi o włączenie zeznań klienta do dowodów?

Sanders zignorował jej sarkazm.

– Twierdzi, że chłopak był w szoku, więc nie mógł świadomie żądać ochrony swoich praw. Podkreśla też, że pytaniami sugerowałaś odpowiedzi, co jest niedopuszczalne przy przesłuchiowaniu osoby młodocianej. Zebrał już ekspertów, którzy stwierdzą że skłoniłaś dzieciaka do powiedzenia dokładnie tego, co chciałaś usłyszeć.

– Jasne, bardzo chciałam usłyszeć, że syn mojego szefa zabił trzy osoby – burknęła Rainie i z rezygnacją machnęła ręką. – Świetnie. Dzięki Bogu, mamy jeszcze pozytywne wyniki testu na obecność prochu i dwie sztuki broni jako dowód. Na tej podstawie można zbudować cholernie solidne oskarżenie.

Sanders uśmiechnął się nieznacznie. Po raz pierwszy Rainie zrozumiała, że będą prawdziwe kłopoty.

– Tak. Ślady prochu, wykryte na rękach i ubraniu Danny’ego O’Grady. Nagle przeobraził się w adwokata o zaciętej minie. – Czy to prawda, Conner, że oddała pani strzał ze swojej broni na miejscu przestępstwa?

– Tak, już wyjaśniłam...

– Czy to prawda, że przy każdym strzale emitowane są drobiny prochu? Oczywiście, ale przecież nie stałam nad Dannym...

– Ale miałyby je pani na rękach, prawda? A potem, czy nie zrewidowała pani podejrzanego, Danny’ego O’Grady? Nie dotykała pani jego ubrań, ramion i rąk w poszukiwaniu broni i przy zakładaniu kajdanek? A jeśli ślady prochu, wykryte na ubraniu i dłoniach oskarżonego, w rzeczywistości zostały przeniesione przez panią?

Rainie była zupełnie oszołomiona. Chryste, o tym nie pomyślała. Wszystko działo się tak szybko. Najpierw strzeliła w sufit, żeby nie zabić Shepa i jego dzieciaka. Potem musiała natychmiast skuć Danny'ego. Co niby miała zrobić? Poprosić podejrzanego, żeby grzecznie poczekał, a ona w tym czasie pobiegnie do łazienki i umyje ręce?

– W laboratorium mogą zrobić więcej testów – wybąkała rozpaczliwie. – Są różne rodzaje prochu. Mogą wykazać, które ślady są które.

– Och, będą próbować – zapewnił ją Sanders, na powrót przyjmując swój normalny jadowity ton. – Ale jeszcze nie wiemy, czy to się uda. Wygląda na to, że Danny korzystał z amunicji ojca, a tak się składa, że Shep zamawia naboje na użytek swój i swoich podwładnych u tego samego producenta. Ciekawe, co?

Rainie czuła, że głowa jej pęka. O mało nie zaczęła odruchowo masować sobie skroni, ale przecież nie mogła sobie pozwolić na taką manifestację słabości. Poza tym w drzwiach wciąż stał obcy facet, przysłuchując się wszystkiemu bez cienia poszanowania dla cudzej prywatności. Jeśli był reporterem, chyba go zabije.

– Czy mamy przynajmniej broń, z której strzelano? – zapytała Abe'a, bo to on zajmował się dowodami.

– Broń przesłano do zbadania. Nie dostaliśmy jeszcze wyników.

– A jakie mogą być? Jeśli wszystko inne weźmie w łeb, są przynajmniej odciski Danny'ego na broni. To już coś.

– Na broni nie ma odcisków – oznajmił chłodno Sanders.

– Co? Niemożliwe. Przecież widziałam, jak trzymał obie spluwy. Kazałam Shepowi opuścić budynek, zanim wyprowadziliśmy chłopca. Nikt nie mógł ich wytrzeć.

– I nie wytarł, tylko całkowicie rozmazał. Czego można się zresztą spodziewać, kiedy doświadczony policjant udaje, że wyrywa broń swojemu dziecku?

– Nie – jęknęła Rainie.

– Czemu nie? Bo Shep jest twoim szefem? Bo masz wobec niego

dług wdzięczności?

– Dosyc. To nie ma żadnego związku ze sprawą.

Ale obstawał jednak przy swoim.

– Właśnie że ma. W rękach dobrego adwokata, Conner, znaczenie może mieć plakat Andy'ego Gibba, który całowałaś co noc jako uczennica podstawówki. Zrobiłem mały wywiad. Czternaście lat temu aresztowano cię pod zarzutem morderstwa. Byłaś wówczas w trudnym wieku dorastania. Aresztował cię niejaki Shep O'Grady. A kto postarał się, żeby oddalono zarzuty? Niejaki Shep O'Grady.

– Bo zrozumiał, że się pomylił.

– Kogo to obchodzi? Faktem jest, że pracujecie razem, ty bywasz u niego w domu na obiadkach, czternaście lat temu wyciągnął cię z poważnych tarapatów, a sześć lat później dał ci pracę, na co niektórzy po dziś dzień kręcą nosem. Myślisz, że to nie wyjdzie podczas procesu? Shep jest lojalny wobec Danny'ego; ty jesteś lojalna wobec Shepa. Byliście sami na miejscu przestępstwa. Musisz przyznać, że twoja wiarygodność nie jest warta funta kłaków.

– Na pewno nie preparowaliśmy żadnych dowodów. Nie było cię wtedy w szkole. Nie wiesz, co się tam działo.

Sanders milczał przez chwilę. Wreszcie odezwał się cichym, złowieszczym głosem. – Nie wydaje mi się, żebyś i ty wiedziała, co się działo. Shep przekazał ci dowództwo, zanim jeszcze dotarł na miejsce zbrodni. Dlaczego? Kiedy przyjechałaś do szkoły, wóz Shepa już tam był, ale przez czterdzieści pięć minut jego samego nikt nie widział. Gdzie się ukrył? Co robił?

– Powiedział ci. Danny przetrzymywał go w klasie.

– Aby na pewno? Czy ktoś może to potwierdzić? Z tego co wiem, przeszukiwałaś całą szkołę, a oni ani razu nie wyściubili nosów na korytarz. Pokazali się dopiero, kiedy miałaś już wejść do tej sali. Odegrali dla ciebie małe przedstawienie, które zmusiło cię do pociągnięcia za spust i zatarcia kluczowych śladów, a Shepowi O'Grady pozwoliło zająć się dwoma pozostałymi dowodami. Wszystko do siebie pasuje, nie uważasz?

Rainie nie wierzyła własnym uszom.

– Chcesz powiedzieć, że Shep zaaranżował konfrontację między funkcjonariuszem policji a własnym synem, licząc na to, że zniszczy tym samym część dowodów przeciw Danny'emu?

– Nie chodziło o jakiegokolwiek glinę, Conner. Zaaranżował to wszystko z myślą o tobie. Znasz Danny'ego od ośmiu lat. Do diabła, wszyscy w tym mieście wiedzą, że razem z Lukiem nie raz, nie dwa pilnowaliście chłopca popołudniami w biurze szeryfa. Jakie były szanse, że strzelisz?

– Shep jest uczciwy. Nie manipulowałby dowodami.

– Jest ojcem. Nie łudź się.

– Byłam tam, widziałam wszystko. Wiem, co się stało.

– No cóż, O'Grady już rozgłasza po całym mieście, że dowody są wątpliwe i jego dzieciak na pewno wyjdzie na wolność. Kto twoim zdaniem rozkolportował wiadomość, że oddałaś strzał przed zrewidowaniem Danny'ego? Kto twoim zdaniem rozgłasza, że badanie miejsca przestępstwa zostało spieprzone? Shep ma swoje prywatne cele. A ty nie chcesz ich dostrzec i dlatego musisz oddać dochodzenie. Komuś, kto jest całkowicie obiektywny. Komuś, kto ma doświadczenie.

– Komuś, kto lubi dobrze wypaść w telewizji. Tym razem Sanders stracił cierpliwość.

– Conner, doprowadzam do skazania dziewięćdziesiąt procent podejrzanych. Możesz mnie nienawidzić, jeśli chcesz, ale okaż mi trochę szacunku. To tobie ambicja nie pozwala oddać śledztwa. Ja tylko chcę rozprawić się z mordercą, żeby wszyscy mogli żyć dalej spokojnie.

– W takim razie jesteś idiotą – stwierdziła bez ogródek Rainie. – Naprawdę myślisz, że poczujemy się lepiej, zamykając za kratkami trzynastolatka? W ten sposób załatwimy sprawę? Za każdym razem, przejeżdżając koło tej szkoły, będę zachodzić w głowę, co tam się naprawdę wydarzyło. I nie tylko ja. Również wszyscy rodzice i nauczyciele. Co popchnęło chłopaka do morderstwa? Dlaczego dwoje dzieci musiało zginąć? Dlaczego nie udało się temu zapobiec?

– Bardziej niż aresztowania – ciągnęła już całkiem spokojnie – to

miasto potrzebuje wyjaśnienia podłoża tragedii i ja zamierzam dociec, w czym rzecz. A teraz żegnam, detektywie. Możesz sobie darować dalsze próby urabiania Rodrigueza. To naprawdę nic nie da.

Wróciła za biurko i ciężko opadła na krzesło. Chwilę później z satysfakcją usłyszała, jak Sanders na dole wściekle wali drzwiami. Ale nie poprawiło jej to nastroju. Wojna z detektywem zaczynała ją już męczyć.

I niepokoić. Ten gnojek miał trochę racji: wczoraj spieprzyła sprawę. Wykonała zadanie najlepiej jak potrafiła, jednak dla organów sprawiedliwości nie miało to żadnego znaczenia. Schwytała podejrzanego, ale zniszczyła dowody. Wkrótce władze uznają, że Rainie nadaje się tylko do papierkowej roboty.

A mieszkańcy Bakersville zakwestionują jej wiarygodność. Będą szeptać. Oczywiście, to małe miasteczko. Gdyby ludzie nie szeptali w czasie długich, deszczowych zim, wszyscy by powariowali.

Ta Conner jest twarda. Trzeba na nią uważać. Zabiła własną matkę.

Rainie westchnęła i zdała sobie sprawę, że facet w granatowym garniturze wciąż się jej przygląda.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytała ostro.

– Lorraine Conner?

– To zależy. A kim pan jest?

Uśmiechnął się, unosząc lekko jeden kącik ust. Zmarszczki przy oczach pogłębiły się. Uśmiech ten olśnił ją. Szczupła twarz łowcy. Świdrujące spojrzenie błękitnych oczu. Zapominając się na chwilę, Rainie zatrzymała na przybyszu wzrok dłużej, niż wypadało. Poczula się zażenowana. Kimkolwiek był, wołałaby, żeby już sobie poszedł.

– Agent specjalny Pierce Quincy z FBI.

– O kurde.

Znowu uśmiechnął się po swojemu. I znów to samo wrażenie, chociaż teraz już była mądrzejsza i udało jej się zapanować nad wyrazem twarzy. Zapragnęła wziąć do ręki butelkę piwa.

Agent wszedł do pokoju i, nie czekając na zaproszenie, usiadł.

– Ten facet to pewnie policja stanowa?

– Jej wysokość Chodząca Doskonałość reprezentuje stanowy wydział zabójstw. Niech Bóg ma nas wszystkich w opiece.

– Dziewięćdziesiąt procent skazanych robi wrażenie.

– Podobnie jak jego ortografia. A mimo to ma się go dość po pięciu minutach rozmowy.

– Problemy ze śledztwem?

– Spieprzyłam je koncertowo – zapewniła uprzejmym tonem.

– A teraz spoczywa pani na laurach?

– Bynajmniej. Planuję następny występ.

Znowu zadrżały mu kąciki ust. Rainie z zadowoleniem zauważyła, że go rozbawiła, ale nadal nie miała nastroju na pogawędkę. Pochyliła się w stronę gościa i przeszła do rzeczy.

– Więc czego pan chce? Jestem zmęczona, muszę przeprowadzić dochodzenie w sprawie potrójnego morderstwa i nie zamierzam rezygnować ze śledztwa. Na wypadek, gdyby pan nie wiedział.

– Przyjechałem pomóc...

– Gówna prawda.

– No dobrze, jestem jeszcze jednym biurokrata, który przyszedł na świat, żeby mącić ludziom w głowach i kwestionować ich umiejętności.

– Nareszcie ktoś szczerzy w organach ścigania.

– Chcę też porozmawiać z Danielem O’Grady.

W tę odpowiedź Rainie akurat mogła uwierzyć. Nie była tylko pewna, co się za nią kryło.

Przechyliła krzesło do tyłu i z roztargnieniem położyła jedną nogę na biurku, a potem skrzyżowała na niej drugą. Mięśnie wciąż ją bolały po porannym biegu. Przeciągnęła się, rzucając agentowi specjalnemu Pierce’owi Quincy kolejne taksujące spojrzenie.

Doświadczony, pomyślała, zna się na swoim fachu. Pewnie po czterdziestce. Lekka siwizna na skroniach pasowała do krótko przystrzyżonych włosów i eleganckiego garnituru. Dodawała powagi. Rainie była gotowa się założyć, że agent specjalny Pierce Quincy robił wiele, żeby podkreślić swój autorytet. Chociaż nie musiał się bardzo wysilać. Wystarczyło spojrzeć w jego oczy o świdrującym, twardym

spojrzeniu. Facet widział w życiu niejedno. Nic go już pewnie nie przerastało. Przez chwilę Rainie szczerze mu zazdrościła.

– Tropiciel? – zapytała, choć właściwie знаła odpowiedź.

– Też. Poza tym prowadzę wykłady i pracuję dla Sekcji Badań Behawioralnych.

– Zajmuje się pan seryjnymi mordercami?

– Seryjnymi mordercami, gwałticielami, pedofilami – wyliczył nie mrugnawszy okiem. – Dlatego miewam bardzo przyjemne sny.

– Czego pan chce od Danny'ego? To przecież nie seryjny morderca.

– Jasne. Ale oskarża się go o masową zbrodnię, a w dodatku jest jeszcze bardzo młody, co znacznie komplikuje sprawę. Niestety niewiele wiemy o tego typu przestępczości, stąd kierunek moich badań.

Rainie uniosła brwi.

– Wziął pan na tapetę strzelaniny w szkołach?

– Zgadza się.

– Jeździ pan od miasta do miasta i przesłuchuje dzieciaki, które zamordowały inne dzieci?

– Tak.

Pokręciła głową. Nie wiedziała, czy jest bardziej zdumiona, czy pełna podziwu.

– Z wypadkami drogowymi nieźle sobie radzę – oświadczyła. – Z pijackimi burdami, bójkami na noże, nawet od czasu do czasu z domowymi awanturami też. Ale to, co się stało wczoraj w szkole... Jak można zajmować się takimi sprawami na okrągło? I nie budzić się co noc z krzykiem?

– Bez obrazy, ale po prostu mam trochę więcej doświadczenia, jeśli chodzi o brutalne przestępstwa.

Rainie skrzywiła się.

– Dziękuję. Jakbym nie słyszała tych słów tuzin razy dziś rano. – Wyprostowała się na krześle i opuściła nogi na podłogę. – No cóż, przykro mi o tym mówić, ale wątpię, czy uda się panu pogadać z Danny'm. Rodzice załatwili mu świetnego adwokata. Położył szlaban na wszelkie rozmowy. Chociaż Danny dwa razy przyznał się do winy, a w

rękach trzymał broń, narzędzie zbrodni, prawnik pewnie będzie dowodził jego niewinności.

– A pani myśli, że chłopak jest winny?

– Myślę, że mam do przeprowadzenia dochodzenie.

– Ostrożna odpowiedź.

Uśmiechnęła się do niego chytrze.

– Może i jestem niedoświadczona, agespie, ale szybko się uczę.

– Agespie?

– Agent specjalny w języku miejscowych organów ścigania. Wie pan, my tu nie oglądamy się zbyt na tytuły.

– Rozumiem. – Wydawał się nieco oszołomiony.

Rainie odniosła wrażenie, że nie wie jeszcze, co ma o niej sądzić ani jak się z nią obchodzić. Ucieszyło ją to. Lubiła dawać federalnym do myślenia. W końcu mogło to być jej jedyne osiągnięcie.

Chyba go rozszyfrowała. Ale gdy tylko poczuła przyływ samozadowolenia, Quincy ruszył do ataku. Oświadczył spokojnym głosem.

– Nie wydaje mi się, żeby to Daniel O'Grady strzelał w szkole. I pani też nie jest tego pewna. Oboje wciąż się zastanawiamy, co naprawdę wydarzyło się wczoraj po południu. I co więcej: jak to udowodnić.

Środa, 16 maja, 11.43

Jechali do szkoły. Quincy siedział na miejscu pasażera i wyglądał przez szybę. Wiedział, że w jego oczach musi malować się niedowierzenie. Nie był w Oregonie od wielu lat i zapomniał już o oszałamiającej urodzie tego stanu. Dolinę otaczały wysokie góry o wierzchołkach gęsto porośniętych jodłami. Mijali falujące zielone łąki, na których pasły się stada czarnobiałych krów rasy holsztyńskiej, i czerwone domki z kępkami żółtych bratków w ogródkach. Quincy'ego upajał zapach świeżo skoszonej trawy i słonego morskiego powietrza.

Wielkie ciężarówki mijaly ich z rykiem potężnych silników. Ludzie machali do Rainie, a kilka czarnych labradorów dyszało radośnie z wywalonymi jęzorami w otwartych okienkach samochodów. Wszyscy zwalniali za wlokącym się szosą traktorem. Nikt nie trąbił na starego farmera, nikt nie wrzeszczał, żeby zjechał na bok. Kierowcy czekali i pozdrawiali go uprzejmie, gdy już mieli wolną drogę. W odpowiedzi staruszek dotykał daszka wyblakłej, czerwonej baseballówki.

– To Mike Berry – wyjaśniła Rainie, wyprzedzając szerokim łukiem zielony traktor. Przerwała milczenie po raz pierwszy, odkąd wsiedli do wozu.

On i jego brat mają największe w okolicy farmy mleczne. W zeszłym

roku wykupili trzy gospodarstwa, zniszczone przez powódź. Jedno z nich należało do Carla Simmonsa, schorowanego sześćdziesięcioletka bez rodziny. Mike wypłaca mu zasiłek i Carl może zostać w swoim dawnym domu aż do śmierci i o nic się nie martwić. Bracia Berry to dobrzy ludzie.

Nie wiedziałem, że jeszcze gdzieś są takie miejsca – wyznał szczerze Quincy.

Rainie odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

– Bo nie ma.

Znowu zajęła się prowadzeniem samochodu. Quincy już jej nie przeszkadzał. Zauważył, że wpadła w melancholijny nastrój i, prawdę mówiąc, sam też czuł się niezbyt radośnie. Pomimo całego gadania o dystansie i profesjonalizmie, ciężko mu było delectować się pięknymi widokami i jednocześnie rozmyślać o rzezi, która miała miejsce w tutejszej szkole podstawowej. Jak dotąd niewiele rzeczy w Bakersville odpowiadało oczekiwaniom Pierce'a Quincy.

Nie wyłączając Lorraine Conner. Większość znanych mu policjantek miała szerokie ramiona i duże tyłki. Typowe babochłopy. Ale nie ona. Rainie była wysoka i smukła, a jej wysportowane ciało zwracało uwagę apetycznymi zaokrągleniami. Długie, kasztanowe włosy otaczały ładną twarz o wydatnych kościach policzkowych, silnie zarysowanej szczęce i pełnych wargach.

I te oczy. Ani niebieskie, ani szare. Quincy przypuszczał, że ich odcień zmieniał się wraz z nastrojem. W chwilach zadumy stawały się miękkie, łagodne, a w złości lodowate. A gdy coś Rainie intrygowało? Czy wówczas skłaniała głowę lekko w bok, rozchyłała usta jakby w oczekiwaniu na pocałunek?

Quincy otrząsnął się z rozmarzenia i poruszył niespokojnie w fotelu. To nie było do niego podobne, żeby myśleć w ten sposób o policjantce. Praca to praca. Zwłaszcza ostatnio.

Postarał się skoncentrować na zawodowych umiejętnościach panny Conner. Była niedoświadczona, czego dowodziły podstawowe błędy, popełnione na miejscu przestępstwa i przy zatrzymaniu podejrzanego.

Ale nie uważał jej za głupią. Po raz Bóg wie który doszedł do wniosku, że jest uparta, bystra i ma wrodzony zmysł analityczny. A poza tym? Zawzięta, lojalna wobec mieszkańców rodzinnego miasta, czasami dumna aż do przesady. Podejrzał, że praca jest dla niej całym życiem, że ma niewielu bliskich przyjaciół i niewiele pozazawodowych zainteresowań. Oczywiście, trochę improwizował. Opierał się głównie na typowej charakterystyce dziecka alkoholików, które mogło wybrać jedną z dwóch dróg – pójść w ślady rodziców lub rzucić się w pracoholizm. Pierwsza możliwość w przypadku Rainie raczej odpadała, zostawała więc ta druga. Ciekawe, czy odgadł prawidłowo?

W sumie nie była policjantką, jakiej oczekiwał. Kogo innego prawdopodobnie spodziewał się też Abe Sanders. Stąd te przepychanki. Z całym szacunkiem dla personelu biura szeryfa w Bakersville, jednak małomiasteczkowi policjanci, choć byli w większości zacnymi ludźmi, nie odznaczyli się szczególną bystrością. Zarabiali jakieś dwadzieścia tysięcy rocznie. Prowadzili rutynowe dochodzenia. Z czasem zaczęli uważać się za panów swych maleńkich królestw, a resztki ich zdolności analitycznych zanikały, gdy w piątkowe wieczory patrolowali stadiony piłkarskie.

Quincy natomiast był aroganckim agentem federalnym, któremu płacono tyle, że mógł patrzeć z góry na przedstawicieli wszystkich innych rodzajów organów ścigania.

Zjechali z wiejskiej szosy. Pola ustąpiły miejsca domom mieszkalnym. Kilka minut później ujrzeni przed sobą duży biały budynek szkoły. Żółta taśma policyjna otaczała parking, a chodnik przy ogrodzeniu tonął w kwiatkach.

Rainie zatrzymała wóz.

– Nie byłaś tu jeszcze dzisiaj, prawda? – zapytał cicho Quincy.

Pokręciła głową, nie mogąc oderwać spojrzenia od kwiatów, baloników i pluszowych misiów. Siatkę zdobiły pojedyncze róże, wstążki, krzyżyki, laurki „Kochamy panią, panno Avalon” i duże serce z goździków z napisem „Dla mojej córeczki”.

Oczy Rainie rozbłysły mocniej niż zwykle. Pociągnęła głośno nosem.

Quincy wiedział, że policjantka z całych sił stara się nie rozplakać. Taktownie odwrócił wzrok.

– Zdumiewające – odezwał się po chwili. – Z jednej strony te potworne zbrodnie budzą strach przed tym, co w człowieku najgorsze. No, bo co to za społeczeństwo, gdzie dzieci strzelają do swoich kolegów? A z drugiej strony wyzwalają się w nas ludzkie odruchy. Akty odwagi. Jedni pomagają drugim przeżyć, sanitariusze ruszają na ratunek, nauczyciele narażają życie, żeby unieszkodliwić sprawcę. Brat osłania siostrę własnym ciałem, kobieta udziela pierwszej pomocy obcemu dziecku, tłumiąc strach o własne. Wstrząśnięci ludzie wysyłają kwiaty, wiersze, świeczki, by dać rodzinom ofiar do zrozumienia, że nie są osamotnione. Teraz Bakersville jest w myślach i modlitwach całego świata.

Rainie otarła kąciaki oczu i zamrugowała kilka razy powiekami.

– Wczoraj – powiedziała zduszonym głosem – rozeszła się wiadomość, że szpital potrzebuje więcej krwi dla ofiar. Bractwo Elk natychmiast udostępniło swoją siedzibę Czerwonemu Krzyżowi. I ani się ktokolwiek obejrzał, a już ustawiała się długa na cztery przecznice kolejka ochotników. Sklep spożywczy rozesłał w tłum sprzedawców z darmową lemoniadą. Parę starszych pań zaopiekowało się młodszymi dziećmi. Ludzie stali w tej kolejce po dwie, trzy godziny, ale nikt nie narzekał. Wszyscy powtarzali, że chociaż tyle powinni zrobić. „Bakersville Herald” pisał dzisiaj o tym na pierwszej stronie. Samej strzelaninie poświęcony był mniejszy artykuł. Wielu osobom się to nie spodobało, ale nie wiem, czy słusznie.

– W zbrodni zamieszane są jednostki, ale jej skutki dotyczą całe miasto.

– Coś w tym sensie. Wczoraj większość dnia spędziłam w tym budynku, więc, jeśli pozwolisz, teraz chciałabym mieć to jak najszybciej za sobą. – Nawet nie zauważyła, kiedy przeszli na „ty”. – Nie jestem doświadczonym tropicielem morderców, a ta szkoła obfituje w miejsca, na które z trudem mogę patrzeć.

Quincy z notesem w dłoni ruszył za swoją przewodniczką. Jego

umysł pracował już pełną parą.

Lorraine Conner zgodziła się oprowadzić go po miejscu przestępstwa, żeby mógł sporządzić notatki. Sama też chciała jeszcze raz rzucić na to wszystko okiem. Quincy nie wspominał o współpracy, ale podobnie jak Rainie żywił pewne wątpliwości co do winy Danny'ego. Godziła się więc bez oporów na pomoc takiego obserwatora i eksperta. Oświadczyła jednak bez ogródek, że gdy tylko spróbuje przejąć sprawę, rozerwie go na strzępy. I złożyła tę obietnicę ze śmiertelnie poważną miną.

Do zalet funkcjonariuszki Conner najwidoczniej nie należało owijanie słów w bawełnę. Najdziwniejsze, że akurat to zdecydowanie mu się w niej podobało.

Opustoszałym korytarzem przeszli na tyły szkoły. Quincy zauważył rozsypany na podłodze proszek. Małe fragmenty płytek, na których pewnie znaleziono krew, zostały wycięte i zabrane do laboratorium.

Według Rainie technicy policyjni zakończyli pierwszą część prac dopiero rano. Teraz nastąpią kolejne etapy śledztwa, podczas których zespół dochodzeniowy postara się doprowadzić do rekonstrukcji wydarzeń. Zebrane zostaną ogromne ilości materiału do przebadania i miną miesiące, zanim policja przez to wszystko przebrnie. Quincy szacował, że w szkole tych rozmiarów odnaleźć można tysiące odcisków butów i linii papilarnych. Dokumentacja miejsca przestępstwa rozrośnie się pewnie do kilku tomów.

– To tutaj zastałam Walta i Emery'ego przy Bradleyu Brownie – przerwała te rozmyślenia Rainie, wskazując zakrwawione miejsce na przecięciu dwóch szerokich korytarzy. Spojrzała na Quincy'ego wyczekująco.

– Brown był przytomny?

– Tak. Zapytałam go, czy coś widział, ale powiedział, że nie. Usłyszał strzały, zaczął biec korytarzem, skręcił w prawo i bum.

Quincy odwrócił się w prawo, gdzie na podłodze widniały zarysy trzech ciał.

– To wszystko stało się tam?

– Tak sądzimy.

– Na korytarzu, nie w klasie.

– Zgadza się.

– W jaki sposób Danny znalazł się na korytarzu?

– Nauczyciel twierdzi, że po przerwie obiadowej chłopiec w ogóle nie pojawił się w klasie. Pan Watson zwrócił na to uwagę, ale ponieważ Danny prawie nigdy się nie spóźniał, uznał, że musi mieć ku temu jakiś ważny powód.

– O której to było?

– W szkole są trzy przerwy obiadowe. Danny korzystał z tej ostatniej, która kończy się o pierwszej dwadzieścia. Uczniowie mają pięć minut na powrót do klas. O pierwszej dwadzieścia pięć jest dzwonek. O pierwszej trzydzieści pięć dyspozytorka dostała wiadomość o strzałach.

– Więc Danny nie wraca na lekcję. A dziewczynki znajdują się na korytarzu, bo... ?

– Alice musiała wyjść do łazienki. Sally była jej przyjaciółką, a w trzeciej klasie wszędzie chodzi się parami. Nauczycielka pozwoliła im iść razem.

– A ostatnia ofiara, Melissa Avalon? Jest sama w pracowni?

– Tak, to jej pora lunchu. Pracownia jest otwarta, żeby uczniowie mogli z niej korzystać w trakcie przerwy. Avalon zamyka drzwi dopiero o pierwszej dwadzieścia.

– A więc dzień jakich wiele? O pierwszej dwadzieścia nauczycielka zawsze zostawała sama?

Rainie kiwnęła głową, z łatwością podążając za jego tokiem rozumowania.

– Wszystko wskazuje na to, że to ona była celem, prawda? Sally i Alice przypadkowo zjawiły się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie.

– Tak przypuszczam, ale nie wyciągajmy zbyt pochopnych wniosków. – Quincy zajął do schowka woźnego i na widok bałaganu ściągnął brwi. – Rozumiem, że funkcjonariusz Cunningham to kawał chłopca – burknął.

Rainie skrzywiła się.

– Starał się, jak mógł. Było naprawdę gorąco.

– Becky O’Grady ukryła się w tym schowku?

– Tak. Leżała zwinięta w kłębek w najciemniejszym kącie. Najwyraźniej była pod wpływem szoku. Niczego z niej nie wyciągnęłam. Podobno Sandy zabrała ją na pogotowie, ale lekarz stwierdził, że mała potrzebuje tylko czasu, żeby dojść do siebie.

– Myślisz, że widziała, co się stało?

– Nie wiem. Luke rozmawiał rano z jej nauczycielką. Pani Lund twierdzi, że Becky nie wychodziła z sali przed strzelaniną. Podejrzewa, że oddzieliła się od reszty klasy, kiedy dzieci uciekały w panice do wyjścia. Minęło dobre trzydzieści czy czterdzieści minut, zanim pani Lund zorientowała się, że Becky zniknęła.

– No więc mamy teraz dwa pytania. – Quincy odliczał na palcach. – Po pierwsze, co się działo z Dannym O’Grady między końcem przerwy obiadowej, czyli pierwszą dwadzieścia a chwilą, kiedy go odnalazłaś o...

– Około drugiej czterdzieści pięć.

– To prawie półtorej godziny. – Quincy zmarszczył brwi.

Rainie uśmiechnęła się słabo.

– Nie do końca. Przez część czasu był z nim Shep. Twierdzi, że dotarł do szkoły tuż po pierwszej czterdzieści pięć. Uczniowie już opuścili budynek. Biegł korytarzem i natknął się tam na Danny’ego, który oszołomiony podnosił właśnie spluwy z podłogi.

– Podnosił? Och, bardzo mi się to podoba. Czyli chłopak miał je w ręku przypadkiem.

– Ty też nie wierzysz Shepowi?

– Nie jest najbardziej obiektywnym świadkiem – zauważył Quincy.
– Na razie obstaję przy mojej teorii: nie wiemy, co robił Danny między pierwszą dwadzieścia a drugą czterdzieści pięć. Pozostaje nam jeszcze drugie pytanie. Co się działo z Becky O’Grady od mniej więcej pierwszej trzydzieści pięć do twojego pojawienia się o około pierwszej pięćdziesiąt. – Znowu zmarszczył brwi. – Nie podoba mi się, że nic nie wiadomo o poczynaniach dwójki uczniów, którzy, jak się okazuje, są

rodzeństwem. Nie wierzę w takie zbiegi okoliczności.

– Chyba nie sądzisz, że Becky miała z tym coś wspólnego? – zaprotestowała Rainie. – Na litość boską, ona ma zaledwie osiem lat!

– Ktoś z nią rozmawiał od tamtej pory?

– Luke Hayes i Tom Dawson będą próbowali ją przesłuchać dziś po południu. Ale nie jestem optymistką. Shep i Sandy zachowują się teraz dosyć nieufnie, a nie mamy prawa przesłuchiwać dziecka pod nieobecność rodziców. Wątpię, czy coś z tego wyjdzie.

– Możesz poprosić prokuratora okręgowego, żeby powołał dziewczynkę na świadka.

Rainie wzruszyła ramionami.

– Już to rano przerabiałam. Według Rodrigueza i tak nie wymusimy tych zeznań. Rodzice każą jej na wszystko odpowiadać „Nie pamiętam”. Wydaje mi się, że jeśli chcemy coś z Becky wskórać, musimy działać delikatnie. Kto wie? Shep i Sandy przecież też zastanawiają się, co naprawdę wydarzyło się wczoraj. Może wcześniej czy później pozwolą małej mówić. Może nawet zgodzą się, żeby Luke zadał jej dzisiaj parę pytań. Ale nie dam sobie głowy uciąć.

– Jak dobrze ich znasz? – zapytał Quincy.

– Dobrze.

Quincy kiwnął głową. Nie chciał jej dłużej męczyć. Rainie bezwiednie skrzyżowała ręce na piersi, jakby próbowała odgrodzić się od otaczającego ją koszmaru. Ten gest sprawił, że wyglądała na młodszą, bardziej bezbronną. Wpatrywała się w obrys ciała Melissy Avalon. Wszyscy twierdzili, że panna Avalon też była piękna, wrażliwa i oddana swojej pracy.

Bez słowa ruszyli korytarzem w stronę potłuczonych drzwi. Quincy zatrzymał się przy wejściu do sali położonej naprzeciw pracowni komputerowej.

– Danny wyszedł z tej klasy?

– Tak. Trzymając Shepa na muszce.

– Miał przy sobie dwudziestkę dwójkę i trzydziestkę ósemkę?

– Tak.

– Jakie sprawiał wrażenie?

– Wyglądał na zdenerwowanego. Pobudzonego. – Rainie zmarszczyła czoło, zastanawiając się nad odpowiedzią. – Był wrogo do ojca nastawiony.

– Nic dziwnego, skoro trzymał go na muszce.

Policjantka pokręciła głową.

– Chodziło o coś więcej. Shep powtarzał, że wszystko będzie dobrze, a potem próbował skłonić chłopca, żeby nie rozmawiał ze mną. Brzmiało to jak rozkaz, a Danny coraz bardziej zamykał się w sobie. Myślę, że strasznie boi się ojca. Shep próbuje wychowywać go na twardziela.

– Co masz na myśli?

– W szkole Shep był gwiazdą drużyny piłkarskiej. Przepadał za sportem. A Danny... – Rainie wzruszyła ramionami. – Jest drobny jak na swój wiek, nie radzi sobie zbyt dobrze na boisku. O’Grady pewnie myśli, że chłopak za mało się przykłada, a Danny marzy, żeby stary zostawił go w spokoju.

– Słyszałaś, żeby Shep kiedykolwiek wyrzucał synowi, że jest głupi?

Znowu pokręciła głową.

– Myślisz o nagraniu z przesłuchania, prawda? O obsesji Danny’ego na punkcie inteligencji. To właśnie najbardziej mnie dziwi. Widzisz, Shep nie jest typem ojca, który awanturuje się o stopnie. Bardziej przejąłby się kiepskimi wynikami na boisku. Ale kiepskie oceny w dzienniczku? Cóż, zdarza się. Nie wiem, skąd u Danny’ego taka reakcja.

– Danny ma jakichś bliskich przyjaciół?

– Cały czas nad tym pracujemy.

– Potrzebujemy pełnej listy uczniów, których wczoraj nie było w szkole, razem z informacjami, czy znali Danny’ego i czy mogą usprawiedliwić swoją nieobecność.

– Alibi dla dzieci – wymamrotała Rainie i wymownie przewróciła oczami. – Dlaczego akurat nieobecni?

– Bo nigdzie nie jest powiedziane, że sprawca musiał być tego dnia w szkole. A poza tym w zbrodnię mogło być zamieszanych więcej osób.

W kilku podobnych przypadkach ważną rolę odgrywali i inni uczniowie. Podpuszczali głównego podejrzanego lub po prostu się przyglądali.

– Co takiego?

– Bethel na Alasce przypomniał jej Quincy. – Strzelał Evan Ramsey, ale namówili go dwaj koledzy. Czternastolatki. Jeden z nich nauczył nawet Ramseya, jak posługiwać się bronią. To oni zwołali do stołówki pozostałych chłopaków na „przedstawienie”.

– Cudownie.

– Luke Woodham też prawdopodobnie działał za cudzą namową – ciągnął Quincy. – Zastanawiam się, czy nie stąd pochodzi obsesja Danny’ego na punkcie bystrości. Brzmiało to jak wyuczona formułka. Wypowiadał ją jednak zbyt emocjonalnie. Albo dzieciak próbuje zrekompensować sobie rzeczywiste wątpliwości co do swojej inteligencji, albo jest to przykrywką dla czegoś innego. Czegoś, co jest wciąż zbyt przerażające lub przytłaczające, żeby mógł o tym mówić. Jak zachowywał się po strzelaninie?

– Wydawał się nieobecny. Zamknął się w sobie. Płakał trochę, kiedy usłyszał głos matki. Potem zasnął jak niemowlę na tylnym siedzeniu mojego wozu.

Quincy kiwnął głową, bynajmniej niezdziwiony tym, co usłyszał.

– Próbuje uciec od rzeczywistości, odsuwa ją od siebie do czasu, aż będzie mógł sobie z nią poradzić. Normalne w przypadku każdego rodzaju wstrząsu. Pytanie tylko, jak długo to potrwa i jak chłopiec zareaguje, kiedy jego umysł zacznie analizować wczorajsze wydarzenia.

– Jest pilnowany na wypadek, gdyby chciał popełnić samobójstwo – wtrąciła Rainie. – To chyba standardowa procedura.

– Doskonale. Ale Danny prawdopodobnie cierpi na powstrząsowe zaburzenia emocjonalne i przejdzie przez ich różne etapy. Jednego dnia może mówić o zbrodni całkiem obojętnie, a nazajutrz załamać się i będzie płakał. Prawdopodobnie nie zechce wymieniać imion ofiar. Takie zachowania mogą być w najróżniejszy sposób interpretowane przez ludzi mających jak najlepsze intencje. A wcale nie oznaczają, że Danny

jest winny. Świadczą tylko o tym, że przeżył wstrząs – jako sprawca lub świadek – i teraz jego umysł próbuje sobie z tym poradzić. Tę prawdę można jednak łatwo przegapić.

Rainie Westchnęła.

– Nie wiem – powiedziała. – Może za bardzo to wszystko komplikujemy. Z jednej strony niektóre fakty związane ze strzelaniną nie mają sensu. Ale z drugiej, która strzelanina w ogóle ma sens? I kto inny mógł to zrobić? Wszyscy obecni tego dnia uczniowie byli w swoich klasach, gdy padły strzały. Alibi nie mają tylko Danny i Becky, a żadnego z nich nie widzę w roli mordercy. Może po prostu trudno mi uwierzyć, że sprawcą jest dziecko, więc koncentruję się na pytaniach, bo są łatwiejsze niż odpowiedzi, – Dobrze jest koncentrować się na pytaniach – stwierdził Quincy. – Na tym polega twoja praca.

– Dzisiaj nie pracuję dobrze. O, nie. Może jutro będzie lepiej, ale dzisiaj wszystko idzie mi jak po grudzie.

Ruszyła w kierunku bocznych drzwi, najwyraźniej znów przeżywając chwilę słabości. Quincy nie zdziwił się, gdy stanęła przy stłuczonej szybie i zapatrzyła w zielone wzgórze, oblane popołudniowym słońcem. Ładuje akumulatory, pomyślał. Czasem on też musiał to robić.

Pochylił się i uważnie obejrzał miejsce strzelaniny. Zwrócił uwagę na to, jak leżały ciała i próbował sobie wyobrazić, skąd mogły paść strzały. Wreszcie przyjrzał się framudze drzwi pracowni komputerowej, szukając śladów po pociskach.

Dziesięć minut później skończył notować. Miał teraz wiele pytań do patologa.

Odwrócił się do Rainie, która cały czas stała w pobliżu wyjścia. Nie wyglądała już jednak na zewnątrz, tylko wpatrywała się w obrys ciała Melissy Avalon. Z szarych oczu i nieruchomych rysów twarzy nie sposób było wyczytać, co policjantka myśli.

Ciekawe, ile godzin Rainie Conner przespała zeszłej nocy. Przez krótką chwilę Quincy'ego korciło, żeby zapytać, sforsować dzielącą ich barierę. W końcu kiedyś też był niedoświadczonym agentem i wiedział,

że niektóre obrazy mogą tkwić człowiekowi pod powiekami nawet przez całe lata.

Nieraz w środku nocy budził się z krzykiem.

Ale to nie miało nic do rzeczy.

– Skończyłem – powiedział.

Rainie wyprowadziła go z budynku.

Środa, 16 maja, 12.52

Przed szkołą Rainie i Quincy spotkali dyrektora Stevena Vander Zandena. Drobny mężczyzna o wyrazistej twarzy i pełnych blasku oczach wydawał się zupełnie załamany. Szklanym wzrokiem wodził po krwistoczerwonych różach, spiętrzonych pod ogrodzeniem, a wiatr rozwiewał mu ciemne, rzadniejące włosy i szarpał szary garnitur. Vander Zanden nie zwracał na to uwagi. Szedł wzdłuż siatki, poprawiając kartki, żeby lepiej było widać imiona. Odsunął dwa pluszowe misie, zza których ukazało się oprawione zdjęcie Melissy Avalon.

Rainie i Quincy zbliżyli się cicho. Dyrektor Vander Zanden mieszkał z żoną w Bakersville stosunkowo od niedawna. Trzy lata temu przyjął posadę w tutejszej szkole. Rainie poznała go dopiero zeszłego lata podczas jakiejś miejskiej uroczystości. Vander Zanden zaimponował jej swoim entuzjazmem do pracy i dobrymi stosunkami z rodzicami uczniów. Żaden projekt nie był dla niego zbyt wielki, a żaden uczeń zbyt mały, żeby zasłużyć sobie na jego uwagę. Cieszył się jak dzieciak, gdy władze federalne przyznały mu subwencję na pierwszą w Bakersville pracownię komputerową i nie mógł się doczekać, kiedy sam zacznie surfować po sieci.

Odniosła wtedy wrażenie, że Vander Zanden próbuje z nią flirtować, ale złożyła to na karb paru kieliszków wina. Szczerze mówiąc, cała sala była już wówczas lekko wstawiona.

– Witam pana. – Rainie serdecznie uściśnęła mu dłoń. Widzieli się wczoraj wieczorem, kiedy dyrektor przyszedł do szkoły, żeby oszacować straty i dowiedzieć się, kiedy odzyska budynek. Do letnich wakacji został już tylko miesiąc i nikt nie wiedział, co w tej sytuacji zrobić z lekcjami. Można było przewozić całe klasy autobusami do sąsiedniego Cabot, ale zajmowałoby to prawie czterdzieści minut, a poza tym teraz rodzice woleli mieć dzieci przy sobie.

Rainie przedstawiła swego towarzysza. Wciąż nie była pewna, co myśleć o obecności agenta federalnego, ale jak dotąd nie irytował jej tak bardzo jak Sanders. O czymś musiało to świadczyć.

– Jest pan ekspertem? – Vander Zanden uważnie przejrzał dokumenty Quincy’ego. – Czy zdoła pan wyjaśnić, co się tutaj stało?

– Wątpię, czy można mówić o ekspertach w przypadku tego typu zbrodni.

– Trzeba było zainstalować wykrywacze metali. – Dyrektor odwrócił się w stronę budynku. – Strzelanina w Springfield była pierwszym ostrzeżeniem dla naszego stanu. Ale myślałem, że ten problem dotyczy szkół średnich. My mamy tu znacznie młodsze dzieci. Nie chciałem, żeby już na początku swojej edukacji musiały przechodzić przez bramki i poddawać się rewizji.

– Osobiście nie jestem zwolennikiem wykrywaczy metali – oświadczył Quincy, ale zanim dyrektor podchwycił tę myśl, dodał: – Ustawieni w długą kolejkę przed wejściem, uczniowie byłiby tylko łatwiejszym celem.

– Przecież to jakiś koszmar! – Vander Zanden pokręcił głową. Z trudem trzymał nerwy na wodzy. – Przez całą noc odpowiadałem na telefony zrozpaczonych rodziców. Pytali mnie, co robić. Nauczyciele są przerażeni, rada szkoły zdruzgotana. A w dodatku rodzice Alice poprosili mnie, żebym wygłosił mowę na jej pogrzebie. Oczywiście zrobię to, jestem zaszczycony. Ale mimo wszystko... Człowiek snuje

marzenia o tym, jak będzie obserwował rozwój swoich podopiecznych, może nawet brał udział w ich ślubach, podziwiał przychodzące na świat dzieci. Ale nie bierze pod uwagę, że trzeba wygłaszać mowy pożegnalne. Wiedzą państwo, że rodzice Sally i Alice zamierzają pokryć koszty pogrzebu dziewczynek z pieniędzy zaoszczędzonych na ich studia?

Vander Zanden najwyraźniej nie oczekiwał odpowiedzi. Odwrócił się, żeby poprawić przekrzywiony bukiet. Quincy i Rainie spojrzeli po sobie. Pozwolą mu się wygadać. Wyglądało na to, że miał jeszcze wiele do powiedzenia.

– Z samego rana ludzie zaczęli przynosić kwiaty – odezwał się znów po chwili. – Wiem z telewizji, że przysyłano kwiaty do tamtych szkół, więc spodziewałem się czegoś takiego. Ale co innego widzieć to na własne oczy. Listy i kartki z całego kraju. Misie i baloniki od setek nieznajomych. – Nagle w jego głosie zabrzmiała złość. – Miałem telefony od dwóch dyrektorów, którzy przeszli przez to samo i od kilku psychologów, doświadczonych w tego typu przypadkach. Zupełnie jakbyśmy wstąpili do jakiegoś klubu. Nie chcę być jego członkiem! Chcę, żeby zostawili nas w spokoju. Wolałbym, żeby Bakersville było jedynym miejscem, gdzie zdarzyła się taka tragedia. A tu, co? Jesteśmy jedenastą, dwunastą, trzynastą szkołą, która przechodzi przez to samo. Cholera jasna, powinniśmy byli to przewidzieć!

Ścisnął palcami nos, wyraźnie usiłując się opanować, ale bez większych sukcesów. Jego wzrok powędrował znowu do zdjęcia Melissy Avalon.

– Przepraszam, to były bardzo długie dwadzieścia cztery godziny.

– W porządku – powiedziała Rainie. – Proszę się uspokoić.

– Spokoju potrzebowałem w nocy. Teraz przydałby mi się urlop. Ale to rzecz jasna niemożliwe. Na pewno mają państwo więcej pytań, choć już przekazałem detektywowi Sandersowi wszystko, co wiem o tej sprawie. Nie jest tego dużo.

– Detektywowi Sandersowi? – zapytała ostro Rainie. W głowie zapaliły jej się ostrzegawcze lampki. Nie zignorowała ich. – Co pan

powiedział detektywowi Sandersowi?

– Niewiele. – Vander Zanden wzruszył ramionami, wyraźnie zaskoczony jej tonem. – Byłem w swoim gabinecie, kiedy padły strzały. Wybiegłem na główny korytarz i wówczas usłyszałem czyjś krzyk. Zanim się zorientowałem, zawyła syrena przeciwpożarowa i wszyscy tłoczyli się w stronę wyjścia. Wtedy jeszcze myślałem, że nie stało się nic poważnego. Jakiś uczeń bawił się korkowcem na korytarzu i dym włączył alarm. Albo ktoś zrobił głupi dowcip i odpalił petardę. Takie rzeczy się zdarzają.

– Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że doszło do tragedii – ciągnął dalej – kiedy zobaczyłem panią McLain, nauczycielkę szóstej klasy. Była biała jak ściana, ręce jej się trzęsły. Usiłowałem ją uspokoić, powiedziałem, że to tylko ćwiczenia. Wtedy tak dziwnie spojrzała na mnie. Spojrzała i wyszeptała: „Kilku uczniów chyba nie żyje. Ktoś do nas strzelał. I cały czas tam jest”. Ale dopiero na widok zakrwawionej nogi Willa, zdałem sobie sprawę, że miała rację: w naszej szkole ktoś strzelał!

– Czy słyszał pan, by już wówczas oskarżano o to Danny’ego? – zapytał Quincy.

Vander Zanden pokręcił głową.

Słyszałem tylko, jak Dorie krzyczy, że jakiś mężczyzna w czerni chciał ją zabrać. Ale Dorie ma zaledwie siedem lat i w przeszłości mieliśmy już problemy z jej wyobraźnią. Kiedyś przekonała całą swoją klasę, że nie mogą chodzić do łazienki, bo w muszlach czają się trolle pożerające dzieci. Nie mają państwo pojęcia, jaki może powstać bałagan, kiedy dwudziestu jeden siedmiolatków nie chce korzystać z toalet. Rodzice potem wydzwaniali do mnie tygodniami.

– Dużo dzieci było w pobliżu, kiedy ta mała opowiadała o mężczyźnie w czerni? – zapytała Rainie.

– Wszystkie. Ewakuowaliśmy całą szkołę i zgodnie z instrukcjami przeciwpożarowymi zebraliśmy uczniów na parkingu przed budynkiem.

Rainie wydała z siebie zniecierpliwione westchnienie.

– To wiele tłumaczy – mruknęła do Quincy’ego. Jedna rozhisteryzowana dziewczynka i dwustu pięćdziesięciu łatwowiernych słuchaczy. – Zwróciła się do dyrektora. – Jest pan pewien, że żaden z nauczycieli nie widział sprawcy? A pani McLain? Nie wierzę, że można strzelać na szkolnym korytarzu i nie zwrócić niczyjej uwagi.

– Wątpię, czy morderca pokazywał się na korytarzu. Jednemu z nauczycieli wydawało się, że strzały padły z sali na końcu zachodniego skrzydła. Może z pracowni komputerowej, W miejscu, gdzie stałem, niczego nie było widać.

Rainie zerknęła na Quincy’ego. Skinął lekko głową, odgadując tok jej rozumowania. Zabójca zaczął od panny Avalon, potem odwrócił się. Zobaczył Sally i Alice, więc je też zastrzelił. Gdy rozpętało się piekło, schronił się w pustej pracowni komputerowej. To by tłumaczyło brak świadków, a także chaotyczne tory pocisków.

– Co może nam pan powiedzieć o Dannym O’Grady? – Quincy podjął kolejny wątek. – Dobrze się uczy? Dogaduje się z rówieśnikami?

– Jak dotąd świetnie sobie radził. Kilka razy zdobywał świadectwo z wyróżnieniem. Prawie nigdy nie przysyłano go do mnie w sprawach dyscyplinarnych. Melissa... panna Avalon powiedziała mi kiedyś, że jeszcze nie miała tak uzdolnionego ucznia. Chłopak ma wrodzony talent do komputerów.

– Jacyś wrogowie? – naciskał delikatnie detektyw. – Inne dzieci nie dokuczały mu? Był lubiany przez kolegów? Czy może stawał się często obiektem zaczepek?

Rainie z uznaniem kiwała głową. Sama powinna wczoraj zadać te pytania. Słusznie lub nie, większość sprawców strzelanin czuje się prześladowana przez rówieśników. Rainie czytała nawet, że tego typu morderstwa nie różnią się specjalnie swym podłożem od samobójstw nastolatków. Zazwyczaj nielubiane dziecko bardzo cierpi i postanawia coś z tym zrobić. Tyle że w przypadku szkolnej rzezi, zamiast odebrać życie tylko sobie, chce ukarać jeszcze swoich wrogów. Tak już bywa z bardzo młodymi ludźmi: wydają wyroki niewspółmierne do winy.

Wyglądało na to, że Vander Zanden ma trudności ze

sformułowaniem odpowiedzi. W końcu pokręcił głową.

– O żadnych scysjach nie słyszałem – oświadczył. I dodał niechętnie:
– Ale jestem dorosły, a w dodatku pełnię tu rolę dyrektora. Innymi słowy, choć próbuję utrzymać dobry kontakt z uczniami, pewnie nie jestem osobą najlepiej poinformowaną o tym, co naprawdę dzieje się wśród nastolatków podczas długiej przerwy.

– A przyjaciele Danny’ego? Mogliby nam powiedzieć coś więcej?

– Wątpię, czy Danny ma bliskich przyjaciół. Jest spokojny, trzyma się na uboczu. – Nagle Vander Zandenowi coś się przypomniało. – Ale nie tak dawno mieliśmy tu pewien incydent...

Quincy i Rainie wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Chodzi o starszego chłopaka. Nazywa się Charlie Kenyon. Znają go państwo?

– Pewnie – przytaknęła Rainie i wyjaśniła Quincy’emu: – Charlie jest synem naszego byłego burmistrza. Ma dziewiętnaście lat, trochę za dużo pieniędzy i o wiele za dużo wolnego czasu. Cztery lata temu rodzice wysłali go na wschód do szkoły wojskowej, ale wrócił zeszłej wiosny wcale nie lepszy. Teraz uważa się za wielkiego gangstera. Pęta się tam, gdzie go nikt nie chce i co drugi weekend pijany rozbija się wozem po okolicy. Zgarnialiśmy go kilka razy, ale to były zawsze drobne przewinienia. Ojczulek szybko załatwia mu kaucję i drogich prawników. Moim zdaniem nie zanosi się, żeby w najbliższym czasie ten obiecujący młodzieniec poczuł chęć poprawy.

Vander Zanden wyraźnie się ożywił.

– Otóż to. Cały Charlie. Jakies dwa miesiące temu zaczął kręcić się w okolicach naszej szkoły. Nauczyciele widywali go, jak wystawał pod ogrodzeniem i rozmawiał z dziećmi. Póki jednak nie wchodził na szkolny teren, nie mogliśmy nic zrobić. Któregoś dnia pani Lund zauważyła, że Charlie podaje Danny’emu przez siatkę papierosa. Ukarła Danny’ego. Kazała mu zostać w klasie po lekcjach. Ale nie mogła nic zrobić z Charliem, który wykrzykiwał bezczelnie, żeby O’Grady się nie przejmował. „Po szkole dopiero zacznie się prawdziwa zabawa”, czy coś w tym sensie. Zawiadomiliśmy rodziców Danny’ego i

już nigdy nie przyłapano chłopca z papierosami. Ale Charlie nadal kręcił się w pobliżu. Nie wiem, dlaczego uwziął się na nas. Wydawałoby się, że bardziej powinna go interesować starsza młodzież.

– Charlie znał pannę Avalon? – zapytał Quincy.

– Nie sędzę. Przeprowadziła się do naszego miasta dopiero, kiedy dostaliśmy subwencję na pracownię komputerową. Ale z drugiej strony... – Dyrektor Vander Zanden zaczerwienił się. Rzucił Rainie zażenowane spojrzenie.

– Panna Avalon była bardzo ładna – dokończyła za niego policjantka. – Bardzo, bardzo ładna.

Była bardzo dobrą nauczycielką – dodał natychmiast Vander Zanden, a w jego ciemnych oczach pojawił się smutek. Melissa Avalon wydawała mu się piękna.

– Ile miała lat?

– Dwadzieścia osiem.

– Na tyle młoda i atrakcyjna, żeby spodobać się dziewiętnastolatkowi – uznała Rainie i spojrzała na Quincy'ego.

Stał zatopiony w myślach.

– A więc panna Avalon przeprowadziła się do Bakersville stosunkowo niedawno?

– Zeszłego lata. Zatrudniliśmy ją w sierpniu. Szczerze mówiąc, już straciliśmy nadzieję na tę subwencję, a tu nagle bum. Tak to bywa.

– Skąd przyjechała panna Avalon?

– Właśnie obroniła dyplom na uniwersytecie w Portland.

– Pierwsza praca?

– Pierwsza pełnoetatowa praca w szkole. Przedtem odbyła tylko praktyki w Beaverton. Między innymi dlatego ją zatrudniliśmy. – Vander Zanden rzucił swojej rozmówczyni ponure spojrzenie. – Mamy tu bardzo ograniczone środki finansowe, a młodzi nauczyciele nie kosztują tyle, co ci z doświadczeniem.

– Wie pan coś o jej życiu prywatnym? – Rainie nie interesował budżet szkoły. – Gdzie mieszka rodzina, cokolwiek.

Vander Zanden zawahał się. Znów sprawiał wrażenie

zawstydzonego i unikał wzroku Rainie.

– Jej rodzice mieszkają chyba w okolicach Portland.

– A związki z mężczyznami? Wie pan o jakimś chłopaku, którego rzuciła? A może teraz ktoś chciał spędzać z nią więcej czasu?

– Chyba... chyba powinni państwo zapytać rodziców panny Avalon. Nie wypada, żebym rozmawiał o życiu prywatnym mojego personelu.

– Panie dyrektorze, nie mamy dużo czasu.

– Na telefon nie trzeba go dużo – odparł stanowczo. – To jedna z zalet współczesnego świata.

Rainie zmarszczyła brwi. Nie podobała jej się ta nagła niechęć do udzielenia informacji. Zanim jednak zdążyła nacisnąć mocniej, Quincy w irytujący sposób przejął pałeczkę.

– A stosunki Danny’ego z panną Avalon? Były dobre? Miał jakieś problemy na jej lekcjach?

– Ależ skąd – zaprzeczył żarliwie Vander Zanden. – To jest właśnie zupełnie niepojęte. Mógłbym przysiąc, że panna Avalon była ulubioną nauczycielką Danny’ego. Uwielbiał przesiadywać w pracowni komputerowej, lepiej od większości uczniów radził sobie z Internetem. Sterczał przy komputerze przed lekcjami, podczas przerwy obiadowej i po zajęciach. Wydawało się, że w ogóle nie wychodzi z tej sali. Czasem panna Avalon zostawała po godzinach tylko dla niego.

– Internet? – podchwyciła Rainie. – Wie pan, co robił w sieci?

– Nie jestem pewien. Przeglądał strony internetowe, sprawdzał różne rzeczy.

– Korzystał z czatów?

– Chyba tak. Panna Avalon zainstalowała jeden z tych filtrów, które uniemożliwiają dostęp do stron dla dorosłych. Poza tym uczniowie mogli surfować, gdzie tylko chcieli. Chodziło właśnie o to, żeby nauczycieli się swobodnie posługiwać komputerem.

– Czy Danny grał w gry komputerowe? – zapytał Quincy. – Jakies konkretne?

– Nie wiem. I szczerze mówiąc, tylko jedna osoba mogłaby odpowiedzieć na to pytanie. Panna Avalon.

Rainie skinęła głową przygryzając dolną wargę. Danny uwielbiał Internet. To rzucało nowe światło na sprawę. Zdolny internauta mógł dotrzeć do niemal każdego rodzaju wiadomości. Kip Kinkel, sprawca masakry w Springfield, dowiedział się z Internetu, jak konstruować bomby i miny pułapkowe. Jego rodzice przed samą śmiercią wspominali nawet przyjaciółom, jak bardzo się cieszą że chłopak znalazł wreszcie jakieś zainteresowania, że się uspokoił...

Danny mógł więc bez trudu nawiązać kontakt z dowolną liczbą świrów i wykolę jeńców. Co tam Charlie Kenyon. Dzieciak czuł się nieszczęśliwy, jego rodzina przechodziła ciężki okres. W takiej sytuacji podatność na wpływy jest wprost nieograniczona.

– Musimy przeszukać te komputery – wymamrotała Rainie.

– Detektyw Sanders już je zabrał. Nie mówił państwu?

– Och, zna pan detektywa Sandersa. Jest cholernie sprytny... Pewnie wypadło mu z pamięci. – Rainie uśmiechnęła się słodko do Vander Zandena. Jej sarkazm nie umknął jednak uwagi agenta specjalnego.

– Danny często zostawał po szkole? – Quincy wrócił do interesującego go tematu.

Vander Zanden zerknął na Rainie. Wzruszyła ramionami.

– To dochodzenie w sprawie morderstwa. Wcześniej czy później wszystko i tak wyjdzie na jaw.

Dyrektor westchnął. Znowu sprawiał wrażenie wykończonego. Czekало go jeszcze wiele nieprzespanych nocy, strawionych na rozważaniu, co nauczyciel jest winien swoim uczniom.

– Małżeństwo rodziców Danny'ego przechodzi kryzys – powiedział cicho.

– Sandy dostała nową pracę – wyjaśniła szerzej Rainie. – Lubi ją, ale to zajęcie czasochłonne. Shep w ogóle nie życzy sobie, żeby jego żona miała jakieś zawodowe ambicje, nie mówiąc już o tym, że teraz nie dostaje obiadu na czas.

– Są w separacji?

– Nie. To katolicy.

– No tak.

– Jakiś czas temu Sandy przyszła porozmawiać z nauczycielami Becky i Danny’ego – wyjaśnił Vander Zanden. – Przyznała, że w domu atmosfera jest napięta, a dzieci źle to znoszą. Chciała, żeby nauczyciele wiedzieli, jak wygląda sytuacja i mieli oko na jej dwójkę. Becky z pewnością jest w tym roku bardziej zamknięta w sobie. A co do Danny’ego, było z nim trochę... kłopotów.

– Palenie – podpowiedziała Rainie. – I...

– Trzy tygodnie temu Danny przyszedł do szkoły podenerwowany. Nie mógł sobie przypomnieć kodu swojej szafki. Wtedy coś w nim puściło. Zaczął walić pięściami w drzwiczki i krzyczeć, że nienawidzi szkoły i jak ma cokolwiek zapamiętać, jeśli i tak wszyscy uważają, że jest głupi...

– Głupi? – wtrącił Quincy. – Słyszał pan, jak mówi, że jest głupi?

– Oczywiście, byłem przy tym. Musiałem wezwać Richarda Manna, żeby pomógł mi go uspokoić. Danny dostał histerii i powtarzał ciągle „głupi, głupi, głupi”. Bardzo mnie to zaniepokoiło.

Quincy zerknął na Rainie. Wzruszyła ramionami. Nie rozumiała, co się mogło stać, ale Danny najwyraźniej zważył w swoją inteligencję.

– Dostawał świadectwa z wyróżnieniem? – upewnił się raz jeszcze agent specjalny.

– Tak.

– Uważał go pan za dobrego ucznia? Nauczyciele byli zadowoleni z jego wyników?

– Tak. Niektóre przedmioty szły mu nieco słabiej, ale jeśli tylko coś go zainteresowało... A komputer nie miał dla niego tajemnic.

– Panie dyrektorze, czy kiedykolwiek słyszał pan, żeby rodzice nazywali Danny’ego głupim?

– Sandy? Nigdy. Kocha te dzieciaki do szaleństwa. A co do Shepa...

– Vander Zanden uniósł jedną brew. – Powiedzmy, że bardziej zależało mu na rozmiarach mięśni syna niż na potencjale jego umysłu.

– Danny trenował coś po szkole?

– Shep zmusił go. Zapisał dzieciaka na siłę do drużyny piłkarskiej, ale sport nie należy do mocnych stron Danny’ego. Chłopiec jest drobny

jak na swój wiek, trochę niezdarny. Niestety szeryf O'Grady bywa czasem nieco... apodyktyczny. Chciał, żeby syn grał w piłkę, więc Danny grał. Chociaż, szczerze mówiąc, większość czasu spędzał na ławce rezerwowych. Po prostu nie wychodziło mu. Najlepiej będzie, jeśli porozmawiają państwo ze szkolnym psychologiem, Richardem Mannem. Spotykał się z Dannym po tamtym incydencie z szafką i na pewno wie więcej niż ja o stanie psychicznym tego dziecka.

– Nie omieszkamy – zapewniła Rainie. Pamiętała, że wczoraj Richard Mann bardzo sprawnie zorganizował punkt pierwszej pomocy i opanował zamęt na parkingu. Pamiętała też, że jest młody i natychmiast pomyślała o jego stosunkach z panną Avalon. Kolejna zagadka.

– Będziemy musieli skopiować dokumenty Danny'ego – poinformowała dyrektora. – Arkusze ocen, opinie, wszystko.

– Nie jestem pewien.

– Zdobędziemy nakaz, jeśli będzie trzeba. Prosimy jednak, żeby nam pan pomógł. Liczy się czas.

– No dobrze, dobrze. Mam teraz tyle rzeczy na głowie... – Vander Zanden spojrzał na budynek szkoły. Główne wejście było zamknięte, a widoczne przez szyby wnętrze tonęło w złowrogim cieniu. Żółta taśma policyjna wciąż odgradzała parking, Częściowo wpleciona w siatkę ogrodzenia. Na szkolnym chodniku ciemniały brunatne plamy krwi. To tutaj ranni uczniowie, trzymając się za ręce, czekali na przyłot szpitalnego helikoptera. Nie można było teraz patrzeć na szkołę, żeby nie myśleć o śmierci.

– Słyszałem, że w liceum Columbine musieli zrobić gruntowny remont. – Dyrektor mówił jakby sam do siebie. – Zerwali wykładzinę, przemaalowali ściany, kupili inne szafki. Wymienili nawet syrenę alarmową, która tamtego dnia wyła przez kilka godzin. A ich biblioteka... Ta nieszczęsna biblioteka po prostu już nie istnieje. Zastawili wejście nowymi szafkami, a książki wylądowały w składziku.

Zwrócił puste spojrzenie na Rainie i Quincy'ego.

– Nie wiem, co mam robić – wyznał szczerze. – Szkody nie są aż tak poważne, ale z drugiej strony... Chcę, żeby dzieci znowu poczuły się

bezpiecznie. W obecnych czasach szkoła często budzi lęk. Chcę, żeby budynek wyglądał przyjaźnie, ale nie mogę udawać, że nic się nie stało. Chcę, żebyśmy się otrząsnęli z tragedii, ale nie, żebyśmy zapomnieli.

– Nie wiem, jak to wszystko zrobić. – ciągnął smutno. – Podczas studiów największym zagrożeniem, jakie mogliśmy sobie wyobrazić, było trzęsienie ziemi. W szkołach w Los Angeles jeszcze nie wprowadzono samoobrony przeciw bandytom strzelającym z samochodów. Nie przewidziano też, że szkoły staną się polem bitwy dla rywalizujących gangów. A teraz coraz częściej giną nauczyciele i uczniowie. W małych i dużych miastach, czarni i biali, bogaci i biedni. Wszystko się we mnie burzy przeciw takiej rzeczywistości. Chciałbym się od niej odizolować, ale jako dyrektor szkoły nie mogę tego zrobić. Mam zobowiązania wobec uczniów. Muszę ich przygotować tak, żeby potrafili przetrwać. Ale jak się do tego zabrać? Nie jestem pewien, czy ja sam jestem przygotowany do życia w takim świecie. Panna Avalon na pewno nie była.

– Zorganizował pan pomoc terapeutyczną? – zapytał łagodnie Quincy.

– Oczywiście. Przyjdzie do nas kilku psychologów dziecięcych.

– Nie chodzi mi tylko o uczniów. Również o pana i resztę nauczycieli.

– Oczywiście, oczywiście. – Spojrzenie dyrektora powędrowało ku stosom kwiatów i zatrzymało się na kartce z napisem „Kochamy panią, panno Avalon”.

Zachwiał się. Nagle wydał się Rainie bardzo mały. Drobny, bezradny mężczyzna starzejący się dosłownie na jej oczach.

Naprawdę próbowała mu pomóc – powiedział nagle. – Naprawdę zależało jej na uczniach, a zwłaszcza na Dannym. Gdybyście wiedzieli, ile czasu mu poświęcała, ile razy zostawała z nim po lekcjach, bo wiedziała, że chłopiec nie chce wracać do domu. Uczyła go podstaw programowania, razem z nim śmiała się z internetowych dowcipów. Była taka cierpliwa, taka troskliwa... Chwilami nienawidzę Danny'ego O'Grady. Wtedy czuję się jeszcze gorzej. Co to za nauczyciel, który

nienawidzi własnego ucznia? Co to za mężczyzna, który boi się dziecka?

Dyrektor Vander Zanden nie oczekiwał odpowiedzi. Odwrócił się i ruszył w stronę samochodu. Kiedy tak szedł skulony, chmury całkiem zakryły słońce i spadły pierwsze krople wiosennego deszczu.

- Chyba potrzebuje pomocy – odezwała się po chwili Rainie.
- Też byś jej potrzebowała, gdybyś właśnie straciła ukochaną osobę.
- Dyrektor Vander Zanden jest przecież szczęśliwym mężem!
- Nie, odkąd spotkał Melisę Avalon – powiedział Quincy.

Środa, 16 maja, 16.46

Sandy O'Grady wydawało się, że Danny nie żyje. Małe społeczności mają swoje rytuały, tradycyjne sposoby radzenia sobie z najważniejszymi chwilami życia. Niemal zawsze wiąże się to zjedzeniem. Ktoś bierze ślub, a już piecze się ulubione ciasto panny młodej i do formy przykleja przepis dla przyszłej gospodyni. Rodzi się pierwsze dziecko, szczęśliwa matka otrzymuje kilogramy domowych ciasteczek w kształcie bućków. Uroczystość z okazji ukończenia studiów uświetnia najlepsza sałatka z trzech rodzajów fasoli. Corocznemu wyścigowi w zwózce siana, zanim zmożą je oregońskie deszcze, towarzyszy obżeranie się kukurydzą, pomidorami prosto z ogrodu i domowego wyrobu lodami. No, mogą być jeszcze czekoladowe chrupki.

A kiedy ktoś umiera, robi się zapiekanki. Z szynką i ziemniakami. Siedmio – warstwowa zapiekanka babuni po meksykańsku. Gotowana szynka, pieczony indyk. Dużo, tłusto i pożywnie. Do tego dołączyć można paczkę chusteczek i zaoferować ramię, na którym wypłacie się osierocona rodzina. Po dwóch dniach przychodzi czas na tacę pierniczków lub szarlotkę. Wcześniej czy później nawet najwięksi stoicy szukają pocieszenia w słodyczach. Takie jest życie.

Poprzedniego wieczoru na progu O'Gradych pojawiła się pierwsza zapiekanka. Towarzyszył jej liścik. „Najszczerze wyrazy żalu”. Bez podpisu. Dopiero wówczas Sandy uświadomiła sobie, jakie ciężkie czekają ich dni. Sąsiedzi najwidoczniej to rozumieli. Niektórzy nawet im współczuli. Ale w tych okolicznościach nikt nie wiedział, jak należy się zachować.

Kiedy Danny'ego przewożono do okręgowego zakładu poprawczego, założono mu kuloodporną kamizelkę.

Tamtego wieczoru dom O'Gradych pełen był policji. Ludzi, których Sandy i Shep nigdy przedtem nie widzieli. Ponure twarze, granatowe kurtki z napisem CSU. Zajęli pokój Danny'ego, wybebeszyli łóżko i szafę, włamali się do biurka, rozmontowali meble i zapakowali w pudełka wszystko, co mogło zostać włączone do materiału dowodowego. Przewrócili sypialnię Danny'ego do góry nogami, zasypali białym proszkiem i opuścili dom z takimi samymi posepnymi minami, z jakimi do niego weszli.

Becky schowała się w garderobie.

Przyjechali rodzice Sandy. Uściskali córkę i rozplakali się. Wyciągnęli Becky z garderoby i rozplakali się znowu. Rzucali chłodne spojrzenia w stronę Shepa, dając mu do zrozumienia, że cokolwiek się stało, to on jest winny. Potem matka Sandy zamknęła się w kuchni i zaczęła piec. Ojciec wcisnął się w kąt kanapy i robił wszystko, żeby jakoś się trzymać.

Przyszedł proboszcz. Posiedział z Sandy i Shepem. Przypomniał im, że Bóg nie zsyła ciężarów ponad ludzkie siły. Zapewnił, że wiara pomaga przetrwać najtrudniejsze momenty. Mówiąc o Dannym, używał czasu przeszłego, co wydawało się stosowne, ale jednocześnie doprowadzało Sandy do szaleństwa.

Danny nie umarł. Danny nie był ciężarem. Był dezorientowanym, przerażonym dzieckiem, zamkniętym w zimnej celi zakładu poprawczego z kratami w oknach. Jest w szoku, poinformował Sandy i Shepa lekarz, gdy próbowali odwiedzić syna rano. Chłopiec leżał skulony, splatając ręce wokół kolan, jakby wyczerpany życiem chciał

wrócić do łona.

Nie, nie mogą się z nim jeszcze zobaczyć. Danny potrzebuje więcej czasu i więcej snu. Może jutro.

Sandy nie chciała stamtąd wyjeżdżać. Nie chciała wracać do domu, gdzie w magiczny sposób pojawiały się zapiekanki, jedna po drugiej. Nie chciała widzieć matki, która szalała w kuchni przy kolejnym cieście, jakby to miało być kluczem do udanego życia. Nie chciała spędzić ani jednej minuty więcej z księdzem, który niegdyś dał ślub jej i Shepowi, a teraz spoglądał na nich z pełnym wyższości współczuciem, zarezerwowanym zwykle dla trędowatych. Nie chciała patrzeć na drzwi garażu, gdzie rano ktoś wypisał czerwoną farbą: „Dzieciobójca”.

Danny nie był mordercą. Był dzieckiem. Jej dzieckiem. Ona, Sandy, musi odzyskać rodzinę. Musi być dzielnym wojownikiem, pogromcą smoków.

Ale nikt nie umiał jej powiedzieć, gdzie są te smoki, którym ma stawić czoło. Nikt nie umiał wyjaśnić, co wydarzyło się wczoraj po południu i zamieniło jej ośmioletnią córkę w milczącą zjawę, a trzynastoletniego syna w masowego mordercę.

Prawnik, Avery Johnson, rozmawiał z Sandy i Shepem w kuchni ich domu. Wrócili właśnie z sądu dla nieletnich, ze wstępnego przesłuchania, które zaszokowało Sandy swoim nieformalnym charakterem. Sala o zwykłych białych ścianach i pokrytej linoleum podłodze nie różniła się zbyt od szkolnej klasy. Widok dwóch prawników w eleganckich garniturach najwyraźniej zaskoczył odzianego w czarną togę sędziego.

– Nieczęsto tu panowie bywają, prawda? – powitał ich uprzejmie.

W tym bardzo prosto urządzonym wnętrzu, przy zastosowaniu bardzo prostej procedury, prokurator okręgowy Charles Rodriguez – Shep współpracował z nim przez wiele lat, a Sandy wielokrotnie zapraszała na kolacje – powołując się na „ohydny charakter zbrodni popełnionej przez Daniela O’Grady’ego, złożył oficjalny wniosek o przekazanie sprawy sądowi dla dorosłych.

Wniósł przeciw ich synowi pięć oskarżeń o morderstwo: jedno za

pierwszą ofiarę i po dwa za dwie następne, zgodnie z paragrafem o zbrodni masowej. Uznany za winnego przez sąd dla dorosłych, Danny mógł dostać pięć wyroków po trzydzieści lat więzienia każdy. Wczoraj wieczorem przejęła nad nim pieczę policja okręgowa. Mógł już nigdy nie wrócić do domu.

Sandy nie opuszczało uczucie, że jej syn nie żyje.

– Szczęśliwie mamy się czego uchwycić – tłumaczył Avery Johnson.

– Danny ma dopiero trzynaście lat. Przemawia za nim statystyka.

– Statystyka? – powtórzyła słabo Sandy.

Dziubała widelcem kawałek świeżo upieczonej szarlotki, którą dziesięć minut temu matka podała jej wraz z gigantyczną porcją lodów waniliowych. Sandy patrzyła, jak lody rozlewają się na talerzu lepкими strumyczkami i budowała tamy z kawałków pieczonych jabłek. W końcu Shep nie wytrzymał i sięgnął po ciasto żony. W chwilach kryzysu budził się w nim wilczy apetyt. Ona reagowała odwrotnie.

– Podczas najbliższej narady – mówił Avery – musimy ustalić, co leży w najlepszym interesie zarówno dziecka, jak i miasta. W gruncie rzeczy skoncentrujemy się na dwóch aspektach sprawy. Po pierwsze, czy Danny rzeczywiście stanowi aż tak duże zagrożenie dla otoczenia, by jego zbrodni nie mógł rozpatrzyć sąd dla nieletnich, a po drugie, czy chłopak jest zdolny do poprawy. Prokurator naturalnie będzie twierdził, że masowy morderca to szczególnie niebezpieczny typ przestępcy, który nie rokuje nadziei na resocjalizację, a zatem nie może podlegać jurysdykcji dla młodocianych. Danny powinien zostać przekazany w ręce sądu dla dorosłych, bo popełnił zbrodnię o najwyższej szkodliwości społecznej.

– Moim zadaniem natomiast – ciągnął Johnson – jest udowodnić, że prokurator nie ma racji, i cieszyć nas może fakt, iż statystyki świadczą na naszą korzyść. Większość dzieci, które dopuściły się tak poważnych aktów przemocy, nie powtarza ich po osiągnięciu dorosłości. Poza tym – i należy to podkreślić – z badań wynika, że jest większe prawdopodobieństwo recydywy w przypadku dziecka odsiadującego wyrok z dorosłymi niż u więźnia zakładu dla nieletnich. Zatrzymanie

Danny'ego w poprawczaku leży więc w najlepszym interesie tego stanu. Chłopiec może zostać zresocjalizowany i w wieku dwudziestu pięciu lat rozpocząć życie od nowa jako wartościowy członek społeczeństwa.

– Zakłada pan, że Danny jest winny – powiedziała oschle Sandy. – Dlaczego pan zakłada, że mój syn jest winny?

Avery Johnson, starszy mężczyzna w cienkich drucianych okularach i drogim garniturze, posłał jej słaby uśmiech. Zjadł swoją porcję szarlotki w kilka minut, po czym starannie wytarł górną wargę papierową serwetką. Sandy wcale nie była pewna, czy go lubi. Wydawał się zbyt sztywny, zbyt bogaty i zadowolony z siebie jak na jej gust. Ale Shep przekonał się do niego od razu. Poznali się już jakiś czas temu na uroczystości, podczas której prawnik wygłosił bardzo udane przemówienie. Shep nazywał go nawet „przyjacielem”, choć Sandy wiedziała, że o żadnej przyjaźni nie ma nawet mowy. Avery Johnson obracał się w kręgach zupełnie innych niż państwo O'Grady. Mieszkał we wspaniałej rezydencji w Lake Oswego i podjął się sprawy ich syna bynajmniej nie z dobroci serca. Sandy podejrzewała, że facet bierze pięćset dolarów za godzinę, a stan jego konta powiększa się nawet wtedy, kiedy ten elegant wsuwa ich szarlotkę.

Nie wiedziała, jakim cudem mu zapłaci. Nie miała pojęcia, co o ich sytuacji finansowej naopowiadał Shep, żeby go tu zwabić. Wiedziała tylko, że mąż wierzył w Avery'ego Johnsona. Johnson nie miał sobie równych, a Shep uważał, że jego dzieci muszą dostawać wszystko najlepszej jakości. Takie było wyobrażenie szeryfa O'Grady'ego o roli ojca, co z jednej strony wściekało Sandy, a z drugiej łamało jej serce.

– Może pani być spokojna. Nie pozwolę, by ława przysięgłych choć przez chwilę pomyślała, że państwa syn jest winny. – Avery znowu uśmiechnął się krzepiąco. – Ale nie występujemy jeszcze przed ławą przysięgłych. Za sześć miesięcy będę pertraktował w sprawie przyszłości Danny'ego z Charlesem Rodriguezem i sędzią Matthewsem, który, mówiąc szczerze, jest beznadziejnym starym prykiem i gdyby mógł, wprowadziłby z powrotem do szkół kary cielesne. On z pewnością nie wątpi w winę waszego syna i uważa, że chłopak

powinien za to wisieć. Na szczęście prywatne opinie Matthews'a nie mają na tym etapie większego znaczenia. Zastanowimy się tylko, który sąd przejmie sprawę. Muszę więc udowodnić, że bez względu na to, czy Danny jest winny, czy nie, będzie lepiej i dla samego podejrzanego, i dla całej społeczności, jeśli proces odbędzie się w sądzie dla nieletnich.

– Bo nawet jeśli Danny jest masowym mordercą, z czasem zostanie w cudowny sposób uleczony?

– Właśnie. I nie ma w tym żadnego cudu. Przez całą noc czytałem artykuły o przestępczości nieletnich. Eksperti często powołują się na „zjawisko zaniechania”. U chłopców w wieku od dwunastu do osiemnastu lat obserwuje się zwiększoną skłonność do działalności przestępczej, bo na tym etapie rozwoju nastolatek nie zawsze potrafi sobie poradzić z burzą hormonów. Potem dorośleje, zaczyna pracować, tworzy trwalsze związki, zakłada rodzinę. Nawet ci, których wcześniej uważano za chuliganów, dojrzewają i często prowadzą normalne życie.

– Więc jeśli Danny jest niewinny, to jest po prostu niewinny. Ale jeśli jest winny, to tylko taka faza jego rozwoju? To będziemy udowadniać w sądzie? – Głos Sandy wznosił się na coraz wyższe rejestry. Nie mogła się powstrzymać. To jakiś absurd. Obłąd.

Shep rzucił żonie pełne zniecierpliwienia spojrzenie.

– Na litość boską, Sandy, a co chciałabyś usłyszeć? Przecież Avery ci powiedział, że postara się, żeby Danny nie stanął przed sądem dla dorosłych. W ten sposób właśnie można to osiągnąć.

– Sandy... – Avery zaczął pojednawczo.

Sandy przerwała mu.

– Nie wiem, co chcę usłyszeć! Może to, że mój syn nie potrafiłby zastrzelić trzech osób. Że moje dziecko nie jest mordercą, że to wszystko jakaś wielka pomyłka. – Uderzyła ręką w stół. – Popatrzcie na siebie, omawiacie tu prawnicze teorie, ustalacie strategię. To nie mecz piłki nożnej. Nie w tym rzecz, kto wygra, a kto przegra. Tu chodzi o naszego syna! Chodzi o nasze życie! Jak będziemy mogli spojrzeć ludziom w oczy, jeśli wszyscy uznają, że Danny jest mordercą? Co powiemy Becky? Boże, Shep, nie widziałeś, co nam napisali na garażu? Zabijają go.

Mieszkańcy Bakersville winią Danny'ego za śmierć dwóch dziewczynek i wcześniej czy później ktoś go zabije. Jezus Maria. Jezus Maria, Jezus Maria, Jezus Maria!

Sandy poderwała się z krzesła. Zdała sobie sprawę, że nie panuje już nad łzami. Shep nie próbował jej pocieszyć. Zeszłej nocy chciał wrócić do łóżka żony po miesiącach spania osobno. Mówił chrapliwym głosem. Tłumaczył, że tylko pragnie ją przytulić. Może na chwilę zapomną o tym, co ich dzieli. Kiedyś przecież byli dobrymi przyjaciółmi.

Ale gniew tkwił w Sandy zbyt głęboko. Patrzyła na męża, ojca swoich dzieci, nagiego i bezbronnego z przygarbionymi plecami i myślała tylko o jednym: jeśli Danny dopuścił się morderstwa, winę za to ponosi Shep. Zbyt mocno naciskał chłopaka. Nigdy nie rozumiał, że Danny jest inny, bardziej wrażliwy, tak jak ona. Próbował siłą wciągnąć go do swego aroganckiego męskiego świata.

Złamał ich syna. Zniszczył ich rodzinę. Sandy nienawidziła go z całego serca.

Uczucie to przeszło jej ciało i równie szybko, jak się pojawiło, znikło. Nie miała już nic. Stała w swojej kuchni pusta, wyczerpana, chwiejąc się na nogach.

I wtedy zobaczyła Becky, która obserwowała ją poważnymi niebieskimi oczami.

– Mamo, nie daj, żeby złapał cię potwór – powiedziała.

Odwróciła się i odeszła do salonu, gdzie dziadkowie oglądali telewizję.

Sandy usiadła przy stole.

– Wiem, że to dla was trudny okres – zaczął Avery.

– Chryste Panie – jęknęła tylko.

Shep westchnął ciężko, wstał i ukroił sobie trzeci kawałek szarlotki.

– Pozwólcie – próbował opanować sytuację Avery – że wyjaśnię wam krok po kroku całą procedurę. Może wtedy lepiej zrozumiecie, co próbujemy zdziałać. Najbliższe pół roku lub nawet rok, to kluczowy okres dla przyszłości Danny'ego.

Sandy podniosła rękę.

– Dlaczego mamy czekać aż rok?

– Bo tyle zajmie wszystkim przygotowanie się do narady poprzedzającej proces. To nie błażostka.

– Ale Danny nie może wrócić do domu, prawda? Powiedział pan, że nie zwalnia się za kaucją młodocianych morderców. Więc jak to jest? Mój syn nie był jeszcze sądzony, nie został uznany winnym morderstwa, ale spędzi co najmniej sześć miesięcy w poprawczaku? Rany boskie, i to jest legalne?

– Takie jest prawo.

– No to pieprzyć to prawo! – Sandy zachowywała się histerycznie i wiedziała o tym.

Avery Johnson obdarzył ją znowu uspokajającym uśmiechem, ale ton jego głosu zaostrzył się.

– Pani O’Grady, wiem, że nie chce pani tego przyjąć do wiadomości, ale istnieje duże prawdopodobieństwo, że Danny popełnił tę zbrodnię. Zatrzymano go, gdy celował do ojca. Przyniósł do szkoły broń, a poza tym dwukrotnie przyznał się do winy.

– Jest w szoku. Sam pan powiedział. Nie wie, co mówi.

– Broń, pani O’Grady. Broń. W jaki sposób dwa pistolety, przechowywane w państwa sejfie, trafiły do szkoły?

Sandy spojrzała bezradnie na Shepa. O’Grady dźgnął w przestrzeń pobrudzoną lodami łyżeczkę.

– Mój syn tego nie zrobił – oznajmił ze stoickim spokojem.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu Sandy pomyślała ciepłej o mężu.

Avery Johnson wyraźnie tracił cierpliwość.

– Jesteś funkcjonariuszem policji, ale nawet ty nie potrafisz dowieść niewinności chłopca.

– Dowiodę!

– To niemożliwe.

– Mam sześć miesięcy.

Adwokat westchnął. Było dla niego jasne, że ani Shep, ani Sandy nie potrafią pogodzić się z faktami. Spróbował jeszcze raz:

– Nawet jeśli uda ci się wytłumaczyć, dlaczego akurat twoja broń znalazła się na miejscu przestępstwa, dlaczego akurat twój syn trzymał cię na muszce i dlaczego akurat właśnie on dwukrotnie przyznał się do rzezi w szkole, nic nie zmieni faktu, że Danny ma problemy emocjonalne. To oczywiste. Dlatego też, odkładając na bok wszystkie kwestie prawne, jako rodzice powinniście zrozumieć, że najbliższe sześć miesięcy jest dobrą okazją, by zapewnić Danny'emu pomoc, której chłopak wyraźnie potrzebuje. Będzie badany przez specjalistów od rozwoju dziecka. Przejdzie całą serię testów psychologicznych. Jego dzieciństwo, rodzina, przyjaciele, wszystko to zostanie szczegółowo przeanalizowane. I choć na pewno chwilami będziecie się czuć niezręcznie, w rezultacie powinniście lepiej zrozumieć, kim jest Danny i z jakimi problemami się boryka. Rozumiecie?

Sandy odzyskała panowanie nad sobą. Spojrzała na Shepa, który obracał w ustach kęs szarlotki, jakby wcale nie czuł jej smaku. Słowa prawnika wyraźnie go przygnębiły. Znowu się zgarbił. Danny miał problemy. O'Grady zwykł zaprzeczać temu, czego nie chciał usłyszeć. Jednak uwaga Johnsona zbyt mocno poruszyła wątpliwości, które obydwójce z Sandy skrywali w głębi serca. A jeśli naprawdę ich syn miał problemy emocjonalne? A jeśli zmieniły one Danny'ego w potwora?

Pod oczami Shepa pojawiły się tak ciemne cienie, że Sandy poczuła litość.

Wiedziała, że zeszłej nocy po wyjściu z jej pokoju mąż położył się na podłodze przy łóżku Becky. Dziewczynka nie chciała zostać w sypialni rodziców, za to zbudowała wokół swego łóżeczka mur z pluszowych zwierzątek. Wielki Miś, jej ulubieniec, pełnił specjalną funkcję wartownika. Kucyk Hannah ustawiony został przy drzwiach. Dwanaście fasolek tworzyło kordon na parapecie. Pies Pugsley został ofiarowany Sandy, na wypadek, gdyby matka też potrzebowała ochrony.

Becky popłakiwała wiele razy w ciągu nocy. Około trzeciej nad ranem poderwała się z pościeli i, nie otwierając oczu, ruszyła w stronę szafy. Kiedy Shep próbował córeczkę obudzić, rozpląkała się jeszcze

bardziej, więc w końcu zaniósł ją do łóżka i położył obok Wielkiego Misia. Zanim zapadła w głębszy sen, wymamrotała, żeby uważał na potwory.

O szóstej Shep przeniósł się na kanapę w salonie. W godzinę później, kiedy Sandy weszła do pokoju Becky, znalazła dziewczynkę zwiniętą w kłębek w najgłębszym kącie szafy. Jasna główka kryła się pod czterema sukienkami.

Becky nadal nie mówiła, co się stało w szkole. Lekarze przewidywali, że nigdy o tym nie opowie. Cokolwiek się wydarzyło, było zbyt dużym wstrząsem dla jej ośmioletniego umysłu, który teraz próbował się od tego wszystkiego odciąć. Sandy i Shep zostali pouczeni, jak zapewnić córce poczucie bezpieczeństwa. Jednocześnie lekarz podkreślił, żeby nie bagatelizować jej strachu. Jakkolwiek by się objawiał.

Sandy miała wrażenie, że w ostatnich dniach obydwójce z Shepem starzeją się w ekspresowym tempie. Bardzo chciałaby podnieść słuchawkę i pogadać o tym z Margaret, Liz lub Margie, tak jak przez ostatnie sześć lat, kiedy we cztery dzieliły się wszystkimi problemami. Ale nie mogła. To prawda, że jej dzieci przeżywały koszmar, tylko że podobno przez Danny'ego cierpieli wszyscy mieszkańcy Bakersville. Więc ona, jego matka, powinna za to zapłacić.

– A jeśli... jeśli Danny to zrobił? – odważyła się po raz pierwszy zapytać, spoglądając niepewnie na bogatego i wziętego prawnika, w którego rękach spoczywała ich przyszłość. – A jeśli eksperci zbadają Danny'ego i dojdą do wniosku, że jest mordercą?

– Właśnie to próbuję wam wytłumaczyć. W tym procesie nie chodzi o to, czy Danny zabił, ale czy zabije znowu. Sąd dla nieletnich wyznaczy psychologa, który zbada chłopca, jego osobowość, przeszłość, skłonności do brutalnych zachowań i przeanalizuje wszystkie te dane, a to zajmie trochę czasu. Kiedy już skończy, spisze raport. W tym przypadku z racji rodzaju zbrodni, o którą Danny jest oskarżony, psycholog zapewne złoży dwa oświadczenia. W jednym, zakładając winę Danny'ego, oszacuje prawdopodobieństwo popełnienia przez

niego kolejnego przestępstwa. W drugim, wychodząc z założenia, że chłopiec nie popełnił tych morderstw, przedstawi jego procent szans na prowadzenie życia zgodnego z normami społecznymi.

– Nie rozumiem. Jeśli Danny jest niewinny, powinien mieć sto procent szans na normalne, zdrowe życie. Więc po co to drugie oświadczenie?

– Psycholog sięga w przeszłość dalej niż tylko do okoliczności towarzyszących czynowi, za który oskarżony może jest, a może nie jest odpowiedzialny.

– Danny zawsze był dobrym chłopcem – odparła automatycznie Sandy.

Avery Johnson spojrział na nią ze współczuciem.

– Danny miewa gwałtowne napady złości. Jest obeznany z bronią. Ma opinię odludka. To wszystko na pewno wyjdzie na jaw. Psycholog sądowy będzie oceniał różnego rodzaju czynniki, napięcia w waszej rodzinie i inne źródła stresu.

Shep spuścił głowę. Sandy wiedziała, o czym myśli. O ich rozpadającym się małżeństwie. O swoim popędliwym charakterze. Niezbyt dobry wzorzec dla dorastającego chłopca, choć Shep, dzięki Bogu, nigdy nie podniósł ręki ani na nią, ani na dzieci. Za to meble nosiły na sobie ślady jego ataków furii.

W końcu się odezwał.

– A jeśli nie zaakceptujemy opinii tego psychologa? Możemy sprowadzić własnego?

– Jak najbardziej. Jutro z samego rana złożę w sądzie dla nieletnich wnioski o dopuszczenie naszego specjalisty. Wprawdzie zostanie zaprzysiężony, ale będzie pracował dla nas.

– Ile to kosztuje? – zapytała niepewnie Sandy. – To znaczy...

Zerknęła na Shepa; był zły, że poruszyła kwestię pieniędzy, ale nie mogła się powstrzymać. Szeryf zarabiał tylko dwadzieścia pięć tysięcy rocznie, a ona z ledwością wyciągała dziewięć dolarów za godzinę. Miała nadzieję na więcej, miała nadzieję, że dostanie stałą pensję po sfinalizowaniu transakcji z firmą Wal-Mart, ale teraz te sprawy

wydawały jej się odległą przeszłością. Wybiegła z pracy bez słowa wyjaśnienia. Wieczorem Mitchell zostawił jej uprzejmie sformułowaną wiadomość. Proponował, żeby Sandy wzięła wolne na tak długo, jak będzie trzeba, ale ona wyczuwała, że jest rozczarowany. Potrzebował jej pomocy właśnie teraz. Nie będzie miał wyjścia i zatrudni kogoś nowego. Biznes to biznes.

– Specjalistom płaci sąd. Z funduszów sądowych.

– Więc to nie będzie nas nic kosztowało? – upewniła się Sandy.

Mąż posłał jej wściekłe spojrzenie, a Avery Johnson cierpliwie powtórzył, że nie. Po raz pierwszy dostrzegła w jego oczach prawdziwe współczucie. Pewnie wiedział o ich sytuacji finansowej dużo więcej, niż się O'Gradym zdawało.

– Zatrudniając własnego eksperta, mamy tę przewagę, że może on odmówić zeznań, powołując się na tajemnicę lekarską. Danny powinien być z nim całkowicie szczery. Jeśli uznamy, że wyniki badań są zbyt obciążające, nasz specjalista po prostu nie zostanie wezwany na świadka. Nikt niczego się nie dowie.

– Oprócz nas.

– Mając prawdziwe informacje, możecie zapewnić Danny'emu pomoc – powiedział spokojnie Avery.

– Jeśli uda się nie dopuścić do procesu w sądzie dla dorosłych – odparowała.

– To dla mnie prawdziwe wyzwanie – zgodził się adwokat. – Trzynastolatkowi sprawa w sądzie dla dorosłych nie wróży nic dobrego.

Przez chwilę wszyscy milczeli, rozmyślając o drodze, która ich czeka i o niepewnym losie Danny'ego. Sandy pocierała obolałe skronie.

– Danny tego nie zrobił – odezwał się wreszcie Shep. – Udowodnię to.

Zadzwonił telefon. Shep machinalnie odebrał i powiedział „halo”. Po chwili jego twarz stężała. Szybkim ruchem odłożył słuchawkę.

– Pomyłka – wymamrotał, ale wiedzieli, że kłamie. Telefon dzwonił od rana. Anonimowe głosy wykrzykiwały: „Mamy nadzieję, że dobrze

tam drania zerzną. Mamy nadzieję, że w pudle rozniosą go na kawałki. Dzieciobójca, dzieciobójca, dzieciobójca.

Sandy mieszkała w tym mieście od urodzenia. Kochała je całym sercem. Teraz idąc za tokiem swoich myśli, zwróciła się do Johnsona.

– Jakie mamy szanse? Proszę powiedzieć szczerze. Co się stało z innymi chłopcami oskarżonymi o masowe morderstwa?

– Prawie wszyscy dostali dożywocie. Ale większość z nich miała ukończone szesnaście lat, więc automatycznie podlegali sądowi dla dorosłych.

– Prawie wszyscy? Są jakieś wyjątki?

– Jonesboro. Ci dwaj chłopcy byli zbyt młodzi, a w Arkansas nie ma możliwości przekazania nieletnich sądowi dla dorosłych.

– Odbywają karę w zakładzie poprawczym?

– Zdaje się, że mają tam przebywać do dwudziestego pierwszego roku życia.

Sandy po raz pierwszy się ożywiła.

– I to się sprawdziło? – spytała z nadzieją w głosie. – Są teraz uczciwymi, normalnymi ludźmi?

– Tego jeszcze nikt nie wie, moja droga. Nikt nie wie.

Środa, 16 maja, 17.57

Jego ulubionym serwisem był AOL. Podobał mu się sposób, w jaki grupowano tam najważniejsze wiadomości, by ułatwić przeskakiwanie z jednego tematu na drugi. Podwójne kliknięcie w skrót informacji dnia. Syn szeryfa podejrzany o rzeź w miasteczku. Dwa akapity dalej znowu podwójne kliknięcie i już miał przed sobą szczegółowy raport. Cały świat przesyła wyrazy współczucia. Trzy rodziny pogrążone w rozpacz. Prezydent domaga się ograniczenia dostępu do broni. Bła, bła, bła. Ramka z boku proponowała dodatkowe opcje. Mógł porozmawiać na ten temat z osobami zainteresowanymi. Obejrzeć wykaz chronologiczny wszystkich szkolnych strzelanin w ostatnim czasie. Przeczytać wywiad z tymi, którzy przeżyli masakrę w innych szkołach i dowiedzieć się, jak bardzo każdy kolejny incydent otwierał stare rany. Przejrzał ten artykuł. Otwarte rany, krwawiące serca. Boże, uwielbiał to współczesne dziennikarstwo. Dlatego trzymał pod szkłem egzemplarz „Time’u” z dwudziestego grudnia 1999 roku. Wszystko dla natchnienia.

Dwie godziny wcześniej ściągnął dwa najnowsze artykuły o Bakersville. Oczekiwał większego zainteresowania prasy. Tylko trzy ofiary, w tym cały problem. Wiadomości z pierwszych stron gazet stały

się znacznie poważniejszą konkurencją niż w okresie, kiedy dopiero zaczynał. Będzie musiał to sobie zapamiętać.

Osiemnasta. Oderwał się od laptopa. Cholera, trzeba coś zjeść.

Motel nie miał pod tym względem wiele do zaoferowania. Początkowo chciał zatrzymać się w większym hotelu należącym do którejś z eleganckich sieci. Ale w okolicach Bakersville nie było na to szans. Musiał mu wystarczyć tani prywatny motel. Właścicielka wykazywała nadmierne zainteresowanie gośćmi, ale z drugiej strony personel nie był na tyle liczny, żeby zauważyć, czym zajmują się oni po nocach. Trochę plusów, trochę minusów.

Znowu zaburczało mu w brzuchu. Postanowił wypróbować miejscowy bar.

Piętnaście minut później wszedł w płaszczu i kapeluszu do słabo oświetlonej sali. Trzej zebrani wokół telewizora miejscowi podnieśli z zaciekawieniem wzrok. Łysiejący barman skinął mu lekko na powitanie. Nieznajomy zajął miejsce przed trzema srebrnymi dźwigniami do nalewania piwa i zamówił kufelek.

– Coś ciekawego w wiadomościach? – zagadnął.

– Senat chce wprowadzić ustawę o broni. Żeby rodzice odpowiadali za szkody wyrządzone przez ich dzieciaki.

– Najwyższa pora – wtrącił się drugi mężczyzna. – Jak mówią jabłko nie pada daleko od jabłoni. Dzieciaki muszą skądś brać te pomysły.

Trzeci z gości spojrział surowo na swych towarzyszy. Miał starą, ogorzałą twarz człowieka pracującego na świeżym powietrzu.

– Shep to przyzwoity facet – powiedział cicho.

Pozostali dwaj wzruszyli ramionami i zaczęli przyglądać się swoim butom. Najwyraźniej nie mieli ochoty na spory. Nieznajomy przy barze znowu się odezwał.

– Shep jest dobrym szeryfem, pewnie. Ale ojcem? To chyba nie to samo?

Cała trójka odwróciła się od telewizora. Po raz pierwszy uważniej przyjrzeni się przybyszowi. Staruszek o ogorzałej twarzy przemówił w imieniu wszystkich.

– Nie dosłyszeliśmy, jak się pan nazywa.

– Och, jestem tu przejazdem. W interesach, no wiecie. Zwykle lubię podróżować po wybrzeżu. Ładne widoki, mili ludzie. Ale tym razem... Trzynastolatek zabija dwie dziewczynki. Potem morduje tę biedną nauczycielkę... Taka piękna kobieta, to dopiero strata. – Odwrócił się do barmana, którego życzliwość już wyparowała. – Zamówię skrzydełka na ostro. Z podwójnym serem.

– Niewiadomo, czy to zrobił Danny O'Grady powiedział surowo ogorzały staruszek, a barman poparł go energicznym skinieniem głowy.

– Daj spokój, Darren – wtrącił cicho jeden z miejscowych. – Moja stara słyszała od matki Luke'a Hayesa, że Danny się przyznał.

– A ja ci mówię, że rodzina O'Gradych to przyzwoici ludzie.

– Są jeszcze jacyś podejrzani? – zapytał od niechcienia mężczyzna przy barze.

– Niektóre dzieci widziały podobno jakiegoś faceta w czerni – odparł natychmiast stary farmer.

– Przestań, Darren, nikt w to nie wierzy. To tylko dzieciaki. Przestraszyły się. W tym wieku ma się bujną wyobraźnię.

– Co nie znaczy, że to nieprawda.

Jego towarzysze zmarszczyli brwi, ale nie odważyli się sprzeciwić.

– Słyszałem, że tym O'Gradym nie układało się za dobrze – zaczął znowu nieznamy.

Ogorzały farmer próbował zmrozić go wzrokiem. Dzięki długim latom ciężkiej fizycznej pracy był wciąż muskularnym mężczyzną. Ale nieznamy nie przestraszył się. Starcy, tacy jak ten, nie wdawali się w barowe bójki. Wykorzystywali swój wiek i pozycję, by zawstydzać oponentów i zmuszać ich do milczenia. W końcu jednak zdarzało im się trafić na godnego siebie przeciwnika. Przybysz najwyraźniej nie miał wstydu.

– Powtarzam tylko, co słyszałem – powiedział spokojnie.

Ogorzały staruszek zrobił krok do przodu. Jeden z przyjaciół przytrzymał go za rękę.

– Zostaw, Darren. Każdy ma prawo do swojego zdania.

– Latem zeszłego roku – powiedział stary farmer przerywanym głosem – jechałem do Bakersville jak co tydzień na targ. I niech to diabli, po drodze złapałem gumę i o mało nie zabiłem siebie i innych. Akurat przejeżdżał Shep O’Grady. Z synem jechał. Zatrzymali się i pomogli mi. I Danny wcale nie siedział z założonymi rękami. Wsiadł z auta, pomógł założyć koło i dokręcał nakrętki, jak się patrzy. A kiedy im dziękowałem, powiedział „Nie ma sprawy, proszę pana” i uściśnął mi rękę. Nie wiem, co się stało w tej szkole. Ale nie osądzałbym pochopnie ludzi, których nie znam.

– Dziwne. – Nieznajomy puścił mimo uszu tę ostatnią uwagę. – Bo ja słyszałem, że Danny O’Grady to nieciekawy chłopak. Zadaje się z podejrzanymi typami, rozwalil w szkole szafkę. Do tej podstawówki chodzi syn mojego klienta. Opowiadał, że Danny O’Grady ma nie po kolei w głowie. Wszyscy o tym wiedzą.

Ogorzały staruszek ściągnął siwe brwi i spojrzał na niego groźnie.

– Przyznaj – powiedział jeden z miejscowych pojednawczym tonem – że w takich tragediach nie ma co się dopatrywać logiki. Czasem się zastanawiam, czy każde pokolenie nie potrzebuje wojny, żeby się po prostu wyżyć.

– Twoim zdaniem wojny mają dobry wpływ na młodych? – zapytał z niedowierzaniem Darren.

Jego przyjaciel wzruszył ramionami.

– No, cóż. Strzelaliśmy do Niemców i Koreańczyków, ale nigdy do kolegów w szkole.

– Co ty pieprzysz, Edgar?

– Mówię tylko...

– Narkomania, amputowane nogi i ręce. O tak, wojna to duża frajda dla młodych ludzi.

– W jakim ty świecie żyjesz, Darren? Te strzelaniny ciągle się powtarzają! Jezu, ile ich już było!

Wszyscy zamilkli. Gość przy barze z trudem nad sobą panował, żeby się nie uśmiechnąć.

– Trzeba poczekać i zobaczyć, jak się sprawy potoczą – stwierdził

krótko stary Darren.

Edgar prychnął.

– Jeśli w ogóle się potoczą. Bakersville nie ma już nawet szeryfa. Słyszałem, że teraz ta dziewczyna prowadzi śledztwo.

– Lorraine Conner – powiedział nieznajomy. Barman zerknął na niego z zaciekawieniem.

Edgar kiwnął głową.

– Tak, zgadza się. Przejęła taką poważną sprawę, a Bóg mi świadkiem, że pełnoletnia jest od niedawna.

– Sprowadzili też agenta FBI – uparcie podtrzymywał rozmowę mężczyzna przy barze. – Jakiegoś eksperta od szkolnych strzelanin.

– FBI ma eksperta od szkolnych strzelanin? – po raz pierwszy odezwał się barman.

Nieznajomy uśmiechnął się szeroko.

– Ciekawe, co? – powiedział. – Dopiero się okaże, czy facet do czegoś się nadaje.

Była ósma wieczorem. Na ulicach Bakersville zapadł już szary zmrok, który przyprawiał Rainie o smętny nastrój.

Po rozmowie z dyrektorem Vander Zandenem Rainie i Quincy złożyli wizytę w małym mieszkaniu Melissy Avalon. Mieli nadzieję dowiedzieć się czegoś więcej o jej życiu. Wszystko wskazywało na to, że panna Avalon była właśnie tą osobą, o którą zbrodniarzowi chodziło. Może nawet tylko ona miała zginąć. Jednak Rainie nie potrafiła uwierzyć, że Danny O'Grady z premedytacją zastrzelił ukochaną nauczycielkę. Nasuwało się więc pytanie, kim była Melissa Avalon i przede wszystkim, kto życzył jej śmierci. Podejrzenia Quincy'ego co do uczuć Vander Zandena sprawiły, że Rainie zaczęła zastanawiać się nad osobą dyrektora. A może to jego zdradzona żona...

Quincy ze swojej strony nie był już niczego pewny. Skłaniał się ku wersji, według której Melissa Avalon była głównym celem ataku, ale nie musiało to jego zdaniem oznaczać, że zabójca ją znał. Jak wiadomo,

wielu morderców zabija obce młode i ładne kobiety tylko dlatego, że są młode i ładne. Rainie naprawdę nie chciałyby wiedzieć, co agent czytuje nocami.

Niestety Sanders nie ułatwił im zadania. Dostał się do mieszkania panny Avalon przed Quincym i Lorraine. Szuflady były wybebeszone, kuchnia rozebrana na kawałki, łóżko rozprute. Technicy policyjni grzebali nawet w pudełeczku z tamponami.

Rainie musiała teraz czekać na raport policji stanowej lub błagać Sandersa o informacje dotyczące prowadzonego, bądź co bądź przez nią, śledztwa. Ta sytuacja nie wprawiała jej w szampański nastrój.

Jak burza wpadli z Quincym do centrum operacyjnego i od razu natknęli się na Luke'a Hayesa i zastępcę szeryfa, Toma Dawsona, którzy mieli przed obiadem przesłuchać Becky O'Grady. Nic z tego nie wyszło. W domu Shepa oczekiwał już Avery Johnson. Uparł się być obecnym podczas przesłuchania, a Sandy i Shep również tego żądali. Ośmioletni świadek, usadzony na kanapie w małym salonie, czuł na sobie badawcze spojrzenia pięciorga dorosłych.

W tej sytuacji Becky zrobiła jedyną logiczną rzecz. Przytuliła się do pluszowego misia, zwinęła w kłębek i zasnęła.

Po piętnastu minutach Luke i Tom ruszyli do wyjścia. Shep nie odprowadził ich. Zrobił to za niego adwokat, informując przy okazji, że państwo O'Grady muszą zmienić i zastrzec numer telefonu z powodu anonimowych prześladowań. Chciał też, żeby policja zapewniła rodzinie szeryfa ochronę. Czy Luke i Tom nie widzieli, co jakiś bydlak napisał na garażu O'Gradych?

Luke naprawdę się przejął. Zrobił dwa zdjęcia do akt, a potem pojechał do sklepu z materiałami budowlanymi i kupił kubek podkładu i kubek białej farby. Razem z Tomem przez godzinę przemaalowywali drzwi garażu Shepa. Ani Shep, ani Sandy nie pokazali się, żeby chociaż podziękować.

Rainie nie wiedziała, co powiedzieć. Tragedie często wyzwają w ludziach najlepsze instynkty. Ale mogą też wyzwalać najgorsze.

Ledwie Luke i Tom zamknęli za sobą drzwi, gdy do centrum

operacyjnego wkroczył burmistrz. Właśnie dzwonili do niego rodzice Sally Walker. Z jakiego powodu przeniesiono sekcję na następny dzień? Dlaczego rodziny nie mogły odebrać ciał zamordowanych dziewczynek i przygotować ich do pogrzebu? Rodzice ofiar byli wściekli.

A czy Rainie widziała George'a Walkera w wiadomościach o piątej? Zgadza się. Oświadczył przed kamerą, że Danny'emu O'Grady morderstwo może uść płazem. Co prawda drań zabił trzy osoby, ale policjanci w Bakersville nie kiwną palcem, bo jest synem ich szefa. Najzwyklejszy przypadek kumoterstwa. Więc niech mieszkańcy miasteczka lepiej pozamykają dzieci w domach, bo niedługo Danny O'Grady wyjdzie z aresztu, jak gdyby nigdy nic.

W sklepie z akcesoriami sportowymi strzelby zaczęły iść jak świeże bułeczki. Nie tylko w Bakersville, ale i w całym okręgu Cabot.

Ludzie się boją, oświadczył bez ogródek burmistrz. Są wściekli. Niech Rainie szybko doprowadzi sprawę do końca. W przeciwnym razie na ulicach rozpęta się piekło.

Kiedy wreszcie wyszedł, Rainie wyjęła z szafki nowe pudełko ołówków 2H i usiadła za prowizorycznym biurkiem naprzeciw Quincy'ego. Jeden po drugim, ołówki pękały w jej ręku. Potem połówki połamała raz jeszcze. I w końcu zebrała myśli.

Jednak wcale nie poczuła się lepiej. Drugi dzień śledztwa i czym dysponowała? Długą listą pytań. Dlaczego Danny zastrzelił akurat tę nauczycielkę, która najwyraźniej próbowała mu pomóc? Czy Charlie Kenyon miał wpływ na Danny'ego? A może ktoś, kogo Danny poznał przez Internet? Wydawało się mało prawdopodobne, by obca osoba mogła pchnąć nastolatka do morderstwa, ale według wszystkich relacji Danny był wrażliwym dzieckiem i Bóg wie, że zdarzały się dziwniejsze rzeczy.

Pojedynczy strzał z broni małego kalibru w czoło Melissy Avalon. Liczne rany u pozostałych.

Rainie uważała, że powinna wiedzieć już coś więcej, ale jak dotąd na żadne z tych pytań nie znalazła odpowiedzi. Za to doprowadziła się do takiego stanu, że na sam dźwięk długopisu skrzypiącego po papierze

miała ochotę wyrwać Quincy'emu notes i walić nim agenta po głowie. W dodatku śmiał się, kiedy łamała ołówki. Ci federalni mają oryginalne poczucie humoru.

Chociaż Quincy i tak nie był najgorszy. Opanowany jak przystało na faceta z FBI. Tajemniczy – co chwila spoglądał na komórkę, jakby oczekiwał ważnego telefonu i obawiał się go zarazem. I zaangażowany w śledztwo. Bardziej, niż mogła przypuszczać dziś rano.

Sposób, w jaki poruszał się na miejscu przestępstwa, w jaki skrupulatnie przeszukiwał zdewastowane mieszkanie Melissy Avalon, jakby chciał zapamiętać każdy najdrobniejszy szczegół, a potem jedynie wysiłkiem woli złożyć kawałki układanki, zaimponował Rainie. Quincy wydawał jej się bystry, poważny i silny. Za to Sandersa potrzebowała tak bardzo jak dziury w głowie. Poczwała ucisk w żołądku.

Cholerny agent FBI. Cholerny detektyw stanowy szukający dowodów na potwierdzenie swojej tezy. I cholerni pijani głupcy, którzy uważali, że jedyną odpowiedzią na przemoc jest przemoc.

Rainie odwróciła wzrok od okna, za którym zapadła już noc. Spojrzała w dół, na blat biurka, i dopiero teraz zauważyła, że nadal zaciska pięści. Myśli chaotycznie kłębiły jej się w głowie. Mogła poradzić sobie z agentem FBI i detektywem stanowym. Szczerze mówiąc, miała w nosie burmistrza i jego konferencję prasową. Nie bała się miejscowych wyrostków, którzy mieli w brzuchach za dużo piwa, a w głowach za mało rozumu. Z tym wszystkim potrafiła się uporać.

Prawdziwym strachem napawało ją to, co miało wydarzyć się nazajutrz o piątej rano. Będzie musiała pojechać do Portland i patrzeć, jak patolog kroi ciała dwóch dziewczynek.

Myśl o tym dręczyła ją. Rainie nie chciała znowu oglądać Sally i Alice. Nie teraz, kiedy zna ich imiona, ich rodziny i wie, że te małe od najmłodszych lat były najlepszymi przyjaciółkami. Nie chciała myśleć o ich ostatnim spacerze szkolnym korytarzem ani o cmentarnej działce, która pomieści dwie bliźniacze trumny.

Zeszłej nocy po raz pierwszy od pięciu lat przyśniła jej się śmierć matki. Krew i mózg na ścianach. Zapach, ohydny smród posoki i

świeżego prochu. Bezgłowe ciało na podłodze. Wyglądało tak dziwnie i obco, że Rainie nie poznałaby kto to, gdyby nie butelka whisky w zaciśniętej martwej dłoni.

I gdy stała tam, przerażona siedemnastolatka, a rozbryźnięte na suficie szczątki mózgu skapywały jej na włosy, z kuchni wyszedł Danny O'Grady i spokojnie podał Rainie ciepłą jeszcze broń.

– Zrobiłem tylko to, co chciałaś – powiedział i wyszedł frontowymi drzwiami.

Obudziła się o czwartej nad ranem, złana zimnym potem i cała rozdygotana. Zmusiła się, żeby przejść do małego salonu, gdzie brązowy dywan i złocista tapeta w kwiaty już dawno zostały wymienione. Przyglądała się każdemu zakątkowi pokoju – urządzonego na nowo, nowoczesnego, w czternaście lat później – ale mogłaby przysiąc, że widzi krew na suficie.

Wróciła do łóżka, jednak kiedy obudziła się po godzinie, nadal trzęsła się, udreńczona okropnymi snami.

To śledztwo wyprowadzało ją z równowagi. Nigdy by się tego nie spodziewała. Przerazało ją. Rozwścieczało.

– Muszę coś zjeść – oznajmiła niespodziewanie, wstając od prymitywnego biurka i zbierając swoje rzeczy.

Quincy podniósł wzrok znad notatek. Popatrzył na nią łagodnie. Bez marynarki, z podwiniętymi rękawami i poluzowanym purpurowym krawatem wyglądał bardziej przystępnie. Ale też cienie pod jego oczami stały się widoczniejsze. Najwyraźniej superagent nie sypiał zbyt wiele nawet przed przyjazdem do Bakersville.

– Dają w tej miejscinie jakieś żarcie? – zapytał z udawanym zdziwieniem. – A myślałem, że lunch opuściliśmy z konieczności.

– Lunche są dla mięczaków – wpadła w jego ton Rainie. – Chodź. Zabiorę cię do baru u Marthy. Najlepszy stek z kurczaka w całym mieście.

Quincy uniósł sceptycznie brew. Może nie dowierzał umiejętnościom kulinarnym Marthy, a może oczami wyobraźni już widział ruinę swego zdrowia. Tak czy inaczej, chwycił granatową

marynarkę i ruszył za Rainie.

O tej porze w barze było dosyć luźno. Większość ludzi pracy udała się do domów. Farmerzy szykowali się już spać. Nie ma to jak miasteczka, gdzie nocne życie zależy od krowich obyczajów. Rainie zauważyła prezesa Credit Union, Donalda Leydena, który po rozwodzie zaczął się tu stołować. A po chwili Rainie dostrzegła Abe'a Sandersa.

Siedząc samotnie przy stoliku w kącie sali, w jednej ręce trzymał telefon komórkowy, a drugą walczył z pierśią kurczaka. Między rzucanymi do telefonu słowami chrupał surową marchewkę prosto z plastikowej torebki. Rainie wypatrzyła też pojemniczek z sałatą. Detektyw stanowy podróżował z własnymi warzywami! Teraz miała już pewność – Abe Sanders był cholernym diabłem.

– Tak, słyszę pieska – mówił z pewnym zniecierpliwieniem do telefonu. – Nie, Saro, nie musisz podsuwać mu słuchawki. Nie, nie. Hej... – Jego głos nagle przeszedł na wyższe rejestry. – Cześć Murphy. Tak, dobry piesek. Bardzo dobry. A teraz daj mi mamusię. Daj mamusię... Saro, no nareszcie. Tak, tak, przywitałem się, ale to przecież tylko pies, na litość boską. Nie rozumie cudów techniki takich jak AT&T. Tak, oczywiście. Popiskuje teraz? Dlaczego? Co się stało? Co takiego? Naprawdę? – Sanders wydawał się zaskoczony, a potem w jakiś nieśmiały sposób zadowolony. – Murphy co rano chodzi po domu i mnie szuka? Tęskni za mną. Coś takiego. To naprawdę bystre stworzenie.

W końcu zauważał, że Rainie i Quincy przypatrują mu się. Zaczerwienił się, jakby schwytano go na gorącym uczynku, pospieszenie się pożegnał i schował telefon.

– Nowy pies – wymamrotał. – Moja żona... ma na jego punkcie zupełnego bzika. Wiecie, jak to jest. – Przełknął ślinę i wskazał na sąsiednie krzesła. – Usiądziecie? Mam trochę nowych wiadomości.

Rainie od razu poczuła niepokój, ale zajęła miejsce przy czerwonym plastikowym stoliku i przedstawiła Quincy'ego. Panowie najwyraźniej znali się ze słyszenia, więc uścisk dłoni był tylko formalnością.

– Co cię sprowadza do Bakersville? – zapytał Sanders, kiedy Quincy,

nie zważając na dobre rady, zamiast steku z kurczaka zamówił sałatkę cesarską. Rainie pokręciła głową, dając mu do zrozumienia, że robi błąd i poprosiła o stek, tłuczone ziemniaki i podwójny sos. Nie jadła nic przez cały dzień, więc wolałaby raczej smażyć się w piekle niż ze wstydu przed dwoma facetami poprzestać na sałatce. Zastanawiała się właśnie, czy wciśnie w siebie jeszcze krem czekoladowy, kiedy padła odpowiedź Quincy'ego.

– Zbieram dane dotyczące szkolnych strzelanin. Dla Sekcji Badań Behawioralnych. Ten przypadek naturalnie bardzo mnie interesuje.

– Jesteś obserwatorem?

Quincy zerknął na Rainie.

– Czymś w tym rodzaju.

– Nie potrzebujemy pomocy federalnych – rzucił obcesowo Sanders.

Quincy miał nadal uprzejmy wyraz twarzy.

– Spokojna głowa. Nie śmiałbym nadepnąć policjantce Conner na odcisk, próbując przejąć sprawę. Słyszałem, że ma na ten temat sprecyzowane poglądy. A poza tym świetnie sobie radzi z bronią.

Rainie uśmiechnęła się szeroko, słysząc ten nieoczekiwany komplement. Za to Sanders spochmurniał. Po chwili jednak odzyskał werwę.

– No cóż – wytarł ręce w serwetkę – do rana prawdopodobnie wszystko się wyjaśni. Właściwie już prawie zamknąłem śledztwo.

– Naprawdę? – Rainie rzuciła mu pełne zwątpienia spojrzenie. – A jeszcze parę godzin temu twierdziłeś, że rozpieprzyłam dochodzenie.

– Czasem dowody pojawiają się pomimo działalności policjanta – zapewnił ją Sanders.

– Zapamiętam to sobie. I cóż to za nowe dowody?

– Nie mówiłem? – Sanders udawał zdziwionego. – Dostałem już informacje, na które cały czas czekałem. Pochodzenie rewolweru kaliber 38 i pistoletu samopowtarzalnego kaliber 22 było łatwe do wyśledzenia. Oba zarejestrowano na nazwisko niejakiego Shepa O'Grady. Wczoraj na miejscu zdarzenia technicy znaleźli pięć pocisków z trzydziestki ósemki. Dzisiaj laboratorium potwierdziło, że krew i ślady tkanki na pociskach

pochodzą od dwóch młodocianych ofiar i... proszę o fanfary... specje od balistyki ustalili, że bruzdy na pociskach pasują do rewolweru Danny'ego. Miałaś rację, Conner, mamy co najmniej jedno z narzędzi zbrodni.

– Wiemy, że dziewczynki zastrzelono z trzydziestki ósemki – powiedziała Rainie, marszcząc brwi. – Ale skąd ta pewność, że to Danny pociągnął za spust?

– Mamy odciski Danny'ego na łuskach znalezionych na miejscu przestępstwa. Zręczny adwokat będzie twierdził, że Danny mógł załadować broń, ale nie musiał z niej strzelać. Jednak na tym etapie dowody poszlakowe są nie do odparcia. Możemy powiązać osobę oskarżonego z narzędziem zbrodni. Poza rym chłopak nie ma alibi na czas strzelaniny, a świadek – czyli ty – zezna, że widział go w szkole tuż po morderstwie, gdy trzymał na muszce własnego ojca. Nawet jeśli nie uda nam się włączyć zeznań dzieciaka do materiałów dowodowych, to, co mamy, wystarczy, żeby ława przysięgłych domyśliła się reszty.

– A co z Melissą Avalon? Jak na razie dowody łączą Danny'ego tylko z dziewczynkami.

– Nie wiemy jeszcze. Wygląda na to, że strzelono do niej tylko raz, z pistoletu samopowtarzalnego kaliber 22. Nie ma rany wyjściowej, więc musimy poczekać, aż patolog wydobędzie pocisk podczas jutrzejszej sekcji. Ale nie liczyłbym specjalnie na wyniki. Pociski kaliber dwadzieścia dwa ważą zaledwie czterdzieści gramów i robi się je z miękkiego ołowiu. Najczęściej są zbyt zdeformowane od uderzenia w kość, żeby nadawały się do badań porównawczych. Zresztą zobaczymy. A swoją drogą, usłyszałem dzisiaj u fryzjera interesującą plotkę. Podobno ta Avalon i dyrektor szkoły byli bardzo zaprzyjaźnieni... Wicie, o czym mówię.

– Wielkie rzeczy – powiedziała Rainie. – Quincy domyślił się tego po dziesięciu minutach rozmowy z Vander Zandenem. No pochwal się, agencie.

Quincy wzruszył skromnie ramionami. Sanders wyglądał na zawiedzionego.

– Wiedziałaś, że facet puszczał żonę kantem?

– Jego reakcja na śmierć panny Avalon wydawała się zbyt emocjonalna, nawet biorąc pod uwagę okoliczności.

– Aha. – Sanders zaszepił się, ale po chwili znów się ożywił. – To nie ma żadnego znaczenia dla śledztwa – powiedział stanowczo. – Sprawdziłem w sekretariacie szkoły. Kiedy oddano strzały, dyrektor Vander Zanden siedział w swoim gabinecie. Z tego, co mi wiadomo, niewyjaśniona pozostaje tylko nieobecność Danny'ego. Kolejna sprawa do naszych raportów.

– Trzeba też wziąć pod uwagę uczniów, których wczoraj nie było w szkole – powiedziała Rainie.

– Dwudziestu jeden nieobecnych – odparł Sanders. – Szesnaściorgu gorliwi rodzice już zapewnili alibi. Założę się, że pozostała piątka do jutra zdobędzie usprawiedliwienia.

– A co z komputerami? – zapytał Quincy. – Dyrektor mówił, że Danny spędzał mnóstwo czasu w Internecie. To mnie zastanawia.

Sanders popatrzył na niego przenikliwie.

– Myślisz o wpływie kogoś z zewnątrz?

– Ten czynnik wystąpił przy paru innych strzelaninach. I jeszcze jedna rzecz mnie dziwi. Jakim cudem Danny potrafił włamać się do nowoczesnego sejfu?

Sanders chrząknął.

– Nie ustaliliśmy jeszcze, czy trudno jest dostać się do tego sejfu. Wiemy za to, że Shep ma ładną kolekcję broni. Na szczęście Danny nie wziął strzelb, tylko dwie mniejsze sztuki. Bóg jeden wie, co by się wtedy mogło stać.

– Wiemy, dlaczego wybrał trzydziestkę ósemkę i dwudziestkę dwójkę? – zapytał Quincy, Sanders zerknął na Rainie.

Pokręciła głową.

– Nie wspominał o tym, a ja nie wpadłam na to, żeby zapytać. Pewnie założyłam, że pistolet łatwiej ukryć w szkolnym plecaku.

– Ale Danny czasem polował, prawda? – zapytał Quincy.

– Jasne. Od najmłodszych lat.

– Często miał do czynienia z bronią palną?

Musiła się zastanowić. Tymczasem podano jedzenie. Sałatka Quincy'ego wyglądała świeżo i apetycznie – uroki wiejskiej kuchni – a dobrze wysmażony stek pływał w gęstym sosie. Od zapachu jedzenia Rainie aż zaburczało w brzuchu, ale kiedy wzięła do ręki widelec, stwierdziła, że rozmowa odebrała jej apetyt.

– Shep nieraz opowiadał o polowaniach – odezwała się po chwili. – Wiem, że Danny zdobył parę nagród, ale chyba zawsze używał strzelby kaliber dwadzieścia dwa, a nie pistoletu.

– Pierwsze miejsce w kategorii juniorów – potwierdził Sanders. – Zabraliśmy trofea z jego sypialni.

Rainie skrzywiła się. Wolą nie myśleć o tym, co czuli Sandy i Shep, kiedy technicy policyjni pakowali do pudełek rzeczy Danny'ego. I jakie to musiało zrobić wrażenie na Becky.

Quincy najwyraźniej nie był przekonany o winie chłopca.

– Więc Danny najpewniej czuje się ze strzelbą, ale sięga po pistolety, a na cel bierze nauczycielkę, którą podobno uwielbia. Chowa się w sali, żeby nikt go nie zobaczył, ale po strzelaninie nie ucieka z budynku. Ciekawe. – Znowu odwrócił się do Sandersa. – A co do szkolnych komputerów...

– Badają je teraz specjaliści – powiedział detektyw stanowy. – Główny komputer i trzy stacje robocze. Szkoła miała serwer Firewall, więc prawdopodobnie da się ustalić, które strony internetowe odwiedzano i kiedy. Do końca tygodnia mam otrzymać ich pełną listę. Dziś po południu dostałem wiadomość, że ktoś szperał w komputerach. Usunięto pamięć podręczną, skasowano plik historii i tak dalej. Wszystko wskazuje na próbę zatarcia śladów. Ale nasi spece nie zmartwili się tym zbyttnio. Z większymi problemami potrafili się uporać. Obiecywali wziąć się do roboty dziś rano.

– Jeśli będą jakieś problemy, mamy w Biurze świetnych ekspertów od odzyskiwania danych – rzucił od niechcienia Quincy.

– Tak, tak. – Sanders zdecydowanie nie miał zamiaru dopuścić do sprawy FBI. Machnął ręką lekceważąco. – Jestem pewien, że poradzimy

sobie.

Już zgromadziliśmy mnóstwo dowodów. Na tym etapie dane z komputera będą tylko kropką nad i.

– Nie mamy niczego, co wiązałoby Danny'ego z morderstwem Melissy Avalon – zauważyła Rainie.

– W takim razie prokurator wniesie oskarżenie o spowodowanie śmierci dziewczynek. To mi wystarczy. Ile dożywotnich wyroków może odsiedzieć człowiek?

– Dziecko – powiedziała w zamyśleniu Rainie. Rezygnując całkowicie ze swojej kolacji, sięgnęła do talerza Quincy'ego po liść sałaty. – Ile dożywotnich wyroków może odsiedzieć dziecko.

Sanders przewrócił oczami.

– Jakby wiek miał tu coś do rzeczy. Grozi nam zalew młodocianych psychopatów. Nie mam racji, Quincy? Zapracowani rodzice hodują potwory, pozbawione uczuć i sumienia. Ci milusińscy najpierw niszczą i zabijają na ekranie komputera, a potem robią to samo na ulicy. Mordują ciężarne kobiety i wracają do domu obejrzyć „Królika Bugsa”. „New York Times” drukował o tym kiedyś artykuły.

– Nie wierzyłbym we wszystko, co piszą gazety – powiedział Quincy.

– Dlaczego? Czytałem to na początku lat dziewięćdziesiątych, a ile mieliśmy od tamtej pory strzelanin w szkołach?

– Na pewno kilka – zgodził się posłusznie Quincy – ale za to rok 1998 należał do najspokojniejszych.

Sanders rzucił Quincy'emu pełne powątpiewania spojrzenie. Agent FBI nie przejął się tym zupełnie.

– W roku szkolnym 1992/93 – ciągnął – o czym pewnie wspominał „New York Times”, mieliśmy pięćdziesiąt pięć ofiar śmiertelnych. Ale jak zaznaczyłeś, to było przed plagą rzezi w szkołach. W roku 1997/98 doszło do trzech strzelanin, podczas których zginęło czterdzieści osób. Niemal trzydziestoprocentowy spadek. Prawda jest taka, że tragedie w szkołach przypominają trochę katastrofy lotnicze. Szokują i dostają się na pierwsze strony gazet, ale trudno je uznać za reprezentatywne dla

określonej sfery życia. Dzieci są wciąż bezpieczniejsze w szkole czy w samolocie niż w prowadzonym przez rodziców samochodzie.

– Ale przecież te incydenty ciągle się powtarzają – zaoponowała Rainie i ukradła kolejną grzanekę z sałatki Quincy'ego. – Na początku można było utrzymywać, że to tylko tragiczne epizody, ale ten koszmar trwa już całe lata. Jedna strzelanina budzi żal. Siedem po prostu przeraża.

– Mamy do czynienia z niepokojącymi zjawiskami – przyznał Quincy – ale nie możemy tracić szerszej perspektywy. Generalnie rzecz biorąc, skala przestępczości wśród nieletnich zmalała w ciągu ostatnich pięciu lat. A ponieważ walczymy z narkotykami i gangami, szkoły stają się coraz bardziej bezpieczne. To dobra wiadomość.

– Z drugiej strony – dodał, widząc sceptycyzm swoich słuchaczy – niektórzy uczniowie postępują szokująco brutalnie i bez skrupów. Niestety media zniekształcają fakty. Normalny chłopiec zabija dziesięć osób. Kochająca rodzina ginie z rąk czternastoletniego syna. Przecież to kompletny absurd. Jeśli się nie opamiętamy, będziemy żyć w strachu przed własnymi dziećmi. A tymczasem naprawdę przytłaczająca większość młodocianych zbrodniarzy nie jest wcale normalna. U części rozpoznano poważne zaburzenia psychiczne. To ludzie chorzy. Powinni przyjmować leki. Nawet ci, w przypadku których nie stwierdzono wcześniejszych zakłóceń, prawdopodobnie cierpieli na silne zaburzenia więzi, co umożliwiło im decyzję o morderstwie.

– Co to są zaburzenia więzi? – zapytał Sanders.

– Brak zdolności nawiązywania więzi – odpowiedziała błyskawicznie Rainie. Wzruszyła ramionami i poczęstowała się znowu sałatką Quincy'ego. – Studiowałam psychologię. Pamiętam jeszcze co nieco.

– Bardzo dobrze – pochwalił ją Quincy, ale zaraz zmarszczył brwi i przysunął talerz bliżej siebie. Rainie ukradła mu kolejną grzanekę. Dał za wygraną.

– Każdy odczuwa potrzebę związku z innymi ludźmi – wyjaśnił Sandersowi. – Już jako niemowlęta nawiązujemy więź z rodzicami.

Kiedy maluch płacze, rodzice reagują na to, karmią, przytulają. Dziecko podświadomie uznaje, że są dobrzy i kochają je – tworzy się więź. W miarę dorastania ta więź rzutuje na relacje z całym otaczającym światem. Dzięki niej jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, sąsiadami, mężami i tak dalej. Niestety, nie u wszystkich wytwarzają się takie więzi. Dziecko płacze i jest bite. W tym przypadku, zamiast nauczyć się zaufania i troski o innych, staje się egocentryczne, notorycznie kłamie, manipuluje otoczeniem, nie jest zdolne do empatii. Najczęściej obserwujemy to zjawisko u dzieci maltretowanych lub porzuconych. Ale może ono wystąpić również w tak zwanych normalnych rodzinach. Tyle że nie jest to tak powszechne.

– Dobrzy rodzice miewają złe dzieci? – zapytał Sanders i przewrócił oczami, dając do zrozumienia, co o tym myśli.

Quincy nie zraził się jednak.

– Właśnie tak. Matka cierpi na silną depresję poporodową i nie potrafi zaspokoić potrzeb niemowlęcia. Albo niemowlę cierpi na bolesną chorobę i matka nie jest w stanie sprostać jego wymaganiom. Albo nowo narodzone dziecko po prostu nie ma skłonności do nawiązywania więzi. Bez względu na to, jak bardzo matka się stara, maluch odsuwa się od niej. Rzadki przypadek, ale zdarza się. Więc owszem, dobrzy rodzice mogą mieć jedno dziecko bardzo udane, a drugie bardzo słabo przystosowane do życia w społeczeństwie.

Sanders znowu spojrzął na Quincy'ego z powątpiewaniem.

– Nie kupuję tego – wyznał otwarcie. – Mówisz, że te dzieciaki są psychopatami od urodzenia. W takim razie dlaczego nikt tego wcześniej nie zauważył? Dlaczego we wszystkich nagłówkach czytamy: Normalny chłopak zabija dziesięciu kolegów?

– A przypomnij sobie sprawę Teda Bundy – wtrąciła się Rainie. – Wszyscy uważali go za przystojnego, czarującego faceta. Jedyne problem w tym, że, jak się okazało, lubił gwałcić i mordować młode dziewczyny.

– No właśnie – podchwycił Quincy i z aprobatą skinął głową.

Rainie uświadomiła sobie, że odwzajemnia jego uśmiech. Agent

specjalny miał niebieskie oczy, które kiedy się uśmiechał, nabierały blasku i ciepła – urzekające oczy Paula Newmana.

– Nadal brzmi to dla mnie jak psychologiczny bełkot – upierał się Sanders. – Te dzieciaki są mordercami. Koniec, kropka. Najlepiej zamknąć je i wyrzucić klucz.

– Bez względu na wiek? – zapytał łagodnie Quincy.

Wciąż patrzył na Rainie. Po chwili oboje zmieszani wlepili wzrok w sałatkę.

– Pewnie – powiedział Sanders. – Jeśli kogoś stać na taki czyn, powinno go być też stać na poniesienie kary.

Quincy wzruszył ramionami. Najwyraźniej miał na ten temat inne zdanie. Nadział na widelec następny kęs i zaskoczył Rainie i Sandersa swoją odpowiedzią.

– Może. Bóg jeden wie, że nie mało już widziałem. – Zamyślił się na chwilę. – Niektóre dzieci są niebezpieczne – powiedział w końcu z większym przekonaniem. – Niektórym prawdopodobnie nie można pomóc, nie mówiąc już o zrozumieniu ich. Ale nie wszyscy są tacy. A nasz system prawny opiera się na zasadzie, że lepiej puścić wolno setkę winnych niż ukarać jednego niewinnego. Jest więc dla mnie jasne, że powinniśmy próbować rozpoznać tych, dla których istnieje szansa resocjalizacji. A nie wrzucić wszystkich do tego samego worka i po prostu pozbyć się problemu.

– Czy naprawdę można pomóc dziecku, które popełniło morderstwo? – ożywiła się Rainie.

– Czasami. Im dziecko jest młodsze, tym szanse większe. Poza tym zaburzenie więzi może mieć różne nasilenie. Niektóre przesłuchiwane przeze mnie dzieci reprezentowały przypadki ekstremalne. Były, jak mówi Sanders, psychopatami. I tu się z nim zgodzę: bezpieczniej jest zamknąć je i wyrzucić klucz. – Quincy uśmiechnął się gorzko. Zniżył głos. Spoważniał. – Ale nie dotyczy to wszystkich młodocianych przestępców. Jak już wspominaliśmy wcześniej, policjantko Conner, masowi mordercy nie stanowią jednolitej grupy. Niektórzy ze sprawców szkolnych strzelanin byli wykonawcami, ale nie

pomysłodawcami. Mieli problemy emocjonalne, odznaczali się brakiem odporności. Dawali sobą manipulować i uciekali się do przemocy, bo cierpieli, odczuwali niepokój i nie wiedzieli, jak sobie z nim poradzić. Zrobili to, co zrobili, ale potem dręczyły ich wyrzuty sumienia. Myślę, że te dzieci można jeszcze uratować. I biorąc pod uwagę ich wiek, uważam, że należy próbować.

– A jeśli pomylimy się i taki dzieciak znowu zabije? – nie ustępował Sanders. – Będziesz odwiedzał osieroconych krewnych i tłumaczył, że na skutek nieudanego eksperymentu naukowego zginęła ich żona, siostra, matka? Będziesz próbował wyjaśniać w telewizji, dlaczego mordercy umożliwiono kolejną zbrodnię?

Quincy posłał mu słaby uśmiech.

– To się zdarza. Niektórzy z seryjnych morderców – na przykład Kempner – wyszli z zakładów poprawczych. Zabili jako nieletni. Poddano ich resocjalizacji. Dorosli. I zabili znowu.

– Czasami cieszę się, że nie mam dzieci – powiedział Sanders.

Quincy westchnął. Odłożył widelec i wydawało się, że nie zdoła już przełknąć ani kęsa.

– Sytuacja robi się coraz trudniejsza – wymamrotał. – Wiecie, że wprowadzamy do szkół techniki identyfikacji zespołu cech typowych dla seryjnych morderców?

Rainie uniosła brwi. Sanders wyraził swoje zdziwienie bardziej dosadnie:

– Zalewasz.

– Nie zalewam. Po ostatnich wypadkach w kilku okręgach wprowadzono program selekcji psychologicznej. Dyrektorzy szkół dysponują listą podejrzanych zachowań, za pomocą której rozpatrują osobowość każdego ucznia jako potencjalnego przestępcy. Okrucieństwo wobec zwierząt, ordynarny język, rysunki przedstawiające akty przemocy, agresja. Kilku naszych agentów prowadzi obecnie kursy dla nauczycieli z zakresu badania zachowań i selekcji psychologicznej.

– Co się dzieje, jeśli jakiś uczeń zostanie uznany za potencjalnie

niebezpiecznego? – zapytała Rainie, marszcząc brwi. – Dyrektor szkoły dzwoni po policję, rewiduje podejrzanego i konfiskuje mu gry komputerowe?

– W większości okręgów powiadamia się rodziców. Potem uczeń może być skierowany do psychologa, a nawet usunięty ze szkoły. Traktuje się to bardzo poważnie.

– Jak procesy czarownic w Salem.

– Tak, chociaż czarownice nie zabijały po trzynaście osób. Szkoły są pod presją. Trzy lata temu dyrektor Vander Zanden nie przyjął do wiadomości, że i w Bakersville może dojść do strzelaniny. O ile chcesz się założyć, że teraz tego żałuje? I o ile chcesz się założyć, że jeśli rada szkoły usłyszy o programie selekcji, natychmiast podejmie próby wykrycia kandydatów na przyszłych morderców?

Zapadła cisza. Sanders pokręcił głową.

– Boże, nie mógłbym być nauczycielem – zapewnił z mocą. – Widuję od dwóch do czterech zabójstw tygodniowo, ale znacznie bardziej przeraża mnie myśl o tym, co się dzieje w szkolnych murach. Uczniowie terroryzują i straszą nauczycieli, a teraz pedagodzy mają przyglądać się swoim wychowankom, zgadując, którzy z nich są bezlitosnymi maszynami do zabijania. Fantastyczne.

Rainie wzruszyła ramionami.

– Nauczyciele powinni się już do tego przyzwyczaić. Kiedy ostatnio domagano się staranniejszej opieki od rodziców? Teraz zawsze jest winna szkoła. Bez względu na to, co się dzieje. Mój Boże, dlaczego szkoły nie wychowują lepiej naszych dzieci?

Quincy uśmiechnął się ironicznie.

– Wypowiedzieli się ci, którzy akurat nie mają dzieci.

– Ciekaw jestem, co zdecydowało w przypadku Danny'ego O'Grady – zastanawiał się na głos Sanders. – Według mnie nie różni się zbyt od innych szkolnych morderców. Samotnik, cały czas spędza w pracowni komputerowej, nie radzi sobie na boisku. Nie znalazłem jeszcze nauczyciela, który umiałby powiedzieć cokolwiek o jego przyjaciółach. Jeśli dorzucić do tego fakt, że ojciec chłopaka cierpi

najwyraźniej na kompleks boskiej władzy, w domu ustawicznie dochodzi do awantur, a mały Danny posługuje się myśliwską strzelbą, odkąd wyrósł z pieluch... Do diabła, może selekcja ocalałaby przed nim szkołę. Wygląda na to, że to była tylko kwestia czasu.

Quincy pokręcił głową.

– Nie sędzę, żeby metoda selekcji psychologicznej na wiele się zdała w przypadku Danny’ego. To dobry uczeń, grzeczny dla nauczycieli, pilny w nauce. Nie słyszałem o maltretowaniu zwierząt, ani nawet o fascynacji ogniem. Danny jest wściekły. Ale to nie dowód, że ma skłonności zabójcze.

– Zrobił to – powiedział z przekonaniem Sanders. – Conner złapała go niemal na gorącym uczynku, z bronią w ręku. Dwa razy się przyznał. Sprawa jest jasna. Teraz musimy doprowadzić ją do końca, zanim to przekłete miasto eksploduje. Cholerne prostaki. Powinno się robić test na iloraz inteligencji przed sprzedaniem człowiekowi broni.

Rainie nic nie odpowiedziała. Minęła już dziewięta trzydzieści, bar opustoszał.

– Jest się nad czym zastanawiać. – Quincy odsunął talerz i wytarł ręce w papierową serwetkę. – Wszyscy szkolni zabójcy pragnęli sławy. Wchodzili do budynku jawnie i wyciągali broń na oczach wszystkich. Chcieli, żeby koledzy z klasy wiedzieli, że to oni. Chcieli publiczności dla swojej zemsty. Ale Danny’ego O’Grady nikt nie widział. Jeden z nauczycieli twierdzi wręcz, że strzały padły z pracowni komputerowej, jakby zabójca usiłował pozostać niezauważony.

– Spanikował, przestraszył się – znalazł wyjaśnienie Sanders.

– Druga sprawa. W przypadku szkolnych morderstw mamy do czynienia z odreagowaniem złości. Z tego, co wiemy, Danny ma dominującego, apodyktycznego ojca. Podejrzewam, że chodzi tu o gniew na niego. Ale dlaczego w takim razie chłopak nie wybrał sobie na ofiarę trenera piłkarskiego, twarżdziela jak Shep O’Grady, albo któregoś ze szkolnych sportowców, którzy reprezentują typ chłopca, jakiego chciałby widzieć w nim ojciec, albo dyrektora szkoły, klasyczny symbol ojcowskiej władzy? Dlaczego zaatakował Melisę Avalon, młodą

kobietę, nauczycielkę ulubionego przedmiotu? Czym mogła go rozżłościć?

– Może zakochał się w niej. Odrzuciła jego zaloty i chłopak się załamał.

– Trzecia sprawa. Większość szkolnych morderców stara się zabić jak najwięcej osób. Masakra i panika wśród rówieśników – o tym fantazjują. Chcą poczuć się silni. Czemu więc Danny czekał, aż skończy się przerwa obiadowa i wszyscy wrócą do klas? I dlaczego wybrał pistolet, skoro przyzwyczajony jest do strzelby, która w dodatku narobiłaby więcej szkód?

– Może to nie była typowa szkolna strzelanina – zgadywał Sanders z nachmurzoną miną. – Może chłopak chciał tylko odegrać się na panie Avalon, bo zraniła jego uczucia lub krzywo na niego spojrzała. On nie mógł tego znieść, więc wpadł we wściekłość i postanowił się zemścić, a dziewczynki po prostu weszły mu w drogę.

– Niezła teoria, detektywie, ale jest jeden problem.

– Jaki?

– Nie możemy powiązać Danny'ego ze śmiercią Melissy Avalon. Twierdzisz, że o nią chodziło, a jednak jest jedyną ofiarą, której zabójstwa nie możemy chłopcu udowodnić. Jak to wyjaśnisz?

Sanders wybąkał coś niezrozumiałego i zamilkł. Widać było, że intensywnie myśli.

Wargi Quincy'ego wykrzywił ironiczny uśmieszek.

– Nie wiem, co się wczoraj wydarzyło w tej szkole, detektywie, ale sprawa jest chyba bardziej złożona, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. Musimy być otwarci na wszystkie tropy. I koniecznie dowiedzieć się jak najwięcej o tych komputerach. Zwłaszcza po tym, co powiedzieli wasi specjaliści.

– A co powiedzieli?

– Że ktoś próbował wykasować plik historii i pamięć pomocniczą. Musiał mieć w tym jakiś cel.

– Cholera – warknął Sanders.

Quincy wyglądał na zmęczonego. Cienie pod oczami jeszcze mu

pociemniały.

Wstali od stolika. Rainie sięgnęła po pieniądze, ale Sanders zadziwił ją, płacąc za całą trójkę.

Na zewnątrz nocne powietrze pachniało sosnowymi igłami i świeżym wiosennym deszczem. Nie mieli już siły na dalsze dyskusje, Sanders ruszył w stronę swojego samochodu. Rainie nie mogła się oprzeć, żeby ukradkiem nie przyglądać się twarzy Quincy'ego, jego niebieskim oczom, które były to ciepłe, to znów lodowate. Zastanawiała się, czy agent ma rację co do Danny'ego, i czuła się przygnębiona, że wiedzą tak niewiele.

Musiała jak najszybciej dać odpowiedź mieszkańcom miasteczka. Shepowi i Sandy. Wreszcie samej sobie, żeby myśli o szkole przestały ją dręczyć, a noc osaczać.

Quincy obserwował swoją towarzyszkę z trudnym do rozszyfrowania wyrazem twarzy. Rainie zerknęła na jego dłonie. Nie miał obrączki. Muszę gdzieś przenocować – odezwał się wreszcie.

– Znam dobre miejsce – powiedziała.

Środa, 16 maja, 22.03

Motel Ginnie nie wyglądał na zapuszczoną rudere. Materace miały wprawdzie ze dwadzieścia lat, a porysowane klonowe komody pochodziły zapewne z pchlich targów, ale kwieciste zasłony były szyte ręcznie, biała pościel pachniała czystością, a dywany codziennie odkurzano.

W recepcji królowała Ginnie we własnej osobie. Siwe włosy miała zawinięte na różowe wałki, a jej potężne kształty okrywała powiewna granatowa szata w pomarańczowe kwiaty. Starsza pani poinformowała Quincy'ego, że otworzyła motel dziesięć lat temu, kiedy pożegnał się z życiem jej czwarty mąż, George. Po tylu latach opiekowania się mężczyznami postanowiła rozkręcić interes, dzięki któremu mogła mieć co noc innego faceta. Mrugnęła zalotnie. Quincy miał nadzieję, że żartowała.

Przybrawszy poważniejszy ton, Ginnie przeszła do wyliczania zalet swojego przybytku. Co rano serwowała bułeczki domowego wypieku, a co wieczór czekoladowe ciasteczka. Za dwa dolary robiła pranie; trzeba tylko zostawić brudne rzeczy przed drzwiami. No i motel nie był wcale taką prowincjonalną dziurą, jak mogło się wydawać. Zainstalowała w nim nowoczesny sprzęt komputerowy, dzięki któremu, gdyby przyszła

jej na to ochota, mogła co godzinę sprawdzać notowania giełdowe.

Wreszcie podetknęła Quincy'emu pod nos leżącą na ladzie foliowaną listę adresów internetowych miejscowych usługodawców i zaprosiła go na swoją stronę: BigMama.com.

Rainie stłumiła uśmiech. Quincy zaczął powoli wycofywać się w stronę drzwi. Chwilę później znaleźli się na parkingu. Z miejsca, gdzie stali, budynek motelu wyglądał jak różowa litera V.

– Gdzieś ty mnie przywiozła? – Agent znalazł wejście do swojego apartamentu i wsunął klucz do zamka.

– Miejscowy koloryt – odparła Rainie. – Tylko turyści zatrzymują się w motelu numer 6.

– A nie mógłbym być po prostu turystą?

– Oczywiście, że nie. Ginnie jest największą plotkarą w Bakersville... po Walcie, rzecz jasna. Jutro rano przyjdź na śniadanie, pochłoń kilka pełnoziarnistych bułeczek, a będziesz zdumiony, jak dużo się dowiesz.

– I jak zdrowo się poczuje – wymamrotał Quincy i pchnął stare drzwi.

Rainie przyglądała mu się, gdy kładł podróżną torbę na dużym łóżku.

Umieścił komputer na sosnowym stole i rozejrzał się za gniazdkiem telefonicznym. Zapewne były to rytualne czynności, które agent wykonywał już w setkach pokoi hotelowych setce miast i miasteczek. Zajrzał do szafy, wyjął z niej dodatkową poduszkę i starannie powiesił marynarkę na oparciu krzesła. Potem wszedł do miniaturowej łazienki, sprawdził zapas mydła i szamponu. W końcu wrócił do pokoju i obejrzał zamki w drzwiach i oknie. Zabezpieczający okno haczyk wydawał się starszy od samego motelu. Quincy skrzywił się. Stan drzwi ucieszył go w równym stopniu. Pojedynczy, łatwy do zerwania łańcuch. Zasuwa, z którą mógł poradzić sobie dwulatek.

– Czy w tej okolicy ktoś ma pojęcie o podstawowych zasadach bezpieczeństwa?

– Chciałbyś zniszczyć cały małomiasteczkowy urok? Rada miejska nigdy by się nie zgodziła. Poza tym, jaki idiota okrada agenta

federalnego?

– Będę potrzebował kija od szczotki, żeby zablokować to okno – powiedział poważnym tonem.. – A klamkę podeprę krzesłem.

– Nie nosisz przy sobie broni, agespie?

– Owszem, ale zdobycie kija wymaga mniej papierkowej roboty.

Quincy wyszedł przed pawilon, znalazł odpowiednio solidną gałąź i w miarę możliwości, prowizorycznymi metodami, zabezpieczył pokój. Najwyraźniej poważnie traktował własne bezpieczeństwo. Rainie widziała zdjęcia, które przy sobie nosił, więc poniekąd go rozumiała. Gdyby codziennie musiała patrzeć na ofiary mordów, też miałyby obsesję na punkcie zasuw i zamków.

Quincy otrzepał ręce. Zrobił wszystko, co mógł w tych okolicznościach. Jego spojrzenie bezwiednie powędrowało w stronę telefonu. Rainie zauważyła, jak szybko odwrócił oczy. Niestety nie było tu zbyt wiele rzeczy, na których mógł zawiesić wzrok. Ginnie nie należała do zwolenników telewizji.

Na zewnątrz panowały zupełne ciemności. Pokój wypełniały cienie. Teraz pozostawało tylko pożegnać się i życzyć sobie nawzajem, by przez całą noc nie dręczyły ich sny o uzbrojonych chłopcach i małych dziewczynkach biegnących przez tunele korytarzy.

– Rainie – przerwał milczenie Quincy – mogę cię zaprosić na drinka?

Rainie oniemiała. Nie spodziewała się tej propozycji. Przyjrzała mu się uważnie, usiłując zgadnąć, co to znaczy. Na drinka? Tylko na drinka? Randka z agentem specjalnym Piercem Quincy? Wydawał jej się człowiekiem, który żyje według ścisłych zasad. Ale teraz patrzył na nią łagodniej. Nie jak kolega po fachu, tylko jak mężczyzna.

Zupełnie nie wiedziała, co z tym zrobić.

Była zmęczona i zdenerwowana. Widziała za dużo śmierci, a jutro miała wstać o świcie, żeby znowu ją oglądać. Powinna zostać sama. Posiedzieć na werandzie, potrzymać zimną butelkę piwa i posłuchać pohukiwań sowy. Ale ogarnęła ją nieprzeparła chęć, żeby pójść do baru. Gdzieś, gdzie gra głośna muzyka, na parkiecie jest tłum, gdzie wszystkie kobiety są ładne, a mężczyźni mają błysk w oku. Mogła kogoś

poderwać. Mogła dać komuś w nos. W noce takie jak ta nie była pewna, co by wolała.

Wiedziała jednak, że jest córką swojej matki i nigdy nie ufała takim nastrojom. Idź do domu, Rainie. Znasz przecież ten schemat.

Jednak zamiast odejść, jak zahipnotyzowana wpatrywała się w Quincy'ego. Mocny rysunek warg. Silne ramiona. I te niebieskie oczy mężczyzny, który wie, czego chce.

Niech go cholera.

Trzydzieści minut później, przebrana w cywilne ciuchy, siedziała z agentem FBI przy barze.

„Tequila” tętniła życiem. Zasypana łupinami orzechów podłoga. Plastikowe stoliki o brązowych blatach. Kufel piwa za dolara pięćdziesiąt w środowe wieczory, a podczas „happy hour” darmowe pałeczki z mozzarelli. Szafa grająca ryczała przebojami muzyki country. Na parkiecie kilka par podskakiwało rażno w równym rzędku. Dalej, w półmroku, poruszały się rytmicznie sylwetki tańczących.

Przekrzykując hałas, Rainie zamówiła butelkę Bud Light. Quincy zaskoczył ją, bo wziął to samo. Bardziej pasował jej do Heinekena, ale człowiek uczy się całe życie.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu i obserwowali rozbawiony tłum, próbując zapomnieć o szkole podstawowej K-8 i Dannym O'Grady.

– Fajnie tu – odezwał się wreszcie Quincy.

– Może być – potwierdziła Rainie.

– Często tu bywasz?

– Uważaj, agencie. Za chwilę zapytasz, spod jakiego jestem znaku.

Quincy uśmiechnął się. Podobał się Rainie z uśmiechem na twarzy, w koszuli ze swobodnie podwiniętymi rękawami i niedbale rozluźnionym jedwabnym krawacie. Pociągnął długi łyk z butelki.

– Dobrze i zimne – powiedział. – A twoje?

– Nie wiem. Jestem alkoholiczką, Quincy. Matka była alkoholiczką. Ojciec pewnie też. Chociaż miałabym większą pewność, gdyby matka choć raz otrzeźwiała na tyle, żeby sobie przypomnieć, kto to taki.

Quincy rzucił jej zaintrygowane spojrzenie.

– Nie musieliśmy przychodzić do baru.

– Nie ma problemu. Nie piję od dziesięciu lat. Wiem, co robię.

– A mimo to zamawiasz piwo?

– Tak. Lubię trzymać w ręku butelkę i wiedzieć, że w każdej chwili mogę ją odstawić. To chyba kwestia poczucia własnej siły. A poza tym – mrugnęła do niego – butelka piwa ma cholernie przyjemny falliczny kształt.

Śmiech Quincy'ego sprawił Rainie dziwną satysfakcję. Mogła się założyć, że agent specjalny nie śmiał się często. A szkoda, bo było mu z tym do twarzy.

Odstawiła butelkę.

– Powiedz mi prawdę, agencie, co sprowadza cię do Bakersville?

– Praca, oczywiście. Jak zwykle.

– Dużo podróżujesz?

– Do trzech, czterech miast tygodniowo. Czasem już nie wiem, czy jestem agentem federalnym, czy gwiazdą rocka.

– I jak tu się z kimś związać na dłużej? – rzuciła niby od niechcienia.

Quincy uniósł kącik ust. Przejrzał ją.

– Byłem żonaty – powiedział. – Trwało to piętnaście lat. Pewnie o siedem dłużej, niż na to zasługiwałem. Nosilem w torbie jej zdjęcie w srebrnej ramce. W każdym pokoju hotelowym, w którym się zatrzymywałem, zaczynałem od ustawienia go przy łóżku. Niestety, żona inaczej wyobrażała sobie szczęście małżeńskie. Rozwiedliśmy się. Nauczyłem się pracować bez jej zdjęcia na biurku. A ty?

– Ja się nie bawię w związki. Mam na ich temat określoną opinię. Wystarczy, że połowa Amerykanów się rozwodzi.

Quincy rzucił swojej towarzyszkę sceptyczne spojrzenie. Wiedziała, że próbuje ocenić, czy można jej słowa potraktować poważnie.

– Jesteś młoda, inteligentna i ładna. Czemu nie założysz rodziny?

– O nie, tylko nie dzieci. Są kłopotliwe, egoistyczne i łatwo je uszkodzić. Powiem szczerze. Dużo przeszłam, żeby odciąć się od swoich korzeni, ale nadal jestem córką agresywnej alkoholiczki. Co by ze mnie była za matka. Niestety więc ród Connerów nie ma szans na

przetrawianie.

– Nie powinnaś tak nisko się oceniać, Rainie.

– Jestem tylko szczerą.

Patrzyła, jak pociąga kolejny łyk piwa. Był nią zdecydowanie zainteresowany. Widziała to w jego oczach. Oporny, lekko oszołomiony, ale zainteresowany. Niech ją nazwą głupią, a jednak cieszyła się z tego.

Pochyliła się do przodu i przygotowując się do poważnej rozmowy, przerzuciła długie, rozpuszczone włosy na jedno ramię.

– Opowiedz mi coś więcej o sobie, Quincy, Jesteśmy w barze, daleko od miejsc zbrodni, a ty już prawie kończysz pierwsze piwo. Kawa na ławę. Lubię zaczynać od wyrzucenia wszystkich śmieci. To pozwala zaoszczędzić dużo czasu.

– Nie mam ciekawych śmieci.

– Wszyscy mają.

– Normalna historia agenta FBI. Była żona. Dwoje dorosłych dzieci, które ledwie pamiętają o moim istnieniu. Za bardzo oddany pracy, za mało zainteresowany domem. Typowe błędy.

– Tak? Więc dlaczego unikasz telefonów?

Drgnął, zbity z tropu. Po chwili rzucił jej pełne uznania spojrzenie. Rainie ucieszyło, że zdołała go zaskoczyć.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że to takie widoczne.

– Pierce?

– Nie nazywaj mnie tak. Tylko moja była żona zwraca się do mnie po imieniu. Wszyscy inni mówią po prostu Quincy. Jak do tego lekarza ze starego programu telewizyjnego. Seryjni mordercy, specyficzne poczucie humoru – wymamrotał.

Nie przestawała się w niego wpatrywać. W końcu odstawił szklanę.

– Jedna z moich córek – powiedział nagle – jest w szpitalu.

– Coś poważnego?

– Ona umiera. Nie, to nieprawda – poprawił się. – Właściwie już nie żyje. Nie żyje od czterech tygodni. Dwadzieścia trzy lata. Miała ciężki wypadek samochodowy. Roztrzaskała twarz o przednią szybę. Wiem,

bo kazałem policjantom pokazać mi całą dokumentację. – Zapatrzył się w przestrzeń. Rainie była zaskoczona, jak bardzo się nagle postarzał. Wyglądał na wykończonego.

– Teraz leży w szpitalu – powiedział cicho – gdzie maszyny oddychają za nią pompują jej krew do serca, odżywiają a my siedzimy przy niej dzień za dniem z nadzieją że stanie się cud. Ale jej mózg już nie pracuje i medycyna nic na to nie poradzi. Cuda nauki też mają swoje granice, jeszcze nie sięgają tak daleko.

– Jezu. Nie powinienes tam być?

– Owszem.

– No to dlaczego tracisz czas w Bakersville?

– Bo bym zwariował, gdybym spędził jeszcze jedną minutę, patrząc, jak odgrywa się przede mną tę parodię ludzkiego życia. – Oczy nagle rozbłysły mu jaśniej od łez. Otarł je wierzchem dłoni i dorzucił niemal z niecierpliwością: – Rainie, moja córka nie ma już twarzy. Jej wóz trzasnął w słup telefoniczny z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, a ona nie zapięła pasów. Chcesz wiedzieć, jak działa siła uderzenia? Kolumna kierownicy jest tak zbudowana, żeby zapaść się i nie zmiażdżyć klatki piersiowej i wewnętrznych organów kierowcy, ale, jeśli pasy nie zostały zapięte, ciało leci do przodu i do góry. Głowa uderza o metalową ramę, która jest tak zaprojektowana, żeby nie pęknąć, nie ustąpić. Nos, cała twarz wali z impetem w szybę. Kości czaszki ulegają zmiażdżeniu, ich fragmenty wbijają się coraz głębiej w mózg...

– Moja córka nie ma już głowy – ciągnął monotonnym głosem. – Tylko bezkształtną masę, którą przytrzymują spinacze, nici i kilometry bandaży. Zresztą lekarze podłączyli ją do tej aparatury tylko dlatego, że czekali na naszą zgodę na wycięcie narządów. A teraz ona leży tam jak groteskowa lalka, podtrzymywana przy życiu przez maszyny. Moja była żona, Berthie, cały czas łudzi się, że to jeszcze nie koniec. A moim zdaniem tak nie powinno być. Nie ma w tym żadnej... godności. Nasza młodsza córka, Kimberly, nie powinna siedzieć przy łóżku konającej siostry i patrzeć, jak kłócimy się z matką, kiedy ją odłączyć. Ja już

podjąłem decyzję w tej sprawie. Teraz wszystko zależy od tego, kiedy Berthie da za wygraną.

– Więc przyjechałeś, podjąłeś decyzję i wyjechałeś.

Quincy zamrugał kilka razy.

– Mogłabyś chociaż udawać, że mnie nie przejrzałaś – powiedział w końcu. – Zwłaszcza że jesteś trzeźwa.

Pociągnął kolejny łyk piwa. Chyba naprawdę go potrzebował. Butelka była już prawie pusta. Kelnerka, która wyrosła jak spod ziemi, zapytała, czy nie podać mu następnej. Quincy zawahał się. Jego oczy zdradzały, że ma ochotę jeszcze się napić, ale pokręcił głową.

– Dziwię się, że nie szukałeś pocieszenia w whisky – skomentowała Rainie.

– Szukałem. Przez tydzień. Potem musiałem przestać. Jak na ironię, Amanda zginęła przez pijanego kierowcę.

– Ach.

– Potem przerzuciłem się na jedzenie. Chrupki ziemniaczane, batoniki, żelatynowe misie. Co tylko można było dostać w szpitalnym automacie. A w końcu wróciłem do biegania. To jakby pomogło. Biegasz?

– Dwadzieścia kilometrów, Cztery dni w tygodniu. Ale mogłabym cię pobić na głowę.

– Jestem od ciebie starszy o prawie piętnaście lat, Rainie. Na pewno pobiłabyś mnie na głowę.

– Och nie przesadzaj z tym wiekiem.

Znowu coś między nimi zaiskrzyło. Quincy pierwszy odwrócił wzrok.

– Teraz twoja kolej – powiedział nagle. – Szczerość za szczerość.

– Dobrze. – Podniosła wojowniczo głowę i mocniej ścisnęła butelkę piwa. – Moja matka była pijaczką. Do tego agresywną. I puszczała się na prawo i lewo. Głównie z kierowcami ciężarówek, znasz ten typ. Wdawała się ciągle w jakieś burdy, zadawała z facetami, którzy ją bili, a kiedy wracała do domu, biła mnie. Ale któregoś dnia, gdy przyszedłem ze szkoły, leżała w salonie z odstrzeloną głową. I na nieszczęście dla mnie,

to ja ją znalazłam.

– Aresztował cię Shep O’Grady?

– Tak. – Wzruszyła ramionami. – Też bym na jego miejscu tak postąpiła. Całe miasteczko wiedziało, co wyprawia moja matka. A teraz leżała martwa, a ja miałam na włosach kawałki jej mózgu. Byłam idealną podejrzaną. Tyle że zamordował ją kto inny.

– Kto?

– Oficjalnie sprawa pozostała nierozwiązana. Nieoficjalnie zrobił to jej ówczesny absztyfikant. Sąsiadka widziała, jak wchodził do naszego domu, a niedługo potem usłyszała strzał. Może doszło do kłótni kochanków, a może facet po prostu się spił. Matka nie spotykała się z subtelnymi intelektualistami. To był, o ile wiem, jakiś kierowca. Rozesłano list gończy, ale drań zniknął jak kamfora. Pewnie wyjechał. Minęło tyle lat, że nawet nie pamiętam, jak się nazywał. – Rainie znów wzruszyła ramionami. – Biorąc pod uwagę styl życia mojej matki, ta historia chyba nie mogła inaczej się skończyć.

– A co z tobą? – zapytał cicho Quincy. – Na twoim miejscu wyjechałbym z Bakersville na dobre.

– Próbowałam. Przeniosłam się do Portland. Studiowałam. Upijałam się. Przez cztery lata. Potem trafiłam do AA. Ale gdy w końcu obroniłam dyplom, stwierdziłam, że równie dobrze mogę wrócić do Bakersville, bo choć cały czas uciekałam, ciągle lądowałam w punkcie wyjścia. Poza tym podoba mi się tutaj. Odziedziczyłam po matce dom. Już jest spleacony, co stanowi pewną ulgę, kiedy się zarabia piętnaście tysięcy rocznie.

– Mieszkasz w domu, w którym się wychowywałaś? – Quincy rzucił jej sceptyczne spojrzenie.

– Nie przeszkadza mi to. Najbardziej lubię werandę. – Uśmiechnęła się zagadkowo. – Szczerze mówiąc, podoba mi się praca policjantki w małym miasteczku. Mam kontakt z ludźmi i niewiele papierowej roboty. A mieszkańcy Bakersville są z gruntu porządni. Wielu z nich naprawdę da się lubić.

– Nie licząc sąsiadów, którzy nie pisnęli ani słowa, kiedy matka

codziennie cię tłukła. I nie licząc tych, którzy wciąż uważają cię za morderczynię.

– A jednak nie przeszkadza im to mnie akceptować. Ich zdaniem człowiek dostaje to, na co sobie zasłużył.

– Ale ty tak nie myślisz, prawda, Rainie? I przez ostatnie dwa dni musiało ci być bardzo ciężko z powodu Danny’ego O’Grady.

Wyprostowała się. Zacisnęła dłonie na butelce piwa.

– Tylko bez psychoanalizy.

– Jasne – powiedział spokojnie. – Ale nie mogłem nie zauważyć, jak szybko podałaś definicję zaburzenia więzi. Do tego dochodzi fakt, że sama byłaś ofiarą przemocy w rodzinie. Twoje wspomnienia nie odbiegają zbyt od doświadczeń, które są udziałem większości agresywnych dzieci. Znasz te sprawy. Myślałaś o nich. I jeszcze długo po zakończeniu śledztwa będziesz o nich myśleć.

– Cóż, przynajmniej moje zainteresowania wynikają z pobudek osobistych, a nie z kompleksu bohatera.

Prawie krzyczała. Nie zdawała sobie sprawy, ile złości i goryczy było w jej głosie, póki nie dostrzegła wyrazu twarzy Quincy’ego.

– Poddaję się wymamrotał.

Spuściła wzrok, zawstydzona. To świństwo nakłaniać człowieka, żeby podzielił się z nią swymi problemami, a potem obrócić te zwierzenia przeciwko niemu. Chciała być kimś lepszym, ale jakoś się nie udawało. Miała cięty język i łatwo wpadała w złość. Przeprosiny przychodziły jej z trudem.

– Nie zamierzałem zrobić ci przykrości – powiedział cicho Quincy.

– Danny nie daje mi spokoju – wyrzuciła z siebie, zanim się zastanowiła. – Widziałam jego oczy. Bezradne, nienawistne, nieprzytomne. Znam to spojrzenie. Patrzyłam na te ciała i zastanawiałam się... Wszyscy mówią, że zwykła złość nie może doprowadzić dziecka do morderstwa, ale ja wiem, że może. Czasem trudno się przed nią obronić. Gdy się jest bardzo młodym, bezradnym i wrażliwym... – Głos Rainie załamał się. Siedziała, dusząc w sobie niewypowiedziane słowa, a serce tłukło się jej w piersi jak ptak w klatce.

– Martwisz się, że mogłaś kiedyś postąpić jak Danny O’Grady? – zapytał Quincy.

Nie odpowiedziała.

– Nie jesteś Dannym dodał stanowczo.

– Wiem o tym! Jestem kobietą, a kobiety nie wyładowują się na niewinnych. Z reguły nie bywamy masowymi czy seryjnymi morderczyniami. Koncentrujemy nasz gniew na tym, kto nas zranił albo niszczy same siebie. Ale nie w tym rzecz. Myślę, że to problem przemocy. Przecież strzelanina to nie katastrofa samochodowa czy wypadek przy kombajnie. Nie jestem pewna dlaczego, ale przeszłość nagle wróciła. Zupełnie jakby matka umarła wczoraj. Tamtego dnia wszyscy tylko zastanawiali się, czy zabiłam, a nikt nie pomyślał, żeby zapytać mnie, jak się czuję. Nie wiem nawet, czy ja sama umiałam zastanowić się nad tym. Ona zachowywała się okropnie. Ale była moją matką. Poszło tyle wapna, żeby usunąć z sufitu krew. A ja całe dni szorowałam podłogę, a mimo to wciąż wychodziły jakieś plamki. Była moją matką, na litość boską. Jedyłą bliską osobą, jaką miałam.

– Rainie, dobrze się czujesz?

– Tak, świetnie. Do diabła, muszę zamknąć dziób. – W którymś momencie wziął ją za rękę. Nie pamiętała kiedy i zdziwiło ją, że nie zauważyła czegoś takiego. Rainie zwykle drażnił dotyk obcej dłoni. Przez całe lata zwracała dużą uwagę na przestrzeń pomiędzy własnym a cudzym ciałem. Delikatnie cofnęła się więc i odgarnęła włosy. Zdawała sobie sprawę, że jest bardziej wzburzona, niż przedtem sądziła. Quincy przyglądał się jej z niepokojem. Chciała roześmiać się bez troski, ale nie potrafiła się na to zdobyć.

– Przepraszam – rzuciła, zażenowana swoim wybuchem. – Zarzucam ci, że traktujesz mnie jak pacjentkę, a tymczasem to ja traktuję cię jak psychiatrę.

– Nie jestem twoim terapeutą – powiedział spokojnie. – Wyjaśnijmy to od razu.

– Oczywiście, że nie. Nie potrzebuję terapeuty!

Uniósł brwi. Rainie jeszcze bardziej się zmieszała. Znów wziął ją za

rękę. Jego spojrzenie działało na nią uspokajająco.

– Rainie, posłuchaj mnie. To syndrom stresu pourazowego. Czternaście lat temu przeżyłaś wielki wstrząs. I choć poradziłaś sobie z nim na wielu płaszczyznach, on wciąż miał na ciebie wpływ. Teraz, kiedy byłaś świadkiem podobnej sytuacji, wspomnienia wróciły. Każdemu może się taka historia przytrafić. Podczas wojny w Zatoce Związek Weteranów musiał powołać specjalne telefony zaufania dla żołnierzy z Wietnamu, którym nagle zaczęły się przypominać wydarzenia sprzed dwudziestu lat. Za każdym razem, gdy w którejś ze szkół dochodzi do strzelaniny, wszystkie dotknięte kiedyś podobną tragedią społeczności przeżywają od nowa piekło. Wspomnienia, koszmary, napady lęku. Tak to się objawia.

– Jestem policjantką. Śledztwa w sprawie morderstw wchodzą w zakres moich obowiązków. Nie mogę się rozklejać.

– Jesteś człowiekiem. – Ścisnął jej dłoń. – Inteligentnym, wrażliwym człowiekiem. Twój mózg będzie pracował wbrew twojej woli.

– To zrób z nim coś. Zaciął się na funkcji odtwarzania. Mam już tego dosyć.

Quincy uśmiechnął się lekko.

– Im dawniejszy wstrząs, tym szybciej znikną skutki. Tymczasem przydałaby ci się rozmowa z kimś, kto się zna na rzeczy. Czy biuro szeryfa zapewnia pomoc terapeutyczną?

– Nasze biuro nie zapewnia nawet kawy.

– Może w takim razie zwrócisz się do jednego z psychologów, których sprowadzi szkoła?

– Tak, może. – Ale ton jej głosu dowodził, że Rainie nigdzie nie pójdzie. Szukanie profesjonalnej pomocy byłoby przyznaniem się do słabości. A ona nigdy sobie na to nie pozwalała.

– Robi się późno.

Rainie rozejrzała się po sali. Muzyka przycichła, stoliki opustoszały. Quincy miał rację; powinni już iść. Wiedziała, że zaraz się rozstaną. Powiedziała za dużo. Nie można proponować komuś przygody na jedną noc, jeśli obnażyło się przed nim duszę.

Wstała, a on poszedł w jej ślady.

– Quincy... Przykro mi z powodu twojej córki.

– Dziękuję. To nie pomaga, ale mimo wszystko dziękuję.

– Wiem. – Zawahała się. – Przepraszam też za to, co powiedziałam wcześniej. Wiesz, o kompleksie bohatera. Rola miłej panienki nie wychodzi mi najlepiej.

– No proszę, a ja myślałem, że ten cięty język to część twojego uroku.

Objął ją ramieniem i poprowadził do drzwi.

Na zewnątrz było chłodno. Rainie próbowała zebrać myśli. Ale ręka Quincy'ego wciąż spoczywała na jej plecach. Jego ciało było blisko. Wyczuwała zapach wody po goleniu, delikatnej i drogiej. Nie wiedziała, co na nią tak działa. Był silny, inteligentny, wymagający. Nigdy nie próbowała szukać mężczyzny, który byłby dla niej wyzwaniem. Zawsze wybierała zwolenników seksu bez zobowiązań. Nie zadawali zbyt wielu pytań. Tak było bezpieczniej.

Spojrzała na Quincy'ego. Spod rozpiętej pod szyją koszuli wystawały kępki ciemnych włosów. Podniosła wzrok na jego twarz, na niebieskie oczy o badawczym spojrzeniu, które widziały zbyt dużo.

Odruchowo cofnęła się o krok, oszołomiona i nagle przestraszona. Musnął ustami jej policzek.

– Nie jestem twoim terapeutą, Rainie.

– Wiem.

Dotknął wargami drugiego policzka. Były ciepłe, twarde i suche.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje. W tych sprawach mam swoje zasady. – Poczula jego usta na szyi. Odchyliła głowę do tyłu. Wiedziała, że nie powinna. Pocałunek był lekki. Połaskotał ją.

– Nie spoufalać się? – wymamrotała.

Podniósł głowę.

– Żadnych przygód na jedną noc. Żadnych szaleństw. Jestem na to za stary, Rainie. Byłem już w tylu miejscach i spędziłem za dużo czasu na badaniu tego, co w człowieku najgorsze. Spróbowałem małżeństwa, spróbowałem ojcostwa. Z wielu rzeczy w życiu jestem dumny, a wielu

żałuję. Nie wierzę już w ucieczkę od rzeczywistości na jedną noc. Nie widzę w tym sensu.

Chciała coś powiedzieć, ale zamknął jej usta pocałunkiem. Zadrzała ze zdziwienia. Przez chwilę nie odrywał od niej poszukujących warg. Czowała jego dłonie na swoich plecach. Przytrzymał ją lekko, pozostawiając możliwość wycofania się. Była mu za to wdzięczna, ale i trochę rozczarowana.

Nagle przerwał pocałunek.

– Zaintrygowałaś mnie, Rainie – szepnął jej do ucha. – Nie spodziewałem się kogoś takiego. Jesteś bystra. Skomplikowana. I wiem już, że nie pójdziesz dziś ze mną.

– Nie pójdę – szepnęła.

– Będziesz się zadrezczać myślą, o jutrzejszej wizycie u patologa. Będzie ci się śniła matka i te nieżyjące dziewczynki.

– Nie...

– Nie jestem twoim terapeutą, Rainie. Jestem tylko człowiekiem, który przeszedł przez to samo.

Oderwał dłonie od jej pleców. Odsunął się. Rainie poczuła, jak wdziera się między nich noc. Zaczęły jej marznąć ręce. Drżała, patrząc, kiedy odchodził do swojego wozu, ale nie zawołała za nim. Miała własny samochód. Jedna z jej zasad. Jedna z jej wielu zasad, którymi się obwarowała przed niebezpieczeństwami życia.

Agent specjalny Pierce Quincy odjechał.

Po chwili Rainie ruszyła w kierunku domu. Sama.

Czwartek, 17 maja, 1.08

Na werandzie Rainie zastała Shepa. Sądząc z liczby pustych butelek po piwie walających się u jego stóp, siedział tam już od dłuższego czasu, a czekanie nie wpłynęło korzystnie na jego nastrój.

– Gdzie ty się, do diabła, podziewasz? – warknął, gdy otwierała rozsuwane szklane drzwi.

Rainie przyglądała mu się przez moment. Było późno, dobrze po północy, a ona nie miała ochoty na tę rozmowę. Z drugiej strony powinna była przewidzieć, że do niej dojdzie.

Rozpięła mankiety znoszonej flanelowej koszuli.

– Wracaj do domu, Shep.

– Nie masz sekcji zwłok jutro z samego rana? Jezu, Rainie, to jest śledztwo w sprawie morderstwa. A ty włóczysz się gdzieś do Bóg wie której. Co ty wyprawiasz?

– Zdaje się, że to ja prowadzę tę sprawę. A teraz zmiataj stąd.

Shep udał, że nie słyszy. Odstawił piwo i podniósł się, próbując przyjąć władcą pozę. Fakt, że chwiał się na nogach, nie pomógł mu. Rainie pokręciła głową.

– Musimy pogadać.

– Jesteś kompletnie pijany. Jeśli ktoś cię tu zobaczy, George Walker

będzie miał jeszcze więcej rewelacji dla dziennikarzy z wiadomości. Ojciec podejrzanego w najlepszej komitywie z policją.

– Danny tego nie zrobił!

– Mamy jego odciski na łuskach, Shep.

– Nie na wszystkich.

– Co ty, do cholery, opowiadasz?

– Sanders ci nie mówił? – W oczach Shepa pojawił się błysk samozadowolenia. – Mam swojego człowieka w laboratorium kryminalistycznym. Dziś po południu rozmawiałem z nim i powiedział mi, że znaleźli odciski na łuskach z trzydziestki ósemki i dwudziestki dwójki. Na wszystkich, oprócz jednej – kaliber trzydzieści osiem. Nie ma na niej żadnych śladów ani odcisków. Innymi słowy, wytarta do połysku. I jeszcze jedno, z tą łuską jest coś nie tak. Mój człowiek nie potrafił powiedzieć co, ale odesłał ją do dalszych analiz. No i proszę. Wreszcie jakaś luka, Rainie. Nie wiemy, co naprawdę wydarzyło się w szkole i to jest dowód.

– Chryste Panie, Shep. Nie na wszystkich łuskach można znaleźć odciski. Wiesz o tym. Mówię po raz ostatni, wracaj do domu.

– Jedna łuska wytarta do czysta, Rainie! Mówię ci, ktoś jeszcze tam był. To jest dowód. Danny może być w to zamieszany. Dobra. Z tym się zgadzam. Przyniósł broń, może myślał, że pomaga przyjacielowi. Ale ktoś inny pociągnął za spust. Musisz iść tym tropem, Rainie. Musisz mi uwierzyć.

– Nic z tych rzeczy.

– Co to znaczy?

Rainie spojrzała szeryfowi prosto w oczy.

– Shep, najpierw przekazujesz mi dowództwo – powiedziała surowym głosem. – Nie dotarłeś jeszcze do szkoły, a już wiesz, że twój syn jest zaplątany w sprawę. Potem ta konfrontacja z Dannyem. Zmuszasz mnie, żebym strzeliła. Udaje ci się zostawić na broni swoje odciski. Trzydzieści sekund później większość dowodów jest zniszczona. A ty robisz wszystko, żeby całe miasteczko się o tym dowiedziało. Lorraine Conner spieprzyła sprawę. Danny wyjdzie na

wolność. Shep, co się do cholery wydarzyło? Jeśli chcesz, żebym ci pomogła, musisz mi powiedzieć, co naprawdę się wtedy stało.

– Rainie, przysięgam...

– Gówno prawda! Nie chrzań. – Wściekła się. Nagle poczuła zniecierpliwienie i głęboką niechęć do Shepa. Przez niego była uwikłana w tę tragedię. A teraz on ma czelność upijać się na jej werandzie i błaga o pomoc po tym, jak Rainie w to wpakował. Jak śmie? Tym bardziej że uważała go za przyjaciela.

– Wiedziałeś, co tam się stało, Shep. Od pierwszej chwili podejrzewałeś Danny'ego. Dlaczego?

– Nie wydzieraj się na mnie, Lorraine Conner. Może nie jestem na służbie, ale wciąż piastuję urząd szeryfa w tym mieście!

– Co się, kurwa, stało? Shep? Coś ty zrobił?

– Jak możesz mnie tak traktować? Już nie pamiętasz, kto ci pomógł kilkanaście lat temu. Pomyśl, ile pytań powinienem był wtedy zadać. Ile pytań o to, co się stało tamtego dnia, nie doczekało się nigdy odpowiedzi. Nie drażyłem sprawy. Nie wywoływałem wilka z lasu. Teraz twoja kolej, żeby odpłacić tym samym.

– Wynoś się stąd!

– To mój syn! Cholera, Rainie, on jest moim synem...

Ramiona Shepa zaczęły się nagle trząść. Stał na werandzie pośród pustych butelek po piwie i ukrywając twarz w dłoniach, opłakiwał swoje dziecko.

Jezus Maria. Rainie weszła do domu i wyciągnęła z lodówki dwie butelki. Jedną bez słowa podała Shepowi. Drugą tuliła w dłoniach, czekając, aż przyjdzie poczucie siły, samokontroli. Dzisiaj też wytrzyma. Jezus Maria.

Shep wziął się w garść. Otarł twarz rękawem koszuli. Zdjął kapsel z butelki i jednym haustem opróżnił ją do połowy. Po chwili dopił resztę.

– Jak się tu dostałeś, Shep?

– Przyjechałem.

– Nie możesz wracać do domu wozem.

– Wiem.

Obydwoje zamilkli. Rainie spojrzała na nocne niebo. Po wczorajszym popołudniowym deszczu było bezchmurne. Gwiazdy przypominały srebrne główki szpilek na czarnym ałasie. Uwielbiała takie noce. Idealne, by zasiąść na werandzie, słuchać sów i wyobrażać sobie szum fal rozbijających się o skaliste brzegi. Wnętrze domu mogło kryć wszystkie złe wspomnienia z dzieciństwa, ale na zewnątrz czekało to, co w świecie najlepsze. Ziemia, drzewa, niebo. I świadomość, że cokolwiek się stanie, ona, Rainie, jest tylko częścią tego ogrom, a gwiazdy będą świecić jeszcze długo po tym, jak jej już nie będzie.

Może inni ludzie czuli się przytłoczeni potęgą kosmosu. Ale ona znajdowała w takich myślach pocieszenie.

– Podałem Danny'emu szyfr do sejfu z bronią – powiedział cicho Shep. – Poprosił mnie o to dwa tygodnie temu, a ja mu go podałem.

– Najpierw instalujesz w domu nowoczesny sejf, a potem dajesz dziecku szyfr?

– Sandy mnie zabije.

– Shep, chyba upadłeś na głowę.

– Nie wiedziałem! Danny powiedział, że chce poćwiczyć składanie pistoletu, bo strzelbę już opanował; Cholera, byłem szczęśliwy, że chłopak się tym interesuje. Musisz zrozumieć, Rainie, to ostatnia rzecz, która nas jeszcze łączyła. Próbowałem z piłką nożną – po prostu nie był w tym dobry. Próbowałem z koszykówką, baseballem, siatkówką. Chłopak nie ma smykałki do sportu. Tylko by czytał, grzebał w komputerze, tego typu głupstwa... Nie wiesz, jak to jest, Rainie, kiedy pewnego dnia ojciec uświadamia sobie, że synowi, którego tak pragnął, w gruncie rzeczy dużo bliższa jest matka.

– Wiedziałeś, że broń zginęła?

Shep milczał, co było wystarczającą odpowiedzią.

– Jezu, jak możesz być tak bystry i tak głupi jednocześnie?

– Nie uważasz, że dosyć się już wycierpiałem?

– Nie. Uważam, że George Walker dosyć się już wycierpiał. I że rodzice Alice Bensen dosyć się już wycierpieli. Do cholery!

– Nie wiedziałem, Rainie. Trzy dni temu sprawdziłem, czy w sejfie

jest broń. Nie było. Zapytałem Danny'ego. Powiedział, że jeszcze jej nie złożył. Obiecał, że kiedy skończy, schowa wszystko na miejsce. Nie zwracałem sobie tym głowy:

– Aż nadeszło wezwanie.

– Ale Danny tego nie zrobił! Przysięgam, Rainie, że chłopak nie ma w sobie ani krzty agresji. Do diabła, gdyby był bardziej do mnie podobny, może i mógłbym sobie to wyobrazić. Ale to synek swojej mamusi. Nie skrzywdziłby muchy.

– Co zastałeś w szkole, kiedy tam dotarłeś, Shep?

– Wszystko jest w raporcie. Kiedy przyjechałem, dzieci już ewakuowano. Ktoś podobno widział, jak sprawca ucieka z budynku. Ktoś inny twierdził, że w środku są jeszcze ranni. No to wszedłem. I w pracowni komputerowej znalazłem Danny'ego. Z bronią...

– Trzymał pistolety? Podnosił z podłogi czy trzymał?

– Właśnie podniósł.

– Shep!

– No dobra! Trzymał broń, do cholery. Trzymał obie sztuki i wyglądał, jakby miał zaraz zemdleć. Gdy wypowiedziałem jego imię, wycelował w moją głowę.

– I nic ci to nie mówi?

– Spanikował, Rainie! Był przerażony i, do diabła, płakał. Przysięgam ci, że miał łzy na policzkach. Na litość boską, mówimy o Danny'm. Chłopcu, który nosił kiedyś twoją odznakę. Tym samym, który lubił bawić się pod biurkami. Tym samym, który zawsze chciał siedzieć obok ciebie przy stole...

– Przestań! Nie chcę tego dłużej słuchać.

Rainie stanęła na skraju werandy z rękami splecionymi mocno na piersi, żeby się trochę ogrzać. W oddali dostrzegła błysk, jakby księżyc odbił się w kawałku szkła. Zastanowiło ją to. Kiedy próbowała przebić wzrokiem ciemności, drzewa zaszumiały nagle i jakiś duży ptak wzbił się do lotu.

– Jeśli Danny ma z tym coś wspólnego – odezwał się za jej plecami Shep – to tylko dlatego, że ktoś go wciągnął. Ostatnio miał... problemy

ze sobą. Może jest podatny na wpływy. W wieku trzynastu lat wszyscy chłopcy są podatni na wpływy.

– Wiemy o incydencie z szafkami, Shep. I wiemy o Kenyonie. Dla mnie Danny wciąż jest kochanym dzieciakiem i jeszcze wczoraj rano zgodziłabym się z tobą, ale teraz nie jestem już niczego pewna. Pozory mogą mylić. Ci chłopcy... są zawsze czyimiś synami, Shep. Są zawsze czyimiś dziećmi.

Głowa Shepa opadła. Rainie powiedziała mu prawdę. Miała najlepsze intencje, ale nie mogła patrzeć, jak O'Grady się załamuje.

– Próbujemy dowiedzieć się czegoś więcej ze szkolnych komputerów – dodała cicho. – Może gdy znajdziemy ślady jego rozmów w Internecie... kontaktów z kimś z zewnątrz... nie wiem.

– Dobrze, dobrze. – Głos Shepa ożywił się. – O to właśnie chodzi. Dowiedzcie się, kto naprawdę za tym stoi.

– Jeśli rzeczywiście chcesz wiedzieć, co się stało, Shep, pozwól nam porozmawiać z Dannym. Quincy, ten agent FBI, jest wyszkolonym psychologiem i ekspertem od masowych morderstw. Będzie wiedział, jak do niego podejść. Dotrze do sedna sprawy.

– Nie.

– Shep, chcesz, żebym pomogła Danny'emu, a jednocześnie uniemożliwiasz mi to. Zdecyduj się.

– Żadnych przesłuchań! Chłopak jest teraz skołowany. Może nawet spróbuje wziąć winę na siebie. Wiesz, że niektóre dzieci tak robią. Ale ja nie pozwolę, żeby mój syn spędził resztę życia w więzieniu, bo zebrało mu się na bohaterskie pozy.

– A co z Becky? Może ona coś widziała...

– Lekarze mówią, że jest w szoku.

– Quincy jest specjalistą.

– Odkąd to masz taką dobrą opinię o agentach FBI? Zaraz, zaraz. A więc to tak? Byłaś na randce z tym facetem!

– Przywiąż mi kamienie do nóg i utop w rzece.

– To nie jest śmieszne.

– Shep, jeśli zależy ci na prawdzie, pomóż mi trochę. Pozwól

przynajmniej Quincy'emu przesłuchać Becky.

– Nasz prawnik nigdy się na to nie zgodzi.

– Trudno.

– Nie mogę. Nie... Muszę najpierw pogadać z Sandy. Daj mi porozmawiać z Sandy.

– Dziękuję, Shep – powiedziała poważnym tonem. – Sandy ma głowę na karku. Zrobi, co trzeba.

Shep nie wyglądał jednak na przekonanego.

– Mój syn w zakładzie poprawczym czeka na proces o morderstwo – powiedział znużonym głosem. – Córka co noc chowa się w szafie, a sąsiedzi ozdobili nasz garaż napisem „Dzieciobójca”. Mówisz, że Sandy robi, co trzeba? Ja już nie wiem, co jeszcze można by zrobić. Burmistrz zakazał nam udziału w pogrzebach ofiar. Jego zdaniem to by tylko zdenerwowało ludzi. Na litość boską, Rainie, to moje miasto. Znam George'a Walkera. Kiedyś grywałem w kręgle z wujkiem Alice. A teraz... teraz doszło do tego.

Rainie nic nie odpowiedziała. Nie znajdowała słów, żeby go pocieszyć.

– Ktoś inny pociągnął za spust – ciągnął uparcie Shep zmęczonym głosem. – Zapamiętaj moje słowa. I musisz mi pomóc to udowodnić, bo detektywowi stanowemu i agentowi federalnemu będzie zależało tylko na szybkim zamknięciu sprawy. Nie mieszkają tutaj. Nie znają Danny'ego tak jak ty. Więc zostajemy tylko my dwoje. Tak jak czternaście lat temu. Znowu tylko ty i ja.

– Czternaście lat temu nie oddałeś mi żadnej przysługi, Shep.

O'Grady wbił wzrok w deski werandy.

Rainie westchnęła. Podeszła do balustrady i wylała zawartość swojej butelki. Słowa, które zawsze temu towarzyszyły, wypowiedziała tak cicho, żeby nikt nie usłyszał.

Shep nie drażył tematu. Znał Rainie od lat i wiedział, jak się zachować.

Po chwili odwróciła się do niego.

– Chodźmy, Shep. Odwiozę cię do domu.

Mężczyzna przyczajony za gęstą zasłoną liści, głęboko odetchnął. Niedobrze. W tej najważniejszej chwili zawsze pochylała głowę, więc nawet przez lornetkę nie widział dostatecznie wyraźnie. Może gdyby którejś nocy przyniósł kamerę wideo. Mógłby ją sfilmować, a potem pokazać taśmę komuś, kto potrafi czytać z ruchu warg. Ekspert pewnie by sobie poradził.

Ale wtedy musiałby się podzielić. Nie chciał tego. Rainie była kimś szczególnym. Należała tylko do niego.

Nie dopuści, by coś się zmieniło.

Przeniósł ciężar ciała na pięty i zacisnął usta, zastanawiając się nad różnymi możliwościami. Trochę szumiało mu w głowie. Siedział w barze na tyle długo, że musiał wypić dwa piwa, choć wiedział, że nie powinien. Ogorzały staruch cały czas tam sterczał, przyglądając mu się surowym, niechętnym wzrokiem. Tak go to rozwścieczyło, że nie potrafił już się wycofać. Został więc, pijąc piwo, którego smaku nie czuł i odpierając uporczywe, nienawistne spojrzenia.

A potem ogarnął go pusty śmiech. Cała ta sytuacja była zbyt komiczna, żeby wyrazić ją słowami. Ci idioci uważali, że wojna mogłaby rozwiązać problem. Podsunąć dzieciakom Hitlera, a nie będą musiały zabijać się nawzajem.

Śmiał się i nie mógł przestać. Wychodząc z baru, dostrzegł, jak ten ogorzały farmer kręci głową. Pieprzyć go. Pieprzyć ich wszystkich. Gdyby tylko wiedzieli...

Kiedy pierwszy raz wybierał miasto do jednego ze swoich eksperymentów, nie bał się ani trochę. Czuł tylko ciekawość, co się stanie. Miał wizję. Zaczęło się od snu późno w nocy, gdy był sam i nikogo nie obchodził. Potem o niczym innym już nie myślał. Ta wizja stała się jego obsesją, palącą potrzebą, która nie przestawała go nękać.

Pokaż ojcu. Pokaż mu, co potrafisz. Kurwa, pokaż pierdolonemu ojcu, co potrafisz. Wymykał się na cmentarz i popijał cenne brandy tatuśka, po sto dolarów butelka. Wściekłość jak bęben huczała mu w żyłach. Myślisz, że jestem słaby? Myślisz, że jestem tępy?

No to ci pokażę...

Za pierwszym razem był bardzo ostrożny. Nic go nie mogło łączyć z tamtymi ludźmi. Wybrał miasto za pomocą komputera, przeprowadził wywiad za pomocą komputera, z graczami skontaktował się za pomocą komputera. Kiedy w końcu musiał dokonać pewnych posunięć na miejscu, przebierał się i płacił tylko gotówką. Trzy elementy udanej misji: cierpliwość, planowanie i ostrożność. Widzisz, jednak cię słuchałem, stary przyku.

Wszystko poszło jak z płatka. Krzyki, dym, krew. Piękna, niesamowita śmierć. Nawet nie zadrżała mu ręka, niczym się nie przejmował.

Ale szybko było po wszystkim. Policja, śledztwo, aresztowania. Sprawa zamknięta. Wrócił do codziennego życia, znowu odwiedził cmentarz i opróżnił kolejną butelkę brandy.

No i kto jest teraz słaby, staruszkule? Kto nie może błysnąć?

A potem...

Nic. Media przestały się interesować tematem. Życie miasta wróciło do dawnego rytmu. Ludzie zaczęli zapominać. A on znów był samotny, świadomy swej władzy i wiedzy... i znudzony.

Czas na drugie uderzenie. Trzeba podnieść stawkę, przejść na wyższy poziom gry.

Następne miejsce wybrał już starannie. Więcej czasu spędził na badaniu okolicy, wsłuchiwaniu się w puls małomiasteczkowej codzienności. Znowu cierpliwość i planowanie. Znowu zachowywanie wszelkich środków ostrożności. Komputery okazały się wspaniałym narzędziem.

W końcu wszystko było gotowe. Krzyki, dym, krew. Piękna, niesamowita śmierć. Tym razem nie wyjechał. Obserwował całą scenę przez lornetkę z znacznej odległości. Mimo ryzyka został, pozwalając sobie na większe emocje.

Na miejsce tragedii przyjechały gliny. Tępe, pozbawione wyobraźni, małomiasteczkowe ćwoki. Zobaczyli to, co chciał, pomyśleli to, co chciał. Aresztowali podejrzanych i byli wyraźnie zadowoleni.

Wszystko poszło tak dobrze, że postanowił nie wracać od razu do

domu. Chciał zrealizować plan z pobytem w hotelem, oczywiście nie w samym miasteczku, choć nie był przekonany, czy te środki ostrożności są konieczne. Wynajął samochód, żeby móc dojeżdżać. Przesiadywał po miejscowych barach i słuchał paplaniny ich bywalców. Bawił się tak dobrze, że nawet poszedł na pogrzeb, żeby podelektować się płaczem matek.

No i kto jest teraz mądry, stary przyku?

Pięć dni później było już po wszystkim. Dziennikarze spakowali manatki i wyjechali. Prawnicy wypracowali jakiś układ. A on wrócił do swego zwyczajnego życia i w końcu nawet najbardziej podniecające sceny zaczęły mu się zacierać w pamięci.

Potrzebował czegoś więcej. Wszystkie plany udało mu się zrealizować, ale emocje słabły. Wyglądało na to, że był zbyt sprytny (słyszysz, staruszk?). Gliny tańczyły, jak im zagrał, i jeszcze dziękowały za akompaniament.

Potrzebował większego wyzwania, bardziej pasjonującej sprawy, godniejszego przeciwnika. Musiał rozszerzyć pole gry.

Bakersville trafiło mu się niespodziewanie, jak cholerna nocna polucja.

Idealne miejsce, idealny cel, idealna banda gliniarzy, którzy ruszą jego tropem.

Wreszcie dobrze się bawił.

Szef twardziel oplakujący syna. Inteligentna, ładna policjantka, całym sercem oddana swemu miastu. A teraz jeszcze agent specjalny Pierce Quincy. Najlepszy z najlepszych z Quantico.

Wreszcie gra warta ryzyka. I dobrze, bo jeśli o niego chodziło, nie zamierzał już więcej wystawiać jednoaktówek. Emocje dopiero się zaczynały.

Pamiętasz, co czułaś, naciskając spust, Lorraine Conner? Wciąż śni ci się po nocach eksplodująca głowa matki?

Któregoś dnia będę chciał o tym usłyszeć.

Ale nie dzisiaj. Dzisiaj musiał pojechać do Portland. Miał jeszcze dużo do zrobienia.

Gdy Becky O'Grady zasnęła pierwszy raz, śniło jej się, że znowu jest w szkole. Stoi na korytarzu i krzyczy: „Zły potworze, zostaw mojego brata! Nie krzywdź Alice i Sally!”

Potwór znika, a koleżanki z płaczem rzucają się Becky na szyję. Śliczna panna Avalon całuje ją w policzek i chwali za odwagę. I wszyscy są szczęśliwi, mama i tata też. I już się nie kłóca, i Danny przynosi jej kotka.

Gdy Becky O'Grady zasnęła drugi raz, śniło jej się, że walczy z potworem i odgryza mu głowę.

O piątej rano ukryła się w szafie w przedpokoju i naciągnęła na siebie stertę płaszczy. Ale wiedziała, że to nie pomoże.

Potwór wróci. Nie uratowała Danny'ego. Ona i potwór wiedzieli o tym. Wkrótce przyjdzie po nią. Teraz będzie jej kolej.

Becky płakała za matką. Ale przede wszystkim płakała z powodu Danny'ego, bo kiedy najbardziej jej potrzebował, nie pomogła mu.

Czwartek, 17 maja, 7.50

Sandy stała przy kuchennym zlewie. Któryś już raz myła ten sam talerz ze wzorem w kwiatki. Na dworze świeciło słońce. Uchyliła lekko okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza i teraz dobiegały ją odgłosy porannej krzątaniny sąsiadów. Gdzieś niedaleko terkotała kosiarka do trawy. To pewnie pan McCabe, emerytowany dyrektor szkoły, który traktował swój ogród niemal z religijną czcią. W czerwcu zjeżdżali się ludzie z całej okolicy, żeby podziwiać jego róże.

Trzy lub cztery domy dalej zaszczekał pies. Potem jakaś matka przywoływała swoje dziecko. Andy? Anthony? Może Andrea, czteroletnia córka Simpsonów. Rok temu w Halloween przebrała się za kowboja i wszystkim wmawiała, że jest chłopcem. Sandy naprawdę ją lubiła, chociaż mała zwracała się do niej w taki sposób, jakby Sandy była dostojną staruszką.

Obróciła talerz w rękę i zaczęła bezmyślnie pocierać drugą stronę.

Kiedy przeprowadzili się tu z Shepem jednaście lat temu, w sąsiedztwie nie mieli wielu małżeństw z dziećmi. Od tamtej pory dzielnica się rozrosła i miejscowe rodziny też. Tylko na ich ulicy Sandy mogła doliczyć się przynajmniej pięciorga maluchów. Dwie dziewczynki z klasy Becky mieszkały zaledwie cztery przecznice dalej.

W okolicy było też sporo chłopców, ale większość z nich młodsza od Danny'ego. Becky miała więc towarzystwo, za to Danny'ego trzeba było wozić do kolegów. To wymagało wcześniejszego zaplanowania. A poza tym któreś z rodziców musiało pełnić rolę szofera.

Jednak Danny nigdy się nie skarżył. Wydawał się zadowolony, że ma książki, że może zostać w szkole lub pograć na komputerze. Czasami wieczorem Sandy zabierała go na spacer po okolicy. Machali do znajomych. Danny przyglądał się antenom satelitarnym. Czasem ona szła na piechotę, a on pędził na rowerze i popisывał się przed matką jazdą bez trzymanki.

Zawsze lubiła te ich wędrówki. Czuła się bezpiecznie, mijając skromne domy ludzi, którzy ciężko pracowali i dobrze znali się nawzajem.

Dziś Sandy nie zdobyła się na odwagę, żeby wyjść po gazetę. Bała się spojrzeń sąsiadów. I nie wiedziała, co bardziej może ją zranić – złość czy litość w ich oczach.

Została w kuchni, ofiara aresztu domowego. Wyszorowała wszystkie meble na wysoki połysk. Potem wzięła się za podłogę, cały czas udając, że to zwykły ranek, że życie nie skończyło się dwa dni temu.

Punktualnie o siódmej zadzwoniła do zakładu poprawczego. Minęło czterdzieści osiem godzin od ostatniej rozmowy z Dannym. Sandy rozpaczliwie pragnęła zobaczyć syna. Czy on się boi? Czy rozumie, co się z nim dzieje? Tęskni za nią, woła ją przez sen?

A jeśli ma koszmary? Jeśli nie odżywiają go tam dobrze? A może nie dostał porządnej pościeli? Na litość boską, przecież ona jest jego matką i musi z nim być!

Dyrektor zakładu poprawczego, pan Gregory, uprzejmie, lecz stanowczo poinformował ją, że Danny nie godzi się na spotkanie z matką. Wcześniej rano dyrektor znalazł chłopca w stołówce i wspominał mu o wizycie rodziców. Danny tak się zdenerwował, że ktoś z personelu musiał odprowadzić go do jego pokoju.

Najwidoczniej chłopak jest w zbyt dużym szoku, żeby stanąć twarzą

w twarz ze swoimi najbliższymi. Może za tydzień lub dwa.

Sandy w życiu nie słyszała czegoś równie absurdalnego. Jeśli jej syn jest w szoku, tym bardziej powinna się z nim spotkać. Przyniesie mu ulubioną zabawkę, upiecze ulubione ciasto. Cokolwiek...

Nie wolno im traktować jej w ten sposób. Zostawiać z tym poczuciem bezsilności.

Pan Gregory nie dał się przekonać. Ich syn przebywa pod intensywnym nadzorem, personel nie dopuści do próby samobójczej. Podczas śniadania trzeba było Danny'ego wyprowadzić, bo na myśl o spotkaniu z rodzicami wyrwał sąsiadowi widelec i próbował przebić sobie nadgarstek.

Nie, nie mogli chłopca odwiedzić. Ani mąż, ani ona. Koniec i kropka.

Warkot za oknem umilkł. Zaszleścił worek od kosiarki. Pan McCabe wysypywał pewnie jego zawartość na klomby. Sandy widziała ze sto razy, jak to robił. Rozrzucał ściętą trawę, żeby dostarczyć glebie trochę azotu. Stwardniałymi od ciężkiej pracy dłońmi pielęgnował ogród jak ukochaną istotę.

Odłożyła talerz na suszarkę. Skończyła zmywanie. Podłoga i blaty lśniły. Wyczyściła nawet piecyk i wytarła mikrofalówkę. Była dopiero ósma, początek długiego dnia, z którym nie wiadomo co zrobić.

Becky poważnie przyglądała się matce zza kuchennego stołu.

– Chcesz jeszcze trochę płatków, kochanie?

Mała pokręciła głową. Miska z płatkami od piętnastu minut stała przed nią nietknięta.

– A może jakiś owoc? kusiła Sandy. – A co powiesz na naleśniki? Mogę ci zrobić naleśniki z czekoladą!

Pożałowała swoich słów w chwili, gdy je wypowiedziała. Naleśniki z czekoladą były przysmakiem Danny'ego.

Becky pokręciła głową.

Matka nie dała za wygraną. Rozpaczliwie szukając natchnienia, zajrzała do lodówki. Becky nie jadła od dwóch dni.

– Już wiem. – W głosie Sandy brzmiała sztuczna wesołość. – Masz

ochotę na sałatkę owocową!

Wyciągnęła szybko szklaną miskę. Sałatka była jedną z czterech potraw, które wczoraj znaleźli przed drzwiami. Pozostałe naczynia zawierały makaron z serem, zapiekankę ziemniaczaną z szynką i nadziewany placek. Ale sałatka sprawiła Sandy największą przyjemność. Galaretka truskawkowa, plastry jabłek i bananów, orzechy i bita śmietana to ulubiony deser wszystkich dzieci. Jak dobrze, że ktoś pomyślał o Becky. Bóg jeden wie, ile dziewczynka się ostatnio wycierpiała.

Sandy ustawiła na stole kolorową sałatkę, żeby Becky mogła ją obejrzeć. Mała uwielbiała galaretkę i bitą śmietanę.

Chwila wahania i wreszcie Becky kiwnęła głową. Zwycięstwo!

Nucąc cicho pod nosem, Sandy napełniła talerz i podsunęła go Becky razem z sokiem pomarańczowym. Po chwili zastanowienia naląła też szklanę dla siebie i przysiadła się do córki.

Z salonu dochodziło chrapanie Shepa. Prawie całą noc spędził poza domem. Wrócił dopiero nad ranem, zataczając się i cuchnąc piwem. Bez pytania wiedziała, gdzie był. U Rainie. Gdy tylko miał problemy lub coś go trapiło, zawsze chodził do niej.

Dawniej Sandy gubiła się w domysłach, co łączy tych dwoje. Wszyscy w miasteczku wiedzieli o matce Rainie, o tym, jak się prowadziła. Oczami wyobraźni Sandy widziała swego męża i Lorraine Conner w miłosnym uścisku. Wyobrażała sobie, jak razem śmieją się do rozpuku, że głupiotka ślicznotka, Sandy Surmon, niczego nie podejrzewa.

Pewnej nocy w napadzie zazdrości pojechała do domu Rainie, ukrytego wśród zielonej gęstwiny. Pędziła leśną drogą na pełnym gazie, zastanawiając się, jak się powinna zachować, kiedy ich nakryje.

Shep i Rainie siedzieli na wielkiej werandzie. W milczeniu wpatrywali się przed siebie, a każde z nich ścisnęło w rękę butelkę piwa.

Sandy dyskretnie wycofała się i wróciła do domu.

Z biegiem lat zdała sobie sprawę, że w żaden sposób nie potrafi

zrozumieć związku łączącego jej męża z Rainie. Co oznacza ich milczenie i jakim cudem mogą się porozumiewać bez słów? Nie pojmowała, jak to się działo, że czasem Shep bardziej należał do tamtej kobiety niż do niej. W końcu to ona, Sandy, urodziła mu dwoje dzieci, a Rainie zawdzięczał tylko kilka butelek piwa.

Cokolwiek go jednak z tą Conner łączyło, mimo że było głębokie, nie miało przynajmniej charakteru erotycznego. Więc Sandy starała się jak mogła, żeby stłumić dręczący ją, bolesny żal, że Shep nie przychodzi do niej, kiedy ma problemy, a spędza godziny w domu innej kobiety, gdzie oboje wspólnie milczą.

– Mamo, co się stało ze szkołą?

Sandy drgnęła, zaskoczona nie tyle pytaniem, co dźwiękiem głosu córki. Od strzelaniny Becky prawie się nie odzywała, a jeśli już, to wypowiadała jedno, dwa słowa.

– Co masz na myśli, kochanie?

– Nie ma dzisiaj szkoły.

– Nie, dzisiaj nie ma.

– A jutro?

– Jutro też nie musisz iść, kochanie. Nie martw się o szkołę. Na razie jest zamknięta.

Dziewczynka nie przestawała wpatrywać się w nią z przejęciem.

– A inne dzieci idą do szkoły?

– Twoi koledzy? Nie. – Sandy starała się ostrożnie dobierać słowa. – Oni też mają teraz wolne.

– Jeszcze nie ma wakacji.

– Ale już niedługo będą.

– Mamo, jeszcze nie ma wakacji.

– Becky... wiesz, że coś złego stało się w szkole, tak? Rozumiesz to?

Becky kiwnęła głową.

– To, co się stało, wszystkich w Bakersville zasmuciło. Ty też jesteś smutna, prawda?

Becky znowu przytaknęła.

– I ja jestem smutna – powiedziała cicho Sandy. – Tata jest smutny.

Inne dzieci też są smutne. Więc ponieważ wszyscy są smutni, przez jakiś czas nie będzie szkoły.

– A potem?

– Potem, Becky, znowu zaczniesz się uczyć. Ale nie martw się, kotku. Wrócisz do szkoły dopiero, kiedy będziesz gotowa i upewnimy się, że jest bardzo, bardzo bezpiecznie. Żeby ta zła rzecz...

– Potwór.

Sandy zawahała się.

– Żeby potwór już nigdy tam nie przyszedł.

Becky wpatrywała się w matkę badawczo. Jej oczy były wielkie i poważne. Sandy dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak duża już jest jej córeczka. Po chwili dziewczynka zajęła się znowu śniadaniem. I nagle Sandy zrozumiała, że Becky jej nie wierzy. Świat już nigdy nie będzie bezpieczny, skoro w szkole mogą się pojawiać potwory.

Wypiwszy resztkę soku, bezmyślnie zaczęła szorować nad zlewem szklanek. Lampka na automatycznej sekretarce mrugała jak szalona, ale Sandy już wczoraj odsłuchiwała wszystkie wiadomości. Zanim Shep zmienił numer, żeby położyć kres anonimowym telefonom, próbował skontaktować się z nią Mitchell. Przeprosił, że zawraca głowę, ale koniecznie musiał dostać raporty dotyczące Wal-Martu. Błagał, żeby się natychmiast odezwała.

Sandy wiedziała, których akt szef szuka. Doskonale pamiętała, gdzie leżą. Ale nie podniosła słuchawki i nie oddzwoniła.

Może Shep miał rację. Może pracowała za dużo. Przedłożyła własne zachcianki nad potrzeby dzieci. Gdyby spędzała więcej czasu w domu, gdyby zwracała większą uwagę... Gdyby Danny czuł się bezpieczniej, gdyby dawali mu do zrozumienia, jak bardzo jest dla nich obojga ważny i jak bardzo go kochają...

Gdyby... gdyby... gdyby...

Sandy zakręciła kran. Ręce jej drżały, w oczach miała łzy.

Mamo, co się stało ze szkołą?

Chciałabym, żeby świat był bezpieczny. O Boże, kochanie. Tak bardzo bym chciała, żeby świat był dla ciebie bezpieczny.

– Mamo.

Sandy odwróciła się do Becky. Przez chwilę wydawało jej się, że widzi na twarzy córki krew. O mało nie krzyknęła. Nie, to truskawkowa galaretka, pomyślała. To tylko truskawkowa galaretka.

Ale nagle ujrzała w oczach Becky łzy.

– Boli mnie język.

Sandy błyskawicznie znalazła się przy dziewczynce. Zajrzała jej do buzi i z przerażeniem dostrzegła czerwone smugi.

– Co się stało? Ugryzłaś się w język? Ach, kochanie, przyniosę ci ściereczkę i kostkę lodu. Poczekaj chwilkę.

Machinalnie wstawiła miskę z sałatką do zlewu. Dopiero kiedy splukiwała ściereczkę pod strumieniem zimnej wody, zauważyła, że w galaretkę coś błyszczy.

Bardzo powoli Sandy wyciągnęła łyżkę i zamieszała zawartość miski. Po chwili na brzegu zlewozmywaka leżało pięć kawałków szkła.

Dzieciobójca. Dzieciobójca. Dzieciobójca.

To dziecięcy przysmak! Nawet jeśli nas nienawidzicie, jakim trzeba być zwierzęciem, żeby dosypać tłuczonego szkła do sałatki dla dziecka!

Zdziwiło ją własne opanowanie. Wytarła córeczce twarz, dała do possania kostkę lodu. Krwawienie ustało. Kawałki szkła były małe. Może nie zrobiły większej krzywdy.

Sandy czule odgarnęła jasne włosy Becky.

– Jak się czujesz, kochanie?

– Dobrze.

– Dużo zjadłaś? – zapytała od niechcienia.

Becky pokręciła głową.

– Nie jestem głodna.

– Gdy cię zabolął brzuszek, powiesz mi, dobrze?

Dziewczynka kiwnęła głową. Sandy postanowiła nie wszczynać alarmu. Miała nadzieję, że Becky nic się nie stało, a nie chciała jej narażać na kolejną wizytę na pogotowiu.

– Wiesz co – powiedziała, siląc się na entuzjazm – upieczmy ciasteczka! Zaraz przygotuję wszystkie składniki, a ty mi pomożesz. I

jak? Masz ochotę?

Becky bez słowa wzruszyła ramionami.

– To świetnie. Tylko sprzątnę i już zabieramy się do roboty.

Sandy posłała córeczce pogodny, kojący uśmiech. Wyprostowała się i postarała zapanować nad twarzą. Po chwili była już gotowa. Powtarzając sobie, że nie może, nie wolno jej się rozplakać, wyrzuciła sałatkę owocową i trzy pozostałe prezenty do kubła na śmieci.

– Nie pozwól, żeby dopadł cię potwór, mamó.

– Spokojna głowa, Becky. Nie dopadnie.

Czwartek, 17 maja, 6.33

Quincy nie śnił o córce. Nad ranem przewracał się z boku na bok, przeżywając na nowo śledztwo sprzed prawie dziesięciu lat. Trzynastoletnia Candy Wallace o ślicznych jasnych włosach i czarującym uśmiechu. Piękna, pogodna Candy Wallace, która została wychowana w rodzinie pobożnych baptystów i nie miała pojęcia, ile zła czai się w ludzkich sercach.

Porwano ją, gdy wracała ze szkoły w zwyczajne środowe popołudnie. Szła ulicą, a po chwili na chodniku leżała już tylko torba z książkami.

Ale porywaczowi wcale nie chodziło o Candy. Polował na Polly, jej szesnastoletnią siostrę, i pomyłka rozwścieczyła go. Zaczął wydzwaniać do domu Wallace'ów. Czasem oddawał słuchawkę Candy. Potem robił z dziewczynką różne rzeczy, a siostra i rodzice słyszeli jej rozpaczliwe wołania o pomoc. Po pierwszym telefonie wezwali Quincy'ego. Uchodził za eksperta. Teraz we śnie nie powracały do niego krzyki Candy Wallace ani zrozpaczona twarz jej matki. Nawet nie płacz Polly, która błagała oprawcę, żeby zlitował się i przestał albo przyszedł po nią. Chętnie z nim pójdzie, jeśli tylko wypuści jej młodszą siostrę. Prosi go o to, błaga.

Quincy'emu jednak zapadły w pamięć ostatnie słowa Candy po pięciu dniach męczarni.

„Mamo, tato, nie smućcie się. Niedługo wszystko się skończy. Tam, dokąd idę, będzie mi lepiej. Bóg mnie kocha i zaopiekuje się mną. Wszystko będzie dobrze. Kocham was. Kocham nawet tego straszego człowieka. Moje serce jest czyste”.

Quincy obudził się ze śladami łez na policzkach. Leżał długo, rozmyślając o sile trzynastoletniej dziewczynki, o Bogu, wierze i tych wszystkich sprawach, które zostawił za sobą w ciągu zbyt wielu lat służby. Dzień po ostatnim telefonie znaleźli ciało dziewczynki. Nagie, posiniaczone, okaleczone. Trzy tygodnie później aresztowali sprawcę: bezrobotnego, który kiedyś naprawiał klimatyzację w domu Wallace'ów. Candy tłumaczyła mu, że Bóg go kocha, więc odciął jej język. Quincy uważał, że dla takiego bydłęcia nie ma dostatecznie surowej kary. Pojawił się wtedy w domu całkowicie wykończony. Czuł, że jakaś bariera odgradza go od rodziny. Nigdy nie nauczył się wracać z miejsca zbrodni do swoich najbliższych. W takich chwilach nie potrafił patrzeć na córki, żeby nie widzieć wszystkich tragedii, które mogły je spotkać. Bezrobotni, włóczędzy, przystojni studenci prawa. Nie mógł patrzeć na rodzinę, żeby nie widzieć bólu, cierpienia i śmierci. Dostyc tego. Wstał z łóżka i zadzwonił do szpitala. Stan Amandy nie uległ zmianie. Pani Quincy zasnęła, ale jeśli chciałby z nią porozmawiać, pielęgniarka zaraz ją obudzi. Powiedział, że nie trzeba. Drugiej córki, Kimberly, nie było w szpitalu. Prawdopodobnie wróciła do szkoły. Tak jak on pogodziła się już z tym, co nieuniknione. Matka uznała to za dezercję do obozu Quincy'ego. Stosunki między Berthie a ich młodszą córką były napięte od zeszłego roku, kiedy to Kimberly oświadczyła, że zamierza studiować socjologię na Uniwersytecie Nowojorskim. W przyszłości chciała zostać agentem FBI. Jak ojciec. Wciągnął na siebie stare sportowe szorty i szarą koszulkę. Na ulicy przeniknął go ostry chłód poranka. Biegając, Quincy wciąż rozmyślał o krzyku umierającej dziewczynki i o jej niezłomnej wierze. I o swojej córce, i o tragedii, przed którą nie zdołał jej uchronić, mimo tylu lat starań, by świat był

bezpiecznym miejscem. A potem zaczął myśleć o Rainie, jej podkrążonych szarych oczach i silnie zarysowanym, upartym podbródku. O tym, jak przyjmowała ciosy i znowu stawała do walki. Kiedyś wydawało mu się, że izolacja jest skuteczną ochroną. Koncentrując się wyłącznie na pracy, można zrobić coś dla ludzi, dla swojej rodziny. Słuchał, jak umierała trzynastoletnia dziewczynka, ale nie dotarło do niego znaczenie jej słów. Quincy miał już swoje lata, a mimo to ciągle się uczył. Biegł przez jakiś czas, czując na policzkach chłód czystego górskiego powietrza. W żyznej dolinie budził się piękny dzień. Quincy zrozumiał, dlaczego Rainie Conner wróciła do Bakersville.

Tuż przed pierwszą zjawił się w centrum operacyjnym zespołu dochodzeniowego na strychu ratusza. Spodziewał się, że nie zastanie Rainie, która o świcie pojechała do Portland, by uczestniczyć w sekcji zwłok. Ale policjantka siedziała już za swoim prowizorycznym biurkiem. Nie podniosła od razu wzroku. Pisała coś z zacięciem. Przez chwilę przyglądał się jej. Twarz Rainie była jeszcze bledsza niż wczoraj, cienie pod oczami wyraźniejsze. Kolejna bezsenna noc, domyślił się, i w dodatku koszmarny poranek. Udział w sekcji zwłok nigdy nie jest miłym przeżyciem, a co dopiero, gdy chodzi o dzieci. Sądząc jednak po jej skupionej minie, Rainie nie miała zamiaru zwalniać tempa. Przypominała mu kogoś. Minęła dłuższa chwila, zanim uzmysłowił sobie kogo. Tess. Tess Williams. Inne śledztwo, wieki temu, ale ze szczęśliwym zakończeniem. Tess popełniła błąd. Poślubiła idealnego mężczyznę, takiego, o którym się mówi, że jest zbyt dobry, żeby był prawdziwy. Okazało się, że Jim Beckett doskonale pasuje do tego powiedzenia. Przystojny, oddany pracy policjant miał oryginalne hobby. Zatrzymywał ładne blondynki za przekroczenie prędkości, a potem je mordował. Tess jako pierwsza wpadła na trop zbrodniczej działalności męża i powoli zaczęła gromadzić przeciwko niemu dowody, jednocześnie z nim sypiając. Jim Beckett nie poddał się bez

walki. Przypłaciło ją zdrowiem kilku członków grupy antyterrorystycznej, łącznie z samym Quincym, który dorobił się wtedy paru kolejnych blizn. Ale Tess była twardsza, niż ktokolwiek przypuszczał. Kiedy Beckett wytropił ją po swojej ucieczce z więzienia, załatwiła sprawę tak, że podatnicy ze stanu Massachusetts nie musieli już więcejłożyć na utrzymanie zbrodniarza. Quincy od dawna o niej nie myślał. Próbował obliczyć, w jakim wieku powinna być teraz jej córka, Samantha. Dziesięć lat? Minęło trochę czasu. Był ciekaw, jak im się wiedzie. Nigdy nie kontynuował znajomości z osobami, które poznał w trakcie śledztwa. Nawet jeśli kończyło się ono szczęśliwie, musiał kojarzyć się tym ludziom z najczarniejszymi chwilami ich życia. W tej sytuacji jakoś nie wypadało posyłać świątecznych kartek.

– Masz zamiar tak stać przez całe popołudnie? – zagadnęła Rainie, nie odrywając wzroku od zapisanej kartki.

– Podziwiam tylko widok.

Podniosła oczy i rzuciła mu piorunujące spojrzenie.

– Och, odczep się.

– Widzę, że wycieczka do kostnicy się udała.

– Wszystko, czego się obawiałam, razy dziesięć. Na litość boską, wchodzisz albo wychodzisz. Nie znoszę ludzi, którzy sterczą w drzwiach.

Quincy bez pośpiechu usiadł naprzeciwko niej. Rainie musiała być bardziej zmęczona, niż mu się zrazu wydawało. Kiedy się odezwała, dosłyszał w jej głosie irytację człowieka na krawędzi załamania. Mógł się założyć, że nie pozwoliła sobie na łzy. Zły znak. Czasem dobrze jest się wyplakać. Tylko w ten sposób można zapanować nad bólem.

– Pisziesz raport? – zapytał obojętnie.

– Nie. Kompletuję listę. Co sądzisz o tajemniczym facecie w czerni?

– Słucham?

– O facecie w czerni. Tym, którego widziało kilkoro dzieci. Fakt czy fikcja?

– Nie wiem.

– A jeśli on istnieje? Czy w szkolną strzelaninę może być zamieszany

ktoś z zewnątrz?

– Zdziwiłabyś się, w jak wielkim stopniu – powiedział powoli Quincy. – I to nawet ktoś znany jedynie z Internetu. Przypomnij sobie przypadki dzieci, które za pomocą Internetu zostały zwabione na spotkanie przez pedofila.

– Dobrze. – Energicznymi pociągnięciami pióra uzupełniła notatkę. – Facet w czerni. Kontaktuje się z Dannym przez Internet, a potem usuwa zatrzeć ślady, kasując twarde dyski. Ale wracamy znowu do Melissy Avalon. Dlaczego jeden precyzyjny strzał w głowę? Nie podoba mi się ta pieprzona rana. – Rainie zmitygowała się, głęboko odetchnęła i znów zaczęła pisać. – W porządku, zastanowimy się nad tym później. Następny w kolejce, szkolny psycholog Richard Mann.

– Dlaczego akurat Mann?

– Jest młody, trzydzieści trzy lata według tego, co wyczytałam w jego dokumentach, ale jak dla mnie, nie wygląda na więcej niż piętnaście. Jeśli założymy, że Melissa Avalon była zamierzonym celem, on mógł mieć motyw. Może się w niej kochał i nie podobała mu się jej przyjaźń z Vander Zandenem. Poza tym jako szkolny psycholog wiedziałby, jak manipulować Dannym. To chyba wszystko.

Quincy wreszcie zrozumiał.

– Pracujesz nad listą ewentualnych podejrzanych.

– Tak, federalni potrafią jednak szybko załapać, w czym rzecz.

Uniósł brwi. Może Rainie była u kresu wytrzymałości, ale język miała ostry jak brzytwa.

– Mogę zapytać, kogo wpisałaś?

– Charliego Kenyona, dyrektora Vander Zandena, tajemniczego faceta w czerni, a teraz Richarda Manna.

– Myślałem, że dyrektor ma alibi.

– Na pierwszy rzut oka, ale nigdy nie wiadomo, co się okaże, kiedy zaczniesz naciskać.

– Charlie Kenyon. Niewykluczone – zastanawiał się na głos Quincy. Uznał, że lepiej nie przeciwstawiać się Rainie. – Starszy chłopak. Podatny na wpływy dzieciak. Wiemy, że Kenyon kilkakrotnie podpadł

policii i że kręcił się koło szkoły. Mam więcej wątpliwości co do dyrektora. Nawet jeśli panna Avalon zerwała romans, trudno jest mi sobie wyobrazić, żeby rozwścieczony Vander Zanden strzelał do dwóch uczennic, a jeszcze trudniej, by zdołał nakłonić Danny'ego do wzięcia winy na siebie.

– Silny autorytet. Danny nie potrafi sprzeciwić się własnemu ojcu, a co dopiero dyrektorowi szkoły. Poza tym przypomnij sobie ostatnie słowa Danny'ego podczas przesłuchania. Dzieciak się boi. Kiedy jest się w szkole podstawowej, kto wydaje się najbardziej wszechwładny i wszechwiedzący?

Logika jej wyводу była bez zarzutu.

– Ale trzeba wziąć pod uwagę reakcję Vander Zandena. Wygląda, że autentycznie się załamał.

Rainie przyznała mu rację. Po chwili rozbłyły jej oczy.

– A jego żona?

Quincy powoli odetchnął i patrzył, jak zapisuje kolejny punkt. Jej ruchy były gorączkowe, uparte.

– Rainie, po co robisz tę listę?

– Żeby się na kimś skoncentrować. To śledztwo się rozłazi.

– Masz już podejrzanego w areszcie. Chyba możesz skoncentrować się na nim.

– Tak, ale nie wiemy, czy to właściwa osoba.

– Nie przekonały cię jego odciski na łuskach?

– Ciebie nie przekonały.

– Płacą mi za sceptycyzm.

Rainie odłożyła długopis. Przez chwilę patrzyła mu prosto w oczy. Quincy'ego zaskoczyła kredowa bladość napiętej, zmizerowanej twarzy. Najwyraźniej oprócz snu młoda policjantka zrezygnowała też z jedzenia. To tylko kwestia czasu, kiedy się załamie.

– W nocy był u mnie Shep – powiedziała nagle.

– Ach. – Sytuacja stała się dla Quincy'ego dużo jaśniejsza. – Podzielił się wyrzutami sumienia?

– Oczywiście. A od czego są przyjaciele? Powiedział też, że

kontaktował się z kolegą z laboratorium zakładu kryminalistyki. Abe Sanders nie mówi nam wszystkiego.

– Umieram z ciekawości.

– Jest problem z jedną z łusek kaliber trzydzieści osiem. Nie ma na niej żadnych odcisków ani bruzd, jakby ktoś ją wytarł, a poza tym coś w niej znaleziono. Dziś rano dowiedziałam się, że to prawdopodobnie polimer.

– Tworzywo sztuczne? Może włókna poliestrowe?

– Może. Ale dziwne, że włókna znaleziono wewnątrz łuski. A poza tym, kiedy aresztowałam Danny'ego, miał na sobie wyłącznie bawełnę. Rzecz jasna, przeprowadzają kolejne testy, a my znowu mamy więcej pytań niż odpowiedzi.

– Zabijesz Sandersa, prawda?

– Owszem. Dzisiaj o trzeciej po południu. Możesz przyjść popatrzeć.

– Rainie uśmiechnęła się zaciśniętymi ustami. – O siódmej, odbyłam interesującą rozmowę z panią patolog. Wczoraj późnym wieczorem przeprowadziła sekcję Avalon, więc dziś rano mogliśmy od razu przejść do dziewczynek. Szczęściara ze mnie. A teraz posłuchaj: pocisk kaliber dwadzieścia dwa, który zabił Melissę Avalon, nie był zdeformowany. Co więcej, to paskudztwo w prostej linii przebiło się przez środek mózgu i zatrzymało u podstawy czaszki. Bez rykoszetu. Odzyskaliśmy więc śliczny pocisk w nienaruszonym stanie. Powinno zachować się na nim mnóstwo bruzd. A tu figa.

– Nie ma bruzd? Patolog myśli, że użyto broni bez gwintu?

– Nie wiem, co, do cholery, myśli Nancy Jenkins. Jest z pewnością zaintrygowana, ale też, na nieszczęście dla mnie, bardzo tajemnicza. Powiedziała coś w rodzaju: „Wydaje się, że pocisk musiał pochodzić z dwudziestki dwójki, ale jakoś mi na to nie wygląda.

– Tak powiedziała?

– Okazuje się, że Nancy Jenkins interesuje się bronią. Nie przedstawi oficjalnej opinii, dopóki nie dostanie raportów z laboratorium. Upiera się, że z pociskiem, który zabił Melissę Avalon, jest coś nie tak. I że to sprawka kogoś naprawdę sprytnego.

– Za sprytnego jak na trzynastolatka?

– Zaczynasz rozumieć.

– I pocisk zatrzymał się u podstawy czaszki?

– Dokładnie. Trajektoria z góry do dołu. Jak chłopiec wzrostu metr pięćdziesiąt mógł strzelić z góry do kobiety o dwadzieścia centymetrów wyższej?

– Która nie klęczała – dodał za nią Quincy – zważywszy na to, jak upadło ciało.

Rainie ze złością kiwnęła głową.

– No proszę. Wygląda na to, że źle się dzieje w państwie duńskim. Mam poważne wątpliwości, czy to Danny zabił Melissę Avalon, co z kolei nasuwa pytania o Sally i Alice.

– Prawdopodobnie był tam ktoś jeszcze z narzędziem zbrodni, które dopiero musimy znaleźć.

– Właśnie. Narzędzie zbrodni. No i motyw. Dlaczego Melissa Avalon? Nie daje mi to spokoju. Dlaczego młoda, piękna panna Avalon?

– Widzę, że konstruujesz alternatywną teorię.

– Skoro tu dowodzę, pomyślałam, że nie zaszkodzi mi spróbować.

– Rainie, mogę cię uszczęśliwić?

– A mianowicie?

– O pierwszej trzydziści mam spotkanie z Richardem Mannem. Chcę zadać mu parę pytań o Danny'ego O'Grady. Pojedź ze mną. Ja odegram dobrego glinę, a ty złą policjantkę. Razem weźmiemy go w obroty.

W oczach Rainie pojawił się dziki błysk zadowolenia. Quincy nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Niespodziewanie ogarnęła go czułość.

– Mam odgrywać złą policjantkę?

– Posiadasz do tego najlepsze kwalifikacje.

– Agespie, mogłabym cię pocałować.

– Obiecanki cacanki – powiedział pogodnie i wyprowadził swoją ulubioną współpracowniczkę z pokoju.

Czwartek, 17 maja, 13.28

Spotkali się z Richardem Mannem w jego gabinecie. Policja zakończyła już badanie miejsca zbrodni i pracownicy mieli znów prawo wstępu na teren szkoły. Mann dał Quincy'emu do zrozumienia, że nie może mu poświęcić wiele czasu. Musi zająć się zaległą papierkową robotą. Na Rainie zrobił wrażenie człowieka głęboko przygnębionego. Miał bladą twarz i podkrążone oczy. Mimo iż ubrał się w spodnie khaki i zielony sweter, wyglądał na pogrążonego w żałobie. Może to rezultat nieprzespanych nocy i natłoku pytań bez odpowiedzi. Może młody psycholog wyrzucał sobie, że powinien był przewidzieć, co się stanie. Może podczas długich bezsennych godzin zastanawiał się, czy mógł zrobić więcej.

Rainie nie wiedziała o nim zbyt wiele. Trochę rozpytywała wśród rodziców. Wszyscy zapewniali ją, że Mann jest bardzo miły. Niedoświadczony, dodawali niektórzy, ale pracowity i gorliwy. Podczas wtorkowej tragedii z pewnością stanął na wysokości zadania i sprawnie wykonał wszystkie polecenia. Należała mu się pochwała.

Ale Rainie wciąż zastanawiała się nad związkami Manna z panną Avalon. Pomimo zmęczenia wyglądał na typowego amerykańskiego przystojniaka. Szczupły. Krótko ostrzyżone brązowe włosy. Niebieskie

oczy. Gdyby zatrudnił się w liceum miałby pewnie sporo wielbicielk. A w szkole podstawowej K-8 w Bakersville?

– Panno Conner – powiedział Mann, wyraźnie zaskoczony jej wizytą – miło mi znowu panią widzieć. – Uśmiechnął się uprzejmie. Jej obecność wcale go nie zaniepokoiła.

– Dzień dobry, panie Mann. – Rainie podała mu rękę. Słaby uścisk, pomyślała. Niepewny.

– Proszę mówić mi po imieniu. Jestem Richard. Pan Mann to mój ojciec.

– Znam to uczucie – stwierdził ze zrozumieniem Quincy. Usiedli. Pokój Richarda Manna, ulokowany między sekretariatem a gabinetem dyrektora, był mały, ale schludny. W nijakim wnętrzu dominowało wielkie okno wychodzące na szkolny parking. Podłoga pokryta była niebieską wykładziną. Wzdłuż białych ścian stały pomalowane na szaro szafki na akta. Poza dwiema roślinkami w doniczkach i plakatem z twarzami wyrażającymi różne uczucia, nie było na czym zatrzymać wzroku. Zdecydowanie kawalerskie biuro, uznała Rainie. Mogła się założyć, że mieszkanie Manna miało równie funkcjonalny i nieciekawy wygląd.

W tej chwili podłogę zaśmiecały puste kartonowe pudełka i sterty papierów.

– Generalne porządki? – zapytał Quincy.

– Przeglądam stare akta – wyznał Richard. Machnął przeproszająco ręką, wskazując na opróżnione szafki. – Zaczyna nam brakować miejsca. Większość tych akt pochodzi z okresu przed moim przyjazdem do Bakersville.

– Właśnie. Jest pan tu nowy.

– Minał już cały rok. Nie czuję się nowy.

– Bakersville to duża odmiana po Los Angeles – zauważyła Rainie.

– Tego właśnie szukałem.

– Małomiasteczkowej nudy?

– Miejsca, gdzie nie trzeba obawiać się strażaków z przejeżdżającego samochodu. – Uśmiechnął się słabo. – Niestety, niezupełnie wyszło tak,

jak planowałem.

– Gdzie pan był, kiedy zaczęła się strzelanina? – zapytała Rainie.

– W swoim gabinecie. To była moja przerwa obiadowa.

– Nie jada pan z dziećmi?

– Nie. Wprowadziłem zasadę otwartych drzwi. Uczniowie mogą przyjść do mnie w każdej chwili, jeśli mają jakiś problem.

– Podobno Melissa Avalon też udostępniała pracownię w porze obiadowej.

– Zgadza się. – Kiwnął głową.

– Więc oboje jadaliście lunch w tym samym czasie. – Rainie zmrużyła oczy i chłodno obserwowała, jak Richard Mann robi się coraz bardziej zmieszany. Oczekiwał rozmowy na temat Danny'ego O'Grady, a nie tego, co sam robił w dniu morderstwa.

– Tak, owszem – powiedział mniej pewnie. Zaczął nerwowo splatać palce. Rainie doszła do wniosku, że z nim pójdzie im łatwo.

– Czasem jadaliście lunch razem?

– Przecież byliśmy kolegami z pracy...

– Podobno panna Avalon lubiła bliżej poznawać niektórych kolegów z pracy.

– Nie rozumiem...

– Chodzi mi o dyrektora Vander Zandena. A może nie wiedział pan o tym? – Rainie przybrała surowszy ton. Richard Mann poruszył się niespokojnie na krześle.

– Myślałem, że będziemy rozmawiać o Danny'm.

– Jak dobrze znał pan Melisę Avalon?

– Pracowaliśmy razem, to wszystko.

– Była bardzo piękna.

– Tak sędzę...

– Młoda, mniej więcej w tym samym wieku, co pan?

– Chyba tak.

– I też nowa w tej okolicy. Panie Mann, bądźmy poważni. Niech nam pan nie wmawia, że nie mieliście ze sobą nic wspólnego.

– Zaraz. Myślicie, że ja i Melissa... – Mann spojrzał na nich ze

zdziwieniem i energicznie pokręcił głową. Po raz pierwszy od początku rozmowy wyraźnie się rozluźnił. – Jeśli naprawdę myślicie, że byłem związany z Melissą, to chyba bardzo mało o niej wiecie.

– Co ma pan na myśli? – zapytał łagodnie Quincy.

– Melissa miała problemy... freudowskie.

– Z ojcem? – zapytała ostro Rainie.

– Nie znam szczegółów – odparł – ale kiedyś wspomniała, że jest skłócona z rodziną. Mówiła, że jej ojciec to człowiek surowy, bardzo wymagający i niezbyt tolerancyjny. Proszę wziąć pod uwagę, że w ciągu kilku tygodni nawiązała romans z Vander Zandenem, mężczyzną prawie dwa razy od niej starszym...

– Substytut ojca – podpowiedział Quincy.

– Też doszedłem do tego wniosku – przyznał Mann i posłał Quincy'emu pełen wdzięczności uśmiech. Był wyraźnie zadowolony, że może popisać się znajomością psychologii przed wielkim agentem z FBI.

– Ojciec odwiedzał ją? – naciskała Rainie.

– Nie wiem.

– A matka?

– Nie wiem.

– Jak na kogoś, kto pracował z nią przez cały rok, niewiele pan wie.

– Była bardzo skryta, jeśli chodzi o rodzinę!

– Ale nie wobec dyrektora Vander Zandena.

– Nie byłem związany z Melissą Avalon. – Młody człowiek tracił resztki opanowania. – Pracowaliśmy razem, to wszystko. Jeśli tak bardzo was interesuje jej życie prywatne, porozmawiajcie ze Stevenem. Albo jeszcze lepiej, zadzwońcie do jej ojca. Słyszałem, że nie pofatygował się dotąd po ciało.

– Zrobimy to – powiedział Quincy.

– A Danny O'Grady? – ponowiła atak Rainie, – Podobno przyjmował go pan jako szkolny psycholog?

– Tylko przez kilka tygodni...

– Ach tak? A ile dokładnie czasu zajmuje dojście do wniosku, że chłopak, który w ataku furii rozbił szafkę, ma problemy z

kontrolowaniem emocji?

– Jego rodzice przechodzą trudny okres. Nie miałem powodów myśleć, że wybuch złości Danny'ego był czymś więcej niż tylko typową reakcją na tę sytuację. Kiedy rozpadają się małżeństwa, dzieci źle to znoszą.

– Jeszcze raz: gdzie pan był w chwili rozpoczęcia strzelaniny?

– W swoim gabinecie!

– Ma pan świadków?

– Jak pani śmie! – Richard Mann poderwał się chwiejnie z krzesła z czerwoną jak burak twarzą. – Staralem się, jak mogłem, żeby pomóc tym dzieciakom. Nie pamięta pani? To ja zorganizowałem punkt pierwszej pomocy. To ja usunąłem tłum z parkingu, żeby mogły wjechać karetki. I to ja teraz odbieram dziesiątki telefonów od rodziców, których dzieci budzą się z krzykiem w nocy. A pani śmie sugerować, że miałem z tym coś wspólnego? Mój Boże, piękne podziękowanie!

– Pani Conner niczego nie sugeruje, panie Mann – powiedział łagodnie Quincy, podnosząc ręce w uspokajającym geście. – Zadawanie tego typu pytań należy do jej obowiązków. Oczywiście, doceniamy pana pomoc podczas tamtych tragicznych wydarzeń.

Quincy uśmiechnął się ciepło. Jednak na twarzy psychologa malowało się powątpiewanie.

– Myślałem, że będziemy rozmawiać o Danny'm – odezwał się po chwili. – Nie spodziewałem się takiego... ataku.

– Przesłuchania bywają czasem trudne – odparł dyplomatycznie agent. – Oczywiście, człowiek uważany jest za niewinnego, dopóki nie dowiedzie mu się winy.

Mann triumfalnie zerknął na Rainie. Wzruszyła nonszalancko ramionami. Przystojniaczek nie miał alibi i bardzo szybko przeszedł do defensywy, pomyślała. Ale w końcu uczeń, któremu udzielał porad, został oskarżony o zamordowanie trzech osób. Każdemu spędziłoby to sen z powiek.

– A wracając do Danny'ego – zachęcał Quincy.

– Nie wiem, co mogę państwu powiedzieć – odparł ponuro Mann. –

Część naszych rozmów miała charakter poufny.

Quincy rozpromienił się. Słodycz w jego głosie sprawiła, że Rainie o mało nie przewróciła oczami.

– Ależ naturalnie, nigdy nie namawiałbym psychologa do złamania tajemnicy lekarskiej i nadużycia zaufania pacjenta. Ale przydadzą nam się choćby ogólne informacje.

Mann musiał to przemyśleć. Opadł z powrotem na krzesło, nerwowo splótł palce i uważniej przyjrzał się agentowi FBI.

– Naprawdę nie wiem dużo – odezwał się wreszcie. – Zacząłem się spotykać z Danny'ym zaledwie kilka tygodni temu, a nasze pierwsze sesje miały charakter luźnej rozmowy. Chodziło mi o wzbudzenie zaufania, nawiązanie więzi. Nie zdążyliśmy porządnie zająć się pewnymi sprawami.

– Na to trzeba czasu.

– Rozmawialiśmy trochę o zainteresowaniu Danny'ego komputerami – dodał Mann. – Danny uwielbiał surfować po sieci, bawić się programami. Nigdy otwarcie się do tego nie przyznał, ale mam wrażenie, że mógł zajmować się hakerstwem. Komputer był dla niego rozrywką, ale i wyzwaniem. Niewykluczone, że chłopak zajrzał tu i ówdzie.

– Może dotarł tam, gdzie nie powinien?

– Może. Chyba dla wszystkich jest oczywiste, że Danny miał problemy z poczuciem własnej wartości. Ojciec jest dla niego za surowy. Krzyczy, próbuje zmusić do rzeczy, których Danny nie chce robić. Nie daje chłopcu żadnego oparcia.

– Przez niego Danny czuje się głupi?

– Głupi, gorszy od innych, słaby, bezradny. Naprawdę myślę, że ludzie powinni zdać egzamin, zanim pozwoli im się mieć dzieci.

– Shep może i nie jest idealnym ojcem – wtrąciła Rainie, marszcząc brwi – ale kocha syna i chce dla niego jak najlepiej.

– Wspaniale, ale co ma z tego Danny? – Mann machnął ręką, uciszając jej kolejne protesty. Poczul, że znowu stoi na pewnym gruncie.

– Niech pani posłucha. Zajmuję się tymi sprawami i mogę panią z całym

przekonaniem zapewnić, że w wychowywaniu same intencje nic nie znaczą. Dzieci nie rozumieją zamiarów rodziców. Odbierają ich czyny. A większość rzeczy, które robi Shep sprawia, że Danny czuje się bezradny i niedoceniony. Z drugiej strony komputery dają chłopcu poczucie siły.

– Wspominał kiedyś o ludziach, których poznał przez Internet? O stronach, które odwiedzał? – naciskał Quincy.

– Nie mogę powiedzieć.

– Panie Mann... – zaczęła niecierpliwie Rainie.

Przerwał jej z nadętą miną.

– Danny jest moim pacjentem, a ja nie złamię tajemnicy lekarskiej.

– Naprawdę w przypadku szkolnego psychologa obowiązuje tajemnica lekarska? – ostentacyjnie okazała zdziwienie.

Quincy rzucił jej spojrzenie, które wyraźnie radziło, żeby nie szarżowała w roli złej policjantki. Facet robił się nerwowy, a oni musieli wyciągnąć z niego więcej informacji.

– Powinniście sprawdzić komputery – zaproponował nagle Mann. Pochylił się do przodu i dodał niemal szeptem: – Chciałbym pomóc, ale nie mogę zaczynać kariery od naruszenia zaufania moich pacjentów. Danny korzystał ze szkolnych komputerów. Niezbyt się na tym znam, ale zdaje się, że policja może z nich wydobyć prawie wszystko...

Quincy i Rainie wymienili spojrzenia. Mann najwyraźniej chciał im coś zaszyfrować. A więc znowu komputery. Dobrze.

– Czy jest jakaś osoba, o której Danny szczególnie często wspominał? – sondował dalej Quincy. – Może ktoś, kogo niedawno poznał?

– Wszyscy wiedzą, że popalał z Charliem Kenyonem.

– A w Internecie? Może ktoś dorosły z „czatów” lub grup dyskusyjnych? Tego typu znajomości?

Mann znowu się zawahał. Przenosił wzrok z Rainie na Quincy’ego i z powrotem. A niech tam. Rainie rozluźniła mięśnie twarzy i posłała mu czarujący uśmiech.

– Bardzo by nam pan pomógł, panie Mann, i to już nie pierwszy raz.

We wtorek tak sprawnie zdołał pan opanować sytuację. Jest pan kimś w rodzaju bohatera w całej tej sprawie.

Słowo „bohater” najwyraźniej poskutkowało.

– Był ktoś taki – wyznał Mann – haker, którego Danny poznał w Internecie. Uważał go za swego rówieśnika. Przeczytałem kilka emailów i język wydawał mi się zbyt wyszukany jak na dziecko. Mogę się założyć, że to jakiś dorosły mężczyzna podszywał się pod nastolatka.

– I nie zaniepokoiło to pana? – zapytał Quincy.

– Owszem, zaniepokoiło – zapewnił go żarliwie Mann. – Dlatego poprosiłem Danny’ego, żeby przynosił mi te emaile. Wiem, czym grozi Internet: pedofile, pornografia, terroryści. Cyberprzestrzeń nie jest bezpieczniejsza niż nocny spacer po Nowym Jorku. Ale listy, które pokazywał mi chłopak, były nieszkodliwe. Zwykła korespondencja. Ten ktoś podziwiał wyczyny komputerowe Danny’ego, informował o programach, stronach internetowych. A jednak... – Przerwał. – Słyszałem plotki, że po strzelaninie Danny powtarzał ciągle, że jest bystry.

Quincy zerknął na Rainie. Ruchem głowy dała mu znać, żeby nie przerywał.

– Te emaile kończyły się zachwytnymi nad inteligencją Danny’ego. Coś w rodzaju: „Ciekawe, co teraz wymyśli nasz mały geniusz. Ależ jesteś bystry”. – Mann wzruszył bezradnie ramionami. Po raz pierwszy Rainie pomyślała, że wygląda na nieszczęśliwego. – Wydaje mi się, że nasza tragedia ma związek z tym człowiekiem. Może były jakieś inne listy, inne sprawy, o których Danny mi nie mówił. Nie wiem.

Głos Manna zamarł. Po chwili psycholog dodał już ciszej, spokojniej:

– Naprawdę chciałem pomóc Danny’emu. Martwiły mnie jego kontakty internetowe, martwiły mnie kłopoty małżeńskie jego rodziców. Myślałem, że potrafię do niego dotrzeć. Czytając te emaile, nie przewidywałem, co się może stać. Myślałem... Myślałem, że dzieci, które dopuszczają się morderstwa, mają za sobą ciąg innych agresywnych zachowań. Pastwienie się nad zwierzętami, wzniecanie ognia, upodobanie do krwawych gier komputerowych. Niczego

podobnego u Danny'ego nie zauważyłem. Wydawał mi się porządnym chłopakiem, który przechodzi tylko ciężki okres. Naprawdę nie miałem pojęcia. Przysięgam, nie miałem pojęcia...

Richard Mann zgarbił się i bezradnie pokręcił głową. Quincy pochylił się w jego stronę.

– Panie Mann, nie ma pan przypadkiem kopii któregoś z tych listów?

– Danny nie pozwalał mi ich zatrzymać. Martwił się, że pokazując je, i tak zawodzi zaufanie swojego przyjaciela.

– A pamięta pan coś? Imię, nazwę kanału, adres emailowy?

– Nie... zaraz. Adres emailowy. Pamiętam, że zastanawiałem się, o co tu może chodzić. Coś w związku z ogniem. Wulkany. Lawa. Mam: No Lava. Dziwaczny pseudonim, prawda?

– No Lava? Co dalej? Pamięta pan nazwę serwisu?

– To chyba był jeden z tych większych. Może AOL albo CompuServe. Coś w tym rodzaju.

Rainie zanotowała nazwy. Spojrzała na Quincy'ego.

– Mamy kilku agentów, którzy specjalizują się w operacjach internetowych – powiedział. – Moglibyśmy podstawić kogoś, kto będzie się podawał za nastolatka. Sprawdzimy, czy No Lava złapie przynętę.

Richard Mann poprawił się na krześle. Przeczesał ręką krótkie włosy i westchnął.

– Naprawdę staram się, jak mogę. Sally i Alice były przemiłymi dziewczynkami. A to... to nie powinno się było wydarzyć.

– Rozumiemy.

Rainie wstała. Podała Mannowi wizytówkę i wyrecytowała zwyczajową formułkę. Niech zadzwoni do biura szeryfa, jeśli coś sobie przypomni. Miała jednak wątpliwości, czy w najbliższym czasie przyjdzie mu ochota na rozmowę z agresywną policjantką. Ale kiedy otwierała drzwi, Mann ją zaskoczył.

– Pani Conner. – Rainie zatrzymała się. Psycholog wskazał sąsiednie pomieszczenie z dużym biurkiem. – Jak pani widzi, mój gabinet połączony jest z sekretariatem. Wprawdzie w czasie, gdy padły strzały,

byłem u siebie sam, ale gdybym wychodził, ktoś musiałby mnie zauważyć. Proszę zapytać naszą sekretarkę, Marge. Z pewnością potwierdzi, że na początku przerwy wszedłem do swojego gabinetu z kanapką w ręku i potem nigdzie się stąd nie ruszałem. Chciałbym, żeby pani o tym wiedziała.

Kiwnęła głową. Facet chyba rzeczywiście miał alibi. Jej wzrok padł na stare teczki, rozrzucone po podłodze. Dostrzegła dwa znajome nazwiska. Sally Walker. Alice Bensen. Oczywiście. Te dokumenty były już niepotrzebne.

Richard Mann podążył za jej spojrzeniem i jakby jeszcze bardziej posmutniał.

– Powinnam to zabrać – zawyrokowała. – Dołączyć do raportu o ofiarach. Jakoś dziwnie na nią popatrzył. Może zastanawiał się, kiedy się nauczyła reagować tak obojętnie.

Potem posłusznie podniósł obie teczki z podłogi i podał je Rainie.

Wizyta dobiegła końca.

Czwartek, 17 maja, 15.12

Rainie i Quincy wpadli na szybki lunch do Dairy Queen. Gdy wrócili do centrum operacyjnego, czekał już na nich Abe Sanders w idealnie wyprasowanym szarym garniturze i lśniących, czarnych pantoflach. Rainie zaczęła podejrzewać, że detektyw stanowy nie tylko podróżuje z własnymi warzywami, ale też wozi ze sobą żelazko i zestaw do pastowania butów. A w jaki sposób spędza wolny czas?

Sanders rozsiadł się za biurkiem Rainie i czytał faks. Bez ceremonii wyrwała mu kartkę z ręki.

– Wątpię, czy to do ciebie.

– Chcesz powiedzieć, że nie jesteśmy jedną wielką rodziną? – wycedził z niewinnym uśmiechem.

Rainie przeszła go piorunującym spojrzeniem i zajęła się nadesłaną wiadomością. Kancelaria adwokacka Johnson, Johnson and Jones – przyjęcia bożonarodzeniowe muszą mieć na najwyższym światowym poziomie – informowała, że ani Rainie, ani jej współpracownikom nie wolno kontaktować się z Shepem, Sandy lub Becky O’Grady bez obecności reprezentujących rodzinę prawników. Jeśli ktoś z zespołu dochodzeniowego spróbuje złamać ten zakaz, biuro szeryfa w Bakersville zostanie podane do sądu. Z poważaniem, Avery Johnson.

– Cudownie – wymamrotała Rainie. Rozmowa Shepa z Sandy najwyraźniej przyniosła efekt. A może Shep, żeby przypadkiem nie zaszkodzić Danny’emu, wspomniał Johnsonowi, iż policjantka Conner chciałaby przesłuchać Becky? Doświadczony szeryf chyba nie powinien popełnić takiego błędu.

– Wygląda na to, że w najbliższym czasie nie przesłuchamy Becky O’Grady – skomentował Sanders.

– Zobaczymy. – Rainie podała faks Quincy’emu, który bynajmniej nie wyglądał na zmartwionego.

– Rutynowe posunięcie – stwierdził.

– To tylko początek – przestrzegł Sanders, przybierając ton doświadczonego gliny. – Zanim śledztwo się skończy, całe miasteczko zaroi się od prawników, którzy będą reprezentować, chronić i ciągać do sądu kogo się da. Dziwię się, że George Walker nie zaskarżył jeszcze biura szeryfa. Przecież w jego mniemaniu wszystkim winien jest Shep.

Rainie zagryzła dolną wargę. Nie chciała się przyznawać przy Sandersie, ale sytuacja zaczynała ją przerastać.

– Myślisz, że mnie też zaskarżą?

– Jasne – odparł obojętnie detektyw. – Walkerowie i Bensenowie prawdopodobnie wytoczą proces pracownikom biura szeryfa za to, że nie ostrzegli mieszkańców Bakersville przed Danielem O’Grady lub za spartaczenie dochodzenia. Więc oczywiście dotyczy to również ciebie. Potem pewnie wytoczą kolejny proces cywilny już bezpośrednio O’Gradym, na wypadek, gdyby nie zapadł zadowalający wyrok w sądzie karnym. Nie zdziwię się, jeśli to samo zrobią rodzice Melissy Avalon. No i zostają nam jeszcze wszystkie dzieciaki, które odniosły obrażenia, choć nikt nie został poważnie ranny. Ich rodziny pewnie podzielą się na dwa obozy. Jedni będą woleli jak najszybciej o wszystkim zapomnieć, a drudzy zmobilizują maksymalne środki i zaczną domagać się krwi.

– Ale po co skarżyć biuro szeryfa? – zapytała z nachmurzoną miną Rainie. – Jesteśmy tak biedni, że większość policjantów pracuje

ochotniczo. A jeśli już dostajemy jakieś pieniądze, to z kasy miasta, co znaczy, że praktycznie kosztami procesu zostaną obciążeni mieszkańcy Bakersville.

– Miasto i biuro szeryfa są ubezpieczone od odpowiedzialności cywilnej – wyjaśnił Sanders. – To polisy warte miliony i dobry prawnik będzie przekonywał, że można na tym zarobić, a stracą tylko firmy ubezpieczeniowe.

– Ale wtedy składki ubezpieczeniowe pójdą w górę, podatki pójdą w górę i znowu odbije się to na całej ludności.

– Myślisz zbyt logicznie, Rainie. Dzieciom stała się krzywda. System zawiodł. Trzeba kogoś obwinie. Lata dziewięćdziesiąte niczego cię nie nauczyły? Policja to zawsze pierwszy obiekt ataku i najlepszy kozioł ofiarny.

Rainie pokręciła głową. Nie cierpiała prawników. Wszystko komplikowali. I wydawało im się, że pieniądze stanowią panaceum na wszelkie problemy. Nie możesz tylko opłakiwać dziecka, zarób jeszcze na jego śmierci.

Podeszła do biurka, trąciła łokciem Sandersa, żeby wyniósł się z jej miejsca i energicznie powróciła do bieżących spraw.

– A więc – zaczęła, nie odrywając wzroku od obu mężczyzn – rano spotkałam się w Portland z ekspertami od balistyki i z panią patolog. Sanders, czy jest coś, o czym chciałś mi powiedzieć, czy może mam najpierw dać ci w zęby, a potem zadawać pytania?

Detektyw stanowy wzruszył ramionami.

– Ach, chodzi ci o tę „tajemniczą łuskę”?

– Do diabła, nie udawaj idioty.

– Spece od balistyki mają z nią pewien problem. Nie znaleźli śladów na zewnątrz, za to wykryli jakąś substancję w środku.

– Polimer – odpowiedział Quincy.

Sanders zerknął na niego. Potem wbił pełen dezaprobaty wzrok w Rainie. Najwyraźniej nie podobało mu się, że policjantka dzieli się informacjami z agentem federalnym. Rainie miała to w nosie.

– Właśnie, polimer – dokończył niedbałym tonem. – Nie

wspominałem o tym, bo nie stwierdzono jeszcze nic konkretnego. Muszą przeprowadzić więcej testów. Dopiero wtedy może dowiemy się czegoś nowego.

– Sanders, odkrycie dziwnej łuski to chyba wystarczająco ważna informacja...

– Conner, w śledztwie na taką skalę, z taką masą dowodów zdarzają się miliony dziwnych rzeczy. Mamy ślady, których nie można w żaden sposób zaklasyfikować i krew nieznanego pochodzenia. Tak już jest. Gdybym ci mówił o każdej wątpliwości, zwariowałabyś.

– Ja tu dowodzę, Sanders. Jeśli mam zwariować, to mój problem, nie twój.

– No dobrze, dobrze. – Sanders podniósł ręce w geście rezygnacji. – Naprawdę chciałem być przydatny.

– Chrzanisz. Chcesz tylko, żeby to śledztwo było szybkie i proste.

– Pewnie! Szybkie i proste. Tak byłoby lepiej dla wszystkich. Na litość boską, całe miasto zbroi się jak szalone.

– Tym bardziej powinniśmy się starać poznać prawdę. A w tym momencie wcale nie jestem przekonana, że to Danny jest mordercą.

– Z powodu głupiej łuski?

– Z powodu głupiej łuski, głupiego pocisku i głupiej trajektorii, która wskazuje, że zabójca Melissy Avalon był co najmniej o kilka centymetrów wyższy od swojej ofiary!

– Co?

Abe Sanders sprawiał wrażenie autentycznie zaskoczonego. Rainie nagle zrozumiała. Detektyw nie czytał jeszcze raportu z sekcji zwłok. Kontaktował się tylko z laboratorium kryminalistycznym, ale nie z patologiem.

– To dla ciebie nowość? – nie mogła się powstrzymać, żeby złośliwie nie sparodiować jego tonu. – Pocisk kaliber 22 pokonał drogę od czoła ofiary do podstawy czaszki. Innymi słowy, drobny trzynastolatek nie miał szans oddać takiego strzału do stojącej wysokiej kobiety.

Na twarzy Sandersa malowało się zdumienie, które po chwili zmieniło się w zadumę. Rainie była pewna, że detektyw jeszcze raz

analizuje w myślach wszystkie fakty. Czy Danny mógł w jakiś sposób mierzyć od góry? A jeśli stanął na czymś? Ale na czym i dlaczego?

Potrafiła odgadnąć tok myśli Sandersa, bo to samo przeżywała o siódmej rano, kiedy pani patolog i jej asystent udowodnili, nie pozostawiając cienia wątpliwości, że podobny tor pocisku byłby możliwy tylko wtedy, gdyby strzelała osoba przynajmniej tego samego wzrostu co Melissa Avalon.

– Cholera – odezwał się wreszcie detektyw stanowy.

– No właśnie. Więc teraz nasza tajemnicza łuska jest trochę ważniejsza, niż sądziłeś. Mamy też pocisk kaliber 22 bez bruzd po strzale. Słowem, dowody już nie pasują nam do teorii.

– Zaraz, zaraz – zaprotestował natychmiast Sanders. – Nie wylewajmy dziecka z kąpielą. Kiedy aresztowałeś Danny’ego, wymachiwał rewolwerem kaliber 38, z którego zastrzelono dwie ofiary. Mamy odciski chłopca na większości łusek kaliber 38. To prawda, że nie wszystko jest jasne w przypadku Melissy Avalon, ale jeśli chodzi o Sally i Alice, dowody wciąż obciążają małego O’Grady’ego.

Rainie patrzyła na detektywa z niedowierzaniem.

– Czy ja dobrze słyszę? W naszej teorii jest wielka dziura, a twoim zdaniem to niczego nie zmienia?

– Rzeczywiście pojawiło się parę pytań, na które musimy odpowiedzieć – stwierdził spokojnie Sanders. – Ale nie podważają one dotychczasowego kierunku śledztwa.

– Przecież zmieniają wszystko!

– Wcale nie! Posłuchaj, wiem, że to twoje pierwsze dochodzenie w sprawie o morderstwo, Conner. Kiedyś zrozumiesz, że nie można całego bogactwa rzeczywistości poutykać w schludne małe pudełeczka. Czasem pojawia się coś, czego nie rozumiemy, czasem w dowodach panuje bajzel. Naszym zadaniem jest zebranie argumentów dla prokuratora, a to, co mamy, wystarczy, żeby oskarżyć Danny’ego o zabicie dziewczynek. Może i nie zastrzelił Melissy Avalon, może na miejscu przestępstwa był ktoś jeszcze, kto sprytnie wykorzystał zamieszanie do własnych celów, ale z tego, co wiem, Danny O’Grady

zabił Alice Bensen i Sally Walker. I koniec, sprawa zamknięta.

– Nie – upierała się Rainie. – Sprawa nie jest zamknięta. Jeżeli na miejscu przestępstwa pojawiła się tajemnicza osoba, nasza teoria bierze w łeb. Adwokat Avery Johnson stwierdzi, że Danny przyniósł do szkoły broń, załadował ją, ale ktoś inny... powiedzmy wysoki mężczyzna w czerni... pociągnął za spust. Ława przysięgłych bez wahania przyjmie tę wersję, a nasza teoria, że tak powiem, oficjalnie wyląduje w śmietniku.

Sanders spochmurniał. Otworzył usta, żeby zaprzeczyć, ale się nie odezwał. Znowu chciał coś powiedzieć, lecz tylko nadał się jeszcze bardziej. Było jasne, że szczerze wierzy w winę Danny'ego, ale nie potrafi jednak podważyć wyводу Rainie. Obecność tajemniczej osoby na miejscu zbrodni wprowadzała uzasadnione wątpliwości; nie mieli dla prokuratora wystarczająco silnych argumentów.

W końcu zwrócił się do Quincy'ego.

– Proszę bardzo, możesz w każdej chwili zabrać głos – burknął.

Quincy wzruszył ramionami.

– Mam wrażenie, że nasza koleżanka nieźle sobie radzi.

– Przecież jesteś ekspertem, do cholery. Powiedz, co żeśmy przegapili.

– Szczerze mówiąc, znaleźliśmy się chyba w punkcie wyjścia. Wygląda na to, że trzeba odpowiedzieć sobie na kilka kluczowych pytań. Po pierwsze, dlaczego Melissa Avalon? Jej śmierć nie pasuje do szkolnej strzelaniny. Według jednej z teorii mordercy mogło chodzić właśnie o tę kobietę. Wiemy, że prawdopodobnie miała romans z Vander Zandenem. Według Richarda Manna zerwała stosunki z rodziną, a zwłaszcza z ojcem. Ciekaw jestem, czy pan Avalon ma dostęp do komputera.

– Luke Hayes zbiera informacje o ofiarach – powiedziała Rainie. – Mogę go poprosić, żeby na razie skoncentrował się na Melissie Avalon i przygotował coś dla nas na jutro.

Quincy kiwnął głową.

– Druga pilną sprawą: szkolne komputery. Danny spędzał mnóstwo czasu w Internecie. Podobno rozmawiał z kimś o pseudonimie No Lava.

Kto to jest? I po co kontaktował się z trzynastoletnim chłopakiem? Zawartość komputerów powinna nam pomóc przy rozpracowaniu drugiej teorii: gość w czerni to nieznajomy, którego Danny poznał przez Internet.

– Momencik – wtrącił ponuro Sanders.

Rainie i Quincy jednocześnie odwrócili się i ze zdumieniem dostrzegli na jego twarzy cień skruchy. – Zamierzałem wam powiedzieć. Ale nie było kiedy. Naprawdę.

– Wyduś to z siebie.

– Dziś rano miałem telefon od informatyków. Są problemy z odzyskaniem danych ze szkolnych komputerów.

– Jakiego rodzaju problemy?

Sanders uśmiechnął się z zaciśniętymi ustami.

– To się wam spodoba. Jak już kiedyś mówiłem, okazało się, że Danny...

– Że ktoś – poprawiła go Rainie.

– No dobrze, że ktoś grzebał w dyskach. Usunięto pamięć podręczną i skasowano plik historii w przeglądarce. Ale to dość proste rzeczy i dla większości obeznanych z komputerami osób nie stanowią problemu, więc nasi spece byli jak najlepszej myśli.

– Coś mi mówi, że jest gorzej, niż sądziliśmy.

– Otóż, niestety tak. Za każdym razem, gdy ktoś odwiedza witrynę internetową, umieszcza ona w komputerze użytkownika plik – „Cookie”, żeby przy następnym podłączeniu witryna „pamiętała” jego dane. Dobry specjalista może wydobyć ciasteczko z twardego dysku i uzyskać dość wyczerpujące informacje o odwiedzanych przez użytkownika witrynach. Ale w naszym przypadku nic z tego. We wszystkich czterech komputerach pliki ciasteczka zostały usunięte o godzinie osiemnastej w poniedziałek czternastego maja. Znalezione tylko nowe „cookie” z wtorku rano i jest to zbieranina eToys. com i różnych witryn z Pokemonami, które dzieciaki odwiedziły, zanim doszło do strzelaniny.

– A co z emailami? – naciskał Quincy. – Wiem, że można online

odzyskać stare maile, nawet te, które się skasowało.

– Ogólnie rzecz biorąc, tak. Ale ktoś ciężko się napracował nad ich zniknięciem, a potem trwale wykasował pliki tak, że są nie do odzyskania. Na koniec podłączył się do serwera Firewall i zlikwidował wszystkie logi. Słowem cztery szkolne komputery są wymiecione do czysta.

– Zabieram je – oświadczył po prostu Quincy.

– Proszę bardzo – zgodziła się Rainie.

– Chwileczkę – zaprotestował Sanders. – Mamy dobrych specjalistów...

– FBI ma lepszych.

– Do cholery, nasi technicy już zaczęli...

– Więc tym szybciej eksperci FBI skończą, – To prawda Quincy zwrócił się do detektywa, który wyglądał, jakby miał zaraz eksplodować. – Nawet jeśli jest tak, jak mówisz, te dane gdzieś ciągle jeszcze są. Kiedy kasuje się plik, komputer zwykle zaciera tylko informacje o jego położeniu na dysku, ale nie same dane. Więc o ile nasz przyjemniaczek nie wpadł na to, żeby skorzystać z przyjętego przez Departament Obrony programu, który zapisuje na danych zera, to zawartość komputerów jest do odzyskania. Musi się nam udać. Cokolwiek Danny i No Lava kombinowali w Internecie, ma to silny związek z wtorkową tragedią. Więc lepiej, żeby nasi eksperci wzięli sprawę w swoje ręce. Prędzej czy później dostaniemy odpowiedź.

– My też możemy odzyskać te informacje – nie ustępował Sanders. – Mógłbym nadać sprawie charakter priorytetowy. Nie ma powodu, żeby wciągać do tego FBI.

– Za późno – stwierdziła Rainie.

– Do cholery, to tylko pretekst, żeby przejąć...

– Gównu mnie to obchodzi! – ryknęła i walnęła pięścią w blat biurka. – W tej szkole był ktoś jeszcze. To nie Danny zastrzelił Melisę Avalon. Chcę wiedzieć, do diabła, kim jest ten człowiek. I powtarzam po raz ostatni, Sanders: ja tu rządzę.

Sanders z pogardliwą miną skrzyżował ramiona na piersiach.

– Rany, wiele bym dał za lody w polewie karmelowej – wymamrotał.

Rainie popatrzyła na niego z niechęcią. Zapadło ponure milczenie. Mijały sekundy. Po chwili odezwał się Quincy.

– Następną sprawą.

Spojrzał na nich. Rainie skinęła głową na znak, że jest skoncentrowana. Sanders okazywał znacznie mniej zapału.

– Wróćmy do tego, co robiłaś rano, do listy pozostałych podejrzanych. Vander Zanden, Charlie Kenyon, Richard Mann, ojciec Melissy Avalon, ten No Lava z Internetu.

– Pracuję nad tym. Tyle że nie mam zbyt wielu ludzi do pomocy.

– Dobra – wtrącił poirytowany Sanders. – Podzielmy robotę między siebie. Do diabła, możemy udawać, że współpraca jest w naszym przypadku możliwa. Ja biorę Vander Zandena. Federalni mogą sprawdzić No Lavę, skoro już ukradli mi komputery. Luke Hayes ma ojca Melissy Avalon...

– A ja wezmę Charliego Kenyona i Richarda Manna – zaproponowała Rainie.

– Doskonale. – Sanders spojrzał na Rainie, jakby rzucał jej wyzwanie. – Zostaje nam jeszcze jeden podejrzany: Shep.

– Nie ma mowy! Jest szeryfem...

– Co o niczym nie świadczy! Nie wiemy, co robił w szkole, zanim się na niego natknęłaś. Wiemy za to, że ma problemy w domu. Że jest dojrzałym mężczyzną, a więc w typie Melissy Avalon. I że od dawna przyjaźni się z tobą, Conner, przez co cała ta cholerna sprawa robi się jeszcze bardziej interesująca.

Rainie postanowiła zignorować tę ostatnią uwagę.

– Shep skontaktował się ze mną przez radio już po incydencie – powiedziała stanowczo – a to znaczy, że był wtedy w wozie patrolowym, a nie w szkole.

– Albo zrobił, co miał zrobić, wrócił na parking i wtedy zadzwonił.

– Kurwa, Shep nie wrabiałby własnego syna!

– Wiadomo! Daj spokój, co tu owijać w bawełnę. Danny to zrobił.

Chociaż nie, mamy przecież tego drugiego, więc może to on. Sama powiedziałaś, Conner, że Danny się teraz wywinie... Facet w czerni. Coś mi się zdaje, że jeszcze o nim usłyszymy. A to znaczy, że Shep albo jest naprawdę sprytny, albo ma dużo szczęścia.

– Naoglądałeś się za dużo filmów Olivera Stone’a – warknęła gniewnie Rainie.

– Ja go biorę – powiedział spokojnie Quincy.

Oboje spojrzeli na agenta z zaskoczeniem, jakby dopiero teraz przypomnieli sobie o jego obecności. – Zajmę się Shepem – wyjaśnił i szybko uciął sprzeciw Rainie: – Tego wymaga śledztwo. Mamy zbyt wiele znaków zapytania. Na razie więc wszyscy są podejrzani: i tajemniczy facet w czerni, i miejscowy szeryf.

Rainie odchyliła się z krzesłem do tyłu. Nie była zadowolona, ale dalszy opór nie miał sensu. Quincy wrócił do głównego tematu.

– Czeka nas jeszcze jedno – oznajmił. – Jeśli sprawcą jest człowiek z zewnątrz, musimy zarzucić szerszą sieć, bo niewykluczone, że wciąż się kręci po okolicy.

– Masz na myśli Bakersville? – zapytała z niedowierzaniem Rainie.

– Nie, Bakersville jest za małe, żeby obcy nie zwrócił na siebie uwagi. Szukałby raczej jakiegoś pobliskiego miasta, może większej miejscowości turystycznej, gdzie mógłby zbierać plotki w lokalnych barach. Prawdopodobnie śledziłby w prasie i telewizji postępy śledztwa, wypytywał o nie ludzi i w ten sposób przeżywał te chwile na nowo. Powinniśmy skontaktować się z okolicznymi posterunkami policji. Niech pogadają z pracownikami hoteli i barmanami. Czy tragedią w Bakersville szczególnie interesuje się ktoś przyjezdny? Biały mężczyzna w wieku od dwudziestu pięciu do czterdziestu pięciu lat, który prowokuje dyskusje na temat strzelaniny lub zadaje zbyt wiele pytań. Coś w tym rodzaju.

Sanders kiwnął głową.

– Mogę podzwonić – powiedział i wzruszył ramionami. – Ale nie będę wysyłać ludzi, żeby szukali igły w stogu siana. Was może najbardziej bierze teoria o jakimś tajemniczym facecie, ale mnie nie daje

spokoju sprawa nauczycielki. Widziałem wiele ofiar zbrodni. Pojedyncza rana postrzałowa na czole oznacza tylko jedno – morderstwo z premedytacją. Może to nie był Danny, ale komuś zależało właśnie na śmierci Melissy Avalon.

Quincy nie zaprzeczył. Rainie też nie. Rzeczywiście ślady prowadziły do trzeciej ofiary. Śledztwo najwyraźniej utknęło w martwym punkcie. Czuli się coraz bardziej przygnębieni.

– Chociaż jedno nam się udało – odezwał się w końcu Quincy.

Jego współpracownicy wymienili zdziwione spojrzenia.

– A niby co takiego? – zainteresował się Sanders.

– Odzyskaliśmy pocisk kaliber 22. Sam mówiłeś, że istnieje małe prawdopodobieństwo, żeby nadawał się do badań balistycznych, bo będzie zbyt zdeformowany. Przypuszczam, że nasz strzelec też o tym wiedział. Kazał więc chłopakowi przynieść dwudziestkę dwójkę. Liczył na to, że pocisk odbije się rykoszetem wewnątrz czaszki, więc, zważywszy na wszystkie dowody poszlakowe, o zabójstwo Melissy Avalon zostanie oskarżony Danny. Tylko że pocisk nie odbił się rykoszetem. Trajektoria nasunęła nam podejrzenie, że strzelał człowiek dorosły. A poza tym nasz dobrze zachowany pocisk wyjawiał swój mały sekret: jest idealnie gładki, co pomoże nam w identyfikacji broni. Jedna czterdziestogramowa drobina i wiemy, że w szkole wydarzyło się coś innego, niż to na pierwszy rzut oka wygląda.

Rainie kiwała powoli głową. Bez pocisku i możliwości zbadania jego toru nie mieliby powodów, żeby rozszerzać krąg podejrzanych poza Danny'ego. Zwłaszcza że chłopak przy każdej okazji przyznawał się do winy.

Ale Sanders, nadal sceptyczny marszczył brwi.

– Nie rozumiem. Mówisz, że ktoś poprosił Danny'ego, żeby przyniósł dwudziestkę dwójkę, bo sam używał broni tego kalibru. Ale po co, do cholery, taka kombinacja? Dlaczego po prostu nie skorzystał z pistoletu dzieciaka?

Rainie niepewnie spojrzała na Quincy'ego, który choć raz wyglądał na zbitego z tropu.

– Pocisk kaliber 22 jest całkowicie gładki – odezwała się cicho. – Z pewnością nie wystrzelono go z pistoletu Danny’ego. A to nasuwa kolejne pytanie. Jeśli sprawca przyniósł własną broń, żeby zabić Melisę Avalon, dlaczego zdecydował się właśnie na dwudziestkę dwójkę? Nie jest zbyt skuteczna, zwłaszcza gdy chodzi o szansę przebicia czaszki. A mimo to napastnik strzelił tylko raz w czoło. Ryzykował, że ofiara przeżyje i opowie, co się stało. Ryzykował, że ktoś zobaczy go z bronią. Nie rozumiem... Coś mi tu nie gra.

Popatrzyli po sobie. Żadne z nich nie znajdowało odpowiedzi. Wcześniej wybrana ofiara. Dziwny pocisk. Tajemniczy mężczyzna, który namówił trzynastolatka do udziału w morderstwie.

Teoria o bezmyślnym akcie agresji należała już do przeszłości i teraz Rainie zastanawiała się, co dalej. Myślała o swoim prowincjonalnym, spokojnym miasteczku. O wysokich drzewach i łagodnie pofalowanym krajobrazie. Myślała o Dannym, tak bardzo przerażonym i zdecydowanym wziąć winę na siebie. Myślała o zakrwawionych szkolnych korytarzach.

I po raz pierwszy od czternastu lat poczuła strach.

Czwartek, 17 maja, 16.21

Danny siedział sam w pokoiku o wymiarach trzy na trzy i obserwował pająka, który powoli sunął po pokrytej cienką wykładziną podłodze. Drzwi były otwarte. Co rano, o szóstej, krzepko wyglądający pracownicy zakładu otwierali je na oścież z okrzykiem „Pobudka!” Nie zamykano ich potem. Przez cały dzień łączyły szereg identycznych pokoi z głównym korytarzem, aż do dziewiątej, kiedy wszyscy pensjonariusze kładli się spać. Inni strażnicy albo raczej – jak wyjaśniono Danny’emu – przewodnicy przekreślali klucz od zewnątrz. O dziesiątej gaszono światło, a po jakimś czasie przez okienko z pleksiglasu zerkały czyjeś oczy, które sprawdzały, czy więzień przestrzega regulaminu.

Danny przestrzegał regulaminu. Nie sprawiał żadnych kłopotów. Wstawał, kiedy trzeba, pozwalał przewodnikowi odprowadzić się do stołówki. Siedział ze wzrokiem wbitym w swoją tacę. Potem pozwalał kolejnemu przewodnikowi odprowadzić się do klasy, gdzie dwudziestu chłopców w wieku od dwunastu do siedemnastu lat symulowało naukę pod okiem szczebiotliwej kobiety, która wmawiała im, że czeka ich świetlana przyszłość. Po lekcjach uczniowie mieli czas wolny.

Danny wracał do swojego pokoiku i godzinami przesiadywał sam.

Nikogo to nie obchodziło. Poprawczak w Cabot należał do najnowszych. Przypominał raczej gigantyczny akademik niż tradycyjne zakłady wychowawcze, o których szeptali co bardziej doświadczeni. Tam, w zaadaptowanych starych więzieniach, ściany i podłogi były z betonu, a toalety nie miały drzwi. W poprawczaku w Cabot dawało się żyć. Niektórzy wychowankowie nosili nawet własne ubrania, byle nieozdobione symbolami gangu lub ordynarnymi napisami. Pokój rekreacyjny miał mnóstwo okien z pleksiglasu i żywe rośliny w doniczkach. A jeśli ktoś zdobył odpowiednią ilość punktów, mógł oglądać telewizję, czy nawet wypożyczyć film wideo.

Niezawodni przewodnicy czuwali nad planem dnia. Posiłki, zajęcia, odpoczynek. Jeśli posłusznie wypełniało się polecenia, nikt się do człowieka nie czepiał. Wolny czas można było spędzać w samotności. Siedzieć u siebie. Gapić się na swój niebieski szpitalny kombinezon. Obserwować pająki. Słowem pełny luz.

Tyle że nie było stamtąd wyjścia. Schludne pokoje nie bez powodu miały okna z pleksiglasu. A wszystkie zewnętrzne drzwi obito grubą na cal stalową blachą. Wokół podwórza ciągnął się trzymetrowej wysokości mur, uwieńczony drutem kolczastym. Reflektory. Strażnicy ze strzelbami na gumowe naboje.

Na początku starsi chłopcy byli Dannym zafascynowani. Usiłowali mu zaimponować historiami o śmiałkach, którzy próbowali zwiać. Uciekinierzy dostawali po oczach gazem łzawiącym, a jeśli sforsowali ogrodzenie, co zdarzało się rzadko, puszczano za nimi dobermanów. Każdy pies może w nagrodę raz cię ugryźć, opowiadali z dreszczem zgrozy. Przewodnicy wybierają miejsce.

Danny pogardzał nocnymi kolegami, ale nic nie mówił. Od pierwszego dnia jego motto brzmiało: ani słowa.

Jestem bystry, jestem bystry, jestem bystry.

Boję się.

Patrzył, jak pająk mozolnie wspina się w stronę zakratowanego okna, spragniony słońca, a może wiatru na włóchatym łebku.

Przyglądał się swojemu kombinezonowi – dziecko pod specjalnym

nadzorem nie może mieć tasiemek, guzików, pasków – i próbował powstrzymać natłok myśli.

Wczoraj odwiedził go prawnik. Miał elegancki szary garnitur i drogi zegarek. Danny nie chciał odpowiadać na żadne pytania. Wiedział, że taki adwokat musi mnóstwo kosztować, więc poczuł się jeszcze gorzej. Mama pewnie się zamartwia i zachodzi w głowę, skąd wezmą pieniądze. A ojciec wydziera się na nią, że to nieważne. Bo stary dobry Shep nigdy nie dostrzegał rzeczywistości. Nie wyrósł jeszcze ze swoich sportowych fantazji, w których razem z synem strzela zwycięskiego gola podczas wielkiego meczu na głównym boisku Bakersville.

Danny nie znosił, kiedy mama była przez niego smutna. Wiedział, że płakała. Słyszał ją. Późno w nocy zakrył uszy rękami, ale potem musiał je odsłonić i przycisnąć dłoń do ust, żeby się na głos nie rozplakać.

Prawniki próbował z nim rozmawiać. Opowiedział Danny'emu, czym zajmuje się adwokat i na czym polega proces. Jaką rolę odegra on, a jaką Danny. Gadał tak i gadał, tłumacząc wszystko jak małemu dziecku, a jego klient bez słowa wpatrywał się w przestrzeń.

Danny nie powinien rozmawiać z psychologami. Pracują dla zakładu poprawczego, więc cokolwiek im powie, może to być użyte podczas procesu przeciwko niemu. Jeśli przyjdzie mu ochota na zwierzenia, lepiej powinien poprosić o wizytę księdza, pastora lub rabina. Duchownych obowiązuje całkowita dyskrecja.

Ale Danny nie chciał mówić. Był absolutnie przekonany, że nie może nikomu zaufać, nawet podczas cichych nocnych godzin, kiedy słowa pulsowały w nim i zbijały się w ognisty, twardy węzeł w piersi. Wtedy znowu stawały mu przed oczami tamte wydarzenia. Widział je wyraźnie, ale z pewnego dystansu, jakby to wszystko mu się przyśniło i tak naprawdę nie miało z nim nic wspólnego. Potem podnosił rękę. Ani razu nie zadrżała, więc chciał krzyczeć, krzyczeć, krzyczeć.

Prawniki powiedział mu, że odwiedzi go dwóch specjalistów. A teraz uwaga: jednemu z nich nie wolno ufać. Danny musi być ostrożny. Drugi... pewnie Schaffer?... pracuje dla jego rodziców. Można mu

powiedzieć wszystko. Danny powinien zastanowić się, czy nie chciałby się komuś zwierzyć. Poczuliby się od razu lepiej, gdyby zrzucił ten ciężar.

Prawnik uśmiechał się dobrotliwie.

Nagle Danny przypomniał sobie pannę Avalon. Wyraz jej twarzy, kiedy odwróciła się do niego. Jej ostatnie słowa. Nic nie rozumiała.

– Danny, uciekaj! Uciekaj!

Pająk dotarł do okna. Chłopiec patrzył, jak mknie radośnie po ciepłej nieładliwej szybie.

Tyle myśli w głowie. Tyle obrazów, ale tak odległych. Krew. Hałas. Zapachy, o istnieniu których nie miał pojęcia. Gorąca broń w dłoni. Ale jak przez mgłę. Może to tylko sen. Otwórz oczy i wszystko zniknie. A może to kiepski film. Wystarczy wyłączyć telewizor i pójść spać.

Sally, Alice, panna Avalon. Sally, Alice i śliczna panna Avalon.

– Uciekaj, Danny, uciekaj!

Wstał. Podniósł rękę i uderzył. Pac. Wnętrznosci pająka rozmazały się na szybie. Danny wlepił wzrok w swoją dłoń. Teraz też nie drżała. Wytężył całą siłę woli. Nic.

Danny, zimny jak kamień zabójca.

Wrócił do łóżka.

Rainie zaatakowała Charliego Kenyona jak furia piekielna. Już cztery razy przyłapała go na różnych przewinieniach, więc teraz nie miała już cienia cierpliwości. Namierzyła chłopaka pędzącego na małym motorze po wyboistej leśnej drodze, na terenach należących do Kenyonów. Włączyła syrenę i ruszyła za nim.

Quincy wszystko uważnie obserwował. Nie oszołomił go pokaz ryku, migających świateł i wirujących obłoków kurzu, gdy Rainie zepchnęła Charliego na pobocze i z piskiem opon zatrzymała wóz. Wysiadła, znacząco opierając rękę na pałce, zatkniętej za ciężki policyjny pas.

– Chwila odpoczynku, Charlie.

– Ja pierdole, pani władzo, jechałem za szybko? – Charlie wyglądał szalowo w czarnej skórzanej kurtce i obcisłych dżinsach. Najwyraźniej nie traktował Rainie poważnie. Posłał jej cwaniacki uśmiech, aż musiała się pohamować, żeby nie trzasnąć gówniarza w gębę. Potrzebowała więcej snu. Ostatnio była, nawet jak na siebie, zbyt nerwowa.

Wzrok Charliego minął policjantkę i zatrzymał się na Quincym, który właśnie wysiadał z wozu.

– Kim jest ten koleś?

– Nie twoja sprawa.

– Nowy partner? Trzeba było go uprzedzić, jakie tu są zwyczaje. Boże, w tych stronach zabija się za jedwabne krawaty.

Rainie zignorowała te popisy.

– Czyj to motor, Charlie?

– A co? Chcesz kupić?

– Czyj to motor?

– Mój...

– Rozmiar w sam raz dla ośmiolatka.

– Przyzwyczailem się.

– Tak? A mnie się wydaje, że coś zalewasz. Zsiadaj no prędko, kochasiu, i ręce do góry.

Charlie przestał już pozować na Jamesa Deana i zaczął skamleć.

– Hej, wygrałem ten motor uczciwie, jak Boga Kocham. Nie moja wina, że chłopak nie umie się dobrze bić.

– Powiedziałam: w tej chwili.

– To ziemia mojego ojca...

– Już!

Charlie zrezygnował. Popatrzył na Rainie. Popatrzył na Quincy'ego. W końcu niechętnie podniósł się i pozwolił motorowi upaść.

– No dobrze, dobrze, tylko się nie posusiaj z radości.

– Ręce do góry. Odwróć się. Połóż ręce na masce. Nogi szeroko.

– Chcesz mnie zrewidować? Bo jechałem za szybko?

– Kto powiedział, że to ma coś wspólnego z motorem?

– Co do...

Spóźnił się. Rainie pchnęła go na maskę, podniosła mu rękę i sprawnie przeszukała. Minutę później Kenyon został pozbawiony korkociągu, scyzoryka, dwustu dolarów w gotówce i rulonu dwudziestopięciocentówek.

Quincy zważył rulon w rękę i zacisnął na nim palce. Drań wie, jak wzmocnić cios, pomyślał.

Nudzi nam się, panie Kenyon? – zagadnął Charliego.

Rainie złuzowała chwyt. Młody człowiek odwrócił się powoli, ostentacyjnie potrząsnął rękami i poprawił kołnierz skórzanej kurtki. Odgarnąwszy do tyłu brązowe, faliste włosy, spojrzał pogardliwie na Quincy'ego.

– Przepraszam – powiedział sarkastycznym tonem – ale nie dostyszałem pańskiego nazwiska.

– Agent specjalny Pierce Quincy. FBI.

– W mordę.

Rainie w końcu się uśmiechnęła.

– Zabawne, twój ojciec zareagował tak samo, kiedy rozmawiałam z nim dziś po południu. Konflikty z miejscową policją to jedno, ale nikt nie ma ochoty zadzierać z federalnymi.

– Możecie wziąć motor.

– A teraz poważnie. Opowiedz nam o Dannym O'Grady.

– Co?

Słyszałeś. Chcemy dowiedzieć się o wszystkim, co kiedykolwiek powiedziałeś Danny'emu. I na twoim miejscu poszłabym na pełną współpracę, bo mamy zeznania paru naocznych świadków, które wystarczą, żeby oskarżyć cię o współudział. Masz dziewiętnaście lat, Charlie. Jeśli padnie na ciebie podejrzenie, że maczałeś palce w tym morderstwie, ojczulek już ci nie pomoże. Awansujesz do ligi pełnoletnich przestępców. Zwróć uwagę, że mówimy tu o więzieniu, a nie o jednym z tych miłutkich zakładów przypominających klub dla dżentelmenów. Trafisz do prawdziwej ciupy.

– Hej, hej, hej, hej. – Charlie teatralnym gestem podniósł rękę do góry. – Myślicie, że miałem coś wspólnego ze śmiercią tych

dziewczynek? W życiu. Mam alibi. – Spojrzał na Quincy'ego. – I jest naprawdę słodka, rozumiecie?

– Dlaczego kręciłeś się w pobliżu szkoły podstawowej? Starsze dzieciaki są dla ciebie zbyt groźne? Większe, silniejsze, mogą ci dołożyć?

– Nie jarzę, o co wam chodzi. Po prostu mam słabość do placów zabaw.

– Wkurzasz mnie, Charlie. Ostatnio kiepsko sypiam. Burmistrz życzy sobie, żebym jak najszybciej zamknęła to śledztwo, więc na twoim miejscu nie ryzykowałabym.

– Mam świadka z FBI – odciął się Charlie.

Quincy spojrzął w niebo.

– Gdzie?

– Cholera, myślałem, że obowiązuje was jakaś etyka zawodowa.

Quincy zerknął na Rainie.

– Tak jak w Waco.

Charlie wzdrygnął się.

– Jestem w szoku.

– Serce mi krwawi – zapewniła go Rainie. – Po co chodziłeś do K-8, Charlie?

– Bo mi się nudziło. W porządku? Bo w tej zasranej dziurze nie ma nic do roboty i czasem potrzebuję trochę rozrywki.

– A więc tym był dla ciebie Danny O'Grady? Rozrywką?

Charlie wzruszył ramionami.

– Danny jest interesującym chłoptasiem. Ma w sobie potencjał, jeśli wiecie, o co mi chodzi.

– Ja nie wiem. Był dobrym uczniem, inteligentnym, nie sprawiał kłopotu. Myślałam, że zajdzie w życiu dużo dalej niż ty. To był jego potencjał.

Charlie rzucił Quincy'emu chytre spojrzenie.

– Ale pan wie, co mam na myśli, agencie, no nie? Słyszałem o panu. Jest pan podobno świetny w swoim fachu. Nie było lepszego, Jim Beckett może się schować. No, niechże pan błysnie. Cholernie się z

wami nudzę. Boję się, żeby nie przysnął.

– Myślę, że to ty powinienes mówić dalej – powiedział spokojnie Quincy. – My, przedstawiciele organów ścigania, przepadamy za barwnymi zeznaniami. A poza tym jestem pewien, że uwielbiasz słuchać samego siebie.

– Nudziarz z pana.

– Taka praca.

– Charlie, czego chciałeś od Danny'ego?

– Niczego. W porządku? Korzystam ze swoich praw. Coś mi spróbujesz zrobić, a napuszczę na twój małomiasteczkowy tyłek bandę obrońców swobód obywatelskich.

Rainie odwróciła się do swego towarzysza.

– To nic nie da.

– Wydaje się bardzo agresywny – zgodził się Quincy.

– Chyba musimy zmienić taktykę.

– Uszkodzicie chociaż jedną komórkę martwego naskórka na mojej głowie, a ojciec będzie was latami ciągał po sądach.

– Teraz twój ojciec musi stanąć po naszej stronie. – Rainie odwróciła się do Quincy'ego. – Kudły czy kurtka – zastanawiała się na głos.

Agent otaksował spojrzeniem modny strój i starannie ułożone włosy młodego człowieka.

– Kurtka – powiedział.

– Dobra. – Rainie zrobiła krok do przodu i zanim Charlie zdążył dać nura w prawo, zastąpiła mu drogę, chwyciła za rękaw i szarpnęła. Chwilę później trzymała w ręku czarną skórzaną kurtkę. Kenyon sprawiał wrażenie oszołomionego.

Rainie uśmiechnęła się do niego promiennie. Ostatnio była w tak podłym nastroju, że nie zamierzała cackać się z bandziorami. Miała dość gówniarzy, którzy nosili przy sobie broń, nie mając pojęcia, czym jest śmierć.

– Zabawimy się, Charlie. Ja będę zadawać pytania, a ty odpowiadać. Quincy jako ekspert oceni, czy mówisz prawdę. Jeśli nie spodobają mi się twoje odpowiedzi... albo jeżeli znowu mnie wkurzysz... zabieram się

za twoją kurtkę. Będziesz pyskował, kurtka straci rękaw. I tak dalej. Jasne?

– To tylko głupia kurtka. Mogę sobie kupić nową.

– Dobra. – Rainie otworzyła szczyryk i przytknęła ostrze do kołnierza.

– Czeka, czekaj! – Oddychał ciężko, a na jego górnej wardze zalśnił pot. Chłopak mógł mówić, co chciał, ale Quincy i Rainie wiedzieli, że trzymają go w garści. Stara kurtka z symbolem gangu motocyklowego na plecach była niezbędnym elementem kostiumu twardziela, na którego kreował się Charlie Kenyon. Bez niej czuł się nagi. Tak samo mogli zabrać Supermenowi pelerynę.

– Pierwsze pytanie, Charlie. Dlaczego kręciłeś się koło Danny'ego O'Grady?

– Bo był cool, w porządku?

– Danny jest komputerowym maniakiem. To jest cool?

– Nie, nie. – Charlie pokręcił głową. – Kompletnie nie czaicie. Wystarczyło spojrzeć mu w oczy. Był dorosły. I... i... wściekły. Na ojca. Ja się na tym znam.

– Pokrewna dusza? – zapytała oschle Rainie.

– Coś w tym rodzaju.

– A Melissa Avalon? – wtrącił Quincy. – Kim ona była?

Charlie ożywił się.

– Niezła laska! Jezu, widział ją pan! Ale towar.

– Kontaktowałeś się z nią?

– Pewnie. Znaczą, próbowałem. – Wzruszył ramionami, wpychając ręce do kieszeni. Bez kurtki czuł się zdecydowanie nieswojo. – Peszyła ją moja uroda. Poza tym, jak dowiedziałem się później, nie byłem w jej typie. Avalon leciała na starszych frajerów.

– Też była pokrewną duszą?

– Jak to? Ach, czy była wściekła? Nie wiem. Nie wyglądała. Trzeba zapytać Danny'ego. To on spędzał z nią tyle czasu.

– Wspominał ci kiedyś, co czuł do panny Avalon?

– Nie musiał. Był zakochany po uszy. Miał to wypisane na twarzy.

– A panna Avalon wiedziała o tym?

– Myślę, że tak. Pewnie nie pierwszy szczeniak się w niej zabujał.

– Jak traktowała Danny’ego?

– Nie wiem. Kręciłem się koło boiska, a nie w tej pieprzonej pracowni.

– Danny wiedział, że panna Avalon woli starszych panów?

– Jasne, powiedziałem mu. Co, myślicie, że zabił ją w napadzie zazdrości? A skąd! Niczego nie chwytacie. – Charlie kręcił głową i po raz pierwszy sprawiał wrażenie szczerego. – Z Danny’ego większy bystrzak, niż wam się wydaje. Podobała mu się, ale wiedział, do diabła, że jest nauczycielką. Rozumiał, co to znaczy. Wielbił ją na odległość i koniec pieśni. Nie wyobrażał sobie domku z ogródkiem ani dzieci, które mu urodzi. Chłopak ma trzynaście lat, na litość boską.

– A te dwie dziewczynki? – zapytała Rainie. – Sally i Alice?

– Nie rozpoznałbym ich, nawet gdybym musiał.

– Idziesz na pogrzeb, Charlie?

Wzruszył ramionami.

– Stary mi kazał.

– Nie jest ci przykro, że te dzieciaki nie żyją?

– Nie znałem ich. Zwisa mi.

– Ale z ciebie zimny bydlak, Kenyon.

– To ty grozisz, że potniesz mi kurtkę.

– Rozmawiałeś kiedy z Dannym o zabijaniu?

– Gadaliśmy o różnych rzeczach.

– Charlie. – Wymownie spojrzała na kurtkę. Chłopak zacisnął szczęki. Wydawało się, że teraz zamilknie na dobre. Ale gdy Rainie zbliżyła scyzoryk do kołnierza, znowu skapitulował.

– No dobra. Chcesz wiedzieć? Czasem marzę o tym, żeby zmieść to cholerne miasteczko z powierzchni ziemi. Marzę, żeby dostać w swoje ręce wielką bombę atomową i powiedzieć: *sayonara*, laluniu. Wiesz, że po eksplozji rośliny odrastają większe i silniejsze. Może tego właśnie potrzebuje ta dziura.

– Opowiadałeś to wszystko trzynastolatkowi?

– Dopiero, kiedy zwierzył mi się, że chce poćwiartować tatuśka na dwadzieścia kawałków, a potem przepuścić je przez mieszarkę.

Rainie wbiła w Kenyona wzrok. Na jej twarzy zadrżał mięsień, a w głosie było więcej złości, niż by sobie życzyła.

– Dzieciak fantazjował o morderstwie, a ty nie wpadłeś na to, żeby pójść na policję?

– A do kogo miałbym się zwrócić? Do jego ojca? A może do ciebie, co? – Charlie zachichotał złośliwie. – To dopiero ładny obrazek. Wszyscy w Bakersville wiedzą, jak urządziłaś swoją matkę. Co byś zrobiła z Dannym? Posłała mu w prezencie strzelbę?

– Nie zrobiłam mojej matce żadnej krzywdy – odparła zapalczywie Rainie. – Gdyby tak było, siedziałabym teraz w więzieniu, zamiast rozmawiać tu z tobą.

Ale Charlie znowu przybrał cwaniacką minę.

– Wiem, wiem – powiedział, mrugając do niej konspiracyjnie. – Agent FBI. Nie chcesz się przed nim wsypać. W porządku. Ale mi nie musisz ściemniać, laluniu. Mówię ci, ja widzę takie rzeczy od pierwszego rzutu oka. Też należysz do naszego klubu. Więcej, jesteś jego honorowym członkiem.

– Ostatnie pytanie – wtrącił szybko Quincy, widząc, że złośliwości Kenyona wytrąciły Rainie z równowagi. – Czy Danny wspominał kiedykolwiek o jakimś internetowym znajomym? O kimś, kto używa pseudonimu No Lava?

– O jakimś komputerowcu? Może. Danny zawsze się czymś interesował. Nie wiem, jak można spędzać tyle czasu, gapiąc się w ekran.

– Widziałeś jakieś maile od tego faceta?

– A na cholere mi one?

– Danny naprawdę lubił z nim korespondować. Może byłeś zazdrosny.

– Słuchajcie, nawet o nim nie słyszałem i, szczerze mówiąc, ten pseudonim brzmi, jakby frajer był impotentem. Danny'ego bawiła poczta. OK? Sześć miesięcy temu albo osiem, nie pamiętam, był

strasznie podjarany, bo poznał kogoś przez Internet. Bez przerwy latał sprawdzać, czy przyszły, kurwa, nowe maile. To wszystko, co wiem.

– Podpuszczałeś go – powiedziała cicho Rainie. – Danny miał kłopoty ze sobą, a ty go jeszcze buntowałeś. Teraz trzy osoby nie żyją. Część winy spada na ciebie Charlie. I będziesz musiał z tym żyć.

– Chromolę to. Z prawnego punktu widzenia jestem czysty jak łąza. A teraz oddawaj kurtkę. Fajnie mi się tu z wami gawędzi, ale mam jeszcze parę spraw do załatwienia.

– Jasne – powiedziała Rainie. Uśmiechnęła się do niego, podniosła szczyryk i wbiła w kołnierz.

Charlie wrzasnął. Quincy z zaskoczenia zrobił krok do przodu. Rainie wpatrywała się w odcięty kawałek skóry. Chwilę później wycisnęła z kołnierza długą plastikową torebkę białego proszku.

– Heroina. Jakies trzy uncje, a więc trochę za dużo, jak na własny użytek. Gratulacje, Charlie. Z prawnego punktu widzenia twoje kłopoty dopiero się zaczynają.

– Cholerna cipo! Jak śmiesz! Nie jesteś lepsza ode mnie! Nie jesteś lepsza od nikogo!

– Ależ jestem, Charlie, Na tym świecie dla młodych gniewnych są dwie drogi i tylko jedna z nich pozwala nosić policyjną odznakę.

Charlie znowu wrzasnął, kiedy Rainie siłą wepchnęła go do wozu.

Czwartek, 17 maja, 21.05

Czynności związane z aresztowaniem Charliego Kenyona zajęły Rainie cztery godziny. Musiała zarejestrować heroinę w katalogu dowodów, a potem zabezpieczyć ją w policyjnym sejfie. Właśnie skończyła ze zdejmowaniem odcisków palców, gdy pojawił się adwokat, przysłany przez ojca Charliego, i próbował wmówić jej, że posłużyła się niedozwolonym podstępem. Rainie zgłosiła agenta FBI jako świadka incydentu. Zachowanie Fitz Simonsa stawało się coraz bardziej aroganckie. Zdaniem adwokata policjantka Conner nie miała prawa rewidować Charliego, bez uzasadnienia podarła mu kurtkę, pogwałciła wszystkie konstytucyjne prawa obowiązujące w tym kraju od pokoleń *et cetera*.

Rainie zachowała spokój. Sama była zdumiona, jaką przyjemność sprawiła jej ta akcja po chaosie minionych trzech dni. Znała Charliego, znała Fitz Simonsa i starego Kenyona. Zwyczajni podejrzani, zwyczajne przestępstwa. Rutynowe aresztowanie, rutynowa sprawa.

Spędziła dwie godziny nad raportem, starannie dobierając słowa. Skompletowała materiały do teczki Charliego i po skończeniu papierkowej roboty wróciła do centrum operacyjnego, gdzie cienie już się wydłużyły i panowała cisza. Dawno minęła dziesiąta; kolejny dzień

długiego, dziwnego dochodzenia.

Luke Hayes pojechał do Portland, gdzie miał przesłuchać rodziców Melissy Avalon. Bóg jeden wiedział, gdzie się podziewał Sanders. Może porządkował puszki z zupami w sklepie spożywczym albo zaopatrywał się w nowe szczelne pojemniki do przechowywania żywności firmy Tupperware. Quincy zgłębiał zagadkę nieznanego o pseudonimie No Lava. Albo zajął się już Shepem. Jeśli coś odkrył, ona prawdopodobnie dowie się ostatnia. Na myśl o tym Rainie czuła jednocześnie irytację i wdzięczność.

Została sama z szumem starego komputera i myślami, które wciąż kłębiły jej się w głowie.

Charlie wyprowadził ją dzisiaj z równowagi. Nie tylko swoimi oskarżeniami. Rainie wiedziała, co ludzie o niej mówią. Już dawno pogodziła się z tym, że pikantne plotki zawsze będą bardziej przekonujące niż suche fakty. Nie ruszało jej to.

Przeraziły ją natomiast uwagi na temat Danny'ego.

Dopiero, kiedy zwierzył mi się, że chce poćwiartować tatuśka na dwadzieścia kawałków, a potem przepuścić je przez miazgarkę.

Rainie nie mogła zapomnieć tych słów. Tyle agresji. Tyle złości. Wiedziała, że to możliwe. Ile razy ona sama w nocy... skulona w szafie, posiniaczona i rozdygotana, czując wciąż na rozciętej wardze smak krwi, pragnęła, żeby to się wreszcie skończyło. Żałowała, że nie jest na tyle silna, by położyć kres męce.

Fantazjowała. Że się zbuntuje i matka przestraszy się jej. Że chociaż raz się odplaci, może uderzy matkę mocno w twarz, a wtedy ona pokaja się i zaleje łzami. Nie wiedziałam, że to tak boli. Przysięgam, nawet nie przyszło mi do głowy. Teraz już wiem i nigdy więcej tego nie zrobię.

Może na tym właśnie polegała różnica. Pomimo wszystkich cierpień, Rainie nigdy nie zapomniła, że Molly jest jej matką. A wyobraźnia podsuwała obrazy miłości i wybaczenia. Matka opamięta się. Rzuci picie. Obejmie Rainie i przysięgnie, że już nigdy jej nie skrzywdzi, a ona wreszcie będzie mogła uspokoić się w opiekuńczych ramionach, poczuć się bezpiecznie.

Nawet w najgorszych chwilach nie życzyła matce śmierci.

Trzeba było dużo więcej, żeby pchnąć ją do ostateczności.

Od ściany do ściany, Rainie krążyła po małym pomieszczeniu na strychu ratusza. Bolało ją całe ciało. Głowa pękała od trudnych do zniesienia myśli. Potrzebowała snu, porządnego posiłku i długiego, forsownego biegu. Jednak na jogging było za późno, na jedzenie nie miała apetytu, a zasnąć po prostu się bała.

Co byś zrobiła z Danny'm? Posłała mu w prezencie strzelbę?

Nie. Powiedziałyby mu, że rozumie. Zabrałyby go na werandę, nad którą górowały sosny, a głęboko w mroku pohukiwały sowy. Trudno traktować własne problemy zbyt poważnie, gdy jest się tylko maleńkim pyłkiem w ogromie wszechświata. Pozwoliłyby się Danny'emu wygadać. Wyrzucić z siebie wszystko. Pogawędziłyby jak buntownik z buntownikiem. Może ona powiedziałyby mu o sprawach, których nikomu jeszcze nie zwierzyła. Siedziłyby na werandzie wśród drzew, czując na twarzach czyste górskie powietrze.

Może uratowałyby Danny'ego O'Grady.

Ale nie zrobiła tego. Widziała chłopca ledwie dwa tygodnie przed strzelaniną. Wydawało jej się, że jest blady, nerwowy i oschły wobec ojca. A jednak zignorowała jego stan. Tak jak wszyscy sądziła, że to tylko kolejny etap dojrzewania. Kłopoty prześladowały dzieci ze złych rodzin, a nie miłych, zwykłych chłopców.

I ona, pokrewna dusza, zawiodła Danny'ego. Nie wiedziała jeszcze, jak jej się uda z tym żyć.

Quincy pochylał się nad laptopem w swoim ciasnym pokoju hotelowym, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Pracował od dwóch godzin, szukając śladów człowieka posługującego się pseudonimem No Lava. Mącił mu się już ze zmęczenia wzrok, drętwiały plecy. Za każdym razem, gdy zmieniał pozycję na wygodniejszą, chybotliwe biurko groziło zawaleniem. Pół godziny temu zaczął w desperacji wciskać pod

nierówne nogi mebla fotografie z miejsc przestępstw. Nie chciał nawet myśleć, o czym to świadczy.

Pukanie powtórzyło się.

Quincy odsunął krzesło, potarł kark i zerknął do lustra. Biała koszula, wyprasowana dziś rano, teraz była już nieświeża i pomięta. Krawat leżał gdzieś na podłodze. Na policzkach czerniał wieczorny zarost, a ciemne potargane włosy sterczały na wszystkie strony. Ten niedbały styl dobrze służył Quincy'emu przed czterdziestką, kiedy nadawał mu seksowny, mroczny wygląd. Tak było jeszcze parę lat temu. Teraz kojarzył się po prostu ze zmęczeniem.

Są okresy w życiu człowieka, kiedy wygląda się lepiej, a są takie, kiedy aż strach patrzeć w lustro, pomyślał. Niech to diabli.

Wyjrzał przez wizjer. Nie zdziwił go widok Rainie.

Otworzył drzwi i przez chwilę się sobie przyglądali.

Rainie przebrała się w wytarte džinsy i luźny, ciemnozielony golf. Kasztanowe włosy były rozpuszczone i świeżo uczesane. W światłach hotelowego neonu lśniły złotem i czerwienią. Nie miała makijażu, co bardzo podobało się Quincy'emu. Jasna skóra, świeża i naturalna. Żadnej bariery między jego ręką, a jej policzkiem, jego wargami a kącikiem jej ust.

Tego popołudnia dowiedział się o Lorraine Conner rzeczy, które go zaskoczyły. Zaczynał rozumieć, że jej przeszłość kryje zapewne znacznie więcej, niż wydawałoby się na pierwszy rzut oka. Może nic, a może jednak coś. Wątpił, czy już teraz Rainie wyjawি mu wszystko i zastanawiał się, czym grozi poznanie całej prawdy, gdy będzie za późno dla nich obojga.

Powinien uważać. Był bystrym, logicznie myślącym człowiekiem, który lepiej od innych znał ciemne strony ludzkiej natury. Ale tym razem ostrzeżenia rozsądku nie skutkowały. Była tutaj, w jego pokoju hotelowym i Quincy nie potrafił powstrzymać radosnego uśmiechu.

– Hej – powiedziała po chwili.

– Dobry wieczór, Rainie.

– Pracujesz?

– Już kończę.

– Naprawdę? – Wsunęła rękę do tylnych kieszeni spodni i wbiła wzrok w chodnik. Czuła się najwyraźniej zażenowana i to go wzruszyło.

– Miałem właśnie zamówić chińszczyznę – powiedział uprzejmie. – Masz ochotę?

– Nie jestem specjalnie głodna.

– Ja też nie, ale możemy razem poudawać.

Weszła. Zaczął sprzątać z łóżka papiery. Pokój był tak mały, że tylko tam można było usiąść. Kiedy wciskał szare teczki do czarnej skórzanej torby, w której woził też komputer, Rainie wpatrywała się w ekran laptopa.

– Szukasz No Lavy? – zapytała.

– Tak. Większość dostawców Internetu prowadzi rejestry użytkowników, do których wpisuje się pseudonim i podstawowe informacje o sobie. Mnóstwo ludzi podaje te dane, więc pomyślałem, że sprawdzę. Niestety, nie mamy aż tyle szczęścia. Następnym krokiem to zdobycie nakazu i bezpośredni kontakt z serwisami.

Sprawdzałeś dzisiaj Shepa? – zapytała.

Quincy znieruchomiał z czterema szarymi teczkami w ręku. Nie traciła czasu. Włożył akta do torby i zasunął suwak.

– Lubisz *lo mein*? – zapytał beztrąsko.

– Zamów, co chcesz.

– Więc niech będzie *lo mein*. – Wziął do ręki plik ulotek, które Ginnie zostawiła przy telefonie i wyłowił menu „Wielkiego Muru Chińskiego”. Rainie przyglądała mu się, kiedy zamawiał *lo mein* i zieloną herbatę.

– Chyba nie powinniśmy prowadzić tej rozmowy – powiedział po chwili.

– To znaczy, że coś znalazłeś.

– Nie. To znaczy, że hołduję pewnym zasadom, a tu mamy do czynienia z klasycznym przypadkiem konfliktu interesów. Shep jest twoim przyjacielem. Znać się od dawna. – Nie spuszczał z niej oczu.

– Nigdy nie spałam z Shepem – oświadczyła bez ogródek Rainie.

– Wiesz, że większość ludzi ciebie uważa za powód rozpadu małżeństwa O’Gradych?

– Nie jesteśmy ze sobą. Nigdy nie byliśmy i nigdy nie będziemy.

– Spędza u ciebie dużo czasu.

– Wiem.

– Rainie...

– Ludzie gadają co im ślina na język przyniesie. Jeszcze tego nie zrozumiałeś? To małe miasteczko. Przez większość dni w roku pada deszcz, a krów jest dwa razy więcej niż mieszkańców. Zwykle nie ma tu nic ciekawego do roboty... pozostaje gadanie. Tak już jest.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o strzelbie, Rainie? Strzelba, z której zabito twoją matkę i która nosiła twoje odciski palców, znikła z policyjnego sejfu. A potem w magiczny sposób się odnalazła. Wytarta do czysta. Dlaczego mi o tym nawet słowem nie wspomniałaś?

Twarz Rainie spochmurniała, oczy przybrały kolor skały łupkowej. Quincy rozpoznał tę minę, tę bojową postawę z wysoko uniesioną głową.

– Myślisz, że zabiłam matkę?

– Nie.

– Myślisz, że zastrzeliłam ją z zimną krwią? Wróciłam ze szkoły do domu i po prostu rozwaliałam jej głowę? Masz mnie za żeńską wersję Charliego Kenyona. Za drugiego Danny’ego O’Grady?

– Nie, Rainie – powiedział łagodnie. – Wcale tak nie myślę.

– W takim razie jakie to ma znaczenie, Quincy? Minęło czternaście lat. Ja tego nie zrobiłam, więc daj mi spokój. Radzić sobie ze spojrzeniami i plotkami sąsiadów – do tego przywykłam, ale żebyś i ty mnie oskarżał!

– Wolnego zaoponował. – Nie jestem byle małomiasteczkowym policjantem, któremu możesz mydląć oczy. Wiem, że coś się wydarzyło, Rainie. Coś się stało, Shep ci pomógł i to was łączy, prawda? Nadal nie wiem, w czym rzecz, ale jest coś między tobą i Shepem, co wykracza poza zawodowe relacje. Dlatego fakt, że przez jakiś czas byłaś w szkole sama z nim i jego synem, wygląda podejrzanie. Sanders ma rację. Nie

powinnaś prowadzić tego śledztwa. I chyba dobrze o tym wiesz.

Milczała, zaciskając usta. Zbił ją z tropu. Na początku zastanawiał się, dlaczego młodą inteligentną kobietę zadowala skromna praca. Dzisiaj zrozumiał. Dzięki niej Rainie kontrolowała swoje życie. Miała do czynienia z miłymi ludźmi, a żaden z nich nie był wścibski. Podejrzewał, że spotykała się z mężczyznami, których większym atutem były mięśnie niż mózg i związki te trwały krótko. Nikt nie mógł zadać zbyt wielu pytań. Nikt nie mógł się za bardzo zbliżyć. Ochrona przed silnymi więziami stała się sposobem na życie.

– Nie mogę oddać śledztwa – powiedziała nagle.

– Bo obiecałaś to Shepowi?

– Tak. – Zawahała się. – Jestem mu winna choćby tyle.

– Ile dokładnie jesteś mu winna, Rainie?

– Shep wierzył we mnie. Jest dobrym przyjacielem, chcę być wobec niego lojalna. Ale ja też mam swoje zasady, Quincy, i nie łamię ich. Wszyscy idziemy przez życie, dokonując różnych wyborów i wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za nasze czyny. Jeśli Danny zastrzelił te dziewczynki, musi ponieść karę.

– Jesteś pewna?

– Oczywiście, że tak! Zatajenie prawdy wcale nie wyszłoby mu na korzyść. Dlaczego nikt tego nie rozumie? Jedną z podstawowych ludzkich potrzeb jest wynagradzanie krzywd, żeby uwolnić się od poczucia winy. Nie karząc dzieci lub osłaniając je przed konsekwencjami ich własnych czynów, popełniamy błąd. Poczucie winy rodzi nienawiść do świata, do samego siebie, żądzę niszczenia. To ciemny punkt, o którym nie potrafisz zapomnieć, a on rośnie i rośnie...

Przerwała. Oddychała ciężko ze wzrokiem wbitym w niebieską kwiecistą narzutę na łóżku i dłońmi zaciśniętymi w pięści.

– Coraz gorsze koszmary, co? – zapytał cicho Quincy.

– Tak.

– Nie jesz.

– Nie jestem w stanie.

– Nie możesz sobie tego robić. Jesteś na to zbyt mądra.

- Nic na to nie poradzę.
- Po co tu dzisiaj przyszedłaś, Rainie?

Rzuciła mu zmęczone spojrzenie.

- Myślę, że musimy pogadać.

– No to mów. Ale powiedz coś nowego, Rainie, bo nie mam już cierpliwości do kłamstw.

Przyniesiono chińskie jedzenie. Quincy podzielił swoją porcję, choć podejrzewał, że Rainie nie będzie chciała się poczęstować. Miał rację. Odsunęła biały pojemnik, skusiła się tylko na herbatę. Sam zaczął jeść. Też nie był specjalnie głodny, ale od dawna wiedział, że zaniedbywanie się podczas śledztwa, zwłaszcza podczas trudnego śledztwa, nikomu nie wychodzi na dobre.

– Jutro po południu mamy pogrzeb Sally i Alice – powiedziała krótko Rainie. – Właśnie dzwonił burmistrz. Patolog zgodził się na wydanie ciał i rodziny nie chcą czekać. Wszyscy uważają, że najlepiej mieć to jak najszybciej za sobą.

- To będzie ciężkie popołudnie.

– Wiem. Wezwaliśmy posiłki z Cabot. Dodatkowe patrole w trakcie pogrzebu i potem. Wozy policyjne przed barami, no wiesz.

– Atmosfera już teraz jest napięta, a po pewnej dawce alkoholu... – Quincy przerwał. Oboje wiedzieli, co może się wydarzyć. Młodzi ludzie, broń, sprawiedliwość, prawa obywatelskie.

– Podwoimy strażę wokół domu Shepa – powiedziała cicho Rainie. – Luke chce wziąć to na siebie.

- A ty?

– Nie mogę. Znowu by gadali.

– George Walker nie jest z ciebie zadowolony.

– Nie jest. Jak wiele osób w Bakersville. Miałam nadzieję... chciałabym mu powiedzieć, że Danny tego nie zrobił. Chciałabym zebrać tyle dowodów, żeby jeszcze przed pogrzebem móc spojrzeć George'owi Walkerowi w oczy i powiedzieć: „Ten chłopiec nie zamordował pańskiej córki. Zrobił to ktoś inny”. Jakby to miało dla ojca Sally jakieś znaczenie.

– Nie jesteś już taka pewna co do Danny’ego, prawda?

Na twarzy Rainie malowało się napięcie.

– Tak – odpowiedziała cicho.

– Charlie Kenyon?

Powoli kiwnęła głową.

– To, co nam powtórzył. Że Danny chciałby pociąć ojca na kawałki i przepuścić przez mieszkarkę... Tyle złości. Nie zdawałam sobie sprawy... Nie wiedziałam, że było aż tak źle.

– To nie twoja wina, Rainie. Wszystkim nam trudno uwierzyć, że ludzie, których osobiście znamy i na których nam zależy, są zdolni do agresji. Czasem zapominamy, że mordercy nie powstają w probówkach. Jak wszyscy, mają rodziny i przyjaciół.

– To zwykły banał. Nie chcę banałów. Mam dość łatwych odpowiedzi i trzydziestosekundowych analiz skomplikowanych przestępstw. Dzieci strzelają do kolegów, dorośli przychodzą do biur i mordują swoich współpracowników. Rozumiem twój punkt widzenia, że szkoły i urzędy wciąż jeszcze są bezpieczniejsze od autostrad, ale podobne wyjaśnienie mi nie wystarcza. Te zbrodnie zdarzają się wszędzie. Nawet w takich miejscach jak Bakersville, choć zupełnie do nich nie pasują. I dotyczą zwyczajnych ludzi, jak Danny O’Grady, który jeszcze trzy dni temu wydawał się przeciętnym chłopcem przeżywającym trudny okres. I... i czuję, jakbym coś przegapiła. Powinnam była to przewidzieć. Ale kiedy głębiej się zastanawiam, nabieram pewności, że nigdy nie podejrzewałabym go o agresję. Nie rozumiem tego, Quincy. Nawet ja, wychowywana przez kobietę, która nie żałowała pięści, nie mogę sobie wyobrazić, jak można strzelać do obcych, Bogu ducha winnych ludzi. I muszę wiedzieć, dlaczego zdarzyło się to właśnie w moim mieście, jeżeli mam kiedykolwiek jeszcze spokojnie spać.

– To nie twoja wina, Rainie – powtórzył Quincy.

Pokręciła niecierpliwie głową,

– Wyjaśnij mi, dlaczego do tego doszło. Muszę to zrozumieć. Z powodu broni? Jako policjantka powinnam wprowadzić zakaz jej

posiadania? A może to gry wideo, krwawe filmy i książki... Wszystko przez nie?

– Może, częściowo. Ale z drugiej strony, czy cenzura w Hollywood i zakaz używania broni położą kres podobnym przestępstwom? Moim zdaniem, nie. Niektórzy ludzie, nawet dzieci, mają w sobie tyle gniewu.

– A więc to nieuniknione? Staliśmy się cywilizacją przemocy i nic na to nie poradzimy?

– Nie sądzę. Zawsze coś można zrobić. Jesteśmy inteligentnym społeczeństwem, Rainie.

– Powiedz to George'owi Walkerowi. Powiedz to rodzicom Alice Bensen. Na pewno nie mogą się nadziwić, jak zdolne jest nasze społeczeństwo.

Quincy zamilkł. Rainie najwyraźniej była w podłym nastroju.

– Szukasz rozwiązania – zapytał po chwili – czy powodu, żeby się pozłościć?

– Rozwiązania!

– Świetnie – odparł cierpko. – Dorzucę swoje dwa grosze, jeśli zechcesz wysłuchać. Społeczeństwo nie jest z gruntu złe. Ale składa się z ludzi, którzy nie potrafią znaleźć sobie miejsca, są przepracowani, znużeni i cierpią na nadwagę. To mieszanka piorunująca, zwłaszcza w przypadku osób, które słabo radzą sobie z kłopotami i mają porywcze charaktery. A skutkiem jest coraz większa liczba niekontrolowanych wybuchów agresji, masowych morderstw i aktów przemocy na naszych drogach.

Rainie westchnęła. Potarła skronie.

– Znak czasu?

– Znak życia w stresie – powiedział Quincy i wzruszył ramionami. – Na szczęście niektóre rozwiązania są dość proste. Można by wprowadzić w szkołach specjalne zajęcia. Uczyć, jak radzić sobie ze złością i stresem, a przy okazji położyć nacisk na umiejętność komunikowania się i samokontrolę. Stan fizyczny też ma wielkie znaczenie. Kiedy psycholog dziecięcy rozpoczyna leczenie, od razu chce poznać nawyki pacjenta związane ze snaniem, ćwiczeniami fizycznymi i

jedzeniem. Myślisz, że masz kłopoty z samokontrolą? Postaraj się spać osiem godzin na dobę, jeść więcej owoców i warzyw i solidnie się pogimnastykuj. Jak na ironię coraz mniej ludzi pamięta o tak podstawowych sprawach, a potem dziwią się, dlaczego cały czas są tacy spięci.

Rzucił swojej towarzyszce znaczące spojrzenie, po czym jego wzrok prześlizgnął się na stojące przed nią nietknięte danie. Rainie powoli pokiwała głową.

– Chodziłam na zajęcia z samokontroli – wyznała po chwili wahania.

– W Portland?

– Tak. Po spotkaniach AA. Kiedy wciąż jeszcze walczyłam ze sobą. Alkohol przytępia wiele uczuć. Potem człowiek poddaje się...

– Moim zdaniem to był wspaniały pomysł – pochwalił szczerze Quincy. – Szkoda, że więcej ludzi nie rozumuje w ten sposób.

Rainie pokręciła głową.

– Bez przesady, Quincy. Nie zachwycaj się tak.

Nic nie odpowiedział, licząc, że jeszcze się czegoś dowie. Jej oczy wciąż skrywał cień. Ścisnęła kubek herbaty, jakby to była butelka piwa, ale najwyraźniej nadal nie miała nastroju do zwierzeń.

– Jak twoja córka? – zapytała krótko.

– Bez zmian. Dzwoniłem rano.

Przyjrzała mu się z ciekawością.

– Czujesz się w porządku? Twoja córka, umiera, a ciebie nie ma przy niej. Telefon to chyba niewiele.

– Rainie, kiedy powiedziałem, że moja córka zginęła przez pijanego kierowcę, wprowadziłem cię w błąd.

Znieruchomiała.

– Aha.

– Nie potrafił jej pijany kierowca – ciągnął martwym głosem Quincy. – To ona była pijanym kierowcą. Wstawiła się u przyjaciółki i o piątej trzydzieści nad ranem wracała do domu. Zanim wpadła na słup telefoniczny, zabiła staruszkę, który wyszedł na spacer z psem. Moja

córka nie żyje. Staruszek nie żyje. Pies nie żyje. I zgadzam się – telefon do szpitala, to zdecydowanie za mało.

– Quincy, przykro mi.

Uśmiechnął się smutno.

– Mnie też. I ja nie jestem doskonały, Rainie. Niektórych rzeczy, na przykład tego, co naprawdę liczy się w życiu, wszyscy uczymy się przez cierpienie.

Kiwnęła głową. Ale wciąż wyglądała, jakby coś ją gnębiło. Niemal czuł, jak kipią w niej słowa. Pochylił się do przodu, jakby mógł siłą woli wydrzeć z niej prawdę. Zeszłej nocy nie skłamał. Rainie fascynowała go. Miał ochotę przytknąć dłoń do jej policzka, przesunąć palcami po wargach...

Nie poddawała się. Szanował ją za to. i Jej twarz rozluźniła się nieco. W łagodnych szarych oczach malowała się tęsknota. Potrzeba zwierzenia. Potrzeba kontaktu. Chciał wyciągnąć rękę i dotknąć Rainie. Ale obawiał się, że gdy zrobi najmniejszy ruch, ona rzuci się do ucieczki.

– Rainie...

– Powinam już iść.

– Chcę cię wysłuchać.

– Nie mam nic do powiedzenia! Potrzebuję trochę czasu.

– Następne czternaście lat? A może tylko pięć, do kolejnego morderstwa w Bakersville? To cię niszczy. Wyrzuć z siebie prawdę! Co się stało z twoją matką? Co zrobiłaś z tą strzelbą?

Wstała raptownie. Zaskoczył go ogień w jej oczach, nagłe zaciśnięcie warg.

– Nie wspominaj więcej o mojej matce.

– Niestety, będę.

– Nie twoja sprawa...

– Za późno. Trzeba było poprzestać na tych prostakach, z którymi się spotykałaś, Rainie. Teraz masz przed sobą prawdziwego mężczyznę i ja nigdzie nie odejdę.

– Ty arogancki sukinsynu.

– Tak. A teraz opowiedz mi o swojej matce, Rainie.

– Najczęściej nadużywany przez psychologów tekst. Więc tym jestem dla ciebie, Quincy? Ciekawym przypadkiem, o którym później będziesz mógł napisać artykuł dla Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego?

– Zamknij się, Rainie.

– O, jeszcze lepiej.

Quincy, wściekły, zmarszczył brwi. Chwytał Rainie za ramiona z gwałtownością, która samego go zdziwiła.

– Przemoc? – szepnęła i rozchyliła usta. Zauważył, że jej oczy znowu pociemniały.

– Chcesz tego, prawda? – odparł spokojnie. – Znasz ten schemat. Sposób, żeby ściągnąć mnie do poziomu, na który swoim zdaniem zasługujesz. Jeśli ograniczysz się do fizyczności, nie będziesz musiała czuć. Zgadza się?

Wbiła w niego harde spojrzenie. Przycisnął ją jeszcze bliżej. Ich usta dzieliło tylko parę centymetrów.

– Puść mnie – szepnęła.

Jeśli stąd odejdziesz, będziesz całą noc chodziła po swoim domu. Boisz się snu. Boisz się koszmarów. Chcesz, się od nich uwolnić, ale nie robisz nic, żeby sobie pomóc.

– Puść mnie albo już nigdy nie zaśpiewasz barytonem w kościelnym chórze.

– Opowiedz mi o tym, Rainie. Chcę cię wysłuchać. Może nawet zrozumiem.

Zadrżała w jego ramionach. Znowu zauważył w jej oczach niezdecydowanie. Chciała mówić, a jednocześnie jakaś część duszy, silna i gwałtowna, nie dawała za wygraną. Widział strach, zwątpienie i wstyd. Lata cierpienia, narastającego wraz z każdą nową butelką, otwieraną przez matkę, z każdym uderzeniem.

Ale chwila ta minęła i Rainie znowu zamknęła się przed nim. Już myślał, że zaraz się czegoś dowie, kiedy jej twarz znieruchomiała, a oczy straciły blask. Wiedział, że bitwa dobiegła końca. Puścił ją. Cofnęła się, wzruszając ramionami.

– Nieźle – powiedziała z wyraźną irytacją w głosie. – Nigdy bym nie pomyślała, że z ciebie taki brutal, agespie.

Quincy nie zawracał sobie głowy odpowiedzią. Rainie schowała się już do swojej skorupy. Matka dała jej najwyraźniej dobrą szkołę.

– Wychodzę – oświadczyła buntowniczo.

– Dobranoc, Rainie.

Zawahała się i popatrzyła na niego ze złością.

– Nie możesz mnie powstrzymać.

– Kolorowych snów, Rainie.

– Sukinsyn – syknęła z furią i ruszyła do drzwi.

Szarpnęła je mocniej, niż było to konieczne. Nie zareagował. Trzasnęła z całych sił.

Zapadła cisza. Quincy wciąż stał przy łóżku, myśląc o Rainie Conner i wszystkim, co mogło się wydarzyć przed czternastoma laty. Myślał o strzelbach, o Dannym O’Grady i o własnej córce, którą kochał całym sercem.

Świat potrzebuje więcej dobroci, więcej wiary.

– Izolacja nie jest ochroną – szepnął. Ale czy on sam nie zrozumiał tego za późno?

Posesja Connerów pogrążona była w ciemnościach. Rainie zawsze zapominała zostawić światło na zewnątrz, więc teraz jej dom był prawie niewidoczny wśród drzew. Zaparkowała na piaszczystym podjeździe i na osłep trafiła kluczem w zamek.

Weszła do środka. Nikt jej nie witał. Tak urządziła sobie życie, ale tym razem pustka tylko pogłębiła jej przygnębienie.

Obeszła cały dom, zajrzała do obu sypialń, zapaliła lampy. Przestrzeń wciąż wydawała jej się przytłaczająca. Nie mogła wyrzucić z pamięci słów Quincy’ego. Wciąż czuła na skórze zapach jego wody kolońskiej.

Dlaczego nie powiedziałaś mi o strzelbie, Rainie? Dlaczego nie powiedziałaś, że znikła z policyjnego sejfu?

Weszła do kuchni i otworzyła lodówkę. Dwanaście butelek piwa, pół kilograma sera Tillamook, kwarta przeterminowanego mleka. Mało zachęcające.

Wyszła na werandę.

Las wokół domu był czarny. Księżyc zaczął ubywać i Rainie z trudem dostrzegała, gdzie kończą się czubki sosen, a zaczyna aksamitne niebo. Nocny chłód przyprawił ją o gęsią skórę. Skrzyżowała ręce, żeby się ogrzać.

Obeszła werandę raz i drugi.

Dlaczego nie powiedziałaś mi o strzelbie, Rainie? Dlaczego nie powiedziałaś, że znikła z policyjnego sejfu?

Nie mogła. Postąpiła jak idiotka, decydując się na tę wizytę. Quincy był silny. Uwierzyła, że poradzi sobie z tym, co od niej usłyszy. Czowała się ostatnio taka zmęczona, potrzebowała pomocy.

Ale nie o wszystkim mogła mu powiedzieć. Naiwnie sądziła, że wystarczy omijać niebezpieczny temat. Zapomniała, że Quincy nie jest typem mężczyzny, który zadowolony będzie czym. Niech go diabli wezmą. Kiedy zbliżył się do niej, oddech uwiązał jej w gardle, a żołądek zrobił fikołka.

Jeszcze centymetr, a straciłaby panowanie nad sobą. Mogłaby przesunąć dłoń po jego twarzy. Poczuć stalowe mięśnie ramion i ud. Byłaby tylko kobietą, a on tylko mężczyzną i może wszystko stałoby się prostsze.

A gdyby zasnął, wymknęłaby się z jego pokoju. Z niektórymi nawykami trudno zerwać.

Rainie weszła do domu. Wyciągnęła wszystkie zdjęcia matki i rozłożyła je odwrotną stroną do góry. Ale to nie podziałało. Tej nocy chyba nic nie mogło pomóc.

W końcu skuliła się w ubraniu na sofie, rozpaczliwie starając się zasnąć. Znowu myślała o Quincym, o jego intensywnym spojrzeniu. Myślała o Charliem Kenyonie i Dannym O'Grady, i wszystkich sprawach, które nie dawały jej spokoju.

W końcu usnęła.

Godzinę później obudziła się z krzykiem. Leżała na podłodze, ciało matki było tuż obok, a ktoś stał na werandzie i przyglądał się jej. Facet w czerni! Facet w czerni!

Rainie rzuciła się do sypialni. Musiała zdobyć broń. Technicy zabrali jej glocka 40 do testów. Zaczęła wyrzucać zawartość szafy, aż w pudełku na buty znalazła stary pistolet. Wybiegła w zimną noc. Weranda była pusta. Żadnego faceta. Żadnego intruza. Więc to tylko gra wyobraźni. Pozostałości potwornego koszmaru.

Drżąc, wróciła do salonu. Z pistoletem w rękę zwinęła się w kłębek pod kocem i patrzyła w biały sufit, wmawiając sobie, że nie widzi na nim krwi.

Nie możesz sobie tego robić, Rainie. Jesteś na to zbyt mądra.

Ale najwyraźniej nie była, bo noc ciągnęła się w nieskończoność.

W końcu około piątej Rainie zasnęła. O szóstej trzydzieści obudził ją przenikliwy sygnał telefonu. Dzwoniła Sandy O'Grady, a w jej głosie brzmiała desperacja.

– Muszę porozmawiać z tym agentem FBI – przeszła od razu do rzeczy. – O Boże, Rainie, nie wiem, co robić.

Rainie wstała. Czekał ją kolejny dzień śledztwa.

Dwadzieścia minut później, wysiadając z wozu patrolowego, znalazła kartkę zatknętą za wycieraczkę. Nieznana ręka wykaligrafowała: *Giń, dziwko.*

Zmięła liścik i wyrzuciła.

Piątek. 18 maja. 7.18

Ed Flanders był barmanem od trzydziestu pięciu lat. Wcale nie marzył o takiej przyszłości. Na początku uznał tę pracę za dobrą wakacyjną fuchę, dzięki której mógł podrywać dziewczyny i przy okazji kosić niezłą kasę z napiwków. Flanders jechał przez Oregon do Los Angeles, gdzie zamierzał zrobić karierę. W Seaside zatrzymał się, jedynie, żeby obejrzeć przedstawienie w miejscowym teatrze, ale kiedy natknął się na napis „Potrzebna pomoc”, pomyślał: co mi szkodzi.

Od tamtej pory minęło wiele lat.

Na początku wmawiał sobie, że został dla sztuki. Repertuar tutejszego teatru był ciekawy, a przejeżdżało tędy tylu turystów, że gra mogła być warta świeczki. Każdego lata uparcie próbował wkręcić się do kolejnych produkcji, ale ponieważ jego sukcesy sceniczne ograniczały się do ról trzecioplanowych, mówił sobie, że wybrał Seaside dla pieniędzy. Podczas szalonych wakacyjnych miesięcy barman mógł nieźle zarobić. Potem uznał, że został z powodu świadczeń socjalnych, bo po trzydziestce docenił wagę dobrej opieki zdrowotnej. Prawda była jednak taka, że wtedy już znał Jenny i stracił dla niej głowę.

Ani się obejrzał, jak minęło kilka dekad, włos mu posiwiiał, a śliczna Jenny wciąż była miłością jego życia.

Ed Flanders nie miał powodu się uskarżać.

Ale dwa dni temu w barze pojawił się ten mężczyzna i zamówił skrzydełka. Gość wkurzył Darrena, choć Bóg jeden wie, że do tego nie trzeba zbyt wiele. I plótł trzy po trzy o tych biednych dziewczynkach i czepiał się wszystkiego w Bakersville.

Ed poznał w ciągu swojego długiego życia wielu ludzi, ale ten człowiek niepokoił go.

Po namyśle Flanders doszedł do wniosku, że nie chodziło o same pytania. Wszyscy w mieście mówili o strzelaninie, która wydarzyła się półtorej godziny drogi stąd. Niektórzy twierdzili, że znają Shepa O'Grady. Mnóstwo osób miało bliskich lub znajomych w Bakersville.

Ludzie gadali, to jasne. W barach, w kościołach, na ulicach.

Ale niewielu mieszkańców Bakersville, nie mówiąc już o przyjezdnych, znało nazwisko tej młodej policjantki. Lori.. i Liz... Lorraine. Lorraine Conner. Nawet nie pokazywali jej w telewizji. Występował tylko burmistrz i jakiś gość z policji stanowej o nazwisku Sanders.

Więc skąd ten facet znał nazwisko Conner?

I, co gorsza, dlaczego Ed Flanders odnosił wrażenie, że już gdzieś go widział? Oczy, a może nos? Odjąć mu parę lat, skrócić włosy...

Cholera, nie mógł skojarzyć tej twarzy.

Nieprzyjemny facet, który wszedł do jego baru i zachowywał się jakoś dziwnie.

Nie podobał się Edowi. Nie budził zaufania. Ale barman jeszcze nie wiedział, co ma z tym zrobić.

Po powrocie do pokoju hotelowego w końcu pozwolił sobie na odpoczynek. Cholera, był zmęczony. Tempo ostatnich kilku dni, sprawy, które musiał jeszcze załatwić... Jeśli ktoś myśli, że morderstwo jest łatwe, na pewno sam tego nie próbował.

Pogrzebał w kieszeniach i wydobyl celofanową torebkę z lekarstwami. Rozerwał ją, połknął cztery ziołowe pigułki, jedną po drugiej, i popił szklanką wody. Kofeina trochę rozjaśniła mu w głowie, ale potrzebował czegoś na wzmocnienie.

Tyle już zrobił, tyle jeszcze zostało do zrobienia.

W nocy o mało wszystkiego nie spartaczył. Kiedy Lorraine Conner wreszcie wróciła do domu wyglądała na wykończoną. Nie przyszło mu do głowy, że się obudzi. Już myślał, że bezpiecznie dotarł z sypialni na werandę, gdy zerwała się z krzykiem z sofy.

Do diabła, ledwo zdążył uskoczyć w mrok. Chciał ukryć się w lesie, ale coś w ruchach Rainie go zmroziło. Zachowywała się nienaturalnie, dziwnie, jakby patrzyła na rzeczy, których nie było. Chwilę później zrozumiał. Wciąż śpiąc, goniła za zjawą ze swoich koszmarów.

Może to on coś w niej rozbudził. Może w nocy zamieniała się w szalejącą lunaticzkę. Nie miał pojęcia. Przyczał się w swojej kryjówce i postanowił przeczekać. Po pewnym czasie wróciła do domu.

Nagle zrobiło mu się wesoło. Roześmiał się, wydając z siebie piskliwy, histeryczny dźwięk, jaki słyszy się czasem w filmach. Będzie musiał się pilnować. Nie może stracić nad sobą kontroli.

Jeszcze nie.

W końcu dzisiaj był pogrzeb. A potem.

Był bardzo bystry. Niedługo Lorraine Conner przekona się o tym.

Lorraine Conner, Pierce Quincy, Shep O'Grady i mała Becky.

Popatrz, zwrócił się w myślach do ojca, to jest dopiero zabawa.

Piątek, 18 maja, 7.53

Rano zadzwonił do mnie Danny. Wiem, że to on. – Sandy O’Grady siedziała na składanym metalowym krześle w biurze zespołu dochodzeniowego. Zaciskała leżące na kolanach dłonie i robiła, co mogła, żeby zachować spokój. – Słyszałam w tle jakieś pobrzękiwania i ludzkie głosy. Ale on milczał. Powiedziałam: „Danny, wiem, że to ty. Porozmawiaj ze mną, Danny. Kocham cię.

– Co odpowiedział? – zapytał Quincy.

Siedział na krześle obok niej, nienagannie ubrany. Zupełnie jak jej szef, Mitch, przemknęło Sandy przez głowę.

– Nie powiedział ani słowa. Tylko wzdychał. Ciężko. Jak... jak ktoś załamany. Potem odwiesił słuchawkę.

– To był na pewno Danny? – odezwała się po raz pierwszy Rainie.

Stała oparta o parapet w drugim końcu pokoju. Ręce skrzyżowała na piersiach. Miała zapadnięte policzki. Mówiąc szczerze, Sandy nigdy nie wiedziała jej w tak fatalnym stanie.

Nie żeby ona sama wyglądała dużo lepiej. Po telefonie Danny’ego chwyciła pierwszą lepszą bluzę. Dopiero potem stwierdziła, że jest poplamiona w kilku miejscach. Błyszczące zazwyczaj jasne włosy były teraz matowe i potargane. Nie wykapała się, nie mówiąc już o makijażu.

Nie miała dość energii, żeby dbać o takie rzeczy.

– To był Danny – stwierdziła stanowczo. – Dwa dni temu Shep zmienił nam numer na zastrzeżony. Tylko rodzina i nasz prawnik wiedzą, jak się z nami skontaktować. Od tamtej pory nie było już takich telefonów.

– Sąsiedzi dają się wam we znaki? – zapytał łagodnie Quincy.

– Trochę. – Sandy trzymała wysoko głowę. – Ale przyjaciele wspierają nas. Jedna para z naszej ulicy... nawet nie znam ich zbyt dobrze... wpadli wczoraj z talerzem ciasteczek i posiedzieli z nami. Są... trudne chwile, ale zdarzają się i dobre. No wiecie, Danny jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy.

Nie mogła się powstrzymać i znowu spojrzała na Rainie.

– Toczy się oficjalne śledztwo – powiedziała krótko Rainie. – Nie mogę nic powiedzieć.

– Rainie, to mój syn. Jest załamany, myśli o samobójstwie. Nie dalej jak wczoraj próbował przebić sobie nadgarstek widelcem. Na litość boską, nie wiem, jak długo wytrzyma pobyt w tym zakładzie, i nie mam pojęcia, co robić. Shep twierdzi, że podobno macie dowody na udział kogoś innego... jakieś tajemnicze łuski, nie wiem. Nie możecie czegoś z tym zrobić? Oddalić zarzuty? Odesłać Danny'ego do domu? Proszę... – Błagalny głos Sandy załamał się. Nie znała dobrze Rainie. Nazywała ją przyjaciółką, jednak bardziej dlatego, że łączył je Shep niż z racji rzeczywistej rzezi. Ale przecież Rainie przychodziła do nich na kolacje przynajmniej raz na kilka miesięcy. Bawiła się z Dannym i Becky. Wydawało się, że naprawdę ich lubi. Przecież musiała pamiętać te chwile. Nie mogła być zupełnie nieczuła na los Danny'ego.

Ale Rainie w policyjnym mundurze wyglądała obco i obojętnie. Sandy w końcu zrozumiała. Dziś nie była dla Lorraine Conner żoną jej szefa, tylko matką masowego mordercy.

– Może Shep mógłby pomóc w śledztwie – rzuciła desperacko.

– Nie chcemy Shepa – stwierdziła kategorycznie Rainie. – Potrzebujemy Becky.

– Jak to?

– Nadal sypia w szafie, Sandy?

– Niech nikogo o to głowa nie boli...

– Widziała coś, wszyscy o tym wiemy. Oboje z Shepem ciągle powtarzacie, że chcecie poznać prawdę. Więc zapytajmy o nią waszą córkę.

– Avery Johnson nigdy się na to nie zgodzi.

– To nie jego sprawa.

– Właśnie, że tak! Jest naszym adwokatem. Mój Boże, będziemy musieli zastawić dom, żeby go opłacić. Jak tu nie słuchać jego rad? Dba o nasze interesy.

– A co z Becky? – naciskała bezlitośnie Rainie. – Dziewczynka czuje się bezpieczna tylko w zamkniętych, małych pomieszczeniach. Dręczą ją koszmary. Luke twierdzi, że jest błada jak ściana. Długo jeszcze chcecie to ciągnąć?

– Lekarz mówi, że potrzeba czasu...

– Możemy sprawić, żeby otrząsnęła się z szoku wcześniej, a nie później.

– Nie dostaniecie Becky! Cholera, Rainie, tylko ona mi została!

Rainie zacisnęła wargi w cienką linię. Popatrzyła na Sandy z dezaprobatą. Sandy odwzajemniła się wrogim spojrzeniem. Ta kobieta nie rozumiała jej prośby. Nie była przecież matką.

– Możemy udowodnić, że Danny nie zastrzelił panny Avalon – powiedziała raptownie Rainie. – Tor pocisku wskazuje, iż zrobił to ktoś inny, nie Danny.

– Och, dzięki Bogu. – Sandy opadła na oparcie metalowego krzesła. Po raz pierwszy od trzech dni poczuła coś na kształt ulgi. – Więc był tam ten człowiek w czerni. To on strzelał, a Danny jest tylko zdezorientowany i wstrząśnięty tym, co zobaczył. Nie możecie teraz oddalić zarzutów?

– Pani O'Grady – wtrącił się spokojnie Quincy. – Są pewne rzeczy, o których musi się pani dowiedzieć. Przypuszczam, że też nie dają pani spokoju, inaczej nie doszłoby do naszej dzisiejszej rozmowy.

– Nie wiadomo, czy Danny nie zabił Sally i Alice – dorzuciła bez

ogródek Rainie.

– Ale ten mężczyzna, człowiek w czerni...

– Technicy orzekli, że pociski, od których zginęły dziewczynki, pochodzą z rewolweru kaliber 38. Wiemy, że Danny przyniósł go do szkoły. Mamy też odciski chłopca na innych łuskach z trzydziestki ósemki, znalezionych na miejscu przestępstwa.

– To tylko znaczy, że naładował broń – odparła Sandy. – Shep mi wszystko wyjaśnił. Odciski niczego nie dowodzą.

– Odciski Danny’ego są na ponad pięćdziesięciu łuskach. A to znaczy, że ładował broń w trakcie strzelaniny.

– Shep powiedział, że użyto ładowników. Więc Danny przygotował broń i amunicję. A ta druga osoba strzelała.

Rainie odsunęła się w końcu od okna. Pokręciła niecierpliwie głową.

– Zastanów się nad tym, co mówisz! Danny przyniósł do szkoły rewolwer i pistolet samopowtarzalny. Naładował oba i przygotował zapasową amunicję. Według ciebie tak zachowuje się niewinny świadek.

– Ma dopiero trzynaście...

– Nie trzeba być pełnoletnim, żeby pociągnąć za spust.

– Jest zdezorientowany...

– Przyznał się wiele razy!

– Boi się! Jest wściekły, nie rozumie...

– Powiedział Charliemu Kenyonowi, że chciałby pociąć Shepa na kawałki i przepuścić je przez mieszarkę! Jezu, Sandy, tu nie chodzi o zwykły brak posłuszeństwa. Nie złapałaś Danny’ego na paleniu papierosów, czy na wagarach. On jest zamieszany w potrójne morderstwo. W najlepszym razie dostarczył narzędzia zbrodni. W najgorszym – zabił z zimną krwią dwie ośmioletnie dziewczynki. Na miłość boską, kobieto, oprzytomnij!

– Mój syn nie jest mordercą!

– A może jest! I co mamy z tym fantem, do cholery, zrobić?

Rainie przerwała, zadyszana. Sandy też z trudem łapała powietrze. Patrzyła na Lorraine Conner i wydawało jej się, że jeszcze nigdy nikogo

tak nie nienawidziła. Jak ona śmiała mówić o Danny'm w ten sposób. Po tych wszystkich kolacjach u O'Grady'ch. Po tym, jak Danny tyle razy prosił, żeby usiadła obok niego. Był taki słodki i zapatrzonej w tę zimną, nieczułą...

I nagle zdała sobie sprawę, że oczy Rainie dziwnie błyszczą. Że policjantka zacisnęła usta, żeby się nie rozpłakać.

Z gardła Sandy wydarł się szloch. W spojrzeniu Rainie dostrzegła wszystkie prawdy, którym mozolnie próbowała zaprzeczyć, a teraz stanęła wobec nich bezbronna.

Danny był samotnikiem. Ulegał atakom złości. Nie dogadywał się z Shepem i kolegami w szkole. I, dobry Boże, świetnie znał się na broni. Nauczył się wszystkiego od ojca.

Świat zaczął wirować. Sandy chwyciła krzesło i trzymała się go mocno.

– Pani O'Grady? – zaniepokoił się Quincy.

– Dajcie mi chwilę.

Wbiła wzrok w podłogę, usiłując skoncentrować się na poszczególnych klepkach. Mijały minuty. Sandy nie wiedziała ile. Czas zwolnił. Przenikliwie zimno wkradło się w jej ciało, przyprawiając o dreszcze.

– Nie wiem, co robić – wyszeptała wreszcie. – Nie... nie wiem już, w co mam wierzyć.

Quincy odezwał się pierwszy.

– Przypuszczam, że wasz adwokat postarał się, żeby Danny'ego zbadał psycholog sądowy?

– Tak. A sąd wyznaczył drugiego. Jeszcze nie zaczęli. Johnson twierdzi, że zanim spiszą pełny raport, miną miesiące, może nawet pół roku.

– Danny jest pani synem, pani O'Grady. Jak pani sądzi, co on zrobił i czego potrzebuje teraz?

– Nie mogę panu powiedzieć. – Sandy parsknęła histerycznym śmiechem. – Widzicie, taka jest prawda. Zarówno adwokat, jak i mój mąż zabronili mi z panem mówić, bo jako ekspert w tych sprawach

może pan zeznawać na procesie. Danny'emu też nie wolno z nikim rozmawiać. Wszystko, co powie, może być wykorzystane przeciw niemu, więc lepiej milczeć. O mój Boże. Co ja mam teraz robić?

Quincy nie odpowiedział. Oczy Sandy wypełniły się łzami.

– Nie mieści mi się w głowie, że zezwalają na coś takiego – powiedziała przez łzy. – Zabrali mi syna. Zamknęli go za morderstwo, ale zanim skończą się wstępne przesłuchania i przygotowania do procesu, miną lata. A tymczasem Danny musi siedzieć w poprawczaku, gdzie nie może z nikim rozmawiać, w towarzystwie innych młodocianych przestępców. Nawet jeśli po roku lub dwóch okaże się, że nie popełnił zbrodni, w jakim wyjdzie stanie? Martwię się, bo jeśli jest niewinny, zmarnują mi chłopaka. Z drugiej strony, boję się, że może to oni mają rację. O mój Boże, Rainie, a jeśli on to zrobił? Co wtedy?

Quincy przykucnął przed nią. Jego głęboko osadzone, ze zmarszczkami w kącikach, oczy sprawiały wrażenie, jakby widziały już niejedno. Sandy nie spodziewała się, że polubi tego człowieka. Shep mówił o nim jak o wrogu, którego trzeba za wszelką cenę unikać. Ale Sandy odkryła, że obecność agenta uspokaja ją. Wydawało się, że Quincy kontroluje siebie i sytuację. Sama miała wrażenie, jakby cały świat stał na ruchomych piaskach, a ona zapadała się coraz głębiej.

Quincy ujął jej rękę w obie dłonie. Były ciepłe i szorstkie.

– Sprawa nie jest beznadziejna – powiedział.

– Jak to? Nasz adwokat twierdzi, że jeśli Danny zostanie uznany za winnego przez sąd dla dorosłych, zamkną go na zawsze. Nikogo nie obchodzi, że ma dopiero trzynaście lat.

– Ale skoro ma trzynaście lat, nie podlega automatycznie sądowi dla dorosłych. Jego przypadek będzie inaczej rozpatrywany. I dzięki Bogu, bo zawiera elementy warte zastanowienia.

Sandy wbiła w Quincy'ego pełne nadziei spojrzenie, a on zaczął wylizywać na palcach.

– Po pierwsze, mamy dowody, że ktoś jeszcze był zamieszany w zbrodnię. Jeśli wskażemy tę osobę, może uda się udowodnić, że Danny padł ofiarą manipulacji lub gróźb.

Sandy pokiwała lekko głową.

– Po drugie, musimy przyjrzeć się chłopcu. Fakt, że dręczą go myśli samobójcze, może okazać się korzystny. Jeśli Danny ma wyrzuty sumienia, to znaczy, że jest dzieckiem z problemami emocjonalnymi, a nie młodocianym psychopata.

– To też może znaczyć, że przeżył wstrząs – powiedziała po chwili Sandy mocniejszym głosem. – Ktoś jeszcze tam był. Wszyscy się z tym zgadzacie. Więc może Danny przyniósł broń, bo mu kazano. Może nie wiedział, co się stanie, a kiedy było po wszystkim, nie mógł już nic zrobić.

– Tylko się przyznać – dodała oschle Rainie.

– To optymistyczna wersja, pani O’Grady – powiedział opanowanym głosem Quincy. – A teraz musi się pani zmierzyć z pozostałymi faktami.

Sandy zawahała się. Zagryzła dolną wargę. Wiedziała, do czego agent zmierza, i wołała, żeby zamilkł. W głębi serca jednak przyznawała mu rację. Danny czuł się nieszczęśliwy i jako matka powinna była wcześniej coś z tym zrobić. Kiedy dziecko popełnia przestępstwo, wszyscy pytają: a gdzie byli wtedy rodzice?

Przykro mi. Byłam w pracy.

– Danny często wpada w huśtawkę nastrojów, prawda? – ciągnął rzeczowo Quincy. – Najpierw dusi w sobie złość, a potem nagle wybucha.

– Ma pan na myśli tę historię z szafkami?

– Dużo czasu spędza samotnie.

– Na naszej ulicy nie ma chłopców w jego wieku.

– Nie znalazł zbyt wielu kolegów w szkole.

– Pasjonuje się komputerami.

– Pani O’Grady, Danny nie radzi sobie ze swoimi problemami. Za mocno tłumi złość, o czym chyba pani wie. Brak mu też solidnego wsparcia, a zważywszy na wasze problemy małżeńskie, żyje w dużym stresie. Do tego dochodzą jego stosunki z ojcem. Danny jest wściekły na Shepa, ale też czuje się przez niego zastraszone. Zwraca wszystkie

negatywne emocje przeciw komuś innemu, przeciw komuś, kogo się nie boi.

– Myśli pan o tych dwóch dziewczynkach?

– To może być kot lub pies.

– Mój syn nigdy nie robił krzywdy zwierzętom – zaproponowała natychmiast Sandy. – Zresztą Becky by mu na to nie pozwoliła, a on jest bardzo opiekuńczy wobec siostry.

– To dobrze, że Danny nie posuwa się do takich skrajności. Ale i tak przejawia pewne cechy, typowe u dzieci skłonnych do przemocy. Dla jego dobra musimy się tym zająć.

Sandy zawahała się.

– Ale jak?

– Zaczniemy od tłumionej złości. Danny musi się nauczyć rozładowywać ją stopniowo i konstruktywnie, nie pozwalać, żeby gromadziła się w nim na niebezpieczną skalę. Większość ekspertów polecałaby na początek codzienne ćwiczenia fizyczne.

– Nie jest wysportowany.

– Więc może rodzinne spacerki, pani O’Grady? Albo coś ze sztuki walki? Niektórzy to lubią.

– Mogłabym... spróbować.

Agent pokiwał głową zachęcająco.

– Dla chłopca takiego jak Danny nie poleca się książek, gier i filmów, w których pełno jest przemocy. To tylko podsyca złość.

– Danny nigdy nie lubił takich filmów. Ale jeśli mam być szczerą, nie wiem, co wynajduje w Internecie.

– Pani syn ma problemy emocjonalne. Musi pani kontrolować, co czyta i ogląda w Internecie. To może być ważne.

Sandy zwiesiła głowę.

– Sprawa relacji między chłopcem a ojcem jest bardziej zawiła – ciągnął cicho Quincy. – Zarówno on, jak i Shep potrzebują psychologa rodzinnego, a Danny’emu przydałby się też osobny terapeuta. Może pani syn powinien nawiązać bliższe stosunki z dziadkami, ciotką lub wujkiem. W takim przypadku, jeśli sytuacja w domu pogarsza się,

dziecko ma szansę znaleźć pociechę i wsparcie u innych dorosłych.

– Nigdy o tym nie pomyślałam – wyznała szczerze Sandy. – Nasza rodzina nie jest zbyt liczna. Rodzice Shepa zmarli kilka lat temu. A moi... wiem, że kochają wnuki, ale nie należą do ludzi najbardziej wylewnych. Tacy już są. – Przerwała. – Myślicie... myślicie, że problemy Danny'ego spowodował mój powrót do pracy?

Quincy uśmiechnął się do niej serdecznie.

– Nie, pani O'Grady. To, że pani pracuje zawodowo, nie znaczy, że jest pani złą matką. Kobiety, które decydują się zostać w domu, też mają kłopoty z dziećmi.

Sandy skinęła głową. Nigdy głośno nie przyznałaby się do tego, ale ulżyło jej. Po chwili wahania zapytała:

– Mój syn już wcześniej miał problemy emocjonalne. A teraz, w najlepszym przypadku, był świadkiem trzech brutalnych morderstw. Jak to na niego wpłynie?

– Musi wyrzucić wszystko z siebie. Tłamszenie emocji tylko pogorszy sprawę. – Wzrok Quincy'ego prześlizgnął się na Rainie.

– A jeśli... jeśli zrobił coś złego?

Quincy nie odzywał się przez chwilę.

– Będzie potrzebował intensywnej pomocy – powiedział w końcu. – Niewykluczone, że dręczy go poczucie winy i nienawiść do samego siebie. Ktoś musi mu pomóc pogodzić się z tym, co się stało. W przeciwnym razie istnieje niebezpieczeństwo, że po prostu zignoruje wyrzuty sumienia. Zacznie uważać się za bezlitosnego zabójcę i stanie się nim.

Rozległo się pukanie. Luke Hayes wetknął głowę do pokoju. Jego wzrok padł na Sandy.

– Już czas.

– Już?

Zerknęła na zegarek. Odczytanie godziny zajęło dłuższą chwilę, bo ręka wciąż jej się trzęsła. Dziewiąta. Pogrzeb Alice i Sally miał się rozpocząć dopiero o pierwszej, ale do udziału w nim szykowało się całe miasto. Ludzie chcieli zająć dobre miejsca.

Sandy nie miała wyjścia. Musiała wracać. Tego dnia na jej rodzinę nałożono praktycznie areszt domowy. Władze Bakersville uznały, że widok kogokolwiek z O'Gradych tylko prowokowałby mieszkańców i to bolało chyba bardziej od anonimowych telefonów z pogrózkami, napisów i wszystkich innych szykan.

Powoli wstała i wzięła torebkę. Dziś rano miała nadzieję uzyskać parę łatwych odpowiedzi. Ale ostatnio były one prawdziwą rzadkością. Za to pojawiło się więcej pytań. I wątpliwości, które będą ją nękały przez następne długie dni.

Tak rozpaczliwie kochała Danny'ego. Można zastanawiać się, czy syn jest mordercą i nadał go kochać? Można opłakiwać Alice Bensen i Sally Walker, a jednocześnie chcieć szczęścia dla własnych dzieci?

Nagle poczuła się tak wykończona, że nie wiedziała, jak zdoła zejść po schodach.

Odwróciła się do Rainie po raz ostatni.

– Wiecie już, kim jest ten mężczyzna? Macie jakieś poszlaki?

Rainie jakby się wahała.

– Czy Danny wspominał ci kiedyś o kimś, kto posługuje się pseudonimem No Lava?

Sandy przyjrzała jej się z zainteresowaniem.

– Oczywiście. NoLava@aol. com. To adres jego nauczycielki. No Lava znaczy Avalon, jeśli czytać wspak.

Piątek, 18 maja, 10.05

Parę minut po dziesiątej Rainie i Quincy wsiedli do wozu patrolowego. Luke i Chuckie zajmowali miejsca z przodu, więc Chuckie od razu poczuł się nieswojo, mając za plecami nie tylko szefową, ale i agenta federalnego. Co chwila oglądał się nerwowo przez ramię, jakby myślał, że ktoś go zaraz uszczypnie. Quincy nie mógł się powstrzymać. Przycisnął nos do szyby oddzielającej siedzenia. Żółtodziób znów się odwrócił i aż się wzdrygnął na widok rozplaszczonej na szkle twarzy.

Luke westchnął ciężko. Rainie pokręciła głową. A agent federalny opadł na oparcie fotela, wyraźnie usatysfakcjonowany.

– Denerwujesz mojego partnera – poskarżył się Hayes. Siedział pochylony nad kierownicą, omiatając pozornie leniwym spojrzeniem okolicę domu O’Gradych. Czapkę rzucił na siedzenie, bo daszek ograniczał widok. Czubek głowy ledwo wystawał mu ponad tablicę rozdzielczą; niski punkt obserwacyjny rozszerzał pole widzenia. Luke Hayes wypatrywał na osiedlowej ulicy podejrzanych pojazdów, ale od czasu do czasu zerkał też spod zmrużonych powiek na dachy okolicznych domów. Nie na darmo był strzelcem wyborowym.

– Coś się dzieje? – zapytała Rainie.

– Spokojnie niczym w kościele.

– Jak się czujesz? – zwróciła się do Chuckiego.

Żółtodziób trzymał na kolanach gumową pałkę i głaskał ją, jakby była ulubionym zwierzątkiem.

– W porządku – wymamrotał.

Nawet na nią nie spojrział. Szeroką twarz miał zmizerowaną, włosy niechlujnie potargane. Przez ostatnie trzy dni Rainie całkiem zapomniiała o jego istnieniu. Teraz obrzuciła go baczny spojrzeniem.

– Cunningham – przybrała ostrzejszy ton.

Chuckie niechętnie podniósł wzrok. Najwyraźniej nie był w dobrej formie. Miał cienie pod oczami, a ręka podrygiwała mu nerwowo. Udział w prawdziwej akcji to nie to samo co zgrywanie bohatera przed miejscowymi dziewczynami. Powinna była pomyśleć o nim wcześniej.

– Dobrze się sprawiłeś we wtorek – rzuciła lakonicznie.

– Wyważyłem te pieprzone drzwi – bąknął Cunningham. – Wszędzie zostawiłem ślady. Technicy z policji stanowej wrzeszczeli na mnie. A ten cały Sanders powiedział, że jestem beznadziejny.

– Sanders to dupek. Kierowałeś się sercem, Chuckie. Reszty nauczysz się z czasem.

Chuckie wbił wzrok w swoje kolana. Wciąż wydawał się bardzo zmartwiony. Zgłaszając się do służby, pewnie wyobrażał sobie, że będzie ratował ludziom życie i chronił ich przed złem. Nie przewidział frustrującego doświadczenia, jakim jest przybycie na miejsce zbrodni za późno, kiedy trzeba zmierzyć się z konsekwencjami przestępstwa. Rainie rozumiała go. Wiedziała, że George Walker nienawidził jej między innymi dlatego, że osobiście nie złożyła jemu i żonie wyrazów współczucia. Powinna była odwiedzić ich już pierwszego dnia, ale nie mogła się zmusić. Nie potrafiła usiąść na wytartej sofie i przemawiać do zrozpaczonego ojca i zalanej łzami matki. Po prostu nie potrafiła.

Odwróciła się do Luke'a. Wciąż obserwował dom Shepa. Starannie utrzymany, trzy sypialnie i garaż na dwa samochody. Stonowany szary kolor. Białe framugi okien. Jedno skrzydło drzwi do garażu było jaśniejsze. Pewnie to, które Hayes w środę odmalował. Rainie zastanawiała się, czy Shepowi i Sandy ten widok nie przypomina

znajdującego się pod farbą napisu.

– Musimy pogadać.

Luke kiwnął głową. Po wczorajszej długiej podróży wyglądał na zmęczonego. Nieogolone tak starannie jak zwykle policzki, pognieciony mundur. Mimo to spojrzenie miał bystre, a ręce pewne. Na policjanta Hayesa zawsze można było liczyć.

– Jak ci poszło w Portland?

Zmarszczył brwi.

– Myślałem, że złożę raport po pogrzebie.

– Daj spokój. Można chyba obserwować i mówić.

– Podobno. – Klepnął Chuckiego w kolano. – Przynieś nam kawę, Cunningham.

– Znowu?

– Trzy kubki. Ale tym razem dobrą. Musimy zaimponować agentowi. – Zerknął na odbicie Quincy'ego w lusterku.

– Ja poproszę czarną – dorzucił Quincy.

Chuckie pomamrotał coś pod nosem, ale wiedział, jak się zachować, kiedy go nie chcą. Wysiadł z wozu i ruszył w stronę sklepu spożywczego za rogiem.

– Przydałby mu się urlop – powiedział Luke w chwili, gdy żółtodziób zniknął im z oczu.

– Zauważyłam.

– To dobry dzieciak, Rainie. Tylko jak na pierwszy raz zobaczył za dużo.

– Co proponujesz?

Luke wzruszył ramionami.

– Dla chłopaka w tym wieku? Powinniśmy zabrać go parę razy na strzelnicę. A potem na piwo. Wyjdzie z tego.

– Stres, broń i alkohol – powiedział cierpko Quincy. – Ciekawe, dlaczego Związek Weteranów o tym nie pomyślał.

Luke uśmiechnął się.

– Myślisz, że lepiej mu zrobi sesja na kanapie u psychoanalityka, co? Już to widzę. Prędzej mi kaktus wyrośnie, niż Chuckie otworzy się

przed pajacem, który bierze stówę za godzinę. Przykro mi, agencie, ale czasem małomiasteczkowe gliny mają lepsze wycucie.

– No już dobrze. – Rainie pojednawczym gestem uniosła rękę. – Interesuje mnie twoje wczorajsze spotkanie z Avalonami. Opowiedz nam.

Luke natychmiast spowaźniał. Wypuścił powietrze, co zabrzmiało jak westchnienie, i znowu powędrował spojrzeniem w stronę domu Shepa. Wyglądał na zmartwionego.

– Jezu, Rainie, czemu nie zaczniesz od czegoś łatwiejszego?

– Jak ci się widzi pan Avalon w roli podejrzanego?

– Spędziłem trzy godziny w jego towarzystwie, ale niech mnie diabli porwą, jeśli wiem. Pani Avalon nie jest matką Melissy. Prawdziwa zmarła chyba przy porodzie. Więc, jak mówiłem, spotkałem się z Danielem Avalonem i macochą Melissy, Angeliną.

– Danielem Avalonem? – powtórzyła ze zdumieniem Rainie.

– Owszem – potwierdził ponuro Luke. – Dziwne, no nie? Naprawdę dziwne. Pan Avalon pochodzi z zamożnej rodziny. Sporo zainwestował w nieruchomości w środkowym Oregonie i podczas ostatniego boomu zarobił krocie. Mieszka z żoną w wiktoriańskim domu w Lake Oswego. Niezła chata, ale tak zavalona bibelotami, że bałem się kichnąć, żeby czegoś nie stłuc. Podali mi herbatę. W prawdziwej porcelanie. Pani Avalon wystąpiła w sukni z koronkowym kołnierzykiem i broszką z kameą. Wypisz, wymaluj bohaterka Jane Austin. Pan Avalon preferuje tweedy i nie pozwala żonie się odzywać, gdy nikt jej nie pyta o zdanie. Muszę jeszcze coś dodawać?

– Kiedy ostatnio sprawdzałam, pretensjonalności i snobizmu nie było na liście czynów karalnych.

– Mogę? – wtrącił się Quincy.

– Ależ proszę bardzo – powiedziała Rainie. Siedziała na tyle daleko od niego, na ile pozwalały warunki w samochodzie. Oboje udawali, że tego nie zauważają.

– Pan Avalon długo czekał z powtórny ożenkiem? Powiedzmy od dwunastu do piętnastu lat?

– Trzynaście – odpowiedział Luke. Spojrzał na Quincy’ego z ciekawością.

– O córce mówił z dumą, ale zawsze powracał do jej dzieciństwa? „W ósmym roku życia Melissa była najlepszą tancerką... Och, mała Melissa zawsze miała najśłodzy uśmiech. W szkole podstawowej wszyscy ją uwielbiali”. Niewiele wzmianek o dorosłej córce.

– Rzeczywiście, wszędzie stały jej zdjęcia, ale większość z czasów, kiedy była małą dziewczynką. Pierwsze lekcje baletu, dziesięcioletnia Melissa przy fortepianie. W tym stylu.

– Żadnych fotografii matki?

– Nie widziałem.

– Jej sypialnia nadal wygląda jak pokój dziecka? Mnóstwo różowych falbanek i pluszowych misiów?

– I klaunów. – Luke wzdrygnął się.

Quincy pokiwał głową.

– Podejrzewam, że związek pana Avalona z córką nie był zdrowy.

– Kazirodztwo? – Rainie spojrzała na Quincy’ego z niedowierzaniem. – Jezu, agespie, jak możesz spokojnie sypiać, mając takie skojarzenia?

– Nie jestem pewien – Quincy nie zareagował na zaczepkę – ale widzę tu wszystkie klasyczne oznaki. Dominujący ojciec mieszka samotnie z córką przez pierwsze trzynaście lat jej życia. Pozornie wydaje się najbardziej oddanym z rodziców. Jestem pewien, że gdyby popytać wśród sąsiadów i nauczycieli, wielu opowiedziałooby, jak blisko pan Avalon był ze swoją córką. Jak bardzo angażował się w jej życie. Ale w końcu przychodzi okres dojrzewania i koniec zabawy. Gdyby ciągnąć to dalej, mogłoby się skończyć ciążą.

A poza tym dziewczynka nabiera kobiecych kształtów, co wielu mężczyzn tego typu już nie interesuje. Więc pan Avalon postanawia wziąć sobie żonę, jakąś pasywną kobiecinę, żeby zamydlć ludziom oczy. Jednak uparcie trzyma się wspomnień o tym, co minęło. I zazdrośnie ich strzeże.

– Czy Avalon ma dostęp do komputera? – zapytała Rainie.

– W swoim biurze – odparł Luke.

– A gdyby Avalon rzeczywiście miał stosunki z własną córką, czy przeszkadzałby mu jej związek z Vander Zandenem?

– Przeszkadzałby mu jej związek z każdym mężczyzną. W pojęciu Avalona Melissa wciąż należy do niego.

– No właśnie. Dowiedział się, wpadł w szal...

– Ma alibi – przerwał stanowczo Luke.

Pod ich uważnym spojrzeniem przybrał niemal przeprasający ton.

– Szukałem, Rainie. Zostałem tam do jedenastej w nocy, żeby sprawdzić jego historijkę. Wkurzyłem chyba wszystkie grube ryby w mieście, ale nic nie wskórałem. Przez cały wtorek Avalon miał spotkanie służbowe. Jego sekretarka zaklina się, że to prawda, a wtóruje jej dwóch wysoko postawionych bubków. Od południa prawie do dziewiętnastej pracowali nad jakąś umową.

Rainie skubała zębami wargę.

– Miałeś czas sprawdzić, co robili świadkowie?

– Masz na myśli między północą a szóstą rano?

– Tu może chodzić o forszę – teoretyzowała Rainie. – Wygląda na to, że panu Avalonowi jej nie brakuje. Jeśli ci faceci prowadzą z nim regularnie interesy... Może zgodzili się potwierdzić jego wersję w zamian za kilka przysług.

– Możliwe. Ale nie wiem, jak udałoby nam się to udowodnić. Jest jeszcze jedna rzecz. Zapytałem Avalona, czy był kiedyś w Bakersville. Zdecydowanie zaprzeczył. Ale przed spotkaniem z nim pomyszkowałem trochę. Według stanowego urzędu skarbowego gość ma domek w okręgu Cabot, jakieś trzydzieści minut drogi stąd. Kiedy zacząłem naciskać, Avalon oświadczył, że to tylko myśliwska chata. Nigdy sam z niej nie korzysta, trzyma ją dla partnerów w interesach. Jego żona kiwała głową, jakby to miało jakieś znaczenie. Nie wiem. Coś mi tu nie gra, Rainie. Poważnie. Nie wiem, co o tym myśleć.

Luke znów wlepił spojrzenie w ulicę. Nagle w polu widzenia pojawił się nastolatek na rowerze. W workowatych dżinsach i luźnej sportowej bluzie prezentował się całkiem zwyczajnie. Ale miał ze sobą

plecak z zielonego płótna i uważnie wpatrywał się w dom O'Gradych.

– Jednego nie rozumiem – ciągnął Luke, uderzając palcem o kierownicę i nie spuszczać oczu z chłopaka. – Dlaczego teraz? Melissa Avalon miała dwadzieścia osiem lat. Jeśli Quincy ma rację i tatuś zamierzał zainterweniować, czy do tragedii nie powinno było dojść ładnych parę lat temu?

– Niekoniecznie – odpowiedział agent. On też zauważył rowerzystę. W tej samej chwili zza rogu wyłonił się Chuckie. Niósł tekturowe pudełko z czterema kubkami kawy. – To był pierwszy pobyt Melissy poza domem?

– Tak – potwierdził Luke.

– Więc wszystko jasne.

– Może za bardzo komplikujemy sprawę – zastanawiała się na głos Rainie, przesuając się na tylnym siedzeniu, żeby zyskać lepszy widok. – Pan Avalon ma motyw. Pan Avalon ma pieniądze. Tak się składa, że jego córka zginęła od pojedynczego strzału w głowę...

– Zabójstwo na zlecenie – dokończył za nią Quincy.

– A jeśli to nie miała być szkolna strzelanina? A jeśli zwerbowano Danny'ego dla zmylenia policji. Żeby stworzyć pozory, że nie chodziło o Melissę Avalon. Tylko że...

– Tylko że Danny przez przypadek zabił dwie dziewczynki – dodał cierpko Luke. Otworzył usta, żeby powiedzieć coś więcej, ale rzucił tylko: – Cholera.

Rowerzysta był już przed domem Shepa. Zwolnił. Zmienił pozycję. Plecak zsunął się...

Luke sięgnął do klamki w chwili, gdy Rainie próbowała wydostać się od swojej strony. Poniewczasie zdała sobie sprawę, że drzwiczki się zablokowały. Byli teraz z Quincym uwięzieni z tyłu policyjnego wozu. Chuckie zauważył, co się dzieje, i upuścił kawę. Rainie dostrzegła, jak sięga po broń.

– Nie! – wrzasnęła, bezsilnie waląc ręką w pancerną szybę. – Cholera, Chuckie, nie!

Chłopak zauważył nadbiegającego Luke'a. Odwrócił się i zobaczył,

że Chuckie sięga do kabury. Na twarzy rowerzysty odmalowało się osłupienie.

– Stój! – krzyknął Luke.

Nieznajomy z całej siły cisnął plecakiem w Luke'a i odjechał. Zaskoczony policjant zatoczył się do tyłu. Chuckie nadal kurczowo ścisnął broń. Z tej odległości Rainie nie mogła być pewna, ale wydawało jej się, że na policzkach żółtodzioba błyszczą łzy.

– Cholera, cholera, cholera – zaklął Luke. Odzyskał równowagę, ale rowerzysta skręcił już za róg i zniknął między domami. Z westchnieniem Luke wrócił do wozu, żeby uwolnić Quincy'ego i Rainie. Zebrali się wokół leżącego na chodniku plecaka. Nadbiegł Cunningham, dysząc ciężko.

– Co on zrobił? – zapytał i nerwowo potarł policzek. – Co jest w środku? Co się stało? Próbował czegoś?

– Po kolei – burknęła Rainie. Spojrzała na Luke'a. Wzruszył ramionami, przyklęknął i przytknął ucho do zielonego płótna.

– Nie słyszę tykania. – Podniósł plecak i zmarszczył brwi. – Nic nie brzęczy. Do diabła, to chyba jakieś książki.

Ostrożnie rozpiął suwak. Na chodnik wypadły dwa ciężkie tomy w pięknej skórzanej oprawie z bogatymi złoceniami. Biblia: Stary i Nowy Testament. Na załączonej kartce widniał napis: „Dla O'Gradych. Jezus wybacz”.
– O mój Boże – z trudem wydusił Chuckie. – O mało nie zastrzeliłem tego chłopaka.

– O mój Boże – z trudem wydusił Chuckie. – O mało nie zastrzeliłem tego chłopaka.

– Czas chyba, żebyśmy wszyscy dali sobie na wstrzymanie – powiedział łagodnie Quincy.

Luke zaniósł książki na ganek i położył przed drzwiami. Bez słowa wrócił za kierownicę wozu patrolowego, usadowił się tak, by nadmiernie nie rzucać się w oczy przechodniom i wlepił czujne spojrzenie w wylot ulicy.

Piątek, 18 maja, 11.27

Becky O'Grady ostrożnie położyła palec na zszywanym czarną nicią pluszowym pyszczku. Wielki Miś przyglądał jej się uważnie dużymi, złocistymi oczami.

– Ciii – szepnęła. – Musimy być bardzo cicho.

Wielki Miś nie zawiódł. Becky wiedziała, że nie lubi szafy. Zawsze bał się ciemności. Ale teraz starał się być bardzo dzielnym niedźwiadkiem. Nawet nie pisnął, gdy przekrecała gałkę, żeby uchylić drzwi.

Awantura w pokoju rodziców ucichła. Dziewczynka zamarła. Tata i mama kłócili się od dłuższego czasu. Chodziło o kogoś, z kim mama rozmawiała rano. Tata krzyczał, że nie powinna była tego robić. Dlaczego mu nie zaufa i nie pozwoli jemu zająć się wszystkim?

Mama była strasznie zdenerwowana. Powiedziała tacie, że ucieka od rzeczywistości. Becky nie wiedziała, co to znaczy, ale smuciło ją, że mama się złości, bo Becky też uciekała od rzeczywistości. Tak powiedzieli lekarze.

Może to jakaś choroba. Może dlatego Jenny nie przychodzi już się bawić. Jak kiedy Becky miała ospę. Też nikt nie mógł jej odwiedzać. I skóra tak bardzo ją swędziała. Becky chciała się bez przerwy drapać, a

mama kazała jej siedzieć w wannie z gorącą wodą i mąką owsianą. Becky nienawidziła ospy. Chociaż babcia upiekła wtedy ciasto. Z kremem bananowym. I Danny'emu nie wolno było go tknąć, dopóki Becky mu nie pozwoliła. To było całkiem fajne.

Teraz myśl o Danny'emu sprawiła, że dziewczynka poczuła się nieswojo. Mocniej przytuliła Wielkiego Misia.

Kłótnia znów się zaczęła. Tata krzyczał, że mama nie troszczyła się jak należy o Danny'ego. Mama krzyczała, że to wszystko wina taty.

– Skąd Danny wziął broń, Shep? Powiedz mi, skąd on wziął broń?

Becky wślizgnęła się do ciemnego wnętrza szafy. Zamknęła drzwi. Światło i głosy zniknęły. Położyła się na starym kocu, który pościeliła tam dla niej mama, i objęła z całych sił Wielkiego Misia.

Czasem, kiedy siedzieli tak po ciemku, tylko ona i Wielki Miś, znowu mogła oddychać. Ten dziwny ciężar, gdzieś zniknął, i już nie czuła się tak źle. Była bezpieczna. Spokojna. Tutaj, w ciemności, nikt nie zdoła zrobić jej krzywdy.

Mogła zamknąć oczy, a wtedy złe myśli odchodziły. Mogła czuć, że lata i rozmyślać o kotkach, chmurach i wszystkich ulubionych rzeczach.

Dzisiaj też spróbowała tej sztuczki. Zaciśnęła mocno powieki. Przytuliła policzek do miękkiego łebka. Ale nic się nie działo. Żadnego latania. Była nadal dziewczynką, ukrytą w śmierzdzącej starymi butami szafie.

I widziała Sally i Alice. Leżały na podłodze. Potem zobaczyła śliczną pannę Avalon.

A potem podniosła wzrok...

Becky zakwiliła. Wtuliła twarz w futerko Wielkiego Misia.

– Bądź dzielny – rozkazała mu. – Bądź dzielny. Bądź dzielny. Siedź cicho. Wielki Miś był bardzo dzielnym niedźwiadkiem. Siedział cicho, gdy kołysała się z nim w objęciach, a jej rodzice kłócili się w salonie. Siedział cicho, gdy pojękując, toczyła bój z potworami. I siedział cicho, gdy płakała. Wciąż widziała za dużo. Na przykład, co się stało ze śliczną panną Avalon.

Bolała ją buzia po tamtej sałatce. Bolały plecy i ramiona od spania w

szafie. Ale Becky nie poddawała się. Była twarda. Tata lubił powtarzać, że jest taka jak on. Prawdziwy z niej wojak.

Nie wiedziała, co to znaczy wojak. Ale chciała być taka jak tata – duża, silna i odważna. Musi być taka jak on.

Musi wytrzymać. Musi obronić Danny'ego.

Nabożeństwo żałobne za Sally Walker i Alice Bensen miało się rozpocząć o trzynastej w małym, białym kościółku episkopalnym przy Fourth Street. Ale gdy już przed południem ławki, przedsionek, trawnik i parking wypełniły się ubranymi na ciemno mieszkańcami miasteczka, pastor Albright przeniósł całą ceremonię na cmentarz. Grabarze szybko rozbili na wzgórzu namioty. Niebieskie płótno łopotało jak oszalałe, szarpane silnym powiewem znad oceanu.

Ale nikt nie narzekał. Wciąż nadjeżdżały samochody. Ogorzali farmerzy w niedzielnych garniturach, prowadząc żony pod rękę, z pochylonymi głowami brnęli pod wiatr. Drużyna koszykarska szkoły średniej w Bakersville, w szeregach której święcił triumfy brat Alice Bensen, wraz ze swym trenerem, wujkiem Sally Walker, ustawiła się jako gwardia honorowa. Koledzy George'a Walkera z bractwa Elks czekali w grupie na zakończenie uroczystości, by zająć się przetransportowaniem stosów kwiatów do domów okrytych żałobą.

Panie z kościoła episkopalnego rozdawały programy. Ciągłe napływały kartki z kondolencjami i domowe wypieki na stypę.

Rainie obserwowała wszystko z oddali. Ale nawet z miejsca, gdzie stała, widok dwóch świeżo wykopanych na zielonym stoku grobów, tonących w czerwonych i białych kwiatach, nie dawał jej spokoju. Zauważyła, że Quincy też trzyma się na dystans. Dziwiła się, że w sytuacji, kiedy jego własna córka umierała, w ogóle przyszedł na pogrzeb. Następną godziną na pewno nie będzie dla niego łatwa.

Widocznie agent FBI lubił testować swoją wytrzymałość.

Pojawił się też Sanders. Zajął stanowisko po wschodniej stronie wzgórza, gdzie prowadziła na cmentarz boczna uliczka. W swoim

granatowym garniturze wprost idealnie wtopił się w tłum żałobników.

Zgodnie z umową tylko Rainie tego dnia ubrała się w mundur. Sanders i policjanci z Cabot w cywilnych strojach mieli za zadanie obserwować uroczystość, nie rzucając się w oczy rodzinom ofiar.

Nikt nie spodziewał się żadnych burd podczas samego pogrzebu. Ale Rainie i burmistrz obawiali się tego, co mogło nastąpić później, kiedy wzburzeni ludzie wyjdą z cmentarza i wypiją w barze po parę drinków. Alkohol i broń nigdy nie stanowiły dobrej kombinacji, a co gorsza w Bakersville nie brakowało ani jednego, ani drugiego.

Policjanci z Cabot dostali rozkaz, żeby obserwować tłum. Później trzeba będzie mieć na oku tych, którzy najbardziej mącą. Burmistrz nie chciał ryzykować. Nie teraz, kiedy do tego stopnia wzrósł popyt na strzelby.

Zgodnie z sugestią Quincy'ego policjanci wypatrywali też osoby, która odstawałaby od reszty żałobników. Może białego mężczyzny w średnim wieku, jakoś niepasującego do otoczenia. Może kogoś, kto za dobrze by się bawił na pogrzebie. Kto byłby na tyle głupi, żeby patrzeć na trumny z uśmiechem.

Rainie nie wierzyła, że będą mieli aż tyle szczęścia, ale Quincy nalegał. Istniała duża szansa, że zbrodniarz nie odmówi sobie przyjemności udziału w pogrzebie.

Złapała się na tym, że wraca myślami do ubiegłej nocy. Nagłe przebudzenie. Wysoki, groźny cień na werandzie... Ostatnio zawodziły ją nerwy.

Przez tłum przeszedł szum. Rainie otrząsnęła się z zadumy i skupiła uwagę na zielonym cmentarzu. Właśnie nadjechała kolumna samochodów. Dziewczynki i ich rodziny.

Pierwszy wysiadł George Walker. Był postawnym mężczyzną o zaczerwienionej, szerokiej twarzy i nabiegłych krwią oczach. Obszedł samochód, żeby otworzyć drzwiczki żonie. Jean Walker, drobna w przeciwieństwie do męża, bezwładnie wspierała się na jego silnym ramieniu, gdy prowadził ją przez trawnik. Poczekali razem na Bensenów, którym wyjście z wozu zajęło dużo więcej czasu. Rainie nie

znała Josepha i Virginii, rodziców Alice. Słyszała tylko o ich synu, Fredericku, którego Frank i Doug entuzjastycznie zachwalali jako najlepszego od lat koszykarza w Bakersville High. Większość mieszkańców miasta z zapartym tchem śledziła jego osiągnięcia sportowe.

Rainie zwróciła uwagę na wyraźnie nordyckie rysy tej rodziny. Oboje Bensenowie szli wyprostowani, z uniesionymi głowami. Nie spuścili wzroku, gdy wystąpiła do przodu gwardia honorowa, a Frederick ugiął swe długie nogi, by dźwignąć trumnę z ośmioletnią siostrzyczką, którą miał nieść na miejsce wiecznego spoczynku.

Dziesięć minut później pastor oficjalnie rozpoczął uroczystość.

Rainie zerknęła na Quincy'ego. Nie był już na służbie. Jego wzrok sięgał gdzieś daleko, gdzie drzewa tworzyły niebieskawą linię. Po policzkach agenta FBI spływały łzy.

Pastor umilkł. Młody człowiek, którego Rainie nie rozpoznała, wstał i pomógł jakiejś starszej pani podejść do mikrofonu. Wiatr opinał czarną jedwabną sukienkę na jej okrągłych kształtach. Dotarłszy na mównicę, kobieta otworzyła książkę i odchrząknęła. Przedstawiła się jako ciotka Alice Bensen i zaczęła czytać tekst, który wybrała na pożegnanie dziewczynek. Był to urywek o przyjaźni z *Kubusia Puchatka*.

Tego Rainie już nie wytrzymała. Ona też musiała odwrócić wzrok. Oprzytomniała dopiero, gdy do mikrofonu zbliżył się Vander Zanden.

Stojąc przed liczącym prawie osiemset osób tłumem, wydawał się zupełnie wytrącony z równowagi. Spisał swoją mowę i kartka drżała mu teraz w dłoniach. Ale Rainie nie potrafiła wykrzesać w sobie ani krzty współczucia dla tego człowieka. Przyglądała się uważnie jego żonie, która przez ostatnie czterdzieści pięć minut z czułością próbowała dodać mu otuchy. Abigail Vander Zanden była trochę zbyt pulchna i wyglądała niezbyt atrakcyjnie w niemodnej granatowej sukience, ale miała dobrotliwy uśmiech i błyszczące niebieskie oczy. Wydawało się też, że jest naprawdę dumna ze swego męża. Ten widok sprawił, że Rainie poczuła do niego jeszcze większą antypatię.

Dzisiaj nie ma zwycięzców, pomyślała z rosnącym przygnębieniem.

Liczyła na jakieś wielkie odkrycie. Wyobrażała sobie, że stanie przed tymi ludźmi i powie im dokładnie, co wydarzyło się we wtorek. I dlaczego. Nie mijaliby już gmachu szkoły z bolesnym lękiem. Nie zastanawialiby się przy śniadaniu, co dzisiaj może przydarzyć się ich dzieciom. Nie zadawaliby potwornych pytań, dlaczego trzynastoletni chłopcy nagle strzelają do swoich kolegów.

Tymczasem Rainie stała na szmaragdowym wzgórzu, na jedynym cmentarzu w Bakersville, czując na twarzy uderzenia wiatru i przysłuchując się posępnej pieśni w wykonaniu czternastoosobowego chóru. Frederick Bensen rozplakał się i matka przytuliła go jak małe dziecko.

W końcu zapadła cisza, ale ludzie nie ruszali się z miejsc. Znow wystąpił pastor Albright. Odchrząknął i powiedział, że uroczystość dobiegła końca.

Powinien tu być Danny, pomyślała Rainie. Danny, Shep, Sandy, Becky i, do diabła, Charlie Kenyon, i ten tajemniczy facet w czerni, i każdy chłopak, który miewa ochotę wziąć do ręki broń i pociągnąć za spust. Oto śmierć. Oto strata. Oto chwila, gdy wszystko staje się realne. Dlaczego na pogrzebie jest tak niewiele dzieci? Większość z nich potrafi odebrać życie. Czemu rodzice nie chcą im pokazać, co to naprawdę znaczy?

W końcu bezruch został przełamany. Ludzie zaczęli niechętnie wysypywać się z namiotu. A potem, jak po przerwaniu tamy, ruszył cały tłum.

Rainie rozejrzała się, próbując dostrzec policjantów. Nadal nie widziała nic podejrzanego. Powoli podeszła do Quincy'ego, którego policzki były już suche, a twarz spokojna.

– Gotowa? – zapytał.

Chyba oboje wiedzieli, że nie.

– Najpierw Mann. Potem Vander Zanden.

– W porządku.

Rainie zawahała się ostatni raz. Jej wzrok wciąż czegoś szukał. W końcu uświadomiła sobie, że bezwiednie obserwuje sylwetki różnych

mężczyzn. Środek nocy. Postać w czerni na werandzie...

Pokręciła głową i odpędziła ten obraz. Ale gdy schodzili ze wzgórza, nie przestawała się rozglądać.

Richarda Manna znaleźli przy namiocie. Stał tam z czterema nauczycielkami z K-8. Bez słowa dyskretnie opuścił towarzystwo i dołączył do Quincy'ego i Rainie. Zatrzymali się za kępą sosen.

– Miło pana znowu widzieć, panie Mann – przywitała go uprzejmie Rainie. Na pogrzebie nie wypadało odgrywać złej policjantki.

– Rozmawialiście z Charliem Kenyonem? – zainteresował się Mann.
– Miał z tym coś wspólnego?

– Rozmawialiśmy. – Przyglądała mu się chłodnym okiem, ale nadal nie bardzo wiedziała, co o nim myśleć. – Obawiam się, że to ślepa uliczka. Charlie prawdopodobnie nie brał w tym udziału.

– Naprawdę? A byłem taki pewien... – Psycholog sposepniał. Westchnął ciężko i potarł twarz. Wyglądał mizernie i Rainie ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że Mann przejmuje się dużo bardziej, niż jej się wydawało. – Ta historia nie daje mi spokoju – wyznał nagle.

– A co dokładnie, panie Mann? – zapytał Quincy.

– Ciągle o tym myślę i nie mogę sobie wyobrazić, żeby Danny mógł dopuścić się morderstwa. I nie dlatego, że jestem jego psychologiem i czuję się winny. Chodzi o coś więcej... Owszem, Danny miał problemy z kontrolowaniem złości. – Młody człowiek wykonał gest, jakby szukał lepszych słów. – Ale agresja fizyczna jakoś do niego mi nie pasuje. Danny jest maniakiem komputerowym, a nie łobuzem. Gdyby chciał się odegrać na szkole czy w ogóle na dorosłych, wydaje mi się, że wymyśliłby coś sprytniejszego. Może włamałby się do szkolnej bazy danych i zrobił bałagan w ocenach. Albo dostałby się do sieci wydziału komunikacji i odebrał prawo jazdy Vander Zandenowi. Coś pomysłowego. Po prostu... po prostu nie mogę sobie wyobrazić, żeby posunął się do morderstwa.

– Danny od najmłodszych lat miał do czynienia z bronią – powiedziała Rainie. – Zna się na niej nie gorzej niż na komputerach.

– Domyślam się. – Ale Mann nie wyglądał na przekonanego. – A co

z panem Avalonem?

– Zgłosił się po ciało. Zdaje się, że planuje nabożeństwo za duszę córki.

– Ach tak? – Mann znowu wydawał się zaskoczony. – Musiałem źle zrozumieć. Melissa jest jedynaczką? Co za cios dla rodziców.

Rainie zaczęła odpływać myślami. Tak jak przypuszczała od początku, Richard Mann wiedział niewiele. Pozując na eksperta, chciał zatuszować swoje błędy albo, co też możliwe, brak doświadczenia. Przecież to po prostu urzędnik publiczny, którego przerosła sytuacja. Podobnie jak i ją policjantkę Lorraine Conner.

– Mamy powody sądzić, że w strzelaninę zamieszany był ktoś jeszcze – wyrwał się Quincy.

– Naprawdę? – Mann uniósł brwi, a Rainie posłała agentowi druzgocące spojrzenie. Nie widziała potrzeby udzielania tego typu informacji.

– A więc miałem rację! Danny nie zrobiłby czegoś takiego. No ale kto? Inny uczeń? Nie pamiętam, żeby chłopiec wspominał o kimś szczególnym. Nie miał w szkole wielu kolegów. Pozostaje więc ta osoba z Internetu, ta od wulkanów. Przyjaźnie internetowe mogą być bardzo silne.

– Naszym zdaniem te kontakty nie ograniczały się do Internetu, panie Mann. Myślmy, że Danny mógł spotykać się z tym kimś. Wiedział pan o tym?

Rainie z trudem powstrzymała się, żeby nie przydepnąć Quincy'emu stopy. Co on, do diabła, wyprawia? Ale agent wciąż świdrował oczami Richarda Manna. Wyglądał jak pies gończy na tropie.

– Nie – odpowiedział szybko szkolny psycholog, spuszcżając wzrok. – Nigdy o tym nie słyszałem.

– Naprawdę? To dziwne – Quincy udawał, że myśli na głos. – Widuje się pan z chłopakiem dwa razy w tygodniu. Wie pan, że Danny dostaje maile od kogoś, kto jest dla niego ważny. Dzieciak nie wspomina o żadnych spotkaniach, a pana to nie ciekawi?

Richard Mann rozglądał się, jakby szukał drogi ucieczki.

– Posiada pan broń? – włączyła się Ramie, wreszcie pojmując, o co tu chodzi. – Ile ma pan wzrostu? Metr siedemdziesiąt siedem, metr osiemdziesiąt? To by pasowało.

– To by pasowało? Co? – zwróciła się od niechcienia do Quincy'ego. – Mówił, że jest z Los Angeles. Pewnie zna się na broni lepiej niż ty i ja razem wzięci.

– W ogóle się nie znam! Los Angeles nauczyło mnie tylko jednego: wstrętu do hałasu. Czemu mi się tak przyglądacie? O co wam chodzi?

– To nie Danny zastrzelił Melissę Avalon – powiedziała stanowczo Rainie. – Mamy dowody, że zabił ją ktoś, kto ma co najmniej metr sześćdziesiąt pięć. No więc, gdzie pan był we wtorek po południu? I jaki dokładnie charakter miały pańskie stosunki z Melissą?

– Myślicie, że ja...

– Myślałam, że ucieszy pana ta wiadomość. Tak się pan martwił, że jeden z uczniów popełnił morderstwo. No więc teraz może pan być spokojny. To nie on. – Głos Rainie zaostrzył się. – Wtorek po południu. Gdzie byłeś, Richard?

– W moim gabinecie, już mówiłem. To jakieś szaleństwo! Za każdym razem, kiedy próbuję pomóc...

– Danny wspominał ci kiedyś, że spotkał się ze swoim korespondentem? – kontynuował bezlitośnie Quincy. – Z nowym kolegą? Z kimś spoza miasta?

– Nie pamiętam...

– No Lava, panie Mann. Wiedział pan, że Danny dostawał maile. Wzbudziły pana podejrzenia, prawda? Danny powiedział coś, co pana zastanowiło, ale pan to zlekceważył. A teraz się pan boi. Pokpił pan sprawę. Był pan jego psychologiem i zawiódł go.

Richard Mann zaczął ciężko oddychać. Nad górną wargą pojawiły się krople potu.

– Ja... ja...

Quincy pochylił się do przodu. W pełni kontrolował sytuację. Jego głos zabrzmiał nieco metalicznie.

– Stoi pan kilkadziesiąt metrów od grobów dwóch zamordowanych

dziewczynek, panie Mann. Wziął pan udział w pogrzebie. Zmówił za nie modlitwy. Proszę nam pomóc rozwiązać zagadkę ich śmierci. Niech pan wreszcie powie prawdę.

Szkolny psycholog zadrżał. Rozglądał się gorączkowo. Znikąd pomocy. Był tylko on i dwoje funkcjonariuszy organów ścigania. Quincy przedarł się wreszcie do ciemnych zakamarków jego sumienia. Richard Mann podniósł wzrok. Wyglądał na zawstydzonego. – Nie powiedział mi tyle, żebym mógł interweniować – wybąkał. – Przysięgam, gdybym wiedział, co się stanie...

– Wyduś to z siebie – rozkazała Rainie.

– Zapytałem raz Danny'ego, czy naprawdę wie, kto to jest ten No Lava. Podzieliłem się z nim moimi obawami co do przyjaźni z nieznajomym, który jest tylko adresem emailowym. A jeśli to jakiś sześciolatek albo sprośny staruch... chociaż nie wyraziłem się tak dosadnie.

– A co Danny na to?

– Powiedział: ona jest w porządku. A kiedy próbowałem mu wyjaśnić, że w tym właśnie rzecz, że w Internecie można się podać za kogokolwiek, zrobił taką dziwną minę. Zaintrygował mnie. Wtedy myślałem, że to tylko poza. Ale po wtorku zacząłem się zastanawiać. A jeśli się myliłem? A jeśli po prostu chłopak był pewien, że zna prawdę... Może spotkał się z tą osobą?

– Dlaczego do diabła nie wspomniałeś nam o tym wcześniej?

– To była tylko teoria! – zapewnił Mann.

– O innych swoich teoriach nam powiedziałaś.

– No Lava to co innego. Widziałem emaile! A o Melissie i jej ojcu powtórzyłem tylko, co słyszałem. Skąd miałem wiedzieć, że to plotka?

Rainie prychnęła z irytacją. Cholerny psycholog amator o mało nie spieprzył dochodzenia. Rzuciła mu bezlitosne spojrzenie. Spuścił głowę.

– Czy jest jeszcze coś, o czym chciałbyś nam powiedzieć?

– Nie – odparł potulnie. – To wszystko.

– Wiesz, kiedy Danny mógł spotkać się z tą osobą? Albo kiedy zaczęli korespondować?

Pokręcił gorliwie głową. Cały czas nie śmiał spojrzeć Rainie w oczy.

– Richard, korzystasz z Internetu? Dostałeś kiedyś email od panny Avalon?

– Właśnie kupiłem pierwszy komputer. Idzie mi całkiem nieźle, ale nie czuję się jeszcze zbyt swobodnie w sieci. Właściwie myślałem, żeby wziąć kilka lekcji u Danny'ego. Moglibyśmy w ten sposób nawiązać bliższy kontakt.

– Nigdy nie dostałeś emaila od panny Avalon? – powtórzyła Rainie.

– Nie. A dlaczego?

– To wszystko. Z tobą skończyliśmy. – Wykonała rękami żartobliwy gest, jakby chciała powiedzieć „a kysz!”. Richard Mann skinął głową, poczekał jeszcze chwilę na wypadek, gdyby policjantka zmieniła zdanie i odmaszerował w stronę, gdzie czekały jego znajome. Bez wątpienia powie im, że udzielił bezcennej pomocy władzom prowadzącym śledztwo w sprawie tej ohydnej zbrodni. Bez wątpienia koleżanki wygładzą mu nastroszone piórka i przywrócą poczucie, że jest wspaniałym facetem. Rainie osobiście miała dość jego niekompetencji.

Odwróciła się do Quincy'ego. Potarła skronie.

– Kobieta? Skontaktowała się z Danny'm za pośrednictwem adresu emailowego Melissy Avalon. Raczej trudno uwierzyć, że panna Avalon pomogła zaplanować własną śmierć, prawda?

– Racja. Wiadomo natomiast, że adresy emailowe nie stanowią szczególnej komplikacji. Czy jakaś sztuczka w tej dziedzinie nie byłaby dobrym sposobem, żeby zaimponować początkującemu hackerowi, takiemu jak Danny?

– Otóż to. A tak z ciekawości, czy wiesz, kto to zrobił?

– Nie mam pojęcia.

– Myślisz, że to rzeczywiście kobieta? Dzieci wspominały o tajemniczym facecie w czerni, a nawet siedmiolatek powinien rozróżniać płeć.

– Chyba że w grę wchodzi przebranie. – Quincy miał na twarzy dziwny uśmiech. – Przebieranki wśród psychopatów nie są tak rzadkie, jak mogłoby się wydawać.

– Świetnie, jeszcze więcej dwuznaczności. Tego właśnie nam potrzeba. Teraz Vander Zanden? A może pani Vander Zanden?

– Jak najbardziej. Prowadź.

Rainie odwróciła się i wpadła na jakiegoś mężczyznę. Właśnie miała przeprosić, kiedy podniosła wzrok i zdała sobie sprawę, kto to. Przed nią stał George Walker. Jego mięsista twarz była zaczerwieniona. Policzki nosiły ślady łez. Podniósł rękę i wycelował palec w Rainie. Zdziwiło ją, jak bardzo drżał na całym ciele.

Poczuła suchość w gardle. Próbowwała przełknąć ślinę, wydusić z siebie jakieś składne powitanie. Ale zrozpaczone spojrzenie oczu George'a Walkera sprawiło, że zupełnie straciła głowę.

– Co... zrobiliście... dla mojej... córki? – wycodził.

– Pracujemy bardzo intensywnie, proszę pana.

– Zmarnowaliście wszystkie dowody! – ryknął George Walker. Ludzie, zaintrygowani jego krzykiem, zaczęli się gapić na Rainie i Quincy'ego. Żona George'a pobladła i ruszyła w ich stronę szybkim krokiem.

– Przepraszam, panie Walker. Wiem, że to bardzo trudne...

– Ten gówniarz zabił moją córkę, a wy nie chcecie go zamknąć. Myślicie, że nie wiem? Myślicie, że wszyscy w Bakersville nie wiedzą? Zabił nasze dziewczynki, a wy go chronicie. Zastrzelił je, a wy próbujecie go uniewinnić.

– George, George. – Pani Walker położyła małą dłoń na ramieniu męża, jakby mogła go powstrzymać. Rzuciła Rainie błagalne spojrzenie.

– Przepraszam – szepnęła Rainie.

– Przepraszam! Nawet nie przyszłaś do nas. Nasze dzieci zamordowano z zimną krwią, a ty nawet nie złożyłaś kondolencji!

– George, twoje serce. George...

– Panie Walker – spróbował Quincy.

– Ile razy byłaś u O'Gradych? Ile razy odwiedzałaś tego gówniarza? Moja mała, moja mała. Moja córeczka. Zabił ją, a ciebie to nic nie obchodzi.

– Pracujemy... bardzo intensywnie, panie Walker...

– Współczujesz mu, co? Przecież też jesteś morderczynią!

– George! – Pani Walker wyglądała na autentycznie zrozpaczoną. Rainie stała jak sparaliżowana. Nie potrafiła odpowiedzieć. Nie miała siły, żeby się ruszyć.

– Zaskarżą cię – wściekał się George Walker. Zaskarżę cię, szkołę i Shepa O’Grady. Patrzyliście przez palce na mordercę i to trwało za długo. Bakersville zasługuje na sprawiedliwość! Moja córka zasługuje na sprawiedliwość! Sally, Alice i panna Avalon. Sally, Alice i panna Avalon. Sally, Alice i panna Avalon.... – Głos załamał mu się. Ramiona zaczęły drżeć. Odwrócił się do żony, oplótł jej kruchą postać potężnymi ramionami i zapłakał.

A Rainie stała jak sparaliżowana i znosiła to wszystko.

Zdawała sobie sprawę, że teraz już wszyscy się na nich gapią. Ludzie pożerali wzrokiem skandaliczną scenę, starali się zapamiętać szczegóły, układali sobie w głowach relację dla znajomych. I zdawała sobie sprawę, że Quincy też na nią patrzy. Jego spojrzenie było życzliwe, wyrozumiałe. Ale bolało najbardziej.

– Musisz stąd odejść – szepnął.

– Nie mogę.

– Rainie, nie pomagasz mu.

Powoli skinęła głową. George Walker wciąż szlochał w ramionach żony. Jean popatrzyła prosto na Rainie, jakby potakując słowom jej towarzysza. Idź już, odejdz, zanim jeszcze pogorszysz sytuację.

Rainie odwróciła się i zaczęła schodzić ze wzgórza. Quincy ruszył za nią. Ludzie wciąż się gapili. Po raz pierwszy w życiu nie odpowiadała na ich spojrzenia.

Szła dalej i z tylko sobie znanych powodów czuła się zawstydzoną.

Piątek, 18 maja, 17.04

Rainie, Luke Hayes, Sanders i Quincy zebrali się na strychu ratusza na naradę zespołu dochodzeniowego. Rainie już od trzydziestu minut porządkowała papiery. Drewniana podłoga zasłana była szczątkami żółtych ołówków H2, które przyciągały zatroskane spojrzenia Sandersa i Quincy'ego. Natomiast Luke ledwo zauważał ten bałagan. Już ładnych parą lat pracował z policjantką Conner.

Rainie zajęła miejsce za prowizorycznym biurkiem i energicznie rozłożyła przed sobą notatki.

– Gotowi?

Trzej mężczyźni zasiedli na metalowych krzeselkach i kiwnęli głowami.

– Zaczniemy od nowych informacji o podejrzanych, bo wiem, że zebrało się tego trochę. Potem zajmiemy się dowodami i na koniec omówimy nasze teorie. Jasne?

Wszyscy przytaknęli. Rainie przeszła do rzeczy:

– Podczas ostatniej narady przydzielono mi Charliego Kenyona i Richarda Manna. Jako ewentualny podejrzany Charlie odpada. We wtorek nie było go w mieście. Odwiedzał w Portland swoją dziewczynę, co potwierdzili jej rodzice. Jak przeczytacie w moich notatkach – rozdała

kopie spisanego odręcznie przesłuchania – czasami zadawał się z Dannym, ale jestem skłonna uwierzyć, że nie miał pojęcia o planach zamachu. Przyłapaliśmy go na posiadaniu narkotyków. Gdyby wiedział coś konkretnego, sprzedałby nam tę informację, żeby uratować tyłek.

– Charlie, Charlie, Charlie – mamrotał Luke.

– No właśnie. Więc Charliego można wykluczyć. Zostaje nam Richard Mann. Sprawdzalam podstawowe dane. – Rainie rozdała nowe kopie. – Mann nie jest notowany. Ani w Oregonie, ani w Kalifornii nie jest zarejestrowany jako posiadacz broni. Zadzwoiłam do szkoły, w której odbywał praktykę w zeszłym roku. Usłyszałam tylko hymny pochwalne. Majami przesłać jego *dossier*, ale nie sądzę, żeby to cokolwiek zmieniło. Do tego sekretarka w K-8, Marge, potwierdza alibi Manna. Widziała, jak na początku przerwy wchodził do siebie z kanapką w ręku. Nie opuszczała sekretariatu, który łączy się z gabinetami psychologa i Vander Zandena, aż padły pierwsze strzały. Powiedziała też, że według dobrze poinformowanych plotkarskich kręgów, między szkolnym psychologiem a panną Avalon nic nie było.

– Czy to nie dziwne? – odezwał się Sanders. – Oboje młodzi, oboje obcy w tym mieście. Przynajmniej mogliby się zaprzyjaźnić.

– Jasne, czemu nie? – zgodziła się Rainie. – Chyba że Vander Zanden od razu wkroczył do akcji i Avalon straciła zainteresowanie nowymi znajomościami. Nie wiem. Jeszcze popytam, ale nie robię sobie większych nadziei. W skali jeden do dziesięciu, gdzie dziesięć oznacza sukinsyna, którego zapuszczujemy do końca życia, daję Richardowi Mannowi trzy punkty, chociaż nie mam na niego nic konkretnego. Tyle tylko, że zataił przed nami pewne informacje. – Rainie wzruszyła ramionami. Robiła co mogła, ale na razie nie bardzo miała się do czego przyczepić. – A co z dyrektorem Vander Zandenem? Sanders?

– Nadal bez zmian – poinformował detektyw, otwierając kolorową teczkę, i też rozdał wszystkim teksty przesłuchania. Rainie zauważyła, że jego notatki są drukowane... Ładną czcionką. – Alibi Vander Zandenowi na czas strzelaniny daje również szkolna sekretarka, Marge. Twierdzi, że widziała, jak Vander Zanden wszedł do swojego gabinetu i

zamknął drzwi. Było to pod koniec przerwy obiadowej. Kilka minut później, kiedy padły strzały, wybiegł z gabinetu i dołączył do Marge na korytarzu.

– Facet jest czysty – uznał Luke.

Sanders pokręcił głową.

– Nic pewnego. Zarówno w gabinecie Richarda Manna, jak i dyrektora Vander Zandena udało mi się coś zauważyć. – Rzucił Rainie wymowne spojrzenie. – Okna są tam na tyle duże, że może przedostać się przez nie dorosły mężczyzna. A gdyby tak któryś z nich wyslizgnął się ze swojego gabinetu przez okno, wszedł do szkoły bocznym wejściem i zaskoczył pannę Avalon w jej klasie? Teoretycznie mógłby wykorzystać Danny'ego dla odwrócenia uwagi, a samemu wybiec z budynku i wrócić do gabinetu przez okno. Ten scenariusz tłumaczy, dlaczego niektóre dzieci widziały mężczyznę w czerni, ale nikt z mieszkańców okolicznych domów nie dostrzegł, żeby facet uciekał przez ich podwórka. Gorzej, że oba okna wychodzą na szkolny parking. Jakie są szanse, że dorosły mężczyzna wydostałby się niepostrzeżenie przez któreś z nich?

– Zdarzały się dziwniejsze rzeczy – powiedział Luke, wzruszając ramionami, ale nikt go nie poparł. Szanse były raczej mizerne.

– Znalazłby się też motyw – kontynuował Sanders. – W dzienniku Avalon wyczytałem, że piękna Melissa zaczynała mieć wątpliwości co do dalszego związku z Vander Zandenem. Ostatni wpis poświęcony jest konieczności znalezienia terapeuty. No wiecie, żeby uporać się z rolą ojca w jej życiu.

– Powiedziała o tym Vander Zandenowi? – zapytał Quincy.

– Nie wiem. Nic nam nie wiadomo o korespondencji między nimi. Poza tym nie mogę znaleźć żadnych bliskich przyjaciół, powierników, którzy potrafiliby powiedzieć coś więcej o stanie psychicznym Avalon. Według współpracowników była miła, ale trzymała się na uboczu. Z rachunków telefonicznych nic nie wynika. Ani śladu potwierdzenia, że dzwoniła do Vander Zandena, więc albo kontaktowali się wyłącznie osobiście, albo za pośrednictwem komputera. A komputery są

wyczyszczone.

– Mamy więc całkiem prawdopodobny scenariusz – podsumowała Rainie. – Avalon chciała zerwać z Vander Zandenem, a on postanowił się zemścić i zaplanował jej morderstwo pod przykrywką szkolnej strzelaniny. Ale w tej sytuacji musiałby skłonić Danny’ego, żeby go krył, zatrzeć ślady we wszystkich komputerach w pracowni i wymknąć się z gabinetu, by popełnić morderstwo. – Zmarszczyła brwi. – Skomplikowane, choć nie niemożliwe.

– Daj mu sześć punktów – powiedział Sanders. – Miał motyw i sposobność. Na nazwisko Vander Zandena zarejestrowano co prawda tylko strzelbę, dwudziestkę dwójkę, ale posiadanie lewej broni nie jest taką znowu rzadkością. Jeśli już facet obmyśla zawiązać zbrodnię, może równie dobrze kupić czarnorynkowy pistolet.

– Racja – rzuciła oschle Rainie. Już miała oddać głos Luke’owi, gdy wtrącił się Quincy.

– A co z panią Vander Zanden?

– To znaczy? – zapytał Sanders.

– Może wiedziała o romansie męża? Czy sąsiedzi wspominają o jakichś małżeńskich niesnaskach?

– Eee... – Choć raz nieskazitelny detektyw wyglądał na zbitego z tropu. – Będę musiał to jeszcze sprawdzić.

Rainie poczuła przyływ złośliwej satysfakcji. A więc jednak Sanders nie wiedział wszystkiego. Kto by pomyślał.

Wróciła do listy podejrzanych.

– Luke, przekaz Sandersowi najnowsze informacje o Danielu i Angelinie Avalonach.

Hayes odwrócił się do Sandersa. Nie miał notatek ani kopii do rozdania, a wyraz jego twarzy wyraźnie świadczył o uczuciach, jakie budziły w nim kolorowe teczki kolegi z policji stanowej.

– Angelina Avalon jest macochą Melissy – zaczął relacjonować. – Matka umarła przy porodzie. Daniel Avalon czekał trzynaście lat, żeby się powtórnie ożenić i zdaniem Quincy’ego utrzymywał „niezdrowe” stosunki z córką.

– Kazirodztwo? – zapytał z niedowierzaniem Sanders.

– Bingo potwierdził Luke. – Avalon wygląda na niezłego krętacza, jeśli chcecie znać moją opinię. Niestety, aktualnie ma alibi.

– Jakie?

– Ważne spotkanie w interesach. Poręczają za niego dwaj klienci. Może wynajął zabójcę, ale to chyba mało prawdopodobne. Pan Avalon ma chatę myśliwską w okolicy Cabot i – uwaga – na jego nazwisko zarejestrowanych jest pięć sztuk broni. Niestety, brak wśród nich dwudziestki dwójki. Są za to – Luke recytował bez trudu – Smith&Wesson 357, glock 40, beretta 9 i dwa mossbergi.

– Matko święta, czego ci ludzie tak się obawiają?

– Pluskwy milenijnej. Broń kupiono jesienią 1999 roku. Pani Avalon pewnie drży o swoją porcelanę. A może boi się tych wszystkich klaunów z pokoju Melissy. – Na samo wspomnienie aż się wzdrygnął.

– Innymi słowy, nie możemy jeszcze wykluczyć Avalonów – zakonkludowała Rainie. – Będziesz drażył dalej?

– Jutro z samego rana złożę wizytę w chacie myśliwskiej, a potem skoczę do Portland, żeby pokręcić się po bankach.

Rainie kiwnęła głową. Resztę wieczoru Luke planował spędzić patrolując okolicę domu O’Gradych. Zawsze poważnie traktował swoje przyjaźnie.

– Zostałeś jeszcze ty, Quincy. Masz coś na temat Shepa i No Lavy?

– Co? – Luke wyprostował się sztywno. Nie było go podczas dyskusji dotyczącej niejasności w zeznaniach szeryfa.

– W porządku – Quincy uspokajająco podniósł rękę. – Nic z tego nie wyszło...

– No myślę, do diabła! – warknął Luke.

– Nikt nie widział – ciągnął spokojnie agent – żeby Shep wchodził na teren szkoły przed strzelaniną. Poza tym według dziennika patrolu tuż po pierwszej był przy sklepie żelaznym Hanka. I Hank to potwierdza. W tej sytuacji wątpliwe jest, czy Shep miałby czas dotrzeć do K-8 i popełnić morderstwo przed pierwszą trzydzieści.

– Zaglądałeś do dziennika patrolu? – Luke nadal sprawiał wrażenie

urazonego.

Quincy udał, że nie słyszy.

– Możemy go więc wykluczyć. Zostaje mi osoba, która wysyłała do Danny’ego emaile, używając adresu NoLava@aol. com. Dowiedziałem się paru rzeczy. Po pierwsze, według Sandy O’Grady adres No Lava należał do Melissy Avalon.

– Melissa Avalon pisała do Danny’ego? – zdziwił się Sanders.

Quincy pokręcił głową.

– Nie sędzę. Widywała go codziennie, więc nie było takiej potrzeby. Poza tym w czwartek zaglądałem do rejestru użytkowników AOL, ale No Lavy tam nie znalazłem. Dziś po południu konsultowałem się z technikiem z AOL. Według logów serwisowych No Lava figurował w ich katalogu do osiemnastej w poniedziałek, kiedy konto zostało zamknięte z poleceniem usunięcia wszelkich danych. Mogę się założyć, że to sprawka mordercy. W tym samym czasie wyczyścił lub wyczyściła twarde dyski szkolnych komputerów.

– Wyczyściła? – powtórzył Luke.

Quincy zacisnął usta.

– W rozmowie z Mannem Danny sugerował, że jego korespondent jest kobietą. Ciekawa ewentualność. Tylko nie podoba mi się, że słowa Manna są jedynym świadectwem w tej sprawie. Z drugiej strony, tłumaczyłoby to parę rzeczy. Braliśmy pod uwagę wielu podejrzanych, ale zawsze to byli mężczyźni. A Bóg jeden wie, że Danny’ego ciągnie bardziej do kobiet... Myślę tu o jego matce i Melissie Avalon. Pod wieloma względami byłby chyba bardziej podatny na wpływy kobiety.

– Może pani Vander Zanden dowiedziała się, co wyprawia jej mąż – powiedział z namysłem Sanders, podchwytyjąc wcześniejszą sugestię Quincy’ego.

– A może Angelina domyśliła się w końcu, jaką rolę odgrywa w życiu szacownego pana Avalona – dodał Luke. – Pewnie nie jest miło uświadomić sobie, że mąż traktuje cię jako zapchajdziurę po córce, która niestety dorosła.

Wszyscy jednocześnie spojrzeli na Rainie.

– Co? Tylko z powodu podwójnych chromosomów X mam w jakiś magiczny sposób wiedzieć, co popycha kobiety do zabójstwa?

Luke wyglądał na zażenowanego. Ale Sanders kiwnął głową, jakby to rozumiało się samo przez się.

Rainie wymownie przewróciła oczami i zaproponowała:

– Zbierzmy wszystko, co mamy, do kupy. Po pierwsze, ktoś jeszcze był zamieszany we wtorkową strzelaninę.

Zgodnie pokiwali głowami.

– Ta osoba ma co najmniej metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, zna się na komputerach i na broni.

– I to jeszcze jak. – Sanders wydobył z teczki szarą obwolutę. Szarą, pod kolor rewolweru? Chryste, ci chłopcy z policji stanowej mają chyba za dużo wolnego czasu. – Spisałem tutaj aktualne informacje na temat broni. Powinno się wam spodobać... Przynajmniej spece od balistyki są z siebie zadowoleni. Chcą to opisać jako wyjątkowo interesujący przypadek. Więc tak, pani patolog zidentyfikowała jeden pocisk kaliber 22 bez bruzd, za to ze śladami polimeru. Znaleziono też jedną łuskę z trzydziestki ósemki z drobinami polimeru. A w końcu odkryto... trzy małe kawałki plastiku, które razem tworzą przedmiot o rozmiarach i kształcie skuwki długopisu. Ktoś ma jakąś sugestię?

– Nie cierpię zagadek – powiedziała z mocą Rainie.

Ale Luke Hayes od razu wiedział.

– Koszulka pocisku mniejszego kalibru – szepnął niemal z nabożeństwem.

– Brawo, Hayes.

– Cholernie dziwne w przypadku szkolnej strzelaniny?

– Do diabła, co to jest ta jakaś koszulka? – wtrąciła się zniecierpliwionym tonem Rainie.

Sanders spojrział na Luke'a, który wziął odpowiedź na siebie.

– Coś, czego używa się na polowaniach. Bierzesz, powiedzmy, plastik i umieszczasz w nim nabój mniejszego kalibru tak, żeby pasował do broni większego kalibru. W ten sposób można wzmóc prędkość pocisku i siłę rażenia. No wiesz, przy polowaniu na grubą zwierzynę.

– Jezus Maria. – Rainie popatrzyła na nich, jakby poszaleli. – Chcesz powiedzieć, że ktoś zabawił się w polowanie na terenie szkoły?

– Nie sądzę, żeby to miało coś wspólnego z polowaniem – odparł Sanders. – Pani patolog wpadła na inne rozwiązanie. I to tylko dlatego, że kiedyś o podobnym przypadku czytała w książce o rozruchach w New Jersey. Stosowanie koszulki daje jeszcze jedną korzyść: trudniej wtedy zidentyfikować pocisk. Nie ma bruzd, nie można dopasować go do narzędzia zbrodni. Mamy też odpowiedź na pytanie, dlaczego wystarczył tylko jeden strzał w czoło, który przy użyciu dwudziestki dwójki nie gwarantuje śmierci. Po prostu nabój wystrzelono z broni większego kalibru. Nasz morderca nie jest głupi.

Rainie próbowała uporządkować myśli. Zerknęła na Quincy'ego, który miał dziwną minę, jakby wiele rzeczy w magiczny sposób wyjaśniło mu się. Cieszyła się, że jest zadowolony. Co do niej, po scenie z George'em Walkerem łupały ją skronie, a ręce drżały tak, że mogła się tylko modlić w duchu, żeby nikt tego nie zauważył.

– Jak się robi koszulkę? – zapytała Sandersa.

– To dość skomplikowane. W tym przypadku specjaliści ustalili, że pocisk kaliber 22 został wystrzelony z trzydziestki ósemki.

– Z rewolweru Danny'ego.

– Właśnie, że nie. Bruzdy nie pasują. Daj mi powiedzieć po kolei, a zaraz się wszystkiego dowiesz. Więc mamy kogoś, jakiegoś iksa, który chce zmylić policję. Wpada na genialny pomysł. Wystrzeli nabój kaliber 22 z rewolweru kaliber 38. Z uwagi na ranę wejściową i wagę pocisku, za narzędzie zbrodni zostanie uznany pistolet samopowtarzalny kaliber 22, którego nie sposób skojarzyć z autorem tego przebiegłego planu.

– Ale co zrobić – ciągnął Sanders – żeby trzydziestka ósemka wystrzeliła mniejszy nabój? Do tego właśnie niezbędna jest koszulka. Iks bierze plastikowy pręt i obrabia na tokarce do średnicy równej średnicy pocisku kaliber 38. Wycina kawałeczek odpowiedniej długości i nawierca w środku otwór stosowany dla kalibru 22. Nie jest to wcale takie proste. Plastik trzeba rozciąć wzdłuż na trzy równe części, a potem skleić je z powrotem u podstawy. *Voilà*, koszulka gotowa. Teraz

wystarczy wydobyć pocisk kaliber 22 z łuski i po prostu wcisnąć do plastikowej osłony. Potem całość umieszcza się w łusce trzydziestki ósemki i ładuje nabój do rewolweru. Po wystrzeleniu trzy kawałki plastiku odpadają, a pocisk kaliber 22 leci dalej i trafia ofiarę. Iksowi wystarczyło uprzętnąć nieodpowiednią łuskę. Oto i cała zagadka.

– Morderstwo wymagało starannych przygotowań – stwierdziła Rainie.

– I niezłej znajomości broni. Koszulki stosuje się od wieków, ale nie są znowu aż tak powszechne, żeby wszyscy o nich wiedzieli.

– Czy teraz możemy już zidentyfikować nabój?

– Samego pocisku nie – powiedział Sanders z cwaniackim błyskiem w oku. – Za to wiele nam mogą powiedzieć plastikowe osłony. Eksperci od balistyki już złożyli te trzy części w idealny model naboju kaliber 38. Z zachowanymi bruzdami.

– Nie bądź łąją, Sanders. Powiedz, na czym stoimy.

Detektyw spochmurniał.

– Dobra, no więc mam złą wiadomość. Jak dotąd koszulka nie pasuje nam do niczego. Ani do rewolweru kaliber 38 odebranego Danny'emu, ani do broni lub pocisków, których bruzdy mamy w bazie danych.

– DRUGFIRE – powiedział Quincy.

– Niiieeee – jęknął Sanders. – Znowu!

– Agent ma rację – zignorowała jego protest Rainie. – Przyznaj, Sanders, masz dostęp tylko do materiałów z obszaru stanu. A dzięki bazom danych DRUGFIRE będzie można poszperać w informacjach dotyczących przestępstw w całym kraju. Koszulkę przejmuje FBI.

– A cóż takiego zwojowali federalni z moimi komputerami?

– Minęły dopiero dwadzieścia cztery godziny – odparł łagodnie Quincy.

– Po dwudziestu czterech godzinach ja miałbym już coś do potwierdzenia. Cholera, w pięćdziesiąt sześć godzin dostaliście ode mnie koszulkę!

– Daj spokój, Sanders – ucięła grzecznie Rainie. – Federalni mają

lepsze zabawki. Takie jest życie.

Luke siedział z zamyślnym wyrazem twarzy. Pochylił się do przodu, oparł łokcie o kolana i wbił wzrok w Sandersa.

– Twierdzisz, że morderca zadał sobie tyle trudu, by skonstruować specjalny nabój dla Melissy Avalon. Nabój, którego nie można skojarzyć z jego osobą?

– Nabój, który bardzo trudno byłoby przypisać właśnie temu komuś. Tak.

– Ale dlaczego? – nie rezygnował Luke. – Jest przecież Danny. Chłopak przyniósł dwie sztuki broni upstrzone swoimi odciskami palców i w dodatku zarejestrowane na nazwisko szeryfa. Po co trzecia pukawka? Czy to nie zwiększa ryzyka? Ktoś może zauważyć u niego lub u niej pistolet i wspomnieć o tym później. Albo coś pójdzie nie tak. W zdenerwowaniu morderca upuści broń, czy zgubi pocisk z koszulką, już sam nie wiem, co tam jeszcze. Wydaje mi się, że stopień zagrożenia jest dla sprawcy wyższy przy dodatkowej broni.

Wszyscy popatrzyli po sobie. Sanders już wcześniej poruszył tę kwestię. Nadal nie mieli odpowiedzi.

– Znaczenie symboliczne? – spróbowała po chwili Rainie. Zerknęła na Quincy'ego, w ich gronie najbardziej doświadczonego eksperta od zachowań przestępczych. – Może za wyborem naboju kaliber 22 stoją nie tylko przesłanki praktyczne, ale i emocjonalne. Może wybór takiej, a nie innej kuli ma jakiś związek z osobą ofiary lub mordercy?

– Chryste, chyba nie była wilczycą, żeby zabijać ją srebrną kulą – wymamrotał Sanders. – Pocisk kaliber 22 nie jest specjalną rzadkością.

– A broń? Może trzydziestka ósemka jest, na przykład, prezentem z wygrawerowaną na lufie dedykacją „Dla tej, którą kocham”. Aż tu nagle okazuje się, że mąż ofiarował ten drobiazg z poczucia winy, bo baraszkuje z inną.

– Baraszkuje? – powtórzył Sanders, unosząc brew.

– No dobrze, pieprzy. Pieprzy inną kobietę. Teraz lepiej?

– Chyba coś nam tu umyka – powiedział cicho Quincy.

Rainie i Sanders zamilkli i spojrzeli na agenta. Na twarzy

Quincy'ego malowało się wyjątkowe opanowanie, ale oczy błyszczały mu jak nigdy dotąd. Był podniecony. Wiedział już, że rozwiązał część zagadki.

– Przyjrzyjmy się elementom tej zbrodni – zaczął wyjaśniać zrównoważonym tonem. – Po pierwsze nasz iks opiera swój plan na manipulacji. Znajduje chłopca z problemami i kontaktuje się z nim, prawdopodobnie najpierw za pośrednictwem Internetu, a potem osobiście. Potrzebuje właśnie kogoś takiego jak Danny. Poznaje go lepiej i zaczyna naciskać. Iks najwyraźniej lubi komplikacje. Luke i Sanders mają chyba rację. Po co korzystać z koszulki, jeśli trzydziestka ósemka Danny'ego w zupełności by wystarczyła? Ale mordercę lub morderczynię bawią te przygotowania. Według wszelkiego prawdopodobieństwa pocisk kaliber 22 uległby deformacji, uniemożliwiając badanie. Niczego nie powinniśmy się dowiedzieć. Jednak na wypadek, gdyby tak się nie stało, iks zostawi policji dodatkową zagadkę. Kolejny sposób, żeby zaimponować organom ścigania swoimi umiejętnościami.

– I tu dochodzimy do sprawy komputerów – ciągnął Quincy. – Zdaje się, że do kontaktów z Danny'm iks wykorzystał konto Melissy Avalon. Więc po co czyścić szkolne komputery? Korespondencja i ściągane z sieci materiały pokazywałyby tylko, że Danny rozmawiał z nauczycielką. Nawet gdyby treść listów była podejrzana, Melissa Avalon nie żyje, więc nie będzie się bronić. Ale i tym razem nasz zbrodniarz chce podnieść poprzeczkę. Pokazał, na co jest go stać. Dobiera się do szkolnych komputerów. Teraz jestem już pewien, że spece od odzyskiwania danych zawiadomią nas, że wszystko zostało zapisane zerami. Iks ma jak się zdaje, obsesję na punkcie precyzji.

– A co z Danny'm? – zaoponowała Rainie. – Jeśli dopuszcza się do tajemnicy drugą osobę, rośnie ryzyko. Na razie chłopak się boi, ale wcześniej czy później zacznie mówić. To zupełnie nie ma sensu. Jeśli iks naprawdę chce być nieuchwytny, powinien działać w pojedynkę.

– Nie. – Quincy gwałtownie pokręcił głową. – Iks nie życzy sobie pozostać w cieniu. Jaki byłby sens w wymyślaniu tych wszystkich

niewiarygodnych komplikacji, gdyby nikt się o nich nie dowiedział?

Rainie znieruchomiała. Po twarzach Luke'a i Sandersa widać było, że do członków zespołu operacyjnego powoli dociera prawda. Doszli chyba do tego samego wniosku co Rainie. Wyczytała to w ich rozszerzonych z przerażenia oczach.

– Chcesz powiedzieć... chcesz powiedzieć, że morderca chciał, żeby ktoś podziwiał jego przebiegłość?

– Tak.

– A jeśli Danny załamie się i pewnego dnia zacznie mówić...

– Co jest jednym z najważniejszych motywów przemocy w szkołach? Ego. Chłopcy próbują potwierdzić swoją tożsamość w opartym na współzawodnictwie świecie. Zdezorientowane dzieci stawiają znak równości między sławą i zbrodnią. Nie rozumiecie? Nasz iks wręcz oczekuje, że któregoś dnia Danny się załamie. Nie od razu. Sprawca potrzebuje trochę czasu, żeby zatrzeć po sobie ślady. Ale ma nadzieję, że pewnego dnia weźmie do ręki gazetę i przeczyta o trzynastolatku, którego jedyną linią obrony w procesie o potrójne morderstwo jest teoria, że ktoś go zmusił. Rozpęta się wielka dyskusja o tym, jak dzisiejsza młodzież nie chce brać odpowiedzialności za swoje czyny. Niektórzy zaczną grzmieć na adwokatów, którzy robią wszystko, żeby zamącić ławnikom w głowach absurdalnymi teoriami spisku. A nasz iks nieźle się uśmieje. Będzie wycinał wszystkie artykuły o procesie Danny'ego O'Grady i świetnie się przy tym bawił.

– Nie mówimy już o zbrodni w afekcie, prawda? – zapytała słabo Rainie.

– Nie. Zdecydowanie nie.

– No to w takim razie dlaczego Melissa Avalon? Specjalny nabój. Pojedynczy strzał w głowę. Wszystko wskazuje na to, że nie była przypadkową ofiarą.

– Oczywiście. Tylko motyw zbrodni był inny, niż przypuszczaliśmy. Powinienem być domyślić się tego wcześniej, kiedy wszyscy opowiadali nam, jak Danny uwielbiał pannę Avalon, a ona się nim opiekowała.

– Nie rozumiem...

– Danny kochał tę kobietę, Rainie. Dlatego iks wybrał właśnie ją. Czy można lepiej zademonstrować swoją władzę nad zagubionym dzieciakiem, niż zmuszając do udziału w morderstwie osoby, która była dla niego najważniejsza. Jednej z dwóch, którym zaufał.

– Ależ to nie ma żadnego sensu – wybuchnął Sanders. – Nikt nie zwróci się przeciw człowiekowi, którego lubi. Wykorzystać można raczej negatywne uczucia, grać na nienawiści. No wiecie... „Twój ojciec jest palantem? Mój też był. A teraz powiem ci, co mu zrobiłem, chłopcze”.

Quincy pokręcił głową.

– To prawda, ale więź nie jest wtedy taka silna. Nie tak silna, jakiej potrzebuje nasz iks. Według klasycznych technik indoktrynacji, musisz zwrócić nowicjusza przeciwko temu, co kocha najbardziej. Wtedy dopiero wiesz, że masz nad nim pełną władzę. Pewien kanadyjski seryjny morderca zmusił swoją żonę do udziału w gwałcie i morderstwie jej własnej siostry. Potem nie potrafiła już zbuntować się, bo musiałyby przyznać się do tego, co zrobiła. A poza tym poczucie winy było zbyt głębokie.

– Danny – szepnęła Rainie – już próbował popełnić samobójstwo. Boże, co musi się dziać w jego głowie.

– Więc on to zrobił? Danny naprawdę to zrobił? – Luke kiwał się lekko to w tył, to w przód. Zmarszczki na jego twarzy pogłębiły się. Patrzył na Quincy’ego niemal z bólem. – Twierdzisz, że syn Shepa zabił te dziewczynki? A ten sukinsyn zmusił go do tego?

– Tak. Myślę, że tak właśnie było.

– Kim jest ten drań? Nie możesz nam nic powiedzieć? Nie możesz wprowadzić tych wszystkich danych do jakiegoś nowoczesnego komputera w FBI, żebyśmy wiedzieli już coś konkretnego? – Luke zerwał się z miejsca. Na szyi nabrzmiały mu żyły.

Zapadło ciężkie milczenie. Rainie myślała o tym, jak Hayes co noc siedział w wozie przed domem Shepa, jak nieugięcie bronił honoru O’Gradych. I o tym, jak mały Danny przychodził do ich biura po szkole, żeby pobawić się w policjantów i złodziei. Bum, bum, bum. Dobra

robota, Danny. Świetny strzał.

– I jeszcze jedno – Quincy przerwał pełną napięcia ciszę. Popatrzyli na niego, zastanawiając się, czy to możliwe, że usłyszą coś jeszcze gorszego.

– Z morderstwem jest jak ze wszystkim w życiu. Trzeba nabrać wprawy. Pierwsze bywa chaotyczne, drugie zwykle lepiej zorganizowane. Zbrodnia w K-8 została dopracowana ze wszystkimi szczegółami.

– O cholera – powiedział Sanders.

Rainie zamknęła oczy.

– Dla naszego sprawcy to nie pierwsza – podsumował spokojnie Quincy. – Mogę się założyć. A jeśli ma zwyczaj przez Internet nawiązywać kontakty z podatnymi na wpływy dziećmiakami... Świat stoi przed nim otworem. I, moi drodzy, Bóg tylko wie, gdzie drań uderzy następnym razem.

W niespokojnej ciszy, która zaległa w pokoju, przeraźliwie zabrzmiał dzwonek telefonu. Sanders aż podskoczył. Pierwszy oprzytomniał Luke i podniósł słuchawkę. Powiedział „tak”. Skinął głową. Znowu powiedział „tak”. Coś zanotował.

Kiedy skończył wyraz jego twarzy zmroził Rainie.

– Barman z Seaside – zakomunikował lakonicznie. – W jego lokalu po raz któryś już pojawił się pewien nieznajomy, bardzo zainteresowany strzelaniną. Facet mówi o tobie, Rainie. Twierdzi, że czternaście lat temu zabiłaś swoją matkę, a on o tym dobrze wie.

– Mamy robotę – rzucił Sanders.

Luke i Quincy zgodnie kiwnęli głowami. Mięśnie napięte, gotowi do działania.

Rainie poruszała się jak we śnie.

– Taaa. – Westchnęła cicho. Pomyślała o Danny. Pomyślała o różnych psychopatach. Pomyślała o tamtej nocy sprzed lat. – Taaa – powtórzyła z rezygnacją. – Ruszamy.

Piątek, 18 maja, 19.12

Na Bakersville spłynął zmierzch. Mieszkańcy włączali przed domami światła, które na ciemniejących wzgórzach wyglądały jak rozsypane złociste konfetti. Pod drzewami, szukając w stadzie ciepła, gromadziły się krowy. Ich czarne kontury przypominały zarysy skał.

W niektórych domach rodzice przytulali swoje pociechy, wspominając szkoły, do których kiedyś sami chodzili i które, w przeciwieństwie do obecnych, nie przywodziły na myśl śmierci. Nikt nie chce wychowywać dzieci w strachu. Nie ma sensu robić ze szkoły wielkiego problemu. Ale co rano całować miękkie włosy synka czy córeczki, którzy muszą bezpiecznie przetrwać kolejny dzień nauki, a są bezbronni i panicznie boją się kolegi z ławki... O Boże, Boże, co się stało z naszymi szkołami?

W niektórych barach młodzi mężczyźni wlewali w siebie więcej alkoholu niż zwykle i rozmawiali o tych pieprzonych prawnikach, co mogą wyciągnąć z pudła każdego, i o tępych przysięgłych bardziej współczujących mordercom niż ich ofiarom. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Trzeba samemu zapewnić swojej rodzinie bezpieczeństwo. Gówniarz pewnie wyjdzie na wolność, gdy skończy dwadzieścia jeden lat. Jak ci dranie z Arkansas. Tak nie powinno być. Przecież te biedne

dziewczynki w cudowny sposób nie wstaną z grobu. Dlaczego bandytę traktować łagodniej tylko dlatego, że nie jest pełnoletni? Morderca to morderca. Jeśli nie możesz znieść odsiadki, żyj zgodnie z prawem. No właśnie. Ten O'Grady jest zabójcą... Musi za to zapłacić!

W Seaside Ed Flanders nerwowo wycierał kufel po kuflu. Gliny chyba zaraz się zjawia.

Szklanka gościa była od dawna pusta. Ed proponował dolewkę, ale facet odmówił. A może skrzydełka? Nie, nie chciał. Teraz oglądał telewizję. Jakiś reportaż o grupie ochotników, którzy chronili naiwnych internautów przed oszustami. Na ustach nieznanego błąkał się dziwny uśmiech.

Ed polerował kufle do połysku. Choć to nie było w jego stylu, próbował się modlić.

Tymczasem Rainie pędziła na sygnale trasą 101. Jeszcze siedemdziesiąt mil. Quincy trzymał się deski rozdzielczej, ale ani pisnął. Czasem zerkał na swoją towarzyszkę. Nie odwracała wzroku od autostrady. Sanders i Luke jechali drugim wozem. Policjant Hayes nie miał problemów z dotrzymaniem Rainie tempa.

Dawniej czasem ścigali się na tej krętej nadmorskiej szosie dla zabawy. Żeby nie wyjść z wprawy, tłumaczyli Shepowi. Żeby poćwiczyć. Teraz te dni wydawały się odległe o całe lata świetlne.

Zatrzeszczało radio. Dyspozytorka zawiadomiła, że podejrzany wychodzi z baru. Trzeba coś postanowić.

Rainie musiała mieć chwilę do namysłu. Zatłoczona knajpa, podejrzany, o którym nic nie wiedzieli...

– Nie nawiązywać kontaktu. Śledzić go – rozkazała krótko i odruchowo spojrzała na Quincy'ego, szukając w jego oczach akceptacji. Agent skinął głową. Wściekła na samą siebie, naburmuszyła się, odłożyła mikrofon i przyspieszyła.

Godzinę później byli już w Seaside. Dyspozytorka pokierowała ich przez radio do małego motelu. Tuż za rogiem, za kępą drzew, natknęli się na pierścień policyjnych wozów.

– Zdaje się, że impreza już się zaczęła.

Quincy przytaknął. Jego twarz wydawała się spokojna, ale oczy coraz bardziej błyszczały. Wyskoczył z wozu jak bokser, który ma zaraz wejść na ring – lekko, sprężysto. Rainie przyglądała mu się o sekundę za długo. Szczupła sylwetka. Eleganckie, swobodne ruchy.

Dręczyły ją złe przeczucia, których nie mogła się pozbyć. Inni szykowali się do polowania, a ją pochłaniała noc. Trzeba ująć nieznanego, tego bandziora w czerni.

Facet mówi o tobie... że czternaście lat temu zabiłaś matkę, a on o tym dobrze wie.

Nieznamy? Nie była już tego pewna. Osaczał ją koszmar, który wydarzył się dawno, zbyt dawno temu.

Quincy zerknął na Rainie z ciekawością. Skoncentrowała się na odpinaniu pasa bezpieczeństwa.

Sanders już rozmawiał z dowódcą obławy. Podeszła do nich, a za nią podążył agent federalny.

– Podejrzany wygląda na jakieś czterdzieści lat – relacjonował policjant. – Siwiejące brązowe włosy, metr siedemdziesiąt siedem, metr osiemdziesiąt, niecałe dziewięćdziesiąt kilogramów. Ma na sobie długi trenecz, więc może być uzbrojony. Według właściciela motelu nazywa się Dave Duncan i prawdopodobnie jest handlowcem podróżującym w interesach. Dodał też, że to spokojny człowiek. Nie pali, jeśli to się nam na coś przyda. – Wymownie przewrócił oczami.

– O której wrócił do pokoju? – zapytał Sanders.

– Czterdzieści pięć minut temu. Dwoje policjantów przesłuchuje teraz barmana, Eda Flandersa. Facet już wcześniej odwiedził jego lokal. Za pierwszym razem pokłócił się z grupką miejscowych, oskarżając o te morderstwa Danny'ego O'Grady. Wczoraj dostaliśmy biuletyn, żeby mieć oko na nieznanym, których szczególnie interesuje strzelanina w Bakersville, więc zawiadomiliśmy barmanów. No i dzisiaj około siódmej zjawia się ten gość i znowu zaczyna swoje. Tyle że tym razem uczeplił się policjantki Conner. – Wzrok oficera prześlizgnął się na Rainie. – Pani wybaczy, ale Duncan twierdził, że wie na pewno, jakoby zabiła pani swoją ma... panią Conner. – Najwyraźniej wydawało mu się, że zabrzmi

to bardziej uprzejmie. – Powiedział, że ma dowód, ale kiedy Ed próbował coś wysondować, facet zmienił temat. Nie mieliśmy szansy tego typu obejrzeć... śledziliśmy go po ciemku... ale Ed przysięga, że już gdzieś go wiedział, tylko nie może sobie przypomnieć gdzie.

– Mężczyzna w średnim wieku? – upewnił się Quincy. – Raczej postawny?

– Tak.

Agent spojrział na Rainie. Wzruszyła ramionami. Mógł być zarówno dyrektor Vander Zanden, jak i ojciec Melissy Avalon. Albo nawet pani Vander Zanden lub pani Avalon w męskim przebraniu. Iksowi wystarczyło sprytu, żeby spreparował pocisk. W porównaniu z tym zmiana wyglądu zewnętrznego to żaden problem.

– Czemu od razu tego nie załatwimy? – zniecierpliwiła się Rainie. Wszyscy pokiwali głowami. Kilku młodych policjantów sięgnęło po pałki. Mieli sporo doświadczenia w pacyfikowaniu pijanych awanturników i teraz byli gotowi do akcji.

Oficer Carr przedstawił im plan działania. Kierownik motelu zadzwoni do pokoju podejrzanego i pod pretekstem, że są jakieś problemy z rachunkiem, poprosi Duncana, żeby chciał się pofatygować do recepcji. Kiedy Duncan ruszy się z pokoju, do akcji wkroczą policjanci. Wszyscy włożyli kamizelki kuloodporne i byli przygotowani do użycia siły. Musieli działać na tyle szybko, żeby podejrzany nie zdążył zareagować. Zadawanie pytań mieli odłożyć do czasu, aż facet zostanie zakuty w kajdanki.

Rainie zaakceptowała plan i udawała, że nie widzi, jak Sanders znowu odstawia waźniaka. Zauważyła, że oficer Carr jest szalenie dumny ze swojej roli w wytropieniu podejrzanego. Będzie to jedna z tych historii, które przejdą do legendy w policyjnych kręgach Seaside.

Zajęli miejsca za drzewami i zaczęło się przedstawienie.

Kierownik motelu trzęsącymi się rękami podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Rainie widziała go wyraźnie przez niezastłonięte okna recepcji i cieszyła się, że Duncan nie może ujrzeć tego widoku, bo z kierownika pot lał się strumieniami. Biedak wyglądał, jakby miał za

chwilę dostać zawału, gdy tuż obok przykucnął przejęty młody funkcjonariusz i wymierzył broń w drzwi wejściowe. Rainie zdawała sobie sprawę, że to tylko środki ostrożności, ale nie była pewna, co wyobraża sobie nieszczęsny hotelarz.

Kierownik odłożył słuchawkę. Zmarszczył brwi. Powiedział coś do policjanta i po chwili zatrzeszczało radio Carra.

– Nikt nie odbiera – wymamrotał Carr. – Nie zdołał się połączyć z Duncanem. – Wyglądał na zmartwionego. Spojrzał na kwartet z Bakersville, oczekując rady.

– Sądzicie, że drań się domyślił? – wyszeptał Sanders.

Rainie omiotła spojrzeniem kilka wozów i szesnastu kręcących się w pobliżu policjantów.

– Boże, ale jakim cudem?

– A może kierownik pójdzie tam osobiście, zapuka? – zasugerował Sanders. – A gdy tylko drzwi się uchylą, wtargniemy do pokoju.

Quincy spojrział w okno recepcji. Hotelarz miał białą koszulę moką od potu i chwiał się na nogach.

– Nie sądzę.

– Ja to zrobię – zaproponowała Rainie.

Wszyscy wbili w nią wzrok. Wzruszyła ramionami.

– Słowo daję, że nie chcę dostać kulki w łeb. Ale czy widzicie w tym gronie jakąś inną kandydatkę na pokojówkę? – Wskazała tłumek mężczyzn. – Tak właśnie myślałam.

Pięć minut później próbowała naciągnąć zbyt małą szarą bluzeczkę na kamizelkę kuloodporną. Spódnica sięgała do połowy łydki i, szczerze mówiąc, nogi nie wyglądały w niej korzystnie. Ale Rainie zaraz przypomniała sobie matkę leżącą na podłodze salonu w pantofelkach na ośmiocentymetrowych obcasach.

Jezu, miała dzisiaj w głowie prawdziwy mętlik. Czy ktoś łaskawie mógłby skoczyć po butelkę piwa?

W końcu udało jej się zapiąć bluzkę, wciągnęła brzuch i wyszła do oczekujących na nią mężczyzn.

– W porządku? – zapytał od razu Quincy. Zawsze musiał wszystko

zauważyć.

– Cudownie. – Wykonała piruet, zastanawiając się, gdzie, u licha, ma wcisnąć broń.

– Z tyłu za pas – poradził Sanders.

– Nie mogę.

– A to czemu?

– Bo ta spódnica jest, kurwa, za ciasna!

– Dobrze, już dobrze. – Sanders podniósł ręce i odszedł.

Quincy ułożył w stos sześć białych ręczników i wsunął między nie pistolet tak, żeby kolba wystawała odrobinę, niewidoczna dla osoby, która otworzy drzwi. Podał Rainie ręczniki, wpatrując się w nią intensywnie swymi spokojnymi ciemnymi oczami.

– Jeśli tylko zrobi jakiś ruch... – zaczął.

– Nie mogę go zastrzelić.

– Jeśli sięgnie po broń, rób, co trzeba.

– Nie mogę go zastrzelić – powtórzyła z naciskiem. – Quincy, gdybym go zabiła...

Nie musiała kończyć. Niewypowiedziane słowa zawisły między nimi. Wątpliwości, podejrzenia, plotki, które oparły się wpływowi czasu.

– Mógł się zorientować, że tu jesteśmy – powiedział łagodnie Quincy.

– No to miejmy to już za sobą. Zmęczyły mnie jego gierki.

Skinęła na Sandersa, który wyglądał na ogromnie zaciekawionego tym, co miało nastąpić, a potem na gorliwego Carra. Błyskawicznie zajęli swoje stanowiska.

Rainie nie pozwoliła sobie na dalsze medytacje. Zasłoniła stosem ręczników twarz i ruszyła.

Krok, drugi, trzeci. Drzwi. Stop. Głęboki wdech. Proszę pana, życzy pan sobie ręczniki? A może najpierw strzelać, a potem zadawać pytania...

Zapukała do drzwi.

Nic.

Wiedziałaś, o czym mówisz, tam, w barze? Czy tylko plotłeś trzy po trzy?

Znowu zapukała.

Nic.

Potem wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie. Odłożyła ręczniki. Wydobyła spomiędzy nich pistolet. Nacisnęła klamkę, nie dziwiąc się, że drzwi nie stawiają oporu i bokiem wsunęła się do pokoju.

Za jej plecami rozległy się krzyki policjantów. Padnij, padnij! Naprzód!

Rainie wpadła do pokoju, uniosła broń, choć nie wiedziała, co tam zastanie... a może wiedziała. Może gdzieś w głębi duszy przeczuwała, kogo znajdzie na tym łóżku. Tyle że...

Pusto. Pusto. Pusto.

Policjanci z Seaside odepchnęli ją na bok. Policyjna śmietanka Seaside wpadła do pokoju.

– Policja! Ręce do góry!

Nadal nic.

Kolejne podniecone głosy.

– Jak to, nie ma? Gdzie on, do diabła, mógł wyparować? Zdaje się, że mieliście pilnować drania.

– Nie wiem. Bóg mi świadkiem, nie wiem.

Wzrok Rainie padł na lustro umieszczone nad podwójną umywalką. Duży czerwony napis głosił: ZA MAŁO, ZA PÓŹNO.

Tuż obok zwisał, przyklejony do szklanej tafli, kosmyk włosów. Długich, czarnych, lekko falujących. Rainie nie potrzebowało raportu z laboratorium, żeby zgadnąć, do kogo należały.

Oczyrna wyobraźni ujrzała piękną Melissę Avalon leżącą na podłodze bez życia z rozsypanymi włosami.

– Za mało, za późno – przeczytała Rainie drżącym głosem. Przesunęła wzrokiem po twarzach mężczyzn w pokoju. – Czy ktoś zechce mi to wytłumaczyć?

Nikt nie odpowiedział.

Po chwili Sanders wyjął telefon komórkowy i uzyskał numer laboratorium kryminalistycznego.

– Macie jeszcze jedno miejsce do zbadania – zawiadomił beznamiętnym tonem.

Piątek, 18 maja, 22.38

Dwie godziny później Rainie i Quincy jechali z powrotem do Bakersville. W końcu ustalono, w jaki sposób Dave Duncan wymknął się z pokoju. Przebił dziurę w tyle szafy ściennej, dzięki czemu powstało wyjście awaryjne z boku hotelu, które maskował wielki rododendron. Gdy nadjechała policja, wyczołgał się tamtędy, zabierając ze sobą swój niewielki bagaż.

Quincy miał rację: Iks lubił skomplikowane plany.

Podczas gdy technicy zdejmowali odciski palców, pakowali do torebki włosy i fotografowali wypisane szminką na lustrze litery, Quincy podał swoim współpracownikom bardziej szczegółową charakterystykę poszukiwanego. Doświadczenie podpowiadało mu, że morderca prawdopodobnie jest samotnym mężczyzną w średnim wieku. Przepięknie było doskonale pomyślane, co wskazywałoby na ponadprzeciętny iloraz inteligencji i spore umiejętności. Iks potrafił manipulować otoczeniem, więc, najwidoczniej czuł się swobodnie wśród ludzi. Może nawet związał się z kimś na dłużej, choć partnerka pewnie często odnosiła wrażenie, że nie rozumie go zbyt dobrze.

Niewykluczone, że próbował kiedyś wstąpić do policji lub wojska, ale albo go nie przyjęto, albo usunięto dyscyplinarnie. Kolejna sprawa:

mógł, się swobodnie przemieszczać. Na pewno będzie z uwagą śledził postępy dochodzenia.

Nikt z policjantów nie wątpił, że nazwisko Dave Duncan jest zmyślone. Facet zapłacił za pokój gotówką i pokazał nieczytelne prawo jazdy. Możliwe, iż w tej chwili prezentował ten dokument w kolejnym motelu, w jakiejś większej miejscowości, gdzie trudno będzie znaleźć „handlowca podróżującego w interesach”. Wiedział, że sieć się zaciska, a mimo to – cała czwórka z Bakersville miała takie przeczucie – jeszcze nie skończył. Nie zamierzał uciekać.

Policji w Seaside zlecono zebranie wszystkich możliwych informacji na temat pobytu Davida Duncana w ich mieście – rysopis, gdzie był, co powiedział. Sanders miał współpracować z technikami policyjnymi i czuwać nad gromadzeniem dowodów.

Luke planował spędzić resztę nocy na obserwacji domu Shepa. Nazajutrz zaś chciał jechać do Portland i lepiej przycisnąć Avalonów. Tym razem zamierzał wziąć ze sobą zdjęcia. Usiądzie naprzeciw ojca Melissy i podetknie mu te materiały pod nos, żeby przekonać się, jaką wywołają reakcję.

Rainie przypało w udziale sporządzenie listy wszelkiego typu hoteli z całego wybrzeża. Niezbyt oddalonych od Bakersville. Niezbyt oddalonych od Seaside. Może nawet trzeba będzie uwzględnić pensjonaty prowadzone przez staruszki. Lub rzadko odwiedzane chaty myśliwskie.

Nigdy nie zdawała sobie sprawy, w jak wielu miejscach można się było zaszyć wokół jej miasteczka. Miała szukać igły w stogu siana. Zadanie nic do pozazdroszczenia.

Kończył się długi dzień. Wszyscy byli potwornie zmęczeni. Sanders i Luke wyruszyli pierwsi. Rainie i Quincy jechali za nimi w milczeniu.

Rainie zatrzymała się przy małym podmiejskim sklepiku i kupiła zgrzewkę sześciu piw. Potem bez słowa skręciła w stronę motelu Quincy'ego.

Przez chwilę obydwójce poczuli się niezręcznie. Rainie stała w drzwiach ze zgrzewką piwa. Quincy rozglądał się po pokoju, jakby

dopiero teraz zdał sobie sprawę z intymności sytuacji.

W końcu wysunął dwa krzesła spod chybotliwego stołu, ale Rainie wyminęła je i położyła się na łóżku. Nic nie powiedział. Zrzucił marynarkę, zdjął krawat, rozpiął koszulę pod szyją i usiadł na skraju materaca, niedaleko od niej.

Z pozycji, w której leżała, trudno było odczytać wyraz jego twarzy, tylko częściowo wydobytej z półmroku przez światło lampki. Rainie nie wiedziała, o czym agent mógł myśleć po dniach takich jak ten. Czy wciąż był podniecony, rozemocjonowany polowaniem? Czy może adrenalina już opadła, a pozostała tylko posępna refleksja, że kolejny potwór bezkarnie chodzi po świecie? Jeszcze jeden spośród wielu drapieżników, z którymi miał do czynienia od lat.

Zmęczony? Ona padała z nóg. Była niespokojna, znowu w nastroju, w którym sobie nie ufała. Słowa George'a Walkera tłukły jej się po głowie. Nerwowe spojrzenie oficera Carra, kiedy próbował w taktownej formie powtórzyć oskarżenie Duncana. Rainie wiedziała, że nie powinna się tym przejmować. Ale tej nocy czuła się bezbronna i zmęczona. Miała dość udawania, że wie, co robi, podczas gdy od kilku dni poruszała się po omacku, a sytuacja z godziny na godzinę się pogarszała.

Dzisiaj policjantka Lorraine Conner była wrażliwą, smutną kobietą. Spojrzała na szeroką klatkę piersiową Quincy'ego i kępkę wystających spod koszuli ciemnych włosów. Chciała wesprzeć głowę na jego ramieniu. Silny, zdolny mężczyzna. Była ciekawa rytmu jego serca. Była ciekawa, czy objąłby ją tak, jak aktorzy obejmują swoje partnerki w filmach.

Rainie nigdy nikt nie przytulał. Niektórzy klepali ją przyjacielsko po ramieniu, a czasem nawet po tyłku podczas gry w kosza. Brak czułych gestów nie był tym, nad czym szczególnie ubolewała, ale akurat dziś jakoś jej doskwierał.

Wyciągnęła piwo. Rzuciła butelkę Quincy'emu, a swoją otworzyła jednym zręcznym ruchem. Kapsel odskoczył. Nad szyjką pojawiła się chłodna mgiełka. Rainie wzięła głęboki wdech i przez chwilę

delektowała się aromatem chmielu. Cholera. Czego by nie dała za jeden łyk. Jeden długi, kojący, znieczulający łyk.

Zamiast tego oparła się o stary drewniany zagłówek i przycisnęła szkło do brzucha.

Quincy z nieotwartą jeszcze butelką w ręku przyglądał się Rainie badawczo ciemnymi oczami.

– Porozmawiaj ze mną – wymamrotała.

– Rainie, ta demonstracja nie była dobrym początkiem rozmowy.

– Zamknij się i porozmawiaj ze mną.

Uniósł brwi, ubawiony jej kategoriycznym tonem.

– Jaka jest twoja ekszona?

– Chryste, chcesz mnie dobić?

Rainie wyprostowała się. Spojrzała na niego ze szczerym zainteresowaniem.

– Pytam poważnie. Jaka jest twoja ekszona?

Agent westchnął z rezygnacją i otworzył butelkę. Potem wyciągnął się na brzuchu w poprzek dużego łóżka. Rainie oparła stopy o biodro Quincy'ego. Podziwiała linię jego szyi wylaniającej się z rozpiętego kołnierzyka białej koszuli.

– Bethie jest dobrą matką – powiedział w końcu. – Zawsze wspaniale opiekowała się naszymi córkami... córką. Córkami.

– Jak się poznaliście?

– W college'u. Kiedy robiłem doktorat z psychologii.

– Jest psychologiem?

– Nie. Bethie pochodzi z zamożnej rodziny. W tych sferach college jest sposobem na znalezienie odpowiedniego męża. Szkoda... ma niezwykły umysł.

– Jest ładna? – zapytała Rainie.

Quincy zawahał się.

– Ładnie się starzeje – powiedział w końcu obojętnym głosem.

– Ładna, inteligentna i do tego dobra matka. Tęsknisz za nią?

– Nie – stwierdził kategoriycznie.

– Czemu nie?

– Moje małżeństwo to prehistoria, Rainie. Kiedy się poznaliśmy, Bethie podziwiała moje policyjne sukcesy, ale oczekiwała, że wybiorę karierę psychologa z prywatną praktyką, którą wyżej ceni się w towarzystwie niż pracę gliny. Cholera, ja też tak myślałem. A jednak dałem się zwerbować. Nie powiedziałem „nie”. I biedna Bethie musiała brnąć przez życie z agentem. Jeśli chciałem być wobec niej lojalny, powinienem był zostać psychologiem. Ale wybrałem wierność sobie. Praca mnie wciągnęła na dobre, a moje małżeństwo rozpadło się.

– Dlaczego nie mówisz o niej nic złego?

– Bo jest matką moich dzieci i szanuję to.

– Dżentelmen, co? – zakpiła z nutką szyderstwa. Nie chciała szukać zwady, ale jak zwykle nie zdołała się opanować. Walka była tym, co wychodziło jej najlepiej. W naturze Rainie dominowała raczej skłonność do konfliktów niż dobroć. Znowu pomyślała o George’u Walkerze i zaczęły ją piec oczy. Nie chciała, się rozplakać.

– Wierzę w dobre maniere – powiedział cicho Quincy. – Z racji swojej pracy spotykam się z takim zwyrodnieniem, że nie muszę do tego wszystkiego dokładać własnych wybryków.

– Ja nie mam dobrych manier.

– Nie masz. – Uśmiechnął się z udawaną dezaprobatą. – Ale tobie to jakoś pasuje.

Rainie odstawiła butelkę na szafkę nocną. Starła się opanować. Ładnie wybrnął. Nie mogła tego znieść. Zaczepny nastrój ogarniał ją coraz silniej. Wiedziała, dokąd to prowadzi.

– Ty też pochodzisz z bogatej rodziny, co, Quincy? Eleganckie garnitury, droga woda kolońska. To dla ciebie nic nowego.

– Nie pochodzę z bogatej rodziny. Mój ojciec jest farmerem. Urodził się i wychował na wsi. Ma sto akrów na Rhode Island. Haruje na tej ziemi w pocie czoła i świata poza nią nie widzi. To on mnie nauczył, jak ważne są dobre maniere. Nauczył mnie kochać jesień, kiedy liście zmieniają kolor i dojrzewają jabłka. I jeszcze, żeby nigdy nie mówić bliskim osobom, że mi na nich zależy. – Kącik jego ust zadrżał ironicznie. – A garnitury wybrałem sobie sam.

Rainie przyklękła na łóżku. Nie spuszczała z niego oczu. Przysunęła się bliżej.

– Ja pochodzę z białej hołoty.

Nie odwrócił wzroku.

– Daj spokój, Rainie.

– Nie. Mówię tylko od razu, kim jestem, żebyś potem nie mógł mi tego wytknąć. – Przysuwała się coraz bliżej. A on się nie cofał. – Nie mam dobrych manier. Nie znoszę przeproszać. Mam zły charakter, złe sny, zły nastrój i nie powinnam tego robić, ale do cholery, i tak to zrobię.

– Kłamczucha – powiedział. Szeroką dłonią przysunął bliżej jej głowę. Sama spowodowała ten pocałunek, ale i tak ją zaszokował. Poczula chłodne, mocne wargi. I smak chmielu, łagodny, złocisty. Zachłannie otworzyła usta. Wsunął w nie język i właśnie wtedy pomimo jej najlepszych chęci ożyły stare strachy.

Wbiła paznokcie w dłoń. Robiła, co mogła, żeby nie stracić kontroli nad umysłem. Żółte łąki. Leniwe strumienie. Przez lata opanowała tyle technik. Oby było jak najprościej. Jak najszybciej. Nie wolno wpaść w panikę. Nikt się nie dowie.

Poczula na policzku palce Quincy'ego. Łaskotały ją, a ich szorstki dotyk wywołał nieoczekiwaną falę ciepła w żołądku. Zamarła, trochę przestraszona. Szeptał coś, wtulony w jej włosy. Pozwoliła głowie opaść do tyłu. Odśloniła szyję. Ciepły oddech musnął jej obojczyk.

Zejdzie niżej, pomyślała. Trzeba pamiętać, żeby jęknąć. Żółte łąki i leniwe strumienie. Czula jego wargi, pewne i doświadczone. Ale wiedziała, że mroczna otchłań czai się tuż-tuż. Żółte łąki, leniwe strumienie. Dotknie jej piersi. Ona zadrży i wygnie się. Miejmy to za sobą. Niech to się już stanie.

Rainie ogarnął nagle niewymowny smutek. Sama zaczęła, ale okazało się, że to nie tego potrzebuje. Nie powinna była kusić Quincy'ego. Różnił się od innych mężczyzn. Z nimi seks był płytki i bez znaczenia. Z nim byłby bluźnierstwem.

Opuściła głowę. Niech chociaż nie widzi jej oczu. Niech nie widzi jej takiej obnażonej, gdy, zamiast o nim, myśli o żółtych łąkach, leniwych

strumieniach i Dannym O'Grady, uzbrojonym w strzelbę, która przyniosła śmierć jej matce.

Poczuła ból. Ból tak silny, że nie wiedziała, gdzie kończy się cierpienie, a gdzie zaczyna Rainie Conner.

Ręce Quincy'ego przesunęły się wyżej, zanurzyły w jej włosach. Odgarnął długie, piękne pasma z twarzy Rainie. A potem z kącika oka scałował pierwszą łzę.

Rainie poderwała się z łóżka.

– Na litość boską, nie bądź taki cholernie miły.

Zatrzymała się przy chybotliwym stole, ściskając pod szyją rozchełstaną bluzkę i oddychając ciężko.

Quincy powoli usiadł. Jego ciemne włosy były potargane. Nie pamiętała, kiedy mu je rozwichrzyła. Policzki miał szorstkie od całodziennego zarostu. Rainie przycisnęła rękę do zaczerwienionej szyi i dopiero teraz poczuła pieczenie.

Cholera. Idiotka. I w dodatku za chwilę się rozplącze, żeby wstyd był jeszcze większy. Jak dorosła kobieta może się tak głupio zachowywać? Dosyć tego. Chwyciła kurtkę i ruszyła w stronę drzwi.

– Stój!

W małym pokoju głos Quincy'ego zabrzmiał zaskakująco głośno. Rainie zamarła.

– Usiądź, proszę – powiedział już ciszej.

– Nie. – Nacisnęła klamkę.

– Siadaj, do cholery!

Przycupnęła na twardym drewnianym krześle przy drzwiach.

– Przepraszam – rzucił krótko Quincy. – Nie chciałem na ciebie wrzeszczeć. Nie chciałem, żeby sprawy zaszły tak daleko. Wielu rzeczy, które się dzisiaj wydarzyły, nie chciałem.

Mimo wszystko poczuła się lepiej. Wykrzywiła usta w ironicznym uśmiechu.

– Dzięki, agencie. A teraz, jeśli pozwolisz, pójdę sobie.

– Zamknij się, Rainie. I daj sobie spokój z tą pozą.

Quincy podniósł się ciężko z łóżka. Pierwszy raz Rainie zauważyła,

że drżą mu ręce. Zmarszczki wokół oczu stały się wyraźniejsze. Usta tworzyły posępną linię. Ten widok zabolął ją. Ona mu to zrobiła i wiedziała, że postąpiła źle.

Żałowała, że nie jest inną osobą... Żałowała, że nie potrafi zmazać z jego twarzy tego smutku.

Tymczasem siedziała jak niegrzeczna uczennica przyłapana na gorącym uczynku i czekała na pierwszy cios.

– Nie patrz tak na mnie – zniecierpliwiał się. – Nie jestem twoją matką ani mężem, który cię bije. Czasem mam ochotę skrócić ci kark, ale nigdy cię nie uderzę.

– Jesteś na to za dobrze wychowany, Quincy? Nie umiałbyś się zniżyć do tego poziomu?

Na jego twarzy zadrżał mięsień. Rainie pomyślała, że jednak zdołała wytrącić tego mężczyznę z równowagi i przez chwilę triumfowała. Co ty wyprawiasz, idiotko? Może się w końcu zamkniesz?

Nie mogła się powstrzymać. Wstała z krzesła, gnana przez demony, które dobrze знаła, ale była zbyt zmęczona, żeby je okiełznać. Podeszła do Quincy'ego powoli, obserwując, jak znowu mruży oczy. Czuła, że ma nad nim władzę. Gdy jego wzrok przesunął się w dół, rozpięła guzik na piersiach.

– Żadnych pieszczot – szepnęła. – Po prostu zróbmy to. Jak pieprzą dobrze wychowani jankesi? Po bożemu? Od góry? Od dołu? Od tyłu? Sześćdziesiąt dziewięć? Co by doradzał twój tato?

Rozpięła następny guzik, odsłaniając znoszony, bawełniany stanik. Ręce już nie drżały. Kręciło jej się tylko w głowie. Jakby nie była w swoim ciele, a z oddali oglądała postaci w sztuce. Ile to już razy? Nieważne. Na wyrzuty sumienia zawsze jest czas rano.

Quincy ścisnął ją mocno za rękę. Uśmiechnęła się i przywarła do niego, pocierając wyzywająco krocem o jego wzwód.

– Zerznij mnie – wymamrotała głosem, którego sama prawie nie poznała. – Dobrze mnie zerznij.

– Jak się nazywał? – zapytał surowo. – Ile miałaś lat? Matka wiedziała, czy była zbyt pijana, żeby się przejąć? Cholera jasna! –

Odepchnął Rainie i zaczął szybkim krokiem przemierzać pokój, jakby nie mógł się pohamować. Jeszcze przed chwilą czuła jego silne ciało. Teraz musiała wyciągnąć ręce, żeby nie stracić równowagi.

– Nikomu nie powiedziałaś, prawda? – ciągnął. – Aż do dzisiaj. Muszę być bezstronny, żeby ci pomóc, ale nie potrafię. Chcę go wytropić. Jezu, chcę mu połamać wszystkie kości. Ilu można zamknąć tych drani, a to ciągle za mało!

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Akurat.

– Wszystkie kobiety traktujesz w ten sposób? Nic dziwnego, że w twoim życiu została tylko praca.

– Rainie, co się wydarzyło czternaście lat temu?

– Spójrz, która godzina. Po północy. Muszę lecieć.

– Czternaście lat temu. Dawno, ale nie na tyle, żeby zapomnieć, prawda, Rainie?

– Spotkamy się rano? Mamy mnóstwo roboty. No ale przecież tak naprawdę nie należysz do zespołu dochodzeniowego. Jeden telefon i już cię nie ma, oboje o tym wiemy.

– Rainie...

– Przestań, do cholery! Czemu, kurwa nie możesz przestać?

– Bo ja to ja! Bo nie jestem głupi i, Bóg mi świadkiem, zależy mi na tobie! I ja też nie jestem ci obojętny, inaczej nie przychodziłabyś do mojego pokoju co wieczór, szukając rozmowy. No więc proszę. Pogadajmy, Rainie. Chcesz mówić. A ja chcę słuchać. Dalej. Miejmy to już za sobą!

– Nie wierzę w te wszystkie brednie.

– A ja nie wierzę, że zapomniałaś nazwisko faceta, który ponoć zabił twoją matkę.

Wypowiedział te słowa z brutalną siłą. Rainie zamarła. Przez chwilę myślała, że się przesłyszała. Niemożliwe. Nikt... Jak on...

Serce dudniło jej w piersi.

Ale to przecież Quincy. Dlatego odgadł. W końcu był najlepszym z najlepszych w FBI, a ona przychodziła do niego co wieczór, po trochu

odkrywając prawdę.

– Nie wiesz, o czym mówisz – zaproponowała słabym głosem.

Quincy patrzył na nią w milczeniu.

– Nie będę tak tu stała i spokojnie tego słuchała – spróbowała jeszcze raz.

Zacisnęła usta.

– Co za brednie! Jadę do domu. – Zrobiła krok w stronę wyjścia.

Wciąż się nie odzywał.

Otworzyła drzwi. Przerzuciła kurtkę przez ramię bardziej zamasyście, niż to było konieczne. I zdała sobie sprawę, że nie potrafi przekroczyć progu. Przez cały czas jej uwaga koncentrowała się na Quincy, który nadal stał na środku pokoju. Bez słowa, bez ruchu.

Bóg mi świadkiem, zależy mi na tobie... ja też nie jestem ci obojętny.

Zawołaj mnie, pomyślała nagle. Właśnie to chciałam usłyszeć, tylko wtedy o tym nie wiedziałam. Zawołaj mnie. Jeszcze raz. Nie mogę wrócić sama. Za długo wszystko starałam się kontrolować. Jestem zmęczona, a zeszłej nocy na mojej werandzie był ten człowiek. Mężczyzna w czerni. Nie wiesz, co przeżyłam.

Żółte łąki. Leniwe strumienie.

Płakała. Czowała, jak łzy spływają jej po policzkach i wstydziła się. Nienawidziła łez. Wiele lat temu jej matka powiedziała, że płacz niczego nie daje, i miała rację. Łzy niczego nie zmieniają. O Boże, niczego nie zmieniają.

Żółte łąki. Leniwe strumienie.

Zawołaj mnie...

Milczał. I wtedy zdała sobie sprawę, gdzie się znajduje. Stała samotnic na parkingu. Miała na sobie kurtkę, a drzwi do pokoju Quincy'ego były zamknięte.

Noc wokół niej była ciemna i chłodna. Rainie spojrzała w górę i zaczęła liczyć gwiazdy, aż wyschły jej łzy na policzkach.

Bezmiar nocy, bezmiar świata. Była chyba jedyną istotą, którą pocieszała świadomość, że jest tylko drobiną jedną z wielu.

Zawołaj mnie...

Wsiadła do wozu. Nagle zauważyła, że do przedniej szyby ktoś przykleił płachtę gazety. Na marginesie widniał dopisek: „Pokarzemy ci sprawiedliwość, dzifko!”

Rainie wysiadła. Kluczem zeszkrobała papier z szyby. Noc była cicha. Żadnego ruchu w pokoju Quincy'ego.

Policjantka Lorraine Conner odjechała do domu.

Sobota, 19 maja, 1.44

Podjazd prowadzący do domu Rainie tonął w ciemnościach. Znowu zapomniała zostawić światło na werandzie i teraz przez pomazaną klejem szybę niewiele widziała. Może źle skręci i zginie dwadzieścia metrów od własnego progu. Albo uderzy w drzewo i skończy sparaliżowana na wózku inwalidzkim.

Jezu, potrzebowała snu.

Kiedy w końcu dotarła na miejsce, wyjęła ze schowka latarkę i z jej pomocą odnalazła w zbyt wysokiej trawie szlauch. Trzeba przystrzyc trawnik. I przydałoby się go okopać. W kuchni nadal nie było nic do jedzenia.

Teraz jednak tkwiła na podwórzu o drugiej nad ranem, zmywając klej i strzępy gazety z szyby wozu, aż w końcu szkło zalśniło w blasku latarki.

Kiedy skończyła, dopadło ją śmiertelne zmęczenie. Zwinęła powoli szlauch, rzuciła go na ziemię i z trudem dowlokła się do schodów.

W ciągu ostatnich dni pozwoliła, żeby stres wziął nad nią górę. Zdała sobie z tego sprawę, jadąc dziś do domu. Za dużo koszarów, za mało snu. Przestała się dobrze odżywiać i zaczęła szukać oparcia w Quincym, jakby jakimś cudem potrafił jej pomóc. Wielki błąd. Ale co się

stało, to się stało.

Dzisiaj sięgnęła dna. Jutro znowu stanie na nogi. Już to przeżyła i wiedziała, jak taki cykl wygląda.

Przez chwilę po omacku szukała kluczem zamka. Wreszcie otworzyła drzwi. Od razu poczuła na twarzy powiew wiatru. Co, u licha?

Zapaliła światło i machinalnie sięgnęła do kieszeni, wypatrując innych oznak niebezpieczeństwa. Nie miała przy sobie broni: dziewiątka i zapasowa dwudziestka dwójka zostały w bagażniku wozu patrolowego. Trzeba było pomyśleć wcześniej. Wyłączyła szybko światło i poczekała, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Nadal żadnych niepokojących dźwięków. Tylko ten powiew na twarzy. W końcu zlokalizowała jego źródło – przesuwane szklane drzwi na werandę stały otworem.

Shep?

Zapaliłby światło i usiadł w widocznym miejscu. Wolałby nie ryzykować, że zastrzelili go jako intruza.

Dave Duncan.

Prześlizgnęła się pod ścianą do kuchni, potem do sąsiedniego salonu. Dwie sypialnie i łazienka na lewo, duża przestrzeń na prawo. Żadnych oznak życia.

Wtedy wzrok Rainie padł na sofę i świat zawirował jej przed oczami.

To niemożliwe. Wykluczone. I to tuż po rozmowie z Quincym...

Kto mógł wiedzieć, jak obudzić najgłębiej ukryty, najmroczniejszy koszmar?

Wyciągnęła rękę, żeby zapalić światło. Paznokciami rysowała gipsową ścianę. Gdzie jest ten cholerny włącznik. Światło, światło. Musiała to zobaczyć. Musiała wiedzieć. Niemożliwe...

W końcu znalazła. Żarówki żyrandola wydobyły z mroku wnętrze salonu. Stary, okrągły kuchenny stół na jednej nodze. Głęboki fotel. Wygodna splewiata, niebieska sofa. I strzelba. Oparta o poręcz sofy. Pięć długich nacięć wciąż widniało na drewnianej kolbie.

Czas się cofnął. Rainie nie mogła go powstrzymać. Wpadła do kuchni i zaczęła przetrząsać szufladę z nożami. Znowu miała siedemnaście lat i właśnie wróciła ze szkoły.

Przestań, przestań, przestań. To niemożliwe. Strzelba przecież trafiła do policyjnego magazynu w Portland. Ona, Rainie, sprawdziła. Upewniła się, że już nigdy tego cholerstwa nie zobaczy.

Chwyliła pierwszy lepszy nóż – mały nożyk do obierania owoców – i wrzasnęła dziko:

– Wyłaź, draniu!

Nikt nie odpowiedział. Nawet sowy milczały, a tymczasem jej matka leżała z odstrzeloną głową w salonie i... O Boże, co tam jest na suficie? O Boże, co na mnie kapie?

– Kim jesteś? Kim, kurwa jesteś? Wyłaź, żeby cię mogła zobaczyć! Wpadła po kolei do obu sypialni. Nikogo. Szarpnęła za drzwi łazienki.

Pusta. Wybiegła na werandę, starając się nie patrzeć w stronę strzelby, ale oczywiście nie potrafiła się powstrzymać. Czas chwycił Rainie za gardło i ciągnął ją w otchłań przeszłości.

Podobało ci się, co? wrzeszczy matka. Ty kurwo od siedmiu boleści!

Chciałam, żeby przestał, jęczy Rainie.

Zamknij się, zamknij się. Nie miała już siedemnastu lat. Nie była bezbronna. Była funkcjonariuszem policji. Była silna. Odwróciła się twarzą w kierunku lasu, wyprostowała, uniosła głowę i ryknęła:

– Wiem, że tam jesteś. Wiem, że patrzysz, panie Dave Duncan, czy jak tam się, kurwa, nazywasz! Chcesz mnie? To stań przede mną jak mężczyzna, ty nędzna kupo gnoju!

Jej matka: Kłamiesz. Mogłam się domyślić, że z mojej córki nic lepszego nie wyrośnie.

On mnie zgwałcił!

Jesteś w ciąży, co? Tylko nie myśl, że ci pomogę. Nie będę płacić za twoje grzeszki.

Chcę tylko, żeby przestał...

No to ściśnij go za jaja, złotko. To zawsze skutkuje.

Musiał gdzieś tam być. Wyczuwała jego obecność. Ten cholerny

facet z werandy, drań intrygujący po miejscowych barach. Głupiec, któremu udało się manipulować uczniami, więc myśli, że może zadrzeć z kimś takim jak ona.

Rainie wbiegła do domu. Chwyciła oburącz lufę strzelby jak atakującego węża. Była już gotowa. Znowu wypadła na dwór. Podniosła broń do góry, wysoko aż pod czarne, aksamitne niebo.

– To jakiś żart? Myślisz, że możesz mnie wkurzać? Pierdol się! Znajdę cię, sukinsynu. Znajdę cię, więc pierdol się!

Zamachnęła się z całych sił. Patrzyła, jak strzelba wiruje. Jak roztrzaskuje się o pień. Oddychała z trudem. Słyszała ciche dzwonięcie w uszach. Ten dźwięk nigdy nie zwiastował niczego dobrego.

Minęła chwila. I jeszcze jedna. Wśród drzew panowała martwa cisza, chociaż wiedziała, że człowiek w czerni musi gdzieś tam być. Doprowadził dziecko do morderstwa, a teraz najwyraźniej szukał nowych wrażeń. Co takiego powiedział Quincy? Iks spróbuje manipulować policją. Bawi go to. Szczyci się swoim sprytem.

Już ona mu pokaże. Do diabła, właśnie rzuciła w niego strzelbą i teraz miała do obrony tylko gołe ręce i swój słuszny gniew. Aha, i mały nożyk do obierania owoców.

Zaczęła się śmiać. Nie wiedziała, jak do tego doszło. Stała z rozstawionymi nogami i zaciśniętymi pięściami, gotowa do walki, a teraz śmiała się jak szalona. Co matka wykrzyczała do niej tamtego dnia?

No to ściśnij go za jaja, złotko. To zawsze skutkuje.

Zrozumiała. Czternaście lat później wreszcie zrozumiała tę wulgarną radę. Klepała się po udach i zginała w pół w dzikich paroksyzmach śmiechu.

Płakała. Łzy spływały jej po policzkach. Drugi raz tej samej nocy. Jezu, ale jest beznadziejna.

Zeszła z werandy. Wiedziała, że nie powinna. Tego właśnie chciał ten drań. Ale i tak musiała.

Wsunęła się na czworakach pod deski, gdzie ziemia była żywna i ciemna, i zaczęła rozkopywać ją gołymi rękami. Coraz głębiej i głębiej.

Wciąż tam był. Wciąż straszny. Wszystko na swoim miejscu. Wciąż tam był.

O Boże, nie miała pojęcia, że śmiech może tak bardzo boleć. O Boże, czy to jej twarz w lustrze? Te zapadnięte policzki i plamy błota w kształcie łez?

Godzinę później, uzbrojona w pistolet i latarkę, ruszyła do lasu. Zaczęło się polowanie. Nie miała złudzeń, co zrobi, jeśli go znajdzie, i to ją przerażało, a jednocześnie uspokajało.

Jakieś sześćdziesiąt metrów od domu natknęła się na kryjówkę. Za kilkoma niskimi krzewami zdeptana trawa i liście. Ziemia była teraz zimna, ale Rainie wiedziała, że on tam był. Obserwował. Wszystko wydawało jej się teraz jasne. Facet, który popychał dzieci do morderstwa. Opętany nienawiścią facet bez jaj, niezdolny samemu pociągnąć za spust. Kto by mu zaimponował, jeśli nie policjantka, która podobno zabiła własną matkę?

I o to dzisiaj chodziło. Najpierw przedstawienie w barze, potem podrzucenie rekwizytów do jej salonu. Zapraszał ją do zabawy.

– Wróć jeszcze – wymamrotała Rainie. – Pokażę ci, co potrafię, ty pokrecony sukinsynu. Pokażę ci wszystko.

W drodze powrotnej do domu podniosła sponiewieraną strzelbę.

Piętnaście minut później zaszumiały gałęzie. Ktoś zeskoczył z drzewa niedaleko miejsca, gdzie przedtem stała Rainie. Dotknął ziemi, na której wciąż widoczne były odciski jej stóp. Podniósł palce do ust i polizał.

Uśmiechnął się.

Doskonale.

Sobota, 20 maja, 6.01

Sandy O'Grady nie spała, kiedy zadzwonił telefon. Leżała na wznak w łóżku, wpatrzona w szare cienie przesuwane się po suficie. Wcześniej śniła jej się, że jest znowu małą dziewczynką. Bawiła się z najlepszą przyjaciółką w wysokiej trawie, gdzieś na łące. Rozpoznawały kształty chmur.

– Patrz, smok.

– O, o, słoń!

– Dwugłowy pies!

Sandy obudziła się ze łzami na policzkach i zapragnęła zadzwonić do Melindy. Wiedziała jednak, że to nic nie da. Melinda przeprowadziła się do Portland prawie piętnaście lat temu. Wyszła za mąż – Sandy pojechała na ślub, będąc w siódmym miesiącu ciąży z Dannym – i od tamtej pory nie widziały się już. Ich drogi rozeszły się, jak to bywa w życiu. Łatwiej było utrzymywać kontakt ze znajomymi, którzy mieszkali w pobliżu.

Szczerze mówiąc, Sandy nie tęskniła specjalnie za przyjaciółką z dzieciństwa. Podejrzewała, że bardziej tęskni za samym dzieciństwem.

Być znowu beztroską dziewczynką. Mieć pewność, że zna wszystkie odpowiedzi.

W salonie, gdzie spał na sofie Shep, rozlegało się chrapanie. Z szafy w korytarzu, gdzie spała Becky, dochodziły jakieś szmery. A w pokoju Danny'ego panowała cisza.

Szósta rano. Sandy wpatrywała się w sufit. Zastanawiała się, jaki popełniła błąd. Jak odnaleźć sens w tym wszystkim. Była przecież matką i powinna znać drogę.

Zadzwonił telefon.

Podniosła słuchawkę, zanim przebrzmiał do końca pierwszy przenikliwy sygnał.

– Halo, Danny – krzyknęła.

Nie odpowiedział. Słyszała znajome już teraz, dźwięki w tle. Pobrząkiwanie metalu, odległy szum głosów. Sandy rozejrzała się trochę po poprawczaku w Cabot podczas pierwszej próby odwiedzin u Danny'ego. Schludny, nowoczesny, naprawdę nie taki zły w porównaniu do innych zakładów wychowawczych. Ale w wyobraźni matki był posępnym więzieniem.

– Jak sobie radzisz, Danny? zapytała, starając się zachować beztroski ton. Przesunęła się trochę, żeby wygodniej się ułożyć. Miała go na linii. Chciała tę chwilę zatrzymać, bo wydawało się, że głuche telefony to na razie najbliższy kontakt, jaki mogła mieć z synem.

– U nas wszystko w porządku – ciągnęła swój monolog. – Tęsknimy za tobą. Ojciec bardzo się stara, żeby ci pomóc. Wynajęliśmy adwokata, pana Johnsona. Wiem, że widziałeś się z nim. Jest bardzo dobry, najlepszy z najlepszych. Jesteśmy z ojcem zadowoleni, że podjął się twojej sprawy.

Wciąż nic.

Wzięła kolejny głęboki wdech.

– Becky zaczyna już przychodzić do siebie. Wczoraj dostała nowe pluszowe zwierzątko. Szarobiałego kociaka. Wiesz, jak uwielbia koty. A zresztą może niedługo będziemy mieć coś żywego. Cieszyłbyś się? Ojciec pewnie w końcu się zgodzi, bo Becky przysięgła, że wszystkim się sama zajmie. Nikt nawet nie zauważy, że w domu jest kot. Oczywiście teraz musimy się wybrać do schroniska i aż się boję

pomyśleć, co Becky może tam wyprawiać. Pewnie zechce zabrać wszystkie zwierzęta. Skończy się na tym, że będziemy mieli w domu całe ZOO. Wyobrażasz sobie ojca wśród tabunu szczeniaków i kociaków?

Cisza.

Sandy zaczęły szczypać oczy. Zamrugła powiekami, żeby powstrzymać łzy.

– Żałuję, że nie mogę cię zobaczyć, Danny – powiedziała. – Tęsknię za tobą. Bardzo. Będę szczerą. Bywało... bywało lepiej. Ale jest tu wiele osób, które w ciebie wierzą. Kościół zaczął zbiórkę, żeby pomóc w opłaceniu prawnika. Babcia i dziadek wpadają codziennie i ciągle powtarzają, że nie mogą się już doczekać, kiedy będziemy mieli to całe nieporozumienie za sobą. Sąsiedzi przynoszą w prezencie różne smakołyki. A wczoraj nawet dostaliśmy nową Biblię! Danny?

Wciąż żadnej odpowiedzi. Westchnęła cicho.

– Tęsknię za tobą. Chciałabym cię teraz mocno uściskać. Chciałabym pocałować cię w głowę. Chciałabym... – Jej głos ochrypl. – Chciałabym wszystko naprawić. Bo wiem, że cokolwiek się stało, nie zrobiłeś tego umyślnie. Jesteś dobrym chłopcem, Danny. Jesteś moim synkiem i bardzo cię kocham.

Znowu cisza. Sandy nie mogła tego dłużej znieść; syn łamał jej serce. Już miała odłożyć słuchawkę, kiedy Danny w końcu się odezwał.

– Tyle hałasu – powiedział obojętnym głosem. – I ten potworny zapach. Wszystko inaczej niż na filmach. Nacisnąłem spust. Tyle hałasu.

– Danny?

– Odrzuciło je. Szafki zadudniły. Dziewczynki upadły na ziemię. Tyle hałasu. Zrobiłem coś bardzo złego, mamó. – Jego głos raptownie podniósł się do krzyku. – Zrobiłem coś bardzo złego!

Sandy przeszył raptowny ból. Starła się godzić z rzeczywistością, ale i tak wypowiedziane na głos słowa, których od dawna się obawiała, o mało nie doprowadziły jej do hysterii.

– Przykro mi, kochanie – szepnęła bezradnie. – Tak mi przykro.

– Hałas. Tyle hałasu...

– Danny...

– On mnie zabije.

– Kto, Danny? Pomożemy ci...

– Chcę umrzeć, mamó. Chciałbym położyć się i po prostu... umrzeć.

– Nie mów tak! Jesteś młody, popełniłeś błąd. To wina tego człowieka. On cię w to wpakował, Danny. Nie rozumiesz? Manipulował tobą. A teraz powiedz mi, kto to jest. Proszę cię, Danny.

Ale Danny wziął się znowu w garść. Słyszała jego nierówny oddech, a potem długie chlipnięcie, gdy wycierał nos wierzchem dłoni.

– Nie mogę – powiedział w końcu, a jego głos brzmiał zaskakująco dojrzałe, zaskakująco stanowczo. – Nie mogę ci nic powiedzieć, mamó. Nie jestem taki głupi.

Sobota, 20 maja, 6.35

Już wstał i krzątał się po pokoju, kiedy nagle umieszczony tuż przy łóżku stary aparat tarczowy rozdzwonił się przeraźliwie. Ten dźwięk nie tyle przestraszył Quincy'ego, co zdziwił. Nikt tu do niego nie telefonował. Z biura łapali go na komórkę, a miejscowi policjanci... czyli Rainie... woleli po prostu wpaść osobiście. Po chwili przyszła mu jednak do głowy nowa myśl. Znieruchomiał przy umywalce z jedną połową twarzy namydloną, a drugą już ogoloną.

Znowu przenikliwe brzęczenie.

Dziwne, ale nie mógł poruszyć nogami.

Był pewien, że zadzwonią na telefon komórkowy. Ale podał też w biurze numer motelu, więc jeśli Bethie poprosiła jakąś pielęgniarkę, żeby go odnalazła...

Telefon nie chciał umilknąć. Quincy przemógł się i ruszył w jego stronę.

Minutę później odłożył słuchawkę. Tak jak się obawiał, rozmowa była okropna. I tak jak się spodziewał, krótka i konkretna. Gdyby zechciał przyjechać do szpitala. Odłączą aparaturę, kroplówkę. Koniec może nastąpić bardzo szybko albo bardzo powoli. Nigdy nie wiadomo.

Zaczął się pakować. Kiedy na torbie zauważył białą pianę, zdał

sobie sprawę, że nie dokończył golenia. Wrócił do umywalki.

Musiał jeszcze zadzwonić w kilka miejsc. Telefony do Quantico były łatwe. Za to ostatnia, rozmowa z Rainie, wydawała się przerastać jego możliwości. W sprawach zawodowych Quincy był ekspertem, ale w życiu prywatnym musiał się jeszcze wiele nauczyć.

Wiedział, że jest potrzebny w Bakersville. Sytuacja szybko się zmieniała, a w przypadku inteligentnego zbrodniarza sprawy zazwyczaj pogarszały się, zanim mogły przybrać lepszy obrót. Quincy złapał się na tym, że myśli o Jimie Beckettie i innej młodej, pięknej policjantce, dla której próba powstrzymania seryjnego mordercy skończyła się tragicznie. O Boże, miał nadzieję, że tutaj do tego nie dojdzie.

Rainie potrzebowała go. Była silna, ale są wydarzenia, przez które żaden człowiek nie powinien przechodzić samotnie. Ostatniej nocy, zanim znowu go zaatakowała, zauważył ból w jej oczach. Jeszcze chwila, a runąłby ostatni mur. Może zdołałaby całkowicie się otworzyć. Chciał być przy niej w tym momencie. Nawiązało się między nimi coś wyjątkowego. Bóg jeden wie, że nie spotykał na swojej drodze wielu ludzi, którzy imponowali mu, a jednocześnie potrafili oczarować go.

Ale potrzebowała go też rodzina i, jak to często mu się zdarzało, czuł, że powinien znajdować się w dwóch miejscach jednocześnie. Nie zdołał zostać ani superagentem, ani superojcem. Był jedynie człowiekiem prowadzącym skomplikowane życie i czasem zawodził ludzi, których kochał.

Rainie jest twardsza od Bethie, pomyślał. I zahartowana w boju. Nikłe pocieszenie, ale zawsze coś.

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Rainie odebrała dopiero po piątym sygnale, kiedy już miał zrezygnować. Jej głos brzmiał obco, zupełnie jakby należał do innej osoby.

– Rainie? Przepraszam, obudziłem cię?

Wybełkotała coś, co przypominało „tak”.

Począł chwilę, a ponieważ nie dodała nic więcej, postarał się, żeby rozmowa była prosta, bo przyjemna i tak być nie mogła.

– Rainie, muszę wracać do Wirginii. Milczała, zaskoczona. Tego się spodziewał. Ciągnął więc dalej z udawanym spokojem.

– Właśnie zadzwonili do mnie ze szpitala. Bethie zgodziła się na odłączenie aparatury. Podpisała już zgodę na oddanie organów Mandy. Podobno są ludzie, którzy czekają... Najwyższy... czas.

Rainie milczała.

– Wróć – powiedział szybko. – Wczoraj wysłałem przez kuriera koszulkę pocisku do laboratorium kryminalistycznego. Prosiłem, żeby potraktowano naszą sprawę priorytetowo. Na miejscu mogę lepiej tego przypilnować.

W słuchawce nadal panowała cisza.

– I skoro już tam będę, chciałbym jeszcze trochę poszperać – dodał z zapalem. – Myślałem o tym rano. Jestem gotów się założyć, że człowiek, którego szukamy, jest typem zabójcy z kompleksem autorytetu. Najstynniejszy przypadek to oczywiście Charles Manson.

Wiedział, że klepie trzy po trzy. Wciąż się nie odzywała, a on nie chciał się rozłączyć.

– Zabójcy z kompleksem autorytetu pochodzą zazwyczaj z rodzin, gdzie osoba jednego z rodziców jest szczególnie dominująca. – Jakby z oddali dobiegały go własne słowa. – Ojciec lub matka fizycznie bądź psychicznie znęca się nad dzieckiem, które dorasta fantazjując, że wreszcie się postawi, ale nigdy do tego nie dochodzi. Taki człowiek kieruje potem swoją złość przeciw innym autorytetom. Tyle że zamiast bezpośrednio stosować przemoc, mobilizuje do działania ludzi, którymi potrafi manipulować. Dzięki temu czuje się silny i wszechmocny.

– Muszę sprawdzić inne przypadki – ciągnął z uporem – ale zabójcy z kompleksem autorytetu są zwykle lubiani, błyskotliwi i świetnie funkcjonują w społeczeństwie. Jeszcze większą przyjemność niż przemoc sprawia im zabawa ludźmi i obmyślanie wyszukanych forteli. Nie chcą szybkich i łatwych rozwiązań. Wolą patrzeć, jak gliny się męczą, i napawać się ich rzekomą głupotą. Innymi słowy, im dłużej o tym myślę, tym większego nabieram przekonania, że Dave Duncan nadal przebywa w okolicy.

– Tak jest szansa, że nadal przebywa w okolicy – powtórzyła głuchym głosem Rainie.

– Ale nie lekceważ go – dodał pośpiesznie Quincy. – Zabije bez wahania, jeśli uzna, że został przyparty do muru. Dotyczy to zwłaszcza osób o ustalonym autorytecie, na przykład policjantów.

Usłyszał w słuchawce jakiś hałas, jakby Rainie przeciągała przez łóżko coś ciężkiego.

Quincy zmarszczył brwi. Zamilkł i po raz pierwszy zdał sobie sprawę z przepaści, która ich rozdzieliła. Wyobraził sobie Rainie, jak siedzi po ciemku, tuląc broń, żeby dodać sobie otuchy. Zeszłej nocy sprawy przybrały zły obrót, a on nie mógł zostać, żeby je naprawić.

– Rainie?

Nie odpowiedziała.

– Wróć.

Nie odezwała się.

– Nie uciekam od ciebie ani od śledztwa. Izolacja nie jest ochroną – dodał z przekonaniem, choć teraz już na pewno wygłaszał banały i nie oczekiwał, żeby zrozumiała, o co mu chodzi. – Do cholery, Rainie...

– Przyjemnego lotu – pożegnała go chłodno.

Abe Sanders pochłaniał omlet z trzech jaj przy najdalszym stoliku w barze u Marthy. Jedną z zalet pracy na amerykańskiej prowincji było świeże jedzenie. Jego omlet zawierał grzybki, wyborny ser Tillamook, a przede wszystkim świeży szpinak. W lokalach wielkomijskich zbyt często szli na łatwiznę. Podawali szpinak z puszki albo, co gorsza, krem szpinakowy. Abe wzdrygnął się. Nawet Popeye nie tknąłby czegoś takiego.

Ale w Bakersville jedzenie było doskonałe. Na przykład naleśniki z tutejszej maślanki. Abe uwielbiał takie naleśniki. Dziś rano jednak zdecydował się na ich zdrowszy, bogaty w proteiny substytut. I nie pożałował wyboru. Dochodzenie rozwijało się pomyślnie, choć nie w tym kierunku, który obstawiał na początku. Sanders nie chciał więc

obciążać organizmu węglowodanami.

Skończył omlet, zostawił kelnerce suty napiwek i, mimo że droga była niedługa, pojechał do ratusza samochodem.

Gdy wchodził po wąskich drewnianych schodach, na strychu panowała cisza. To go zdziwiło. Dochodziła ósma, najwyższa pora, żeby rozpocząć kolejny dzień pracy. Przypuszczał, że w centrum operacyjnym zostanie przynajmniej Rainie. Zwykle przychodziła jako pierwsza i wychodziła ostatnia.

Z pewnością nie mógł zarzucić jej lenistwa. Gdyby tylko przestała znęcać się naci tymi ołówkami. Musiał kupić ich aż trzy pudełka, zanim nauczył się trzymać je w schowku, w swoim samochodzie.

Otworzył drzwi na strych i omiół szybkim spojrzeniem małą powierzchnię. Najwyraźniej był dzisiaj pierwszy.

Zaparzył dzbanek kawy, po czym sięgnął po plik listów, które dostarczono z samego rana. Koperta zaadresowana do Rainie ze stemplem pocztowym Kalifornii. Prawdopodobnie informacje o Richardzie Mannie ze szkoły w Los Angeles. Różowa karteczka, na której ktoś zanotował wiadomość przekazaną telefonicznie. Z trudnych do odczytania bazgrołów wynikało, że Quincy musiał wyjechać w związku z pilną sprawą rodzinną i nie będzie go przez kilka dni. Pewnie jego córka, pomyślał ze szczerym współczuciem Abe. Paskudna sprawa. Agent nic nie mówił, ale w miasteczku plotkowano na ten temat. Córkę Quincy'ego potrafił pijany kierowca. Abe słyszał tę historię już ze cztery razy podczas śniadań i obiadów u Marthy.

Pozostałe listy okazały się reklamówkami. Rzucił pocztę na biurko Rainie. Mogła zająć się nią później.

Skoro miał wolną chwilę, wyciągnął komórkę i zadzwonił do domu. Żona szlochała w słuchawkę. Szczeniak miał rano problemy z żołądkiem. Muszą zaraz jechać do weterynarza.

– Na miłość boską, daj mu odrobinę otrębów i samo przejdzie. Trochę się uspokoiła, a potem jak zwykle uparła się oddać słuchawkę psiakowi.

– No dobrze – skapitulował Abe.

Szczeniak zaszczekał entuzjastycznie.

– Nie kontrolujesz pęcherza.

Kolejne radosne szczeknięcie.

– Obsikujesz mi dywany.

Bardzo wesołe szczekanie.

– Dobrze. Świetnie. Też cię kocham. A teraz daj mi z powrotem mamusię. Odezwała się żona. Wielkie nieba, zaczerwienił się.

– Jak idzie? – zapytała.

– Jako tako.

– Niedługo wracasz? – Wiedział, że stara się, jak może, ale w jej głosie zabrzmiała tęsknota.

– Kocham cię, maleńka – powiedział łagodniej. – I też za tobą tęsknię. Odłożył słuchawkę. Żałował, że Dave Duncan wymknął im się wczoraj, ale teraz, kiedy już wiedzieli, kogo szukają, była to tylko kwestia czasu. Faceta w końcu ściga policja. Pewnie jest spanikowany, przerażony i nie wie, gdzie ma się ukryć.

Cholerna sprawa. Sanders osobiście rozesłał po całym stanie list gończy. Jeśli Duncan przebywa w okolicy, ktoś go na pewno zauważy.

Sanders zabrał się za raport. Kiedy skończył, zbliżało się już południe. Wtedy dopiero uświadomił sobie, która jest godzina. Dlaczego Rainie jeszcze nie ma?

Dziwne. Coś mu się tu nie podobało.

Zadzwoił do niej do domu. Potem próbował złapać połączenie z jej wozem patrolowym. Aż wreszcie zaczął się poważnie niepokoić.

Wszystko wskazywało na to, że policjantka Lorraine Conner zniknęła bez śladu. I nawet jeśli Abe oskarżał ją o brak kompetencji, wiedział, że porzucenie śledztwa w toku jest do niej niepodobne.

Sobota, 20 maja, 12.16

Becky usiadła na wąskim łóżeczku, otoczonym pluszowymi zwierzątkami i przytuliła mocniej Wielkiego Misia. Rodzice kłócili się w salonie. Starali się nie podnosić głosów, jak zawsze, kiedy byli na siebie wściekli i nie chcieli, żeby ktoś się o tym dowiedział. Becky wydawało się, że mama płacze. A tata był w jednym ze swych najgorszych nastrojów. Dziś rano, kiedy się obudziła, zajrzał do szafy w korytarzu. Powiedział, że małe dziewczynki śpią w łóżkach, więc niech lepiej Becky przyzwyczai się do tego.

Mama chyba się z nim nie zgadzała. Ale Becky nie obchodziło to specjalnie. W swoim pokoju też miała szafę. Wybrała tę na korytarzu tylko dlatego, że była bliżej miejsca, gdzie spał tata. Bo chociaż lubiła Wielkiego Misia, nie wiedziała, czy umie walczyć. W końcu był tylko pluszakiem z guzikiem zamiast nosa.

Mama i tata kłócili się o Danny'ego.

– On potrzebuje pomocy, Shep! Poważnej pomocy, której nie otrzyma w poprawczaku.

– Wiem o tym! Ale musimy być cierpliwi, Sandy. Słyszałaś, co mówił adwokat. Jeśli Danny zacznie rozmawiać nie z tym, z kim trzeba, może się to obrócić przeciwko niemu w sądzie. Zresztą, o jaką pomoc ci

chodzi? Musimy poczekać na wyniki badań psychologów. Wtedy będziemy wiedzieć więcej.

– Za sześć miesięcy albo za rok? Na miłość boską, on już próbował popełnić samobójstwo...

– Dobrze go pilnują.

– Nie ma nikogo, z kim mógłby porozmawiać. Szkoda, że go nie słyszałeś dziś rano. Błagał o śmierć. Do diabła, to jest nasz syn!

Becky zsunęła się z łóżka, nie wypuszczając z objęć Wielkiego Misia. Ostrożnie, żeby nie narobić hałasu, podkrađła się pod drzwi salonu i przyłgnęła do ściany.

– Nie możemy nic więcej zrobić – usłyszała głos ojca. – Musimy po prostu... wierzyć, że Danny wyjdzie z tego.

– Nie.

– Sandy...

– Jest jeszcze jedna możliwość.

– A pewnie!

– On to zrobił, Shep! Och, na litość boską, nie zasłaniaj uszu jak dziecko. Danny zadzwonił do mnie dziś rano, o szóstej, i powiedział, że to on pociągnął za spust i nie potrafi o tym zapomnieć. Ma dopiero trzynaście lat. Nie wiem, jak do tego wszystkiego doszło. Chciałabym wiedzieć. Ale jakoś. .. On zabrał broń do szkoły, Shep. Zrobił to, co zrobił i teraz ta świadomość go spala. Możemy siedzieć tu, zaprzeczając rzeczywistości, albo pójść razem z naszym synem do okopów. Chyba... to wszystko, co nam zostało.

– Okopy? Nie ma żadnych okopów. Jest tylko więzienie. Tam się idzie samemu i samemu się umiera. Chryste, nie słyszałaś o takich przypadkach? Masowym mordercom nie daje się drugiej szansy. Nawet trzynastoletkom. Danny dostanie taki wyrok, że nie starczy mu życia, żeby go odsiedzieć. To koniec.

– Avery Johnson powiedział, że jeśli Danny przyzna się do winy, będzie można wypracować jakąś ugodę. W ten sposób ominie nas koszmar procesu.

– Mój syn nie jest mordercą.

– Ależ jest.

– Ostrzegam cię, Sandy.

– Danny zastrzelił dwie dziewczynki! Zabił Sally Walker i Alice Bensen. Ich rodzice będą już do końca życia wsłuchiwać się w ciszę ich pustych pokojów. Przez naszego syna. Co ty na to, Shep? Co ty na to?

– Psiakrew, Sandy...

Głos Shepa urwał się gwałtownie. Becky zajrzała do salonu i zobaczyła, że twarz taty jest nabrzmiąta, brzydka i czerwona. Rękę uniósł, jakby chciał kogoś uderzyć. Tylko że przed nim stała mama. Głowę trzymała wysoko i patrzyła na niego tak jak Danny, kiedy prowokował kogoś do rozzłoszczenia się.

Becky ogarnął lęk. Chciała krzyknąć „nie!”, ale, jak wtedy w szkole za bardzo się bała, żeby wydusić z siebie choć jedno słowo. Nie poznawała tych ludzi, z ich zaczerwienionymi twarzami i zaciśniętymi pięściami. Chciała, żeby zniknęli. Żeby wrócili jej prawdziwi rodzice. Tęskniła za czasami, kiedy wszyscy siadali razem do obiadu, nawet Danny, który podrzucał jej groszek na talerz.

– Lepiej się poczujesz, jeśli uderzysz żonę, Shep? – zapytała cicho Sandy. – A może teraz, w tym właśnie momencie, zaświta ci, co się z nami stało?

Shep zadrżał. Powoli opuścił rękę.

– Staram się – ciągnęła martwym głosem. – Staram się jak nigdy, żeby nasza rodzina się nie rozpadła. Ale dłużej już nie mogę. Nie udało nam się, Shep. Gdzieś po drodze zblądziliśmy, Danny zblądził, a biedna Becky... Bóg jeden wie, co się z nią dzieje. Zdaje się, że mamy dwie możliwości. Możemy udawać, że to tylko tragiczne nieporozumienie i nie zdziwić się zbyt, kiedy zadzwonią do nas z informacją, że nasz syn nie żyje. Albo możemy zapomnieć o tym, co chcielibyśmy uznać za prawdę, i stawić czoło temu, co się rzeczywiście stało. Danny jest zamieszany w morderstwo. Danny nie umie kontrolować złości. Danny ma silne zaburzenia emocjonalne. Ale jednocześnie jest dobrym chłopcem – czy to ma jakiś sens? A poczucie winy nie pozwala mu żyć. Jeśli nie pomożemy naszemu synowi, żeby zaczął mówić, i to szybko, on

chyba tego nie wytrzyma. Albo w końcu znajdzie sztucę, wystarczająco naostrzone, albo, co jeszcze gorzej, zablokuje wszystkie emocje. Stanie się zimny i bezlitosny. On ma dopiero trzynaście lat, Shep. Chcę, żeby dostał szansę, aby stać się człowiekiem, jakim go widzieliśmy w marzeniach, a nie bohaterem prasowych sensacji. Nie wiem jak dla ciebie, ale dla mnie wybór jest całkiem jasny.

Ojciec Becky odpowiedział znużonym głosem:

– Jaki wybór, Sandy? Danny nie należy już do nas. Decyduje o nim prawo, a ja znam tego potwora. Gdy tylko Danny się przyzna, zamkną go do końca życia. I nawet jeśli przejdzie terapię i znowu stanie się naszym dobrym chłopcem, co mu, do diabła, z tego, jeśli będzie odsiadywał karę z brutalnymi bandziorami? Może od razu kupmy koszulkę z napisem „Zgwałćcie mnie” i ubierzemy go w nią na występy podczas pieprzonego procesu?

– Shep!

– Sandy, a jak myślisz, co się stanie? Jak myślisz, dlaczego tak bardzo się boję?

Mama milczała. Wyglądała, jakby miała się rozplakać. Becky już miała buzię mokrą od łez.

– Muszą być jakieś inne możliwości – powiedziała w końcu mama, ale jej głos nie brzmiał już tak pewnie. – Musimy porozmawiać z Johnsonem, zapytać go. Zobaczymy, co się da zrobić...

– On nie może trafić do więzienia, Sandy. Nie dopuszczę do tego. Nie dopuszczę.

Sandy bezwiednie przesuwała dłońmi po skrzyżowanych ramionach.

– Nie wiem już, co robić – szepnęła. – Czuję... że najgorsze jeszcze przed nami.

– Wymyślę coś, Sandy. Jest moim synem. Daj mi czas, a ja już coś wymyślę.

Mama w końcu skinęła głową. Becky ścisnęła mocniej Wielkiego Misia i odeszła od drzwi. Serce tłukło jej się w piersi. Znowu czuła, że coś ją przygniata, i jak zawsze wtedy z trudem łapała oddech.

Chciała pobiec do salonu. Chciała objąć tatę i błagać go, żeby zostawił Danny'ego w spokoju. Ale tak jak tamtego dnia w szkole, za bardzo się bała. Słowa by ją zawiodły.

Wróciła do swojego pokoju. Zaczęła znosić do szafy koce i ubrania. Wielki Miś będzie potrzebował schronienia. Pani Żuk i Kucyk Polly, nowy kotek.

Becky miała dużo do zrobienia.

Jeżeli rodzice namówią Danny'ego, stanie się coś złego. Coś bardzo złego. Potwór nadal tam jest i jeśli Danny nie będzie mądry, jeśli Becky nie będzie mądra, zabije ich wszystkich.

Tak jak obiecał.

Rainie rozpoczęła przygotowania zaraz po rozmowie z Quincym. Najpierw skosiła trawnik. Potem wyrównała jego brzegi. W wysokiej trawie ślady byłyby zbyt łatwe do wytropienia.

Założyła maskę. Chwyciła łopatę. Zignorowała dzwoniący telefon i zabrała się do roboty, starając się nie myśleć o tym, co ją czeka. Potem zgrabiła trawę, żeby przykryć ślady. Wzięła długi, gorący prysznic i splukała wilgotną ziemię z rąk.

Kolejną godzinę męczyła się ze strzelbą. Na wszelki wypadek.

Tuż po drugiej, gdy wracała z wozu, niosąc berettę i zapasową dwudziestkę dwójkę, telefon znowu zaczął dzwonić. Nie chciała odbierać, ale usłyszała głos Luke'a na sekretarce.

Podniosła słuchawkę.

– Jestem.

– Jezu, Rainie. Gdzie ty się do cholery, podziewasz? Sanders dostaje świra, próbując cię namierzyć.

– Strzygłam trawnik. Jak tam w Portland?

– Nieciekawie. – Luke wydawał się zdezorientowany. Słyszała odgłosy ruchu ulicznego, więc pewnie dzwonił z komórki. – Akurat dziś rano zabrałaś się za porządki?

– Trawa jakoś nie rozumie, że morderstwo jest wystarczającym

powodem, żeby przestała rosnać. Dlaczego w Portland jest nieciekawie?

– Zniknął Daniel Avalon. Mieliśmy się spotkać w jego biurze dziś rano, ale sekretarka wciskała mi jedną kiepską wymówkę za drugą. W końcu skontaktowałem się z panią Avalon. Zdaje się, że jej małżonek nie wrócił wczoraj na noc. I jeszcze jedno, po drodze do Portland mijałem myśliwską chatę. Z pewnością niedawno ktoś z niej korzystał.

– Myślisz, że to on jest Duncanem?

– Cóż, przy odpowiedniej charakteryzacji... Do diabła, wszystko jest możliwe. – Luke westchnął. – Puściłem komunikat z jego „normalnym” rysopisem, opisem jego samochodu i chaty. To wszystko, co mogę na razie zrobić.

– Jestem pewna, że wkrótce się zjawi – powiedziała obojętnie Rainie. Jej wzrok powędrował w stronę werandy.

– Rainie... Kazałem Angelinie pokazać mi gablotę z bronią. Jednej sztuki brakuje. Nie podoba mi się to.

– Klin klinem – wymamrotała Rainie.

– Wracam do Bakersville, dobra? Nie ma tu dla mnie nic więcej do roboty, a poza tym czułbym się lepiej z powrotem w mieście.

– Rób jak uważasz, Luke.

– Dobra. – Zawahał się. Słyszała w jego głosie niewypowiedziane pytanie. Znali się od dawna. Luke przyjechałby, gdyby go poprosiła. Oddałby za nią życie, gdyby zaszła potrzeba; był tego typu człowiekiem.

Ale ona nie mogła oczekiwać od nikogo, żeby płacił za jej grzechy.

– Rainie... – zaczął.

– Jestem dużą dziewczynką, Luke – powiedziała. – Dam sobie radę.

Odłożyła słuchawkę. Robiło się późno, nie miała czasu. Wyszła w bawełnianej bluzce pod cienką kurtką, idealnie maskującą broń. Do tego założyła dzinsy „dzwony”. Doskonałe do ukrycia zapasowej dwudziestki dwójki.

Zabrała dokumenty. Potrzebowała ich, żeby dostać się do zakładu poprawczego w Cabot. Potem jednak była zdana już tylko na siebie. Nie jechała tam jako policjantka Lorraine Conner, ale po prostu Rainie. I

powinna była to zrobić kilka dni temu.

W salonie przygotowała jeszcze jedną niespodziankę, na wszelki wypadek. Potem zerknęła na zegarek. Danny miał zostać przewieziony o piątej. W ostatniej chwili Shep załatwił, żeby chłopca zbadano w pobliskim szpitalu psychiatrycznym. Nie miała zbyt dużo czasu.

Rainie wyjechała swoim starym nissanem. Godzinę później siedziała naprzeciw Danny'ego O'Grady, którego chuda, mizerna twarz była niemal wiernym odbiciem jej własnej.

– Danny – powiedziała cicho. – Już pora, żebyśmy pogadali. Nie wyszła, dopóki nie powiedział jej wszystkiego.

Ciężkim krokiem Quincy szedł szpitalnymi korytarzami w stronę sali, której chciałby już nigdy nie oglądać. Po drodze do Dulles miał przesiadkę w Chicago, a cholerny samolot z Portland spóźnił się o czterdzieści pięć minut, więc musiał niemal biec do odprawy. Bał się, że nie zdąży na drugi samolot. Bał się, że utknie na dobre na lotnisku O'Hare. Bał się, że będzie musiał zadzwonić do Bethie i powiedzieć, że nie zdąży na to doniosłe wydarzenie, w życiu ich córki już ostatnie. Cha, cha, cha!

Głowę miał nabitą myślami. Czuł się wykończony i jednocześnie podniecony, jakby jechał na miejsce zbrodni, i to jeszcze bardziej wyprowadzało go z równowagi.

Kilka pielęgniarek powitało go skinieniem głowy. Rozpoznawał ich twarze, ale nie pamiętał imion.

Wreszcie dotarł do drzwi. Znowu ten cholerny zapach. I ta wszechobecna biel. A jego wychowano w przeświadczeniu, że śmierć kojarzy się z czernią.

Przybrał swoją zawodową maskę. Tylko w ten sposób potrafił zmusić się, żeby wejść do tej sali. Energicznie otworzył drzwi.

Beth, zwinięta w kłębek, spała w fotelu obok łóżka. Jej ciemne włosy w ciągu ostatnich kilku lat miejscami pobieleły, ale nadal miękkimi falami spływały na ramiona. W beżowych spodniach i cienkiej

jedwabnej bluzce wyglądała zbyt ładnie, żeby spędzać całe dnie w szpitalnej sali. Quincy natychmiast poczuł wyrzuty sumienia, jak zwykle, kiedy chodziło o jego byłą żonę.

Odchrząknął. Budziła się powoli, mrugając niebieskimi oczami. Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Pierce? Przestałeś zbawiać świat? Myślałam, że zajmie ci to co najmniej jeszcze tydzień.

Quincy zignorował jej sarkazm. Przeniósł wzrok na córkę. Twarz Amandy wciąż spowijała biała gaza. Jej ciało najeżone było rurkami i igłami, które niemal przysłaniały sylwetkę będącą jeszcze niedawno uosobieniem gracji. Teraz obraz gwałtu, związanego z podtrzymywaniem życia, wstrząsnął nim raz jeszcze. Quincy poruszył się z trudem.

– Przyjechałem jak najszybciej – powiedział, ujmując rękę Mandy. Uścisnął ją delikatnie. Żadnej reakcji. Przyglądał się drobnym, bladym palcom spoczywającym bezwładnie w jego dłoni. Dziwne, że różowe paznokcie rosną dalej, chociaż reszta ciała obumiera. Przypomnił sobie jej dziecięce paluszki ściskające go za kciuk. Zupełnie jakby to było wczoraj.

– Nie rozumiem – odezwała się Bethie za jego plecami. – Myślałam, że masz dość.

– Jak mogłem nie przyjechać, Bethie? Zawsze chciałem być przy tym, kiedy się zdecydujesz.

– Kiedy się zdecyduję na co?

Quincy odwrócił się. Wciąż trzymał dłoń Mandy, ale patrzył na byłą żonę. Na jej twarzy malowało się autentyczne zdziwienie. Poczł skurcz w żołądku. Gdzieś w środku zalewała go fala zimna.

– Dzwonił ktoś ze szpitala. Postanowiłaś odłączyć aparaturę podtrzymującą. ..

– Ależ skąd!

– Bethie...

– Czy to jakaś nowa sztuczka, Pierce? Myślisz, że mały melodramat skłoni mnie do zmiany zdania? Nic z tego. Nie zabiję własnej córki dla

twojej wygody.

– Bethie... – Zamilkł. Jego żona najwyraźniej nie miała pojęcia, o czym mówił. Nabrano go, a on dał się złapać w pułapkę jak mysz.

O Boże, Rainie.

Quincy ostrożnie położył dłoń Mandy na kołdrze. Pocałował córkę w skroń. Zaczęły mu drżeć ręce.

– Żadnych zmian?

– Żadnych – odparła sztywno Bethie.

– A Kimberly?

– Pewnie już się zadomowiła w college’u. Nawet nie pomyśli o tym, żeby zadzwonić.

Quincy kiwnął głową i ruszył do drzwi. Nie chciał, żeby zauważyła, jak bardzo mu się spieszy.

– Dzięki za wizytę – zawołała za nim Bethie. – Wpadnij jeszcze kiedyś.

Zatrzymał się na chwilę w progu.

– To nie twoja wina – powiedział szczerze. – To, co się stało z Mandy, to nie twoja wina.

– Nie obwiniam siebie – przerwała mu matowym głosem – tylko siebie.

Quincy niemal biegł korytarzem do wyjścia. Gdy tylko znalazł się na parkingu, wyjął telefon komórkowy. Najpierw zadzwonił do kolegi z laboratorium kryminalistycznego. Dzień wcześniej posłał mu koszulkę pocisku.

– Sprawdzalesz w DRUGFIRE?

– Jezu, Quincy, ciebie też miło słyszeć.

– Nie mam czasu, Kenny. Czego się dowiedziałeś?

– Gdybyś raczył sprawdzić pocztę głosową, to byś wiedział, że spędziłem nad tym całą pieprzoną noc. Ślady takie same jak w przypadku dwóch innych strzelanin, Quince. Szkolnych strzelanin. Oba dochodzenia dawno zamknięto, a dzieciaki siedzą w pudle. Więc jeśli te zbrodnie się powtarzają... Zwijaj się do Quantico, Quincy. Jesteś tu potrzebny.

– Jadę do Oregonu. Jak najszybciej przefaksuj wszystkie dane na numer w Bakersville.

– Odbiło ci? Użyto tej samej broni do trzech różnych szkolnych strzelanin w trzech różnych miejscach na przestrzeni dziesięciu lat. Co według ciebie może stać się teraz?

– On zabije Rainie – powiedział po prostu Quincy. – To część jego gry. Doprowadzi ją do ostateczności, a potem zaatakuje. Nie przewidziałem tego. Cholera, nie przewidziałem tego, a teraz jestem, kurwa, na drugim końcu tego pieprzonego kraju!

Zakończył rozmowę i po chwili siedział już w taksówce, pokrzykując na kierowcę, żeby jechał szybciej. Myślał o swojej córce i tych chwilach w życiu, kiedy nie zrobił wszystkiego, co powinien.

Sobota, 20 maja, 16.48

Danny był wykończony. Długo po wyjściu Rainie leżał na łóżku, zwinięty w kłębek, wpatrzony w jeden punkt na podłodze. Powiedział wszystko. Nie powinien był, ale powiedział i teraz czuł się zupełnie wycieńczony.

Tłumaczyła mu, że tajemnice tylko pogarszają sytuację. Że dają innym władzę nad nim. Danny nie był już niczego pewien. Miał w głowie tyle obrazów. Chciałby wyłączyć mózg, żeby to wszystko znikło.

Rano zaczęły mu się trząść ręce i nie chciały przestać. Opuścił go chłód i teraz całe jego wnętrze wypełniał palący ból. Danny nie znosił dotyku własnej skóry. Nie znosił widoku swojej twarzy w lustrze. Przydałoby mu się coś ostrego, żeby mógł odciąć sobie palce. Nie musiałby wtedy ciągle widzieć, jak trzymają broń i naciskają spust. Wtedy na zewnątrz bolałoby go tak samo jak w środku. Wydawało mu się, że to by pomogło.

Był zmęczony. Ale nie mógł spać. Martwił się o Becky. Powinien ruszyć się, zrobić coś. Ale nie wiedział, co. Na korytarzu rozległy się kroki. Pojawił się jeden z przewodników. Uśmiechał się jak klaun.

– Już czas – oznajmił radośnie.

Danny spojrzał na niego obojętnym wzrokiem.

– Jedziemy na wycieczkę, panie Q’Grady. Starzy wysyłają cię do wariatkowa. – Wesolek roześmiał się ze swojego żartu.

Danny zwinął się jeszcze ciaśniej na łóżku.

Za plecami dowcipnisia pojawiło się dwóch mężczyzn. Byli ubrani w mundury i wydawali się Danny’emu znajomi. Trzymali kajdanki. Mury zakładu poprawczego opuszczało się ze spętanymi nogami. Opór nie miał już sensu. Tak czy inaczej zabiorą Danny’ego.

Do wariatkowa. Paliło go w środku. Żałował, że nie ma nic ostrego.

Wstał, jak mu kazano. Podniósł ręce. Młodszy mężczyzna najpierw skuł mu nogi. Nie zacisnął kajdanek zbyt mocno. Nie tak jak ostatnim razem. Wtedy wokół kostek zostały pręgi. Z wyrazu twarzy tego człowieka Danny wyczytał, że coś się zmieniło.

Danny siedział cicho. Młodszy policjant zapiął mu pas i przykuł do niego ręce. Gotowe.

Starszy kiwnął głową. – Danny – powiedział surowym, znajomym głosem.

Widocznie musiał go wcześniej spotkać. Może był znajomym ojca. Stary dobry Shep kochał swoje mundurowe bractwo. Bycie gliną nie mogło być teraz dla niego łatwe.

Funkcjonariusze wyprowadzili Danny’ego do wozu patrolowego policji z Cabot. Wskazali mu tylne siedzenie, a sami zajęli miejsca z przodu. Co chwila spoglądali po sobie, ale nie mówili dużo.

Danny nie zadawał pytań. Nie wiedział, dlaczego jedzie do wariatkowa, na jak długo i co się tam będzie z nim działo. Milczał. Żałował tylko, że nie ma czegoś ostrego. Odciąć palce. Nie musiałby już patrzeć na swoje ręce. Panna Avalon, panna Avalon, panna Avalon.

Uciekaj, Danny, uciekaj!

Samochód ruszył. Starszy policjant przyglądał się więźniowi w lusterku wstecznym. Danny’emu nie podobało się to spojrzenie. Skulił ramiona, żeby stać się jak najmniejszym.

Dziesięć minut później mężczyzna spojrzął na młodszego kolegę.

– Tutaj?

– Miejsce dobre jak każde inne.

– Hej, ty – policjant zwrócił się do Danny’ego. – Trzymaj się.

Wóz nagle skręcił i zaczął podskakiwać na poboczu drogi. Danny pomyślał, że kierowca zahamuje. Ale on jeszcze przyspieszył. Bum.

Siła uderzenia rzuciła chłopca do przodu na szybę kuloodporną. Zamrugał oczami. Wokół wirował tuman kurzu. Kiedy Danny w końcu oprzytomniał, zdał sobie sprawę, że wóz patrolowy uderzył o drzewo. Spod maski wydobywała się para. Policjanci wyglądali na oszołomionych, młodszemu krew spływała po czole.

– Cholera – wymamrotał i skrzywił się, dotykając rany. – Cholera, będzie wyglądać autentycznie.

– Wsiadaj – rozkazał starszy policjant. Krwawiła mu warga, a policzek wyglądał na posiniaczony. – Na litość boską – powiedział z większym zniecierpliwieniem – bierz kluczyki i jazda stąd. Tata ci nic nie mówił?

Danny w końcu zdał sobie sprawę, że tylne drzwi są otwarte. Zrobił to któryś z nich, czy może same się otworzyły pod wpływem uderzenia? Nie pamiętał. Ciało Denmy’ego zaczęło się poruszać jakby bez udziału jego woli.

Wsiadł z wozu. Obaj policjanci jęczeli. Ktoś odezwał się skrzekliwie przez radio. Zaczęli jęczeć jeszcze głośniejsze, a starszy z nich wskazał na kluczyki dyndające mu przy pasie.

Danny chwycił je i rozpiął kajdanki. Zauważył, że nadjeżdża następny policyjny wóz, ale już nie z Cabot. Ten był z Bakersville i Danny od razu poznał, kto siedzi za kierownicą.

Rzucił kluczyki w trawę. Skoczył do przodu i wyrwał zaskoczonemu policjantowi broń.

Oczy mężczyzny pobiegały ze strachu. Zaczął coś bełkotać, ale Danny nie czekał, żeby go wysłuchać. Mgła podniosła się. Nie miał już wątpliwości.

Biegł. Prosto do wąwozu. Przedzierał się przez zarośla. Słyszał wołania policjantów i ojca.

– Czekaj, czekaj, próbujemy ci pomóc.

– Synu, proszę...

Danny przyspieszył.

Miał teraz broń i dokładnie wiedział, co z nią zrobi. Przecież nie był głupi.

Tuż po siedemnastej trzydzieści dyrektor Steven Vander Zanden wjechał na zaokrąglony podjazd przed swoim domem. Abigail siedziała obok męża, trzymając go za rękę. Od strzelaniny wyraźnie czuła potrzebę fizycznej bliskości. Częściej gładziła go po policzku, przytulała się podczas snu.

Od lat nie była wobec niego tak czuła i Steven nie wiedział, co ma o tym myśleć. Smutek i poczucie winy związane z Melissą sprawiły, że był żonie wdzięczny za kontakt, którego tak bardzo potrzebował. A jednak im ona była miłsza, tym on czuł się gorzej.

Dzisiaj zrozumiał, że musi powiedzieć jej prawdę. Po prostu wszystko otwarcie wyjawić. I zobaczyć, co Abigail zrobi.

Ale rano żona zaproponowała, żeby pojechali na plażę, odpoczęli trochę. Od czasu strzelaniny był bardzo zapracowany. Tylu ludzi potrzebowało pomocy i tyle wątpliwości nie pozwalało mu zmrużyć oka. Miną miesiące, zanim upora się z konsekwencjami tej tragedii. Miesiące, zanim znowu zdoła być dobrym dyrektorem szkoły i przewodnikiem uczniów.

Abigail miała na sobie nową letnią sukienkę, którą wczoraj widocznie kupiła u Searsa. Intensywny błękit ożywił jej oczy i Steven złapał się na tym, że obserwuje ją. Zauważył, jak się uśmiecha. W końcu dotarło do niego, że ona go po prostu uwodzi. Delikatnie, subtelnie, pozostawiając mu dużo swobody.

Zdał sobie sprawę, że myśli o dawnych czasach, kiedy byli świeżo po ślubie i spędzali całe godziny, gawędząc i chichocząc na sofie. Zawsze podziwiał rozsądek żony i sposób, w jaki pozwalała mu się czuć silnym, choć przez całe życie odgrywał rolę słabeusza, który nigdy nie potrafił zostać bohaterem na boisku. Pamiętał, jak bardzo pociągała go, zanim do Bakersville przybyła Melissa Avalon ze swoim olśniewającym uśmiechem.

Przed piątą podjął już decyzję. Popęłnił błąd, osobistą pomyłkę. Miał

nadzieję, że żona nigdy nie będzie musiała się dowiedzieć, jak bardzo ją zranił. A teraz chciał powrotu dawnego życia.

Dojeżdżali do domu.

Pierwszym niepokojącym sygnałem był nieznaczny ruch, który Steven zauważył kątem oka. Po chwili tylna szyba eksplodowała gradem szkła.

– O Boże – krzyknęła Abigail.

– Schyl się! – rozkazał Steven.

Instynktownie wcisnął gaz do dechy i zjechał z podjazdu. Samochód staczał się ze wzgórza, aż zatrzymał się na kępie krzewów. Vander Zanden próbował cofnąć. Bez skutku. Próbował przebić się do przodu. Utknęli na dobre.

Kolejny strzał. Znowu eksplodowało okienko.

Steven spojrział na kobietę, która od piętnastu lat była jego żoną. Już wszystko rozumiał. Nie będzie ucieczki. Melissa ostrzegła go.

– Uciekaj, Abigail – powiedział cicho. – Uciekaj jak najszybciej.

Wysiadł, gotów przyjąć to, co zgotował mu los.

Sandersa znowu ogarnął niepokój. Szósta trzydzieści. Chryste, jak długo kobieta może porządkować jedno podwórko? Ci małomiasteczkowi policjanci! Póki dochodzenie jest ekscytujące, sprawują się świetnie. A gdy zaczyna się mozolna robota, dyskretnie znikają.

Pogderał jeszcze trochę, spacerując po maleńkim pomieszczeniu na strychu i masując zeszywniały kark. Na krótko zameldował się Luke Hayes, ale wrócił już do biura szeryfa. Z rozkazu Sandersa miał odwalić papierkową robotę. Detektyw stanowy nie wiedział, jakie mają tu metody pracy, ale w dochodzeniu z udziałem policji różnych szczebli albo sporządza się raporty na bieżąco, albo śledztwo zaczyna się sypać.

A właśnie.

Sanders sięgnął po list do Rainie ze szkoły w Kalifornii. Skoro policjantka Conner dotąd się nie pojawiła, sam musi wziąć sprawę w

swoje ręce.

Otworzył płaską kopertę.

– O cholera – zaklął trzydzieści sekund później. – O cholera!

Po chwili w kącie pokoju zastukał policyjny faks. Nadeszły pierwsze doniesienia o strzałach.

Sobota, 20 maja, 19.51

Witaj, Richardzie. Rainie stała na werandzie w zapadającym zmierzchu. Było późno, dochodziła ósma. W drodze powrotnej z poprawczaka zatrzymała się, żeby przegryźć jakąś kanapkę i pomyśleć. Nie najadła się specjalnie, ale za to rozjaśniło jej się w głowie. Skąd mroczna postać mężczyzny na jej werandzie? Dlaczego jakiś nieznajomy opowiadał o jej matce w barze w Seaside? Skąd strzelba na jej sofie? Bo w którymś momencie zaczęło chodzić właśnie o nią.

Zabójca nie rozplynie się w powietrzu. Quincy miał rację. Ten szalenciec jeszcze nie skończył.

Rainie zaparkowała samochód na początku podjazdu. Już wiedziała, kogo szuka. Kiedy Danny w końcu wyszeptał jego nazwisko, wcale się nie zdziwiła.

Ostrożnie przeszła lasem na tyły swojego domu. Było tak, jak się spodziewała. Mann siedział spokojnie na werandzie, tuląc do siebie strzelbę jej matki.

Weszła po schodkach i wymierzyła w jego pierś z pistoletu.

– Witaj, Lorraine – odezwał się uprzejmie. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko mojej wizycie, ale zmęczyły mnie już te podchody.

– Świetnie. Wstań, to cię zastrzelę.

– Lorraine – rzucił jej zirytowane spojrzenie. – Niczego się nie nauczyłaś czternaście lat temu?

– Owszem – odparła szczerze. – Żeby nie czekać tak długo. I przyznać się od razu... to lepsze dla zdrowia.

Richard Mann uśmiechał się do niej czarująco. Miał na sobie czarne dżinsy i czarny golf, przez co jego sylwetka rozmywała się trochę w zapadającym zmierzchu. Brązowe włosy ufarbował na blond, podobnie jak brwi i rzęsy. Efekt był zdumiewający – z młodego konserwatysty zamienił się w gwiazdę rocka. Rainie rozumiała, co to znaczy. Richard nie zamierzał dalej odgrywać roli psychologa szkolnego w Bakersville. Tutaj została mu jeszcze tylko jedna sprawa do załatwienia.

– Zaglądałem pod werandę – powiedział. – Czemu go przeniosłaś?

– Miałam swoje powody.

– Odwiedziłaś dzisiaj Danny'ego, prawda? Teraz już na pewno wiesz, że możesz mi się zwierzyć. Właściwie jestem chyba jedyną osobą w tym mieście, która potrafi cię naprawdę zrozumieć.

– Jesteś obrzydliwym, nienormalnym draniem, Richardzie. A ja jestem gliną. Niczego nie rozumiesz.

Roześmiał się, autentycznie rozbawiony.

– Naprawdę w to wierzysz, Rainie? Sprytnie. Co jeszcze sobie wmówiłaś, żeby móc dalej żyć? Bardzo mnie to ciekawi. Prawie tak bardzo jak ta sprawa z piwem. Obserwuję cię od wielu miesięcy i muszę się dowiedzieć. Kiedy wylewasz piwo przez poręcz werandy, co wtedy mówisz?

– Nie twoja sprawa.

– Znowu rozczarowanie. Początkowo wiązałem z tobą wielkie nadzieje, ale zrobiłaś się nieznośna i nudna. Nie jestem pewien, czy jeszcze cię lubię.

– Pewnie przez tę broń – powiedziała zimno. – Wstawaj i ręce do góry. Zobaczymy, czy to ci poprawi humor.

Uśmiechnął się.

– Nie, dziękuję. Tutaj mi całkiem wygodnie. Jestem dobry w tym, co robię. Musisz to przyznać. Dobry psycholog szkolny powinien umieć

zainspirować młodzież. Rany, ale mi się udało. Szkoda, że nie widziałaś twarzy Melissy przed śmiercią. Naprawdę nie miała pojęcia, co się dzieje.

– Po to tutaj przyszedłeś? Żeby się przechwalać?

– Wiesz, po co przyszedłem.

– Mną trudniej manipulować niż trzynastoletnim chłopcem – powiedziała ostro Rainie.

Richard podniósł się raptownie z miejsca.

– Nie. Nawet łatwiej. Zrobił krok do przodu.

– Stój, bo cię zabiję.

Odrzucił strzelbę.

– Ależ Lorraine, jestem nieuzbrojony.

– Nie mów do mnie Lorraine!

Zrobił kolejny krok.

– Oczywiście, że tego chcesz. Zabijanie wchodzi w krew. Pierwszy raz jest trudny, potem idzie już dużo łatwiej. Czytałem, że w mózgu wydzielają się wtedy jakieś substancje. Żadna używka temu nie dorówna. Wierz mi, wiem coś o tym.

– Ani kroku dalej!

– Daj spokój, Lorraine. Po prostu pociągnij za spust. Rozmawiałaś z Dannym. Znasz to przyjemne uczucie. Nienawidzisz mnie. Nienawidzisz, bo manipulowałem twoim pupilkiem. Nienawidzisz, bo pomogłem mu zabić te dziewczynki. Nienawidzisz, bo przywróciłem przeszłość twoim snom. Tak, obserwowałem cię, kiedy spałaś. Wiem, że wszystko wróciło. Więc pociągnij za spust, Lorraine. Zrób to jeszcze ten jeden słodki, upajający raz. Pamiętasz tamto poczucie siły. Delektuj się swoim gniewem.

– Cholera jasna. – Opuściła broń niżej i kiedy zrobił kolejny krok, strzeliła mu w kolano.

Automatyczny pistolet wydał z siebie tylko puste, ciche stuknięcie. Richard roześmiał się. Podniósł strzelbę jej matki.

– Żeby trzymać broń w pudełku po butach w szafie! Nie utrudniłaś mi zbytnio zadania.

Rainie nie spuszczała wzroku z beretty.

– Jakim cudem? Niedawno ją czyściłam i ładowałam...

– Iglica. Spiłowałam ją trochę, żeby nie mogła uderzyć w spłonkę. Tamtej nocy, kiedy się obudziłaś. Ale zdążyłem się wymknąć. – Podniósł strzelbę, żeby mogła ją lepiej widzieć. – Zdjął iglicę. Wiem, sprawdzałem. Zbyt oczywiste... ja ci to mówię. Nigdy nie rób dużo, Lorraine, jeśli wystarczy tylko trochę. Wielkie oszustwa rzucają długie cienie.

– Na twoim miejscu nie szlifowałabym jeszcze mowy na własną cześć – rzuciła Rainie. Wypuściła berettę z rąk i cofnęła się. Chciała dać sobie więcej czasu na następny ruch. Kabura przy kostce. Ostatnie dni dwudziestka dwójka przeleżała ukryta w bagażniku policyjnego wozu. Niemożliwe, żeby drań dostał się i tam.

– Tym razem nie sprawiłeś się zbyt dobrze. Czysty strzał w czoło Melissy Avalon...

– Robiłem to już trzy razy. Zawsze nauczycielka informatyki, zawsze pojedynczy strzał w czoło. Nikt jeszcze na to nie wpadł. Mając masowego mordercę pod kluczem, kto zaczynałby porównywać jego wyczyny z innymi zbrodniami? Zapytaj swojego przyjaciela Quincy'ego. Zamachy w szkołach traktuje się jako odosobnione przypadki.

– Ale wiedzieliśmy, że byłeś zamieszany...

– Daj spokój. Koszulka pocisku stanowiła moją wizytówkę. Chciałem, żeby wcześniej czy później ktoś się zainteresował, inaczej nie byłoby zabawy. Na litość boską, podsunąłem wam NoLava@aol. com. Zaprosiłem was nawet do mojego gabinetu, żebyście mogli zobaczyć okno, przez które wyszedłem na rendez-vous z Dannym. Mogliście przynajmniej wziąć pod uwagę taką ewentualność.

– Wzięliśmy. Wydawała się mało prawdopodobna.

– No cóż, gliny pozbawione są wyobraźni – stwierdził Richard, wzruszając ramionami. – I tutaj popełniacie błąd. Przystępstwo jest aktem twórczym. Wymaga cierpliwości i zaangażowania. Widzisz, urabiałem Danny'ego O'Grady od ponad roku. Powoli oswajałem go

przez Internet. Dawałem mu do zrozumienia, że jego złość i poczucie niższości są zjawiskiem powszechnym i dopuszczalnym. Potem było już łatwo. Spotkałem się z nim osobiście. Pokazałem mu, że nie jestem żadnym zbrojcem, tylko psychologiem z jego szkoły. Jak można wątpić w to, co mówi szkolny psycholog? „Musisz bronić swoich praw, Danny. Pokazać wszystkim, łącznie z twoim ojcem, kto tu rządzi”. Oczywiście nigdy nie wspominałem o Melissie Avalon. To była niespodzianka, którą zostawiłem na ostatnią chwilę. Chłopak wiedział, że musi tylko przynieść broń i zebrać się na odwagę, a ja miałem mu pomóc w samorealizacji. Kiedy wchodziliśmy do szkoły bocznym wejściem, trząś się jak osika. Ale trzeba było widzieć determinację w jego oczach. Rany, byłem dumny. Śmieszne, ale czułem się trochę jak ojciec. A potem wkroczyłem do pracowni informatycznej i zająłem się śliczną panną Avalon.

Richard zniżył głos. Konspiracyjnie pochylił się do przodu.

– Chodzi o to, żeby się zawahać – wyznał. – Niech dzieciak oszacuje sytuację. Zrozumie, że ma szansę zainterweniować. A wtedy, gdy wciąż jest oszołomiony i próbuje radzić się sumienia, bum! Pociągnąć za spust. Droga pani nauczycielka wali się na podłogę. I chłopak jest już twój. Nie obronił dobra, więc musi stanąć po stronie zła. Poradziłem mu, żeby sobie poszalał. Płakał przy tym jak niemowlę, ale mnie nie rozczarował. Niezłe strzelał, zważywszy na to, że bał się wychylić z pracowni. Może Shep nie jest takim najgorszym nauczycielem... przynajmniej jeśli chodzi o broń.

Mann przeniósł ciężar ciała na pięty. Westchnął i zakończył zadowolony:

– Danny zabił dwie dziewczynki. I gdy wszyscy w panice wybiegli z budynku, ja spokojnie opuściłem scenę. Łatwizna, tak jak parę razy wcześniej.

– Nie do końca. Widziała cię Becky.

Mann tylko wzruszył ramionami.

– Pewnie chciała zabawić się w bohaterkę. Szukała brata. Miała pecha, bo przyłapała nas dosłownie na gorącym uczynku. Jeśli o mnie

chodzi, niewiele to mogło zmienić. Po prostu zagroziłem, że zabiję Danny'ego, jeśli Becky coś wygada albo zabiję Becky, jeśli Danny piśnie choć słowo. *Voilà*. Gdyby ludzie wychowywali mniej przewrażliwione dzieci, miałbym trudniejsze zadanie. Bazując na poczuciu winy, rzecz jasna dużo łatwiej człowiekiem manipulować.

– I po to stworzyłeś Dave'a Duncana, nieznajomego kręcącego się wokół Seaside? Żeby dalej siać zamęt?

Mann uśmiechnął się chytrze.

– Daj spokój, Rainie. Popelniono morderstwo... Co robią błyskotliwi policjanci? Biorą pod lupę miejscowych. I dlatego poprzednio miałem przewagę. Na pozór nic mnie nie łączyło z tym, co się stało, więc nikomu nie przyszło nawet do głowy, żeby się mną zainteresować. Ale to się zrobiło nudne. Tym razem postanowiłem wyjść na scenę... i całkiem nieźle wypadłem, powiem nieskromnie. Mogłem być przesłuchiwany, więc przywłaszczyłem sobie czyjąś tożsamość na wypadek, gdybyście zaczęli za bardzo węszyć. Jak się zabezpieczyć? Nic łatwiejszego. Stworzyłem tajemniczego faceta, żebyście mieli się za kim uganiać. Co za spryt i dowcip. Kiedyś będę musiał chyba napisać książkę.

– Nie chcę rozwiewać twoich złudzeń, Richardzie, ale skoro jesteś taki genialny, jak myślisz, skąd wiem, że to ty strzelałeś? Danny mi powiedział. A tak przy okazji, zostawiłam już moim współpracownikom wiadomości o tobie. Przyznaj, że gra się skończyła.

– Rainie skłamała, że powiadomiła o swoich odkryciach Sandersa i Luke'a, ale Mannowi było najwyraźniej wszystko jedno.

– Nie przyjadą, Lorraine. Jeszcze nie rozumiesz? Twój bohater, wielki agent Quincy, rzuca się właśnie w ramiona byłej żony. A detektyw Sanders i oficer Hayes zajęci są pewnym incydentem na drugim końcu miasta. Nie słyszałaś? Podobno ktoś przysłał Danielowi Avalonowi kopię pewnego filmu. Piękna Melissa i jej kochanek *inflagrante delicto*. Podejrzewam, że to było za wiele dla pana Avalona. Odwiedził więc szacownego dyrektora Vander Zandena. I wziął ze sobą ulubioną broń. – Richard zasłonił delikatnie usta. – Ojej. Zostaliśmy

tylko ty i ja, Lorraine. Pogadajmy.

– Po co? Nieźle się ubawiłeś. Co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

– Opowiedz, jak się czułaś tamtego popołudnia. Opowiedz, jak przyjemnie było zabijać faceta, który zastrzelił twoją matkę.

– Idź do diabła.

– Było wspaniale, co? Nie chcesz się do tego przyznać, ale sprawiło ci to frajdę. I lubisz do tego wracać, co, Lorraine? Za każdym razem, kiedy wychodzisz na werandę. Za każdym razem, kiedy wznosisz piwem cichy toast za kochasia, którego rozwaliałaś.

– Richard, zmieniłam zdanie. – Rainie usiadła na pobliskiej ławce, nie spuszczając z niego oczu. – Jednak powiem ci, co mówię za każdym razem, kiedy wylewam piwo.

– Tak? – Autentycznie go zatkało.

– Zwracam się do matki. – Jej palce ześlizgnęły się w stronę kostki.

– Ochrzanasz ją? Posyłasz jej jedno wielkie pośmiertne „spierdalaj”?
Podoba mi się. Ja robię to samo co rok.

– Nie. – Zacisnęła dłoń wokół małej rękojeści pistoletu. – Nie mówię „spierdalaj”. Ona próbowała go powstrzymać, palancie. Długo jej zajęło, zanim mi uwierzyła, ale w końcu stanęła w mojej obronie. A wtedy on odstrzelił jej głowę. Więc nie, nie każę jej spierdalać. Przepraszam ją. Mówię, że powinnam była go zabić wcześniej. A potem zwracam się do niego i wyrażam nadzieję, że jest mu w piekle ciepło.

Wyciągnęła dwudziestkę dwójkę.

– Żegnaj, Richardzie.

– Za późno, Rainie. Danny jest tuż za tobą.

Rainie usłyszała skrzypnięcie klepki. Odruchowo zerknęła przez ramię i zobaczyła oszołomioną, bladą twarz Danny’ego. Za późno zrozumiała swój błąd. Próbowała znowu się odwrócić. Oddała jeden dziki, desperacki strzał.

Wtedy Richard brutalnie uderzył ją w głowę strzelbą jej matki.

Richard szybko zrobił krok do przodu. Wycelował zepsutą strzelbę w Danny’ego.

– Oddaj broń – rozkazał.

Danny spojrzał na skulone ciało Rainie i posłusznie wykonał rozkaz. Richard uśmiechnął się. Wsunął broń za pasek i zostawił strzelbę Rainie na werandzie.

– Tatusz pomógł ci uciec, co?

Chłopak nie odezwał się ani słowem. Po prostu wpatrywał się chciwie w utracony pistolet. Ale Richard nie przejmował się. Danny był zbyt zahukany przez ojca, żeby się zdobyć na samodzielne działanie. Na tym polegała część zabawy.

Mann pochylił się i z pewną trudnością zarzucił sobie Rainie na plecy.

– Doniosłeś na mnie, co, Danny? Nie mówiłem ci, że mądrzy chłopcy nie skarżą? Siedzą cicho, jeśli nie chcą narażać rodziny.

Danny nadal milczał.

– No to teraz pozostaje tylko jedno – westchnął jego prześladowca. – Będziemy musieli zabić twoją siostrę. Zasady, Danny. Zapytaj mojego staruszka. W życiu trzeba kierować się zasadami.

Samolot Quincy'ego wylądował w Portland dopiero o dziewiątej wieczorem. Na lotnisku czekał już Luke i, zanim jeszcze doszli do nielegalnie zaparkowanego samochodu, zaczął zdawać relację z wydarzeń dnia.

– Jej sąsiad usłyszał strzał tuż po ósmej – opowiadał. – Szczerze mówiąc, o tym zgłoszeniu dowiedzieliśmy się dopiero przed dziewiątą.

– Czemu tak późno?

– Bo mieliśmy pełne ręce roboty przy innym incydencie i dyspozytorce coś się pokręciło. Wczoraj po południu zniknął Daniel Avalon. Dzisiaj pojawił się w Bakersville i próbował ukatrupić dyrektora Vander Zandena.

– Poszkodowani?

– Na razie nie ma. Vander Zanden jest trochę poobijany, ale na szczęście z Avalona kiepski strzelec. Jednak przekleństwa i krzyki

Avalona pozwoliły żonie Stevena domyślić się, o co chodzi. Nie wiadomo, jak Vander Zanden ją teraz udobrucha.

– Ze wszystkich piekielnych furii najgorszą jest odtrącona kobieta – wymamrotał Quincy. Ktoś pędził prosto na nich z wózkiem załadowanym bagażami. Rozdzielili się na chwilę, ale nie zwalniali tempa. – Kiedy policjanci dotarli do domu Rainie?

– Piętnaście minut temu. Jak na razie nie znaleziono Rainie, ale na werandzie są ślady krwi, Sanders myśli, że wpadła w ręce tego szaleńca.

– Żadnych telefonów, żadnych przechwałek? On uwielbia takie posunięcia. Cała sprawa jest dla niego ekscytującą grą.

– Próbujemy zepsuć mu zabawę. Są też nieco lepsze wiadomości. Około osiemnastej trzydzieści Sanders otworzył kopertę z danymi osobowymi Richarda Manna. Najpierw obejrzał czarnobiałe zdjęcie. Prawdziwy Mann wcale nie przypomina naszego psychologa. Sanders wysłał paru policjantów do domu tego drania, ale wtedy właśnie doszło do strzelaniny u Vander Zandenów.

Dotarli do wozu patrolowego Luke'a. Quincy rzucił torby na podłogę i wszedł do środka. Luke włączył syrenę. Ruszyli.

– Co znaleziono w domu Manna? – zapytał Quincy, przytrzymując się deski rozdzielczej, gdy Luke brał ostro zakręt.

– Komputer. Ktoś nacisnął klawisz spacji. Na ekranie wyświetlił się napis „Też cię kocham” i zaraz wszystko eksplodowało. Na szczęście ładunek był mały i nikt nie został ranny.

– Kurwa! – Quincy uderzył otwartą dłoń w deskę rozdzielczą. – W tym cholernym tańcu zawsze jesteśmy w tyle o dwa kroki.

– Właśnie, a do tego na parkiecie robi się ciasno. Jeszcze jedna sprawa. O siedemnastej trzydzieści zniknął Danny. Dwaj gliniarze z Cabot, którzy przewozili go do zakładu psychiatrycznego, mieli po drodze wypadek. Twierdzą, że gdy odzyskali przytomność, on już ukradł kluczyki do kajdanek i zniknął.

Quincy spojrzął na Luke'a i powiedział:

– Shep.

Luke milczał, co w jego przypadku znaczyło „tak”.

– Aresztowano go?

– Jest przesłuchiwany. Ale Danny przepadł bez śladu. Dobrze znam Shepa. Dla syna zrobiłby wszystko, pewnie nawet i zorganizował ucieczkę. Ale coś poszło nie tak. Szeryf wygląda jak wielka miska galaretki. Gdybym nie wiedział, jaki z niego twardziel, pomyślałbym, że jest śmiertelnie przerażony.

– Myślisz, że Danny uciekł z własnej inicjatywy?

– Nie wiem.

– Myślisz, że przekradł się do domu Rainie?

– Zbieramy odciski. Zapytaj, kiedy już dostanę raport.

– Jak dobrze Danny zna okolicę?

– Polował tam całe życie. Poradzi sobie.

– Sprowadź Shepa. Niech spotka się z nami u Rainie.

Luke nawet nie mrugnął okiem.

– Dobrze.

– Poproś Sandersa, żeby posłał dwóch funkcjonariuszy z policji stanowej do domu O'Gradych. Sandy i Becky muszą mieć pełną ochronę. Według wstępnych informacji Richard Mann – czy jak on się tam nazywa – zrobił to już trzykrotnie. Za każdym razem dochodziło do strzelaniny. I za każdym razem nie było świadków. Nie sądzę, żeby teraz chciał coś zmienić.

Luke pobladł, ale kiwnął przytomnie głową.

– Luke, masz kamizelkę?

– Tak.

– Załóż ją. I dopilnuj, żeby wszyscy zrobili to samo.

– Myślisz, że ten sukinsyn nie wyjechał z miasta?

– Wiem, że nie wyjechał. Jest gorszy niż dzika bestia. Ciągłe musi podnosić poprzeczkę, żeby poczuć ten sam dreszczyk emocji. A teraz, niech go diabli, wyraźnie znowu się nudzi.

Sobota, 20 maja, 22.05

Abe Sanders podbiegł do Quincy'ego, kiedy tylko wóz Luke'a zatrzymał się przed domem Rainie. Technicy policyjni w poszukiwaniu śladów wyrywali deski z podłogi werandy. Podwórze oświetlały gigantyczne reflektory, a mężczyźni w granatowych kurtkach przeczesywali teren cal po calu z latarkami w rękach. Quincy widział tę scenę setki razy, ale wciąż wydawała mu się zupełnie surrealistyczna.

Nigdy dotąd nie był u Rainie. Nic więc nie powinno mu się tutaj z nią kojarzyć. Jednak kiedy spojrzał na strzeliste sosny, natychmiast stanęła mu przed oczami i zdjął go nagły ból. Jej bezbronne oczy, dumnie uniesiona głowa. Tyle niedokończonych spraw.

Musiał wyciągnąć rękę, żeby nie stracić równowagi. Po chwili całym wysiłkiem woli zdołał powrócić do rzeczywistości.

– Znaleźli coś? – zapytał Sandersa.

– Tak, pod werandą.

Quincy ruszył za detektywem. Natknęli się na Shepa. – Stał skulony z zimna, z brodą wciśniętą w kołnierz kurtki. Luke miał rację. Shep wyglądał, jakby był ciężko chory. Jeśli maczał palce w ucieczce syna, akcja nie odbyła się zgodnie z planem.

Policjanci zaczęli przekopywać obszar pod werandą, jakby

przewodzący obiecujące prace archeologiczne. Zbierali odciski, gromadzili i segregowali wszelkie możliwe ślady. Wywozili stopy ziemi.

– Wygląda to na świeży grób – wyjaśnił Sanders. – Tuż pod werandą. Ale na razie znaleźliśmy tylko jakieś stare włókna i żwir. Chłopcy cały czas szukają.

Quincy zerknął na Shepa. Szeryf zaciskał usta. Agent nagle zrozumiał. Patrzyli na miejsce ostatniego spoczynku człowieka, który zabił matkę Rainie. Quincy wiedział już, kto go tam zakopał.

– Coś jeszcze? – zapytał.

– Znaleźliśmy starą strzelbę – powiedział Sanders. – Shep już ją rozpoznał. Czternaście lat temu zabito z niej Molly Conner. Teoretycznie śledztwo nie zostało zamknięte, więc wszystkie dowody przechowywano w policyjnym magazynie w Portland. Ale dwa dni temu jakiś młody człowiek, rzekomo z biura szeryfa w Bakersville, odebrał strzelbę. Podał numer odznaki Rainie, którego kretyń pełniący służbę w magazynie, nie sprawdził. Nie muszę dodawać, że wygląd tego „policjanta” odpowiada rysopisowi Richarda Manna.

– Dobrze to sobie wykombinował.

– Owszem. Mamy tonę odcisków palców z jego mieszkania, ale przepuszczenie ich przez katalog trochę potrwa. Nadal nazywamy go Mannem, chociaż wygląda na to, że prawdziwy Mann uczy w jakiejś zabitej dziurze na Alasce i nie ma pojęcia, że ktoś się pod niego podszywa. Kiedy wróci do cywilizacji, czeka go mała niespodzianka.

– Mann ciągle jest w okolicy – oświadczył Quincy.

– Byłby idiotą, gdyby został. Wszędzie roi się od policji.

– Jest uzależniony od adrenaliny. Zaszedł zbyt daleko. Będzie chciał doprowadzić sprawę do samego końca.

– Jak myślisz, co on knuje?

– Nie jestem już pewien. Na początku chyba planował rutynowe przedstawienie. Znalazł zagubionego dzieciaka. Wyszukał człowieka, pod którego mógł się podszyć. Wszystko spokojnie, z rozmysłem. Ten szaleniak dokonał trzech skomplikowanych zbrodni w przeciągu dziesięciu lat. Nie spieszy się. Jest ostrożny. Pomyśl, o czym mówiliśmy

wcześniej: zawsze ma plan awaryjny. Nawet jeśli sforsujemy pierwszy mur, trafimy na kolejną przeszkodę.

– Pewnie za dobrze mu szło – ciągnął dalej Quincy. – Dwie zbrodnie i nikt nawet nie podejrzewa prawdy. A gdzie emocje? Gdzie niebezpieczeństwo? Więc tym razem zaryzykował bardziej. Pozostał na miejscu po strzelaninie. Dał nam więcej wskazówek, ale ja, głupi, ich nie zauważyłem. Te jego uwagi o cechach dobrego ojca. Oczywiście nawiązywał do własnych problemów z ojcem. Potem rozmowa po pogrzebie. Powiedział, że jego zdaniem Danny nie mógł strzelać, bo jest za inteligentny, za pomysłowy, żeby uciekać się do przemocy fizycznej. Mówił o sobie. No i dochodzimy do sprawy Rainie. Podrzucił jej strzelbę, z której, jak sądzi większość miejscowych, osobiście zabiła własną matkę. To musiało go zafascynować. Oto kobieta, która zrobiła to, o czym on fantazjował każdego dnia swego dzieciństwa. Pewnie Rainie była dla niego bohaterką.

– I chciał, żeby uciekła z nim? Została jego partnerką? – zapytał z niedowierzaniem Sanders.

Quincy pokręcił głową.

– Nie. Myślę, że popełnił ten sam błąd, co większość mieszkańców Bakersville. Rainie nie zastrzeliła matki. Głęboko go tym rozczarowała...

Sanders dopowiedział sobie resztę.

– A jeśli jest rozczarowany...

– Jeśli szybko ich nie znajdziemy – powiedział cicho Quincy – wątpię, czy Rainie przeżyje tę noc.

Z lasu doleciał nagle czyjś krzyk.

– Tutaj, tutaj! – wołał technik. – Mam coś!

Puścili się biegiem. Na ziemi leżał skrawek białej bawełny, jakby oddarty z podkoszulka.

– Więc tędy uciekł – oznajmił triumfalnie Sanders. – Szybko, niech ktoś sprowadzi psy.

– Obsadzić okoliczne drogi – zarządził natychmiast Quincy. – Wszystkie, łącznie z wiejskimi. Pieszo nie zajdą przecież daleko.

Abe zaczął gorączkowo telefonować, a potem zapuścili się w

zarośla, desperacko szukając tropu. Desperacko szukając Rainie.

– Cholera! – zaklął Richard Mann po raz piąty w ciągu mniej więcej tylu minut. Zatrzymał się, ocierając z czoła obfity pot, i rzucił Rainie spojrzenie, w którym narastała irytacja.

Policjantka udawała, że nie zauważa jego nienawiści. Ostrożnie osunęła się na ziemię, co nie jest najłatwiejsze przy związanych z tyłu rękach. Bolała ją głowa. Szybko odzyskała świadomość, ale nie był to powód do radości. Szczeka pulsowała jej z bólu od uderzenia kolbą. Rainie podejrzewała złamanie. Oko spuchło i nie mogła go otworzyć. Bała się, że oczodół został poważnie uszkodzony. Zaczynała widzieć podwójnie, a ból stawał się coraz ostrzejszy. Może to krwotok? Skrzep? Ewentualności było nieskończenie wiele.

Ale też z pewnego drobiazgu mogła się w duchu cieszyć. Kiedy Richard Mann zamierzył się na nią kolbą, strzeliła na oślep i trafiła go w prawy pośladek. Zignorował draśnięcie, lecz po krótkiej wspinaczce stromym zboczem, zaczął oszczędzać prawą nogę. Nie szedł już miarowym krokiem i poczerwieniał na twarzy. Częściej robili teraz przerwy i zatrzymywali się na coraz dłużej. W ciemności trudno było się upewnić, ale podejrzewała, że Mann mocno krwawi. Wcisnął kurtkę do spodni, żeby zatamować upływ krwi. Chyba jednak zaczął powątpiewać w skuteczność tego opatrunku, bo co chwila przystawał i wypatrywał na ziemi brunatnych śladów.

Zadrzyj ze mną, a jeszcze dostaniesz w dupę, pomyślała Rainie. Rozbawił ją własny czarny humor, chociaż po chwili skrzywiła się z bólu.

Danny wciąż był z nimi i teraz siedział cicho obok Rainie. Nie powiedział jeszcze ani słowa. Szedł tylko z pochyloną głową i rękami wciśniętymi w kieszenie niebieskiego kombinezonu. Noc była zimna. Chłopak cały czas nerwowo szarpał biały podkoszulek, jakby próbował staranniej się nim okryć. Rainie żałowała, że nie może więcej dla nieszczęśnika zrobić.

Do diabła, w tym momencie, gdy drzewa kołysały się przed nią, przyprawiając ją o mdłości, żałowała, że nie może zrobić więcej dla samej siebie.

Jak Danny wydostał się z poprawczaka? I dlaczego przybiegł do niej? Podejrzewał, że pojawi się tam Richard Mann? Chciał jej pomóc?

A może wciąż był pomocnikiem Richarda? Pomyślała o tym, co wczoraj powiedział Quincy. Gdy dominujący partner skłoni drugiego do zabójstwa, ten słabszy nie potrafi odejść. A Danny zabił. Wyznał jej to dzisiaj cieniem, wysokim głosem, który brzmiał jak pisk.

Nie wiedziała już. Starła się zebrać myśli, uporządkować je, stworzyć jakiś plan. Twarz paliła ją żywym ogniem. Ból wzmagął się i wzmagał.

Mann chwiejnie stanął na nogi. Latarka zakołysała się gwałtownie. Oświetliła na piaszczystym szlaku dwie ciemne plamy, na widok których tylko zaklął. Krwawił coraz bardziej. Stopą próbował przygarnąć piasek. Gałązką pozacierał ślady i rzucił Rainie nienawistne spojrzenie.

– Wstawać – warknął.

– Chyba zaraz się porzygam – wymamrotała Rainie.

– No już!

– Dobrze – powiedziała. Pochyliła się i zwymiotowała mu na buty.

– Ja pierdziele! – Mann odskoczył pół metra do tyłu i na próżno próbował pozbyć się wymiocin, kopiąc wściekle w krzaki. Młócił rękami powietrze. Jego twarz zrobiła się purpurowa. Rainie nie wahała się. Może nie był to elegancki plan, ale lepszego nie zdołała wymyślić.

– Uciekaj – zawołała do Danny'ego. – Uciekaj!

I rzuciła się na Manna.

Gdy toczyli się bezwładnie, wyślizgnęła mu się broń. Rainie słyszała, jak Mann rzuca się i przeklina. Wydawało jej się, że jego kolana i stopy są wszędzie. Instynktownie próbowała osłonić głowę. Oko, jej oko. O Boże, czuła, jakby policzek zajął się ogniem. Ale nie mogła podnieść rąk. Były związane z tyłu, więc tylko wyla się na ziemi jak bezbronny robak.

Richard usiłował dosięgnąć ją silnym kopniakiem. Ledwie zrobiła unik, przetaczając się kawałek dalej, gdy nagle ją zostawił.

Cholera. Chciał odzyskać broń. Przeturlała się z powrotem i kopnęła go z całej siły w zgięcie kolana. Zachwiał się, upadł. Wierzgając, zaatakowała jego ranny pośladek.

Nie widziała nigdzie Danny'ego. Oby tylko udało mu się uciec. Gdyby mogła dać mu więcej czasu...

Richard znów próbował się podnieść. Widziała, jak jego wzrok pada na odebrany Danny'emu pistolet, który leżał teraz półtora metra dalej w piasku. Mann zgrzytnął zębami i rzucił się do przodu. Rainie jak najszybciej przetoczyła się w prawo. Udało jej się kopnąć go w głowę.

– Ty cholerna suko – zaklął i nagle na jego twarz wypląnął uśmiech. Wyciągnął rękę i nabrał pełną garść sosnowych igieł i piachu. Rainie odwróciła głowę. Zamknęła oczy, ale nie mogła zakryć się rękami, gdy prosto w zakrwawioną twarz cisnął jej igły i piasek.

Prychnęła, instynktownie zamrugła powiekami. W zdrowe oko, którym jeszcze cokolwiek widziała, wbiło się osiem małych szpileczek.

– Psiakrew!

Bolało. Bolało bardziej, niż mogła sobie wyobrazić. Bolało nawet bardziej niż przed laty, kiedy była taka mała i bezradna. Pieprzyć to. Nie będzie już mała. Nie będzie bezradna.

Zaatakowała Richarda Manna nogami i wtedy zdała sobie sprawę, że on się śmieje. Stał teraz, nawet nie próbując podnieść broni. Stał tylko i patrzył, jak Rainie wije się na ziemi. To go bawiło.

– Wybierasz się gdzieś, Lorraine?

– Sukinsyn!

Znowu się roześmiał.

Przetoczyła się w stronę Manna z bojowym wrzaskiem, a on spokojnie kopnął ją w zranioną część twarzy.

Eksplodowały światła. Niesamowite kolory zmieszały się w rozpaloną do białości plamę. A potem równie intensywny ból wyrwał z jej piersi krzyk.

– Dość już, Lorraine? Czy może masz ochotę na więcej?

Znowu zaczęła się turlać. Nic nie widziała. Czuła tylko, że idzie za nią, i podejrzewała, jakiego rodzaju ból jej teraz zada. Chciała być twarda i dzielna, ale cierpienie było nie do zniesienia, więc próbowała uciec. Toczyła się i toczyła, desperacko szukając ratunku.

Uderzyła kolanem o pień drzewa. Zawyla. Mann roześmiał się. Usłyszała kroki. Szybciej, szybciej. Zmieniła nagle kierunek, poruszając się na wyczucie. Broń, broń, broń. Gdzieś tutaj leżała broń.

– Nie! – wrzasnął nagle Richard Mann.

Wiedziała już, że jej się udało. Wtoczyła się prosto na pistolet i chwyciła go zakrwawionymi palcami.

– No i co teraz zrobisz, Lorraine? – szydził jej prześladowca. – Będziesz strzelać kolanami?

– Stać. Policja – wychrypiąta, odwrócona do niego plecami.

– Oddaj to, Lorraine. Bądź grzeczną dziewczynką, a umrzesz szybko. Kroki coraz bliżej.

Mokre, śliskie palce gorączkowo próbowały znaleźć spust.

Słyszała urywany oddech Manna. Oślepiąta, ze skrępowanymi rękami, miała niewielkie szanse na celny strzał. Ale i tak próbowała znaleźć spust. Nacisnąć. Zrobić coś, nawet jeśli zrani go tylko w duży palec u nogi. Broń znowu jej się wyslizgnęła. To już koniec.

Mann pochylił się, zamierzył, żeby kopnąć Rainie w twarz i...

– Stać! Policja!

Nagle całą okolicę zalały światła. Rainie starała się coś dojrzeć zapiaszczonymi oczami. Światła były zbyt jasne, głosy za daleko. Jej palce znowu trafiły na broń. Odwróciła głowę i zobaczyła, że Richard Mann rozgląda się jak zwierzę złapane w potrzask. Oddychał ciężko. Ona też. Jego twarz była brzydka, wykrzywiona wściekłością. A jej?

– Pieprzyć ich – warknął nagle. Zamierzył się, żeby zdzielić ją w głowę...

I wtedy Rainie pociągnęła za spust.

Richard Mann padł na ziemię w chwili, gdy trzej inni policjanci otworzyli ogień. Rainie odtoczyła się na bok. Leżała metr od ciała swego oprawcy i patrzyła, jak nienawiść powoli zamiera w jego oczach.

Chwilę potem nadbiegł Quincy. Poznała go po zapachu. Pochylił się i przytulił ją do siebie.

– Przyjechałem jak najszybciej – wyszeptał. – Obiecałem ci.

Teraz widziała też innych. Abego Sandersa. Luke'a Hayesa. Shepa O'Grady. I Danny'ego, który ze łzami na policzkach tulił się do ojca.

– Jak nas znaleźliście? – zapytała.

– Danny zostawiał po drodze kawałki podkoszulka. Oddzierał je i upuszczał przez nogawkę spodni.

– Nie jestem głupi – powiedział po prostu Danny.

Rainie wtuliła twarz w ramiona Quincy'ego. Serce biło mu mocno. Tak miło było mieć go przy sobie.

W końcu ktoś mnie przytulił, pomyślała.

I rozplakała się. Płakała nad Danny'm, który wywołał tyle cierpień. Płakała nad sobą i nad tym, co musiała teraz zrobić.

Epilog

Dwa tygodnie później

Gdy Rainie schodziła po schodach gmachu sądu w Cabot, świeciło słońce. Miała na sobie dżinsy i zwykły biały Tshirt, wetknięty w ściągnięte paskiem spodnie. Dni były już ciepłe i zapowiadały nadejście lata. Po czterech godzinach, które musiała spędzić w ponurych murach, powiew wiosny na twarzy sprawił jej przyjemność.

Od incydentu z Richardem Mannem zespół dochodzeniowy w Bakersville miał pełne ręce roboty. Abe Sanders postawił na swoim: zdobył formalny nadzór nad śledztwem. Podsyłano mu jednak kolejnych natrętnych agentów federalnych, a to więcej, niż może znieść jeden człowiek.

Rezultaty badań daktyloskopijnych okazały się zdumiewające. Pod nazwiskiem Richarda Manna krył się niejaki Henry Hawkins z Minneapolis w stanie Minnesota, syn apodyktycznego porucznika i zahukanej bibliotekarki. Zgodnie z jego własnymi zapiskami, gdy dorastał, miał możliwość zarówno dobrze zapoznać się z bronią, jak i z ciężką pięścią tatusia. W dzieciństwie Hawkins przeprowadzał się kilkanaście razy. Zmieniając ciągle miejsca i szkoły, wykształcił w sobie naturę kameleona. I narastała w nim złość. Na surowego, zimnego ojca. Na inne dzieci, które zawsze widziały w Henryku autsajdera. Na matkę,

niezdolną do sprzeciwu w obronie syna i siebie.

Gdy Hawkins miał dwadzieścia lat, rodzice zginęli w wypadku samochodowym, pozbawiając go szansy na odwet lub wybaczenie. I od tego czasu zaczęła się jego zbrodnicza działalność.

Na tym etapie FBI łączyło go z dwiema innymi szkolnymi strzelaninami. Teraz wznowiono śledztwo i przesłuchiowano chłopców, którzy tak bardzo pragnęli sławy, że woleli pójść do więzienia, niż przyznać, że w tragedię zamieszany był ktoś jeszcze. Federalni analizowali też kilka interesujących incydentów, kiedy to dzieci nieoczekiwanie uciekały się do przemocy, gdy Hawkins mieszkał w najbliższej okolicy. Bez wątplenia część tych przypadków była zbiegiem okoliczności. Ale czy wszystkie?

Hawkins wciąż był właścicielem domu rodziców w Minnesocie. Naszpikował go mnóstwem pułapek, żeby utrudnić glinom zadanie. Spowolniło to pracę policjantów, ale nie powstrzymało ich. Akcję prowadził Sanders. W osobie skrupulatnego detektywa Hawkins znalazł godnego przeciwnika.

Prawdopodobnie miną miesiące, może nawet rok, zanim ostatnie dowody zostaną przeanalizowane. Ale Henry Hawkins nie mógł już cieszyć się rezultatem swoich pomysłów. Nikt nie zgłosił się po jego ciało. Pochowano go w grobie dla biedoty.

Śledztwo w sprawie Danny'ego też przyjęło nowy obrót. Shep i Sandy usiłowali wynegocjować z Charlesem Rodriguezem jakiś korzystny układ. Danny'ego czekała jeszcze długa droga. Zabił dwie dziewczynki i niczego nie zmieniał fakt, że został wykorzystany przez przebiegłego zbrodniarza. Prokurator okręgowy twierdził, że każdy powinien mieć w sobie pewne hamulce, znać granice tego, co wolno. Odebranie drugiemu człowiekowi życia jest niedopuszczalnym przekroczeniem tych granic. Danny nie pamiętał o tym i musi ponieść karę.

Wyglądało na to, że chłopiec przyzna się do zabójstwa w zamian za gwarancję, że jego sprawa pozostanie w gestii sądownictwa dla nieletnich. Będzie odsiadywał karę w zakładzie poprawczym aż do

dwudziestego piątego roku życia. Kuratorium w Oregonie formalnie przejmie nad nim opiekę, przeprowadzając nowe badania psychiatryczne i zapewniając mu możliwość terapii. Kuratorium podejmie też decyzję, kiedy Danny będzie gotów na zwolnienie warunkowe.

Sandy i Shep wystawili dom na sprzedaż. Wszystko wskazywało na to, że Danny zostanie umieszczony w zakładzie w Salem, więc postanowili się tam przenieść. Shep starał się o pracę w kilku agencjach ochroniarskich. Choć wiele osób podejrzewało, że to właśnie on zainscenizował wypadek, który pozwolił Danny'emu uciec, nie znaleziono żadnych dowodów i jego akta pozostały czyste. Sandy chciała poświęcić się swoim dzieciom i aktywnie wspierać starania o reformę prawa dla nieletnich. Oficjalnie pozostawali z Shepem małżeństwem, choć kiedy Rainie widziała ich ostatnio, nie zauważyła nawet cienia czułości. Odniosła wrażenie, że osiągnęli ten etap, kiedy żyje się razem, ale osobno. Może uznali, że tak będzie lepiej – dla Becky.

Rainie zatrzymała się u podnóża schodów. Próbowwała podjąć decyzję, czy od razu jechać, czy przez resztę słonecznego popołudnia pospacerować po mieście, kiedy usłyszała za sobą czyjś głos.

– Cześć, Rainie.

Odwróciła się i od razu go zauważyła. Uśmiechnęła się radośnie. Dopiero po chwili się zreflektowała, ale było już za późno.

Quincy, w jeden ze swoich drogich, szytych na miarę garniturów i nobliwym niebieskim krawacie opierał się niedbale o kamienną ścianę. Nie widziała go od dwóch tygodni. Po wypadkach na wzgórzu, natychmiast musiał udać się do miast, gdzie wcześniej doszło do sprowokowanych przez Hawkinsa tragedii i zająć się wznowieniem dawno zamkniętych dochodzeń. Wyobrażała sobie, że od tamtej pory lata po całym kraju, przesłuchując młodzież i zonglując kolejnymi zdjęciami z miejsc zbrodni.

A teraz stał przed nią i gdy tylko na niego spojrzała, zdała sobie sprawę, jak bardzo za nim tęskniła. Uśmiechał się ciepło. Może i on do niej tęsknił.

- Hej – powiedziała.
- Shep mówił, że tu będziesz.
- Nie wiedziałam, że rozmawia z agentami federalnymi.
- On też tego nie wiedział.

Quincy zapraszająco wyciągnął rękę. Podeszła do niego, uważając, żeby, nie poruszać się zbyt szybko. Ładnie pachniał. Kiedyś będzie musiała go zapytać, jakiej wody używa, bo ten zapach cholernie jej się podobał.

- Jak leci? – zapytała.
- To miało być moje pytanie.

- Sytuacja Danny'ego poprawia się – odparła. - Mnóstwo ludzi zaproponowało pomoc. Nie żeby pochwalali jego czyn, ale Henry Hawkins alias Richard Mann alias Dave Duncan przechytrzył całe miasto, łącznie z władzami szkolnymi. Po tym wszystkim łatwiej jest zrozumieć, jaki mógł mieć wpływ na jedno zagubione dziecko.

- A Becky?

- Lepiej. Gdy tylko Sandy powiedziała jej, że Richard Mann nie żyje, jakby ciężar spadł małej z serca. Podczas zamieszania w szkole pobiegła szukać brata. Niestety, zobaczyła go razem z Richardem w pracowni komputerowej, koło ciała panny Avalon. Richard zagroził, że jeśli Becky piśnie słówko, on zabije Danny'ego. A jeśli Danny coś powie, zabije ją. Widzisz, miał rację. Proste strategie bywają najbardziej skuteczne.

- Teraz może dokładnie omówić swoje koncepcje z diabłem. - Quincy uniósł w uśmiechu jeden kącik ust. Ten znajomy widok coś w niej poruszył. Nie chciała czuć się taka skrępowana. Chciała go dotknąć.

- Rainie? – zapytał cicho. - A co z tobą?

Wzruszyła ramionami. Nie było sensu dłużej kłamać. Wielki agent miał przed sobą nową, ulepszoną wersję Lorraine Conner, prawdopodobną aż do bólu.

- Bywało lepiej.
- Prokurator wniesie oskarżenie?

- Nie wiem. - Ruchem głowy wskazała budynek sądu. - Miałam właśnie spotkanie z adwokatką, żeby rozważyć wszystkie opcje. Prawo

stanu Oregon jest bardzo dziwne. Myślałam, że skoro zastrzeliłam Lucasa, mając siedemnaście lat, podpadnie to pod jurysdykcję dla nieletnich. Ale nie. W Oregonie liczy się moment, w którym sprawa zostaje przedstawiona sądowi, nie wiek, w jakim popełniło się przestępstwo. A to oznacza do pięciu lat więzienia. Prokurator powiedział, że „zważywszy na okoliczności łagodzące” jest skłonny zgodzić się na niecały rok w lokalnym pudle. Muszę tylko przyznać się do popełnienia morderstwa. Tego... tego nie oczekiwałam.

Rainie nie musiała mówić nic więcej. Quincy zrozumiał. Taki wyrok oznaczał zakaz służby w organach ścigania już do końca życia. Nie będzie nawet mogła zatrudnić się w ochronie, bo straci prawo do noszenia broni.

– Może trzeba walczyć? – zapytał po chwili. – Nie przyznawać się do winy, powołując się na ograniczoną poczytalność. Spróbuj dowieść, że działałaś pod wpływem wstrząsu po tragicznej śmierci matki.

– Mówisz jak moja prawniczka. Jej zdaniem prokurator nie ma na czym się oprzeć. Przeżrana siedemnastolatka. Podejrzany o morderstwo brutal, który ma więcej tatuaży niż skrupułów. Ona uważa tę sprawę za wygraną.

– Więc nie przyznajesz się do winy? – zapytał Quincy.

Rainie tylko się uśmiechnęła. Spojrzała na błękitne niebo. Musiała zastanowić się nad tyloma rzeczami, które wciąż były dla niej nowe i niepokojące.

– Chyba chcę się przyznać – powiedziała wreszcie cicho.

– Dlaczego? Masz ochotę na więzienny wikt?

– Mam ochotę o tym opowiedzieć, Quincy. Muszę to wyrzucić z siebie. To, co zrobiłam czternaście lat temu, było straszne. I miałeś rację: nie ważne, ile minęło czasu, zawsze będzie mi go za mało.

– On cię zgwałcił, Rainie.

– Tak.

– Próbowiałaś zwrócić się z tym do matki?

– Tak.

– Ale ci nie uwierzyła.

– Nie, nie uwierzyła. A potem poszłam do Shepa. Po raz pierwszy Quincy był zaskoczony.

– On wiedział?

– Chciałam wnieść oskarżenie, ale Shep też mi nie uwierzył. Dopiero zaczął pracę w policji, a ja nie byłam panienką z dobrego domu. Każdy w życiu czegoś żałuje.

– Więc zdecydowałaś się wrócić do matki – wydedukował Quincy.

– Nie. Po prostu nie miałam dokąd pójść. Nie wiedziałam, co jeszcze mogę zrobić. Ale zdaje się, że matka potrzebowała trochę czasu, żeby wszystko przemyśleć. Nie jestem pewna. Tamtej nocy przyszedł Lucas. Pijany jak zwykle. Potwornie się pożarli i wyrzuciła go, wrzeszcząc, żeby trzymał łapy z dala od jej córki. Chyba wtedy po raz pierwszy czułam się z niej dumna. Po raz pierwszy miałam nadzieję, że poprawi się między nami. Następnego dnia, zanim wróciłam ze szkoły, Lucas już rozwalił jej głowę.

– I Shep miał wyrzuty sumienia?

– Nie kiedy mnie aresztował. Ale na posterunku w Bakersville nie było żadnej kobiety, więc musiał mnie zabrać do Cabot. Tam policjantką kazała mi się rozebrać i zapakowała moje zakrwawione ubrania jako dowody. A ja... ja byłam dosyć poturbowana po tym, co Lucas ze mną robił. Kiedy wyszła, słyszałam, jak mówi do Shepa, że albo mój chłopak lubi to na ostro, albo spędziłam długą noc w klubie dla sadomasochistów. Biedny Shep. Na pewno nie było mu łatwo, gdy zdał sobie sprawę, jaki popełnił błąd.

– Dał ci strzelbę, Rainie?

– Nie. Wtedy po prostu zrozumiał swój błąd. Mój stan zdrowia i zeznania sąsiadów wystarczyły, żeby rozesłano za Lucasem list gończy. Policji wydawało się, że zwiął gdzieś daleko, ale ja nie byłam tego taka pewna. Nie miał za dużo pieniędzy i był wrednym sukinsynem. Chyba... chyba po prostu wiedziałam, że wróci. Przecież mama nie żyła i mógł teraz robić, co mu się podobało. Nie miałam broni. Byłam za młoda, żeby legalnie kupić pistolet. Przychodziła mi do głowy tylko nasza strzelba. Pojechałam więc do miasta. Poczekaliśmy do szóstej, kiedy

zamyka się posterunek. Wiedziałam, że ochotnicy są na patrolu. Automatyczna sekretarka podawała domowy numer szeryfa, biuro było więc puste i bezpieczne. Włamałam się tam.

– Nie było żadnego alarmu?

Rainie uniosła brwi.

– W Bakersville? Zresztą kto jest na tyle głupi, żeby włamywać się do biura szeryfa? Nawet teraz często zapominamy zamykać drzwi na klucz. Nie mamy drogich ekspresów do kawy, których trzeba by pilnować.

– Ale trzymacie w biurze dowody.

– W specjalnym sejfie na zapleczu. Teraz jest sejf. Bardzo solidny, trudno byłoby go rozpruć. Ale czternaście lat temu mieli tylko zwykłą szafkę. Otworzyłam ją szpilką do włosów. I zabrałam strzelbę matki z powrotem do domu.

Quincy westchnął, potarł nos. Wiedział, jak dalej potoczyły się wydarzenia.

– Zjawił się Lucas.

– Podszedł do drzwi werandy, zanim mnie zobaczył. I wtedy... uśmiechnął się, jakby zapowiadała się jeszcze lepsza zabawa, niż oczekiwał. Otworzył. Strzeliłam mu w pierś z bliskiej odległości. I wiesz co? Umarł z tym samym cholernym uśmiechem na twarzy.

– Dlaczego nie wezwałaś policji, Rainie? Mogłaś powiedzieć, że się broniłaś.

– Byłam dzieciakiem. Nie znałam kodeksu karnego. Słuchałam tylko swojego serca, a ono mówiło mi, że to nie była samoobrona. Ten drań skrzywdził mnie. Odebrał mi matkę. I chciałam jego śmierci. Chciałam, żeby zniknął z powierzchni ziemi. Właśnie po to ukradłam z posterunku naszą strzelbę.

– Zakopałaś go pod werandą.

– Zajął mi to całą noc.

– A potem uciekłaś – domyślił się Quincy.

Kiwnęła głową.

– Wyjechałam do Portland i spędziłam następne cztery lata,

próbując utopić wspomnienia w alkoholu.

– A co z jego wozem, Rainie? A sąsiedzi? Nie słyszeli strzału?

– Mój sąsiad wyjechał na ryby. W okolicy nie było żywego ducha.

– Dobra, ale czy nikt nie zauważył, że Lucas nagle przepadł jak kamień w wodę? Ani tego, że pewnej nocy z szafki na dowody zniknęła strzelba twojej matki, a jakiś czas potem w cudowny sposób pojawiła się tam na nowo? Na to nie trzeba umysłu geniusza. W ciągu paru dni Shep powinien był przeszukać twój dom. Nie ukryłaś nawet dobrze ciała.

Rainie milczała.

Po chwili Quincy westchnął.

– Udał, że nic się nie stało, prawda? Przypomnij mi, żebym nie dawał Shepowi odczuć, że jest mi winien przysługę.

– To małe miasteczko, Quincy. I małomiasteczkowe metody policyjne... A one czasem są inne. Każdy dostaje to, na co sobie zasłużył. To nie zawsze zgodne z prawem, ale zazwyczaj sprawiedliwe. A jeśli chcesz wiedzieć, do dzisiaj nie rozmawiałam o tym z Shepem.

– Oczywiście. Bo to by się już kwalifikowało jako zмова.

– Powinnam była zapłacić za swój czyn – odparła natychmiast Rainie. – Pod wieloma względami byłoby to lepsze. Mogłam wyrzucić to z siebie. Mogłam stawić temu czoło, zdystansować się, ponieść sprawiedliwą karę. Tymczasem... – Zająknęła się po raz pierwszy. – Lucas miał żonę i dziecko. Odebrałam im go. Przez czternaście lat nie wiedzieli, co się z nim stało. Nie pomyślałam o tym. Nawet jeśli go nienawidziłam, nie powinnam była zapomnieć, że jest człowiekiem. Rodriguez ma rację: są pewne granice, których nie możemy przekroczyć, a jedną z nich jest odebranie komuś życia.

– Dopadłby cię tamtej nocy – powiedział łagodnie Quincy.

– Ale o to właśnie chodzi, Quincy. Tego nigdy się nie dowiem. Zabiłam, więc nie jestem od niego lepsza.

– Rainie...

Podniosła rękę.

– Tylko bez frazesów. Zrobiłam, co zrobiłam. Teraz zamierzam za to odpokutować. Odpowiedzialność i poczytalność, nie są znowu takie złe.

Wiesz, dlaczego wykopałam jego zwłoki?

– Dlaczego?

– Bo bałam się, że odbierze mi go Richard Mann. Kiedy dostaliśmy pierwszy sygnał o facecie, który przechwalała się, że ma dowód na to, że zabiłam matkę... Nie wiem. Od razu pomyślałam o Lucasie pod werandą i dziwnym śnie, o człowieku w czerni. Nagle przestraszyłam się. Na mojej werandzie był zabójca i znalazł ciało. Kiedy wchodziłam do pokoju hotelowego Dave'a Duncana, myślałam, że przywita mnie trup Lucasa. Ale okazało się, że pokój jest pusty i... wcale mi nie ulżyło. Byłam nawet jeszcze bardziej niespokojna. A jeśli on o wszystkim wie, jeśli zabrał ciało, a potem... potem nie będę miała żadnego dowodu na to, co zrobiłam. Potrzebowałam tego dowodu. Musiałam wyznać, co się stało. Uprzytomnił mi to Danny.

– I co teraz, Rainie?

Próbowała zebrać myśli. Pomimo najlepszych intencji odpowiedź na to pytanie uwięzła jej w gardle. Musiała ją z siebie wydusić. Kiedy się znów odezwała, jej głos brzmiał chrapliwie.

– W zeszłym tygodniu burmistrz poprosił mnie, żebym złożyła rezygnację. Quincy posmutniał.

– Wiesz – zażartowała – jest coś w policjantce z trupem pod werandą, co nie podoba się ludziom. I w końcu udało mi się zaimponować takiemu sztywniakowi jak Sanders. Teraz dowodzi Luke. Na pewno sobie poradzi.

– Możesz się przeprowadzić. Zacząć od nowa gdzie indziej.

– Nie, jeśli przyznam się do winy. Takie rzeczy trudno wyjaśnić podczas rozmowy kwalifikacyjnej. „Co pani uważa za swoją największą słabość?” „Eee, ostatnim razem, kiedy się wkurzyłam i byłam w stresie, zastrzeliłam pewnego faceta”. – Pokręciła głową z niesmakiem.

– Dlatego chcesz się przyznać? – zapytał spokojnie Quincy. – Żeby ukarać się jeszcze bardziej?

– Zabiłam człowieka!

– Który cię zgwałcił i zastrzelił twoją matkę, a wszystko w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Syndrom stresu powstrząsowego. Stan

dysocjacyjny. To nie są magiczne formułki, które zostały wymyślone przez psychologów, żeby wprowadzać mętlik w głowach przysięgłych, Rainie. To są prawdziwe, dobrze udokumentowane i dobrze znane zjawiska, co może potwierdzić twoja prawniczka. Miałaś siedemnaście lat. Byłaś przerażona. A Lucas wrócił, żeby cię dopaść. Żadna ława przysięgłych na tym świecie nie uzna cię winną. Jak dwanaście obcych osób może bardziej w ciebie wierzyć, Rainie, niż ty sama?

Rainie nie mogła odpowiedzieć. Gardło znowu jej się zacisnęło. Spuściła wzrok i zaczęła przyglądać się szczelinom między płytami chodnika.

– Jeśli naprawdę chcesz zacząć nowe życie, Rainie – powiedział łagodnie Quincy – zrób to. Wybacz sobie. Idź do sądu i daj przysięgłym szansę, żeby i oni mogli ci wybaczyć. Jesteś dobrym człowiekiem. Jesteś świetną policjantką. Zapytaj, kogo chcesz w Bakersville. Zapytaj Sandersa. Zapytaj Luke’a. Zapytaj mnie. Jestem przemyślającym agentem FBI, ale gdybym mógł znowu z tobą pracować, byłby to dla mnie zaszczyt.

– Och, zamknij się, Quincy. Przez ciebie zaraz się rozplacę. – Rzeczywiście. Otarła kąciaki oczu i pociągnęła głośno nosem. Cholerny agent.

– Co zamierzasz zrobić?

– Może masz rację.

– Oczywiście, że mam rację. Jestem ekspertem.

– Muszę się jeszcze tyle nauczyć.

– Rainie...

– Nie, nie mów tego.

– Skąd wiesz, co chcę powiedzieć? – Wyciągnął do niej rękę. Odsunęła się, kręcąc głową.

– Po prostu wiem! Jak na faceta, który widział tyle zbrodni, wciąż masz romantyczne podejście do życia. Ale to się nigdy nie uda, więc lepiej nic nie mów. – Wykonała rękami stanowczy gest: „ani kroku dalej”.

– Chcę cię zabrać na kolację – oświadczył spokojnie.

– Ale z ciebie uparty osioł!

– Obiecuję *lo mein* z zieloną herbatą. Mam nadzieję, że tym razem oboje będziemy jedli.

– Na litość boską, Quincy, ty tutaj nie zostaniesz. Jesteś agentem FBI. Kochasz swoją pracę. Jesteś w tym dobry. Ja stanowią tylko przystanek na twojej drodze.

– Mogę często się zatrzymywać. Przywilej mistrza.

– Po co? Żeby patrzeć, jak inkasuję zasilek dla bezrobotnych?

– Rainie...

– To prawda, i oboje o tym wiemy! Ty... to ty, Quincy. Wiesz, kim jesteś, dokąd zmierzasz i świetnie. A ja to ja. Prawdziwy galimatias. Lubiłam swoją pracę, Boże, naprawdę ją lubiłam. Nie... nie wiem, co teraz. Muszę się zastanowić. I muszę jakoś przetrzymać ten proces. A nie uda mi się, jeśli będziesz mnie obserwował. Chciałam z tobą pracować. Ale nie zniosę twojej litości.

– Rainie. – Wydawał się zirytowany, a jednocześnie szczery. – Przez ostatnie dwa tygodnie tęskniłem za tobą. Wariowałem, myśląc o tobie. Ludzie byli dla mnie mili, a ja wściekałem się na nich. Nie chciałem ich, tylko ciebie.

Znowu pokręciła głową. Nie ułatwiał jej zadania. Poczowała tęsknotę. Prawdę mówiąc, poczuła ból. Znajomy zapach wody kolońskiej kusił i osłabiał jej wolę. Sprawiał, że chciała wtulić się w silne ramiona tego mężczyzny. Objąłby ją. Tak jak tamtej nocy. Było to jedno z nielicznych pięknych wspomnień, jakie miała.

Ale wiedziała swoje. Quincy miał kompleks bohatera, a ona była zbyt dumna, żeby zachowywać się jak dziewczątka w opałach.

Minęła kolejna minuta. W końcu zrezygnowała. Pokręcił głową i tym razem on wbił wzrok w ziemię. Rainie wsunęła dłonie do tylnych kieszeni dżinsów.

– Muszę lecieć – powiedziała cicho, patrząc wszędzie, tylko nie na niego. Nie odpowiedział, więc domyśliła się, że to już koniec. Ruszyła ruchliwą ulicą, a słońce świeciło tak mocno, że z oczu popłynęły jej łzy.

Odwróciła się w ostatniej chwili. Nie powinna była. Ale zrobiła to.

– Quincy.

Podniósł szybko wzrok, pełen nadziei.

– Może... Może kiedyś, kiedy będzie mi się wiodło trochę lepiej.
Może wtedy wpadnę do ciebie.

– Nie mogę się doczekać – powiedział szczerze.

Podziękowania

Kiedy po raz pierwszy zaproponowałam tę książkę mojemu wydawcy, była zima 1998 roku. Niespełna siedem miesięcy minęło od ostatniej strzelaniny: majowego zamachu Kipa Kinkela w Springfield w stanie Oregon. Tragedia ta miała miejsce niedługo po wydarzeniach w Jonesboro w Arkansas (24 marca 1998), które z kolei nastąpiły po krwawych incydentach w West Paducah w Kentucky (1 grudnia 1997), Pearl w Missisipi (1 października 1997) i Bethel na Alasce (19 lutego 1997). Jak wielu innych Amerykanów, wstrząśnięta pięcioma szkolnymi strzelaninami w ciągu piętnastu miesięcy, chciałam zrozumieć, dlaczego doszło do tych wydarzeń i co można zrobić, żeby w przyszłości nic podobnego się nie powtórzyło.

Gdy już obmyśliłam fabułę powieści, starając się nie zapomnieć, że jednym z jej zadań ma być rozrywka, rozpoczęłam przygotowania do pisania. Pewnego poniedziałku, po wielu tygodniach spotkań i rozmów, zapytałam znajomego eksperta, czy jego zdaniem seria takich przypadków wskazuje, iż pojawił się nowy rodzaj przestępczości młodocianych. „Jak najbardziej – odpowiedział. – Następną strzelanina to tylko kwestia czasu”.

Nazajutrz lista tragedii powiększyła się o dramat w jeszcze jednej szkole. Skala wydarzeń w miejscowości Littleton w Kolorado była niewiarygodna. Oglądając wiadomości telewizyjne, wraz z ludźmi całego świata słałam modlitwy w intencji ludzi, o których nigdy nie

słyszałam.

Za każdym razem, gdy dochodzi do tego typu incydentu, jesteśmy wstrząśnięci. Sprawa jednak nie musi być beznadziejna, czego dowiódł na stronach tej książki agent specjalny Pierce Quincy. Każda tragedia powinna być dla nas lekcją i należy wyciągnąć z niej wnioski. W Burlington w stanie Wisconsin policja na czas zareagowała na anonimowy telefon i aresztowała trzech nastolatków, którzy planowali zamordować grupę uczniów. W Wimberly w Teksasie zaniepokojeni uczniowie zawiadomili władze na tyle wcześnie, że udaremniono próbę wysadzenia gmachu szkoły, do czego przygotowywało się pięciu chłopców z ósmej klasy. Ludzie uczą się słuchać i przynosi to efekty.

Sądzę, że mamy ogromny dług wdzięczności wobec wszystkich tych, których spotkało nieszczęście. Dziękując się z nami swymi doświadczeniami i smutkiem, przypominają nam oni o konieczności stawania się lepszymi ludźmi – w relacjach koleżeńskich, rodzinnych, sąsiedzkich. Oby nadszedł taki dzień, kiedy białe lilie i czerwone róże znikną ze szkolnych ogrodzeń. Oby nadszedł taki czas, gdy nie będzie nas prześladować widok nastolatków śpiewających pożegnalne pieśni nad trumnami kolegów. Oby w przyszłości nasze dzieci mogły cieszyć się spokojem.

Wymienionym osobom winna jestem wdzięczność za pomoc i cierpliwie udzielane wyjaśnienia (oczywiście za wszystkie błędy odpowiadam sama, a niektóre fakty zostały zmienione dla potrzeb fabuły):

Dr Gregory K. Moffatt, profesor psychologii, Atlanta Christian College; Dr Thomas Grisso, profesor psychiatrii (psychologii klinicznej), kierownik zakładu medycyny sądowej na uniwersytecie Massachusetts; Steve Ellis, funkcjonariusz departamentu policji w Amity; Rudolf Van Sooler, szef departamentu policji w Amity; Jonathan McCarthy, lekarz pogotowia, Wydział Zdrowia w Nowym Orleanie; Amy Holmes Hehn, zastępca prokuratora okręgowego, sekcja przestępczości nieletnich, okręg Multnomah; Stacy Heyworth, zastępca prokuratora okręgowego w Multnomah; Michael Moore, prawnik; Virgie Lorenz, nauczycielka;

Bruce Walker, geniusz komputerowy; Chad LeDoux, pisarz rozmówany w broni palnej; Debra Dixon, pisarka.